

ANNA NIEZNAJ

BŁĄD

WARUNKOWANIA



 **GENIUS
CREATIONS**

Anna Nieznaj

Błąd warunkowania

GENIUS CREATIONS
Bydgoszcz 2014

Spis treści

KARTA TYTUŁOWA

CZARNE KOTY

BŁĄD WARUNKOWANIA

ZŁE DUCHY

DROGA W ŚNIEGU

NOCĄ WSZYSTKIE KOTY SĄ CZARNE

UŚMIECH KOTA BEZ KOTA

KOSZT WSPÓŁPRACY TRANSGRANICZNEJ

POLOWANIE NA WRÓBLE

LWIE SERCE

O autorce

CZARNE KOTY

Siedzieli wszyscy pięcioro w dużym vanie zaparkowanym pod siedzibą MI6. Nawet jeśli znudzony kierowca rozumiał ich prowadzoną po polsku rozmowę, nie dawał tego po sobie poznać. Nie poruszali tematów istotnych dla wojskowego wywiadu.

Sanja Popović, wysoka dziewczyna z ciemnorudym końskim ogonem, przyglądała się kuriozalnej fasadzie budynku z końca dwudziestego wieku. Mimo upływu blisko stu lat nie nabrał on ani polotu, ani elegancji. A to i tak była ta strona, od której wyglądał normalniej. Widziany z drugiego brzegu Tamizy wyrastał nad rzeką jak ziggurat, na dodatek biało-zielony. Napuszony rozmach stylizacji boleśnie wżerał się w oczy.

Sanja oderwała wzrok od architektonicznego koszmaru i zajrzała przez ramię czytającemu koledze.

– Co tam, Peter? Znowu jakieś flaki? – spytała.

W formacji było trzech chłopaków i wszyscy oprócz naszywek Wojskowej Akademii Technicznej nosili też na mundurowych kurtkach znaczki uczelni medycznej. Z tym że każdy z innego powodu.

Peter Rueckner interesował się medycyną i gdyby mógł sam wybrać sobie zawód, na pewno zostałby cywilnym lekarzem. Steve Griffin był z całej piątki najinteligentniejszy i interesował się w zasadzie wszystkim. Tomek Lewicki z kolei – wyłącznie karabinami snajperskimi i życiem imprezowym. Uznał, że studia na ratownictwie pójdą mu najłatwiej – będąc Kotem, pewne rzeczy wyczuwał po prostu intuicyjnie.

– Dzisiaj nie flaki – odpowiedział z westchnieniem Peter, który chyba chętniej zagłębiłby się w podręcznik anatomii. – Organiczna. Mam koło na polibudzie.

Odwrócił monitor w stronę Sanji. Nawet nie spojrzała, zawsze wolała matematykę i strzelanie niż chemię i wybuchy. Pirotechnik byłby z niej żaden, łącznościowiec może nieco lepszy.

– Ja się nie muszę uczyć – rzuciła nonszalancko. – Mam tatusia generała.

Koledzy parsknęli. Teraz to ich bawiło, ale kiedy kilka lat temu Popović przypadkowo usłyszała ten zarzut, podejrzenia o syndrom szerokich pleców ubodły ją do żywego. Czasem lepiej byłoby nie mieć tak wyczulonego słuchu.

– Mykicioniuk idzie! – zawołała druga z dziewczyn, jasnowłosa Majka.

Od wejścia do biało-zielonego budynku przez rozległy parking szedł szczupły mężczyzna w mundurze unijnego pułkownika. Miał lekko śniadą cerę, a jego pociągłą twarz okalała krótko przystrzyżona czarna broda.

Rozsunęli przed nim drzwi vana. Wskoczył zwinnie do środka i dał znak kierowcy, żeby ruszał. Młodzi nie odrywali wzroku od pułkownika.

– No to zaczynacie – powiedział Mykicioniuk z miękkim wschodnim akcentem.

– Kiedy? – wyrwało się podekscytowanemu Tomkowi.

– Teraz. – Nie czekając na ich reakcję, dowódca ciągnął: – Znacie oczywiście wiadomości z tego tygodnia?

Przez rozgorączkowane młode głowy przemknęła gonitwa myśli. Zbliżający się szczyt Indie – Rosja? Zamachy bombowe w Sofii? Próba porwania córki niemieckiego kanclerza?

Tomek Lewicki już widział oczyma duszy, jak przenikają do otoczenia rosyjskiego prezydenta, żeby śledzić przebieg tajnych rozmów. Maja Szymczyk – jak z Ruecknerem odnajdują i rozbijają kolejne bomby. Sanja

przełknęła nerwowo ślinę, modląc się, żeby organizowana w pośpiechu i budząca wielkie nadzieje pierwsza prawdziwa akcja Czarnych Kotów nie polegała na tym, że one z Majką będą od tej pory towarzyszyć pannie Hertz w zakupach, spacerach po mieście i wyprawach do kina.

– W tureckim mieście Adana – kontynuował tymczasem Mykicioniuk – było przedwczoraj wieczorem trzęsienie ziemi.

– Siódemka w skali Richtera – dopowiedział Steven Griffin, skupiony i poważny. – W całym regionie stan wyjątkowy, armia pilnuje porządku przy akcji ratunkowej.

– Zgadza się. – Pułkownik kiwnął głową. – Nowe dzielnice wysokościowców stoją nietknięte, architekci musieli mieć dobrze zrobione symulacje wstrząsów. Za to starsza część miasta jest w ruinie. Turcy głośno się tym nie chwala, ale ze zdjęć satelitarnych wynika, że na przykład mocno uszkodzone jest więzienie o zaostrzonym rygorze. Kto miał zginąć, ten zginął, niejeden pewnie uciekł. Ogólnie, sympatycznie to tam nie jest.

Popović uświadomiła sobie nagle, że skoro Mykicioniuk zaczął odprawę przy kierowcy, to ten szoferem bywa wyłącznie od święta. I że – wbrew pozorom – świetnie zna polski. Widocznie jednak wie o całej sprawie więcej niż oni.

– Na neutralnym gruncie tureckim przeprowadzano w ostatnich tygodniach pewną delikatną misję. Człowiek do tego oddelegowany działa jako Charles Reade. Nie wiemy dokładnie, jak w tej chwili wygląda.

Szczupłe palce Mykicioniuka przebiegły po panelu w drzwiach wana i jedna z bocznych szyb auta zmatowiała. Kiedy oficer wsunął do czytnika kartę pamięci, na zmienionym w monitor oknie pojawiły się kolejne zdjęcia.

Dopiero przy bardzo uważnym przyjrzeniu się widać było, że wszystkie przedstawiają tego samego mężczyznę. Zmieniały się: kolor oczu, zarost, długość i odcień włosów, chociaż Reade najwyraźniej preferował wariant z

krótką czarną fryzurą, zapewne naturalną.

Wszystkie wcielenia agenta łączył ogólnie rozumiany styl, który Sanji kojarzył się z frazami typu „garnitur sportowy”. Nie umiałyby opisać, jak taki strój powinien wyglądać, ale wiedziała jedno – było to dla niej określenie wewnętrznie sprzeczne.

– Kontakt z Reade’em – ciągnął Mykicioniuk – urwał się tuż przed pierwszymi wstrząsami. Oczywiście szukają go oficjalnie przez konsulat i nieoficjalnie przez swoich rezydentów w Adanie, ale bez efektu. Macie go odnaleźć i przywieźć do Londynu. Jeżeli zginął, zidentyfikujecie ciało i zabezpieczycie rzeczy osobiste.

Milczeli przez chwilę, a kiedy stało się jasne, że Mykicioniuk nie powie już nic więcej, odezwał się Griffin: – Będziemy potrzebować...

– Wiem – wszedł mu w słowo dowódca. – Już dojeżdżamy do domu komandora Reade’a.



Van zjechał z estakady i skręcił w sześciopasmową ulicę prowadzącą na przedmieścia. Mijane budynki były niższe niż w ścisłym centrum, niektóre nie miały nawet trzydziestu pięter. Po lewej stronie mignął rozległy obszar parków pałacowych Hampton Court i wjechali między domy luksusowej dzielnicy mieszkalnej.

Miejsce drapaczy chmur zajęły ukryte w zieleni podmiejskie posiadłości. Spory telebim przy szosie wskazywał zjazd w stronę klubu golfowego. Sanja zerkała za okno samochodu, starając się nie ujawniać swego czysto turystycznego zainteresowania.

Koty wożono w dzieciństwie do prywatnej warszawskiej szkoły samochodami na wojskowych rejestracjach. Projekt nie mógł być całkowicie tajny – trudno zamknąć dzieci na poligonie w Nowej Dębie i nie wypuszczać do ludzi, dopóki nie skończą szkolenia – więc objęto ich mało demonstracyjną, lecz jednak czujną ochroną.

W przypadku młodych Kotów wybór elitarnej szkoły wynikał ze względów bezpieczeństwa, ale już na przykład generał Popović biegał jako podrostek do najzwyczajszej państwowej podstawówki w rodzinnej Rijece. A i teraz nie grywał w golfa.

Samochód wjechał w boczną uliczkę z wysokimi żywopłotami po obu stronach. Dotarli do stalowej bramy, która rozsunęła się przed nimi, zanim zdążyli się zatrzymać. Sanja odruchowo zlokalizowała ukrytą u szczytu ogrodzenia kamerę. A raczej – jedną z kamer.

Popović tak się nastawiła na ciąg dalszy widoków niczym z folderu *Uroki hrabstwa Surrey*, że zaskoczyło ją, gdy spomiędzy drzew zamiast klasycznej sylwetki podmiejskiego dworu wyłoniła się nowoczesna willa – łagodne linie stali i szkła.

Na podjeździe stały trzy czarne vany, identyczne z tym, którym przyjechali. Mykicioniuk się spiął.

Kiedy wysiadali, obrzucił młodych ostrym spojrzeniem.

– Lewicki, zapnij mundur. Griffin, czapka – rzucił i ruszył do wejścia.

W obszernym hallu kręciło się kilku agentów w cywilu. Okazali wchodzącym minimum uwagi i przepuścili ich do salonu.

Z fotela po przeciwnej stronie pokoju podniosła się niewysoka kobieta w szarej garsonce, a oni jednocześnie, jak na rozkaz, wyprężyli się na baczność. Wszyscy, łącznie z pułkownikiem.

Podeszła bez pośpiechu. Jeżeli wierzyć oficjalnym materiałom dla mediów, miała dokładnie sześćdziesiąt dwa lata. Jej krótkie włosy były już

całkiem siwe. Usta podkreślone pozornie śmiałą, lecz w tym przypadku nienaganną czerwoną szminką i oczy – błękitne i chłodne. Niemal pozbawione emocji, analityczne.

Dame Rachel McLeary, od dziewięciu lat szefowa MI6.

– Spocznij – rzuciła półgłosem, a buty Kotów przepisowo zaszurały po terakocie w kolorze gorzkiej czekolady.

Przyglądała im się badawczo: ich mundurom z biało–czerwonymi flagami na ramionach, orzełkom na czapkach i oczywiście – twarzom. Przez myśl Sanji przebiegły teraz wszystkie filmowane ćwiczenia, badania psychologiczne, testy sprawnościowe. Archiwalne materiały projektu i coroczne raporty; *dame* Rachel należała do tych kilkunastu osób w Unii, które wiedziały o Kotach więcej niż one same.

Ale teraz widziała ich po raz pierwszy na własne oczy. A przynajmniej – tu Sanja zreflektowała się – po raz pierwszy z tak bliska i bezpośrednio. Może pani McLeary znajdowała się kiedyś za jakimś weneckim lustrem lub w odległym pokoju, ukryta za ochronną barierą betonu, kamer, światłowodów i monitorów. Ale nigdy bliżej.

Płatki zadartego, piegowatego noska rudej Sanji drgnęły zauważalnie, kiedy szefowa wywiadu zatrzymała się przed nią. Spod perfum, dyskretnej smugi nikotynowego dymu, pudru i drażniącego zapachu maskary węch wyłowił tę jedną, niepowtarzalną nutę. Popović jej nie rozpoznała.

Dame Rachel szła dalej wzdłuż szeregu. Minęła wysokiego Petera Ruecknera, o ciemnoblond włosach i typie urody, który matka Sanji zwykła nazywać „nordyckim”. Potem Tomka Lewickiego, nieco niższego, ale za to z wyraziście zaznaczoną szczęką i bezczelnym błyskiem w czarnych oczach.

Zatrzymała się na krótką chwilę przy Mai Szymczyk, która wyglądała jak dziewczyna z plakatów werbunkowych rozwieszanych w żeńskich akademikach politechnik i szkół sportowych: jasne włosy związane w kucyk,

sympatyczna buzia, mundur i harde spojrzenie twardzielki nie do zdarcia. Brakowało tylko karabinu i kevlarowego hełmu, a w tle czołgu, wyrzutni rakiet albo myśliwca.

Potem Rachel McLeary podeszła do ostatniego z Kotów.

– Steven Griffin... – stwierdziła, a drobny chłopak odruchowo znów trzasnął obcasami.

Jedyny z całej piątki poddany Jego Królewskiej Mości. Decyzja o wyborze rodziców Steve'a do projektu budziła kontrowersje. Ale poprzednicy *dame* Rachel odpowiadali zawsze to samo – są absolutnie pewni porucznik Griffin, jej męża oraz ich rodzin. A agent powinien móc wtopić się w tłum. Również na terenie wroga.

Steve, z odziedziczoną po ojcu oliwkową cerą i wielkimi, brązowymi oczami, mógł swobodnie choćby dziś przejść się ulicą dowolnego miasta Kalifatu. Nie wzbudziłby niczyjego zainteresowania. Zniknąłby.

Nawet płęć miał tę właściwszą, co dawało mu większą swobodę ruchów.

Koty zostały poczęte w tradycyjny i naturalny sposób, a wirus przenoszący do układu nerwowego dodatkowe geny został im podany dopiero, gdy lekarze upewnili się, że rozwój embrionów przebiega prawidłowo. Sanja zastanawiała się czasem, co by się stało, gdyby badania prenatalne stwierdziły, że ewentualny brytyjski Kot jednak nie będzie chłopcem.

Po namyśle uznała, że nic by się nie stało. Lepiej mieć śliczną, bliskowschodnią z urody Kotkę niż nic. Po prostu rodziców do kolejnej partii projektu wybrano by równie starannie. Z uwzględnieniem wyglądu.

Dame Rachel oderwała wzrok od okropnie speszonego Steve'a i odwróciła się do przeszklonej ściany, za którą kipiała soczysta, majowa roślinność ogrodu.

– Dom jest do waszej dyspozycji. Na piętro nikt nie wchodził.

Ton głosu szefowej wywiadu był całkowicie neutralny, a wyraz twarzy nieodgadniony. Mykicioniuk nadal czujnie obserwował sytuację, ale Koty się rozluźniły. Tomek pozwolił sobie nawet na lekki uśmiech. Podobnie jak jej kumple, Sanja była absolutnie pewna, że pani McLeary jest zadowolona. Cokolwiek chciała poprzez te oględziny sprawdzić, przynajmniej się nie rozczarowała.



Wrócili do hallu. W ciągu ostatnich godzin przez pomieszczenie przewinęło się tyle osób, że nie było czego tu szukać. Żaden z agentów rzeczywiście nie wchodził na wijące się spiralnie schody na piętro, ale Sanja zaczęła mieć złe przeczucia. Kiedy znaleźli się na antresoli, utwierdziła się w nich, a w górnym korytarzu niepokojący zapach osiągnął taką intensywność, że aż się skrzywiła.

Willę gruntownie wysprzątało, korzystając z nieobecności właściciela. Substancje do mycia terakoty, pastowania drewnianych podłóg, czyszczenia dywanów, przecierania szkła i polerowania paneli kontrolnych połączyły się w zabójczą mieszankę. Była wyczuwalna nawet dla zwykłych ludzi, a Koty zdążyła w ciągu tych paru sekund całkowicie otumanić.

– Matko jedyna... – jęknęła Majka.

Popović zawróciła, zbiegła po schodach i rzuciła okiem w stronę drzwi prowadzących z hallu do bocznego skrzydła domu. Przypomniało jej się, że kiedy wysiadali z samochodu, zobaczyła przez jedno z okien pokój pełen kwiatów doniczkowych, podczas gdy wystrój domu był chłodny, sterylny i w zupełnie innym stylu. Bez jakichkolwiek roślin.

Przypuszczenia Sanji potwierdziły się. Smuga zapachu środków czyszczących prowadziła prosto do tamtych drzwi. Widać komandor Reade należał do osób, którym dochodząca pomoc domowa nie wystarczy.

„Ciekawe, czy gosposia serwuje mu śniadanka pod nos”, pomyślała Popović, trochę zniesmaczona i szczerze rozbawiona.

Kiedy wróciła na górę, zastała ponurą atmosferę. Kotom wydawało się, że pobyt w domu Reade'a potrwa tylko chwilę, tymczasem Peter z wyrazem beznadziei na twarzy przeglądał kolejne idealnie czyste koszule i garnitury prosto z pralni, a Maja machnięciem ręki podsumowała wizytę w łazience. Zapewne wyczyszczonej na błysk i pełnej pachnących lawendowym płynem bieluteńkich ręczników.

Griffin wyjrzał z garderoby, kokieteryjnie kiwając trzymanym w rękę eleganckim butem z jasnej skóry.

– Nie! – wykrzyknęły zgodnym chórem dziewczyny.

– Nie – powtórzyła dobitnie Sanja. – Nie ma mowy.

– Zresztą jak niby mamy pociąć ten but na kawałki? – spytał Rueckner, jak zwykle rzeczowy.

Sanja zajrzała do sypialni. Na pewno tam poszli w pierwszej kolejności, ale nie zaszkodzi sprawdzić. Lewicki stał nad szerokim łóżem, unosząc narzutę. Popović doskoczyła do niego długim susem. Zapach człowieka, używana pościel.

Sekundę później Kotka westchnęła rozczarowana. Prześcieradła nie pachniały właścicielem, tylko jego kochanką.

– Drogie perfumy! – oświadczył z szacunkiem Tomek.

– A od kiedy ty się na tym znasz? – spytała z przekąsem Majka, wsuwając głowę przez drzwi.

Lewicki tylko rozłożył ręce, uśmiechając się wieloznacznie i rozbajająco. Potem raz jeszcze powęszył lekko.

– Mrr, ale dziewczyna... – dodał rozmarzony.

– O co chodzi? – rozległo się po angielsku; w progu stała Rachel McLeary.

– Pościel niestety też nam się nie przyda – odpowiedział Griffin bez mrugnięcia. – Pachnie dużą ilością środków chemicznych.

– Poszukajcie czegoś innego – poleciła *dame* Rachel.

Przeszkłone ściany willi zdrząły w narastającym huku, z pobliskiego Heathrow startował właśnie naddźwiękowy samolot pasażerski.



Sanja przysiadła na poręczy schodów i kołysała się, balansując nad kilkumetrową przepaścią. Próbowwała zebrać myśli.

„Szląg”.

Klasyczne rozwiązania padły ofiarą pracochłonnego sabotażu w wykonaniu gosposi. Trzeba było znaleźć coś nietypowego. Niestety nic nie przychodziło jej do głowy. Reade bywał gościem we własnym domu, a to nie ułatwiało zadania.

– Hej, Popović! – krzyknął z dołu Griffin. – Chodź tu na moment!

Sanja przechyliła się do tyłu, a potem – przytrzymując się poręczy – zrobiła przewrót w powietrzu i zeskoczyła lekko na posadzkę dwa piętra niżej. Najmłodszy z agentów aż ochnął, twarze pozostałych były niewzruszone, jednak Kotka złowiła ich zainteresowane spojrzenia. Zrobiło jej się głupio. Nie miała zamiaru się popisować.

Griffin stał na schodach prowadzących do garażu.

– Słuchaj, a co jest tam niżej?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Piwnica?

– Mogę zobaczyć?

Pokręciła głową bez entuzjazmu, obejrzała się na ochroniarzy. Nikt nie protestował, więc ruszyła za Stevenem do sutereny.

– Ha! – zawołał Anglik, gdy otworzyli drzwi.

Znajdowali się w niedużej siłowni. Także tutaj dotarł sprzątający anioł zagłady, lecz Steven krążył po salce treningowej jak głodny tygrys, węsząc czujnie. Nagle błyskawicznie zanurkował za jedno z urządzeń i wynurzył się stamtąd po chwili, triumfalnie machając małym ręcznikiem.

Reade musiał powiesić go na maszynie, zrzucić niechcący i zapomnieć. Popović pomyślała, że gosposia jest na pewno osobą solidnej postury. Ktoś tak pedantyczny zagłada przy myciu podłogi za każdy mebel – o ile jest się w stanie za nim zmieścić.

Pocięli ręcznik Charlesa Reade'a na pięć kawałków i umieścili w foliowych, szczelnie zamykanych torebkach. Sanja nie mogła się powstrzymać i zanim schowała woreczek do wewnętrznej kieszeni mundurowej kurtki, powąchała swój kawałek materiału. Starła się nie robić tego zbyt demonstracyjnie; ludzie czasem naprawdę dziwnie reagowali na zachowania dla Kotów oczywiste i naturalne.

Jednak po prostu musiała złapać ten trop już, teraz, natychmiast. Udzieliło jej się podekscytowanie Tomka.

Rachel McLeary wręczyła Mykicioniukowi czarną aktówkę, a następnie skinęła głową i wyszła, nie oglądając się. Agenci z hallu, poza jednym, zerwali się z foteli i pognali za nią po prowadzących na podjazd schodkach.

Pułkownik otworzył aktówkę i przejrzał znajdujące się w niej dokumenty.

– Weźcie elektryczną maszynkę do golenia. I baterie – rzucił w kierunku chłopaków.

Widząc ich zdziwienie, oddał teczkę stojącemu najbliższej Ruecknerowi.

Oprócz innych materiałów zawierała paszport. Reade w wydaniu zaprezentowanym na zdjęciu był ogolony na zero. Koloru jego włosów nie dało się określić.

– Sprytnie – pokiwał głową Tomek.

– Tja... – skrzywiła się Majka. – Zwłaszcza jeżeli teraz ma na przykład tlenione pasemka na różowym tle.

Szymczyk miała bardzo konkretne poglądy na temat cech Prawdziwego Mężczyzny. Skłonność do zabawy *image'em* do nich nie należała.

Sanja wyjęła paszport z dłoni Petera i przyjrzała mu się bliżej. Trzy zdjęcia – *en face* i oba profile.

„Czyli oczy masz naprawdę niebieskie, Mr. Reade?”.

Przed kontrolą graniczną po prostu wyjmie soczewki, pozbywając się ostatniego elementu przybranej chwilowo tożsamości.

Próba przeprowadzenia w Europarlamencie ustawy o szczegółowych danych biometrycznych w paszportach zakończyła się kilkanaście lat temu spektakularnym fiaskiem, medialnym skandalem i debatą na temat wolności jednostki.

Kotka wpatrywała się uważnie w zdjęcia. Komandor Charles Reade w wersji oryginalnej. Teraz, znając już jego zapach, miała wrażenie, że wyczuwa go w całym domu, podprogowo, na granicy percepcji. A może to tylko emocje płały jej figła.

Już rozumiała, dlaczego akurat im przydzielono to zadanie. I wydawało jej się, że pozostali myślą o tym samym, maskując się tylko wygłupami i tekstami o różowych włosach.

Rozpoznać twarz człowieka ze zmienioną fryzurą naprawdę nie jest trudno, jeżeli widzi się go z bliska, a przedtem obejrzy mnóstwo zdjęć. Chyba że...

Popović zacisnęła zęby, szykując się na wizyty na oddziałach

oparzeniowych, urazówkach i w przyszpitalnych kostnicach.

Mykicioniuk spojrział na zegarek i odezwał się, wybijając Sanję z ponurych rozważań.

– Jedziemy do hotelu. Najlepiej idźcie spać. Lecicie o dwudziestej drugiej trzydzieści.

– A pan? – Tomek był niezawodny, kiedy trzeba było zadać pytanie, które wszyscy mieli na końcu języka, lecz uważali, że jest niegrzeczne, niemądre lub nieco szczeniackie.

– Co ja? – zainteresował się pułkownik.

– No... – Chłopak zorientował się, że palnął głupstwo, jednak mężnie brnął dalej. – Pan z nami nie leci?

– Przyjrzyj mi się, Lewicki, ale tak naprawdę dobrze. Czy ja twoim zdaniem wyglądam na wolontariusza z organizacji młodzieżowej?

„Nie, dowódco”, pomyślała Sanja, „wygląda pan jak arabski terrorysta z samego serca Kalifatu”.

Kiedy lecieli rejsowym samolotem z Warszawy, znów dziwnym trafem akurat Mykicioniuk musiał przejść przez skaner i miał trzy razy sprawdzany komputer oraz telefon. Jak zwykle obruszał się, za plecami ochroniarzy fukając do młodych, że kompletnie nie rozumie, o co tym lotniskowym cerberom chodzi.

Gdy podróżowali z dowódcą, nawet Griffin nie wzbudzał zainteresowania. On przynajmniej nie miał brody.



Samolot płynął w ciemności bezksiężycowej nocy jak w niebycie. Ławice

miejskich światła przestały się pojawiać w dole już jakiś czas temu – lecieli nad górami Azji Mniejszej.

W kabinie paliły się łagodne światła. Większość pasażerów starała się wykorzystać ostatnią przed rozpoczęciem misji szansę na spokojny sen.

Koty nie spały, każde z nich próbowało zabijać czas swoim jedynie słusznym i wielokrotnie wypróbowanym sposobem na podróże lotnicze.

Z tyłu kabiny siedzieli ratownicy z psami, wpuszczonymi na pokład w drodze wyjątku – to był lot specjalny, koordynowany przez Czerwony Krzyż. Owczarki alzackie, piękne, szlachetne zwierzęta o inteligentnym spojrzeniu, zachowywały się bardzo grzecznie. Każdy warował przy fotelu swojego pana, w czujnym skupieniu.

Sanja spojrzała w oczy najbliższej leżącego psa tropiciela. Ten sam niepokój, podminowanie wibracjami. Fakt, że Popović w przeciwieństwie do owczarka wiedział, co się z nią dzieje, wcale nie poprawiał sytuacji. A odkąd zaczęła kurs pilotażu śmigłowca, było tylko gorzej. Do instynktownego napięcia dochodziło całkowicie świadome nasłuchiwanie dźwięku silników.

– Nie bała się latać, po prostu nie mogła się odprężyć.

Lewicki też najwyraźniej nie wiedział, co ze sobą zrobić, bo wychylił się lekko w stronę przejścia między fotelami i skinął na stewardesę. Sanja od razu zgadła, co się święci.

– W czym mogę pomóc? – spytała dziewczyna, podchodząc.

Była od Kotów dużo starsza, pod trzydziestkę, ale bardzo atrakcyjna. Popović z niechęcią musiała przyznać, że i Tomek, jako jedyny z całej piątki, wygląda całkiem przyzwoicie w jaskrawopomarańczowej koszulce wolontariusza. Pasowała mu do ciemnych włosów. No, ogólnie mu pasowała.

– Naprawdę nie może nam pani podać nawet kropli alkoholu? – spytał z miną dziecka usiłującego wyłudzić cukierek. – Ani odrobiny, na ukojenie

nerwów?

– To pana pierwszy lot? – Ciepła reakcja stewardesy wykraczała poza czysto zawodową uprzejmość.

– Nie, nie pierwszy. Ale tym razem chciałbym wylądować razem z samolotem.

Uśmiechnęła się, przyglądając się Lewickiemu. Zapewne uważała, że okazuje mu bardzo niewinne, matczyne wręcz zainteresowanie. Łatwiej jej przyszło oszukanie siebie samej niż Kotów.

Siedząca po drugiej stronie przejścia niewidoczna dla stewardesy Majka podsumowała manewry kolegi, przewracając oczami i udając, że wkłada sobie palec do gardła. Lewicki to zignorował i kontynuował miłą pogawędkę.

– Tomo, odpuść sobie... – szepnęła Sanja po polsku, symulując intensywne wyglądanie przez okno, za którym nie było nic widać.

Ponieważ słowa nie przyniosły efektu, przeszła do czynów.

– Przepraszam bardzo – odezwała się uprzejmie. – Czy mogłabym dostać trochę wody?

– Och... Tak, tak, oczywiście, bardzo przepraszam. – Dziewczyna, nieco zarumieniona, podała Sanji plastikowy kubeczek i popchnęła wózek dalej.

Za oparcia fotela przed nimi wyłoniła się głowa Griffina.

– Co, kolejna chciała go uratować? Każdy chciałby się zaopiekować taką ofiarą jak nasz Tomo.

Steve douczał Lewickiego ze wszystkich teoretycznych przedmiotów i nie pozwalał mu o tym zapomnieć. Tomek prychnął coś o babach, które zawsze zepsują zabawę, potem o fatalnych wynikach strzeleckich Griffina, a na koniec zamknął oczy i udawał, że próbuje zasnąć.

Siedząca obok Sanja słyszała jego przyśpieszony oddech, wyczuwała stres i koncentrację. Z głośników popłynęła prośba o zapięcie pasów i maszyna zaczęła nieznacznie obniżać lot.

Samolot podchodził do lądowania nad okaleczonym miastem. W migotliwy wzór świateł Adany wcinała się ciemność – łagodnym kształtem sztucznego zbiornika wodnego i wielkim poszarpanym obszarem w samym centrum miasta. Jedną czerń od drugiej oddzielał tylko wąski pas nowo powstałych dzielnic.

Tomek otworzył oczy.

– Nie panikuj, Sanjeczka.

– To nie egzamin, żeby panikować – prychnęła. – To jest akcja.

Samolot leciał już bardzo nisko, okolice lotniska tonęły w mroku.

„Jesteś tam gdzieś, Mr. Reade?”.



Noc była upalna i sucha. Na parkingu przed halą przylotów rosły wysokie palmy, których pierzaste korony odcinały się od rozgwieżdżonego nieba.

Ratownicy z psami odjechali odkrytą półciązarówką, a Koty wraz z kilkunastoma innymi osobami wsiadły do zdezelowanego autokaru z cicho rzeżącą klimatyzacją. Namiotowe miasteczko agencji rządowych i niezależnych organizacji charytatywnych znajdowało się na terenach rekreacyjnych Uniwersytetu Çukurova.

Wysiadając z autokaru, zgodnie z planem zwlekali tak długo, aż zostali sami z kierowcą, który pomagał reszcie wypakowywać bagaże. Sanja wiedziała, że przez cały czas obserwował ją kątem oka. Teraz spojrzał uważnie najpierw na twarz dziewczyny, potem na wiszący na szyi identyfikator i znów prosto w oczy.

Następnie wszedł schylony do wnętrza autokarowego bagażnika i zza

kilku pakunków wyjął niedużą, zupełnie nową sportową torbę. Popović zjrzała do niej, starannie sprawdziła zawartość i skinęła głową.

Zabrali plecaki i ruszyli w stronę namiotów. Sanja, słysząc odgłos zapalającego silnika, zastanowiła się, czy rzekomy kierowca wiozł ich cenną przesyłkę aż z ambasady w Ankarze, czy też jej zawartość zorganizowano gdzieś bliżej, w mniej legalny sposób. Zresztą co tu w ogóle mówić o legalności.

Była czwarta nad ranem, ale rozświetlone reflektorami i wypełnione pomrukiem generatorów obozowisko tętniło życiem.

Sanja doszła do wniosku, że Adana i tak ma mnóstwo szczęścia. Wstrząsy zniszczyły tylko jeden szpital, pozostałe zbudowano już w nowej technologii. Popović, chociaż wstydziła się tego, czuła ulgę, widząc, że ich baza nie jest jednocześnie szpitalem polowym. Enklawa oswojonej, tymczasowej normalności.

Od razu natknęli się jednak na problem organizacyjny. Okazało się, że nie ma na miejscu człowieka, który miał ich ulokować w miasteczku namiotowym. Podobno ciężko się rozchorował.

Nie była to żadna znacząca dla misji osoba, po prostu przypadkowy cywil, który dostał polecenia od swojego szefa w organizacji.

Skierowano ich do koordynatora o nazwisku Dickinson. Wbrew nadziejom Kotów jego dzień pracy właśnie się zaczynał, a nie kończył, więc mężczyzna był w miarę wypoczęty, zmobilizowany i w nastroju do wydawania poleceń. Fatalne połączenie.

Do prowadzenia rozmowy wybrali Petera – wysokiego i najpoważniej wyglądającego. Bardzo przekonująco, patrząc Dickinsonowi prosto w oczy, zażyczył sobie zakwaterowania grupy.

Jednak koordynator, jak należało się obawiać, okazał się mało podatny na perswazję. Przyglądał im się chwilę i już miał zacząć zadawać pytania, kiedy

Sanja, wbrew wcześniejszym ustaleniom, cicho lecz dobitnie powiedziała: – Proszę nam znaleźć kwaterę.

Koty mogły zmusić kogoś, by postąpił zgodnie z ich wolą, ale tylko gdy w grę wchodziło wydanie prostego polecenia, wypowiedzianego z zachowaniem kontaktu wzrokowego i najlepiej z bliska. I przede wszystkim, jeżeli umiały wywołać przy tym wrażenie bezdyskusyjnej dominacji. Jak wtedy, gdy stoi się w oko w oko z niezadowolonym psem, którego całą swoją postawą trzeba zmusić do podporządkowania się.

Sanji najwyraźniej wyszło to lepiej niż Ruecknerowi. Dickinson odwrócił wzrok.

– Tam – machnął w głąb obozowiska. – Namiot dwadzieścia trzy. Nad każdym wejściem jest tabliczka z numerem.

– Zauważyliśmy, dziękujemy. – Griffin posłał mężczyźnie uprzejmy uśmiech, pozostawiając go w miłym przekonaniu, że robota posuwa się naprzód i zyskał kolejnych pięć par rąk do pomocy.

– Dzięki, Sanja – mruknął zakłopotany Peter, kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu Dickinsona.

Popović machnęła tylko ręką, myśląc przy tym, że Mykicioniuk, gdyby chciał, zjawiłby się w Adanie, udając koordynatora pracy studentów wolontariuszy. Jednak chodziło najwyraźniej właśnie o to, żeby sprawdzić, jak radzą sobie sami.

Ich namiot, podobnie jak pozostałe, był duży. Mógł zmieścić nawet dwadzieścia osób. Przy wejściu stało kilka polowych łóżek, a dalej leżały już tylko karimaty. Zostało też trochę wolnego miejsca. Koty miały gdzie się rozpakować i jeszcze dałoby się dokwaterować parę osób.

W kącie dwóch chłopaków spało jak kamień, poza nimi nie było nikogo. Wszyscy pewnie pojechali pomagać przy sortowaniu darów dostarczonych samolotem, którym przyleciały Koty.

– No dobra... – stwierdziła Sanja, nasłuchując, czy ktoś nie kręci się w pobliżu.

Rozpięła torbę i każdemu z kolegów wręczyła chlebak z logo organizacji, dla której teoretycznie pracowali. Takich chlebaków widzieli już mnóstwo – nosili je wolontariusze, w ich namiocie stał nawet karton ze stosem fabrycznie nowych.

Chlebaki Kotów nie były jednak puste. Sanja przewiesiła swój przez pierś tak, że wylądował na prawym biodrze. Jego ciężar podzielał na nią uspokajająco. Od momentu kiedy wyruszyli w Londynie na lotnisko, czuła się, jakby zapomniała czegoś ze sobą zabrać.

– Przejdziemy się? – spytała.

Pretekst sam się narzucał – chcą pomóc przy sortowaniu. Przywieźli swoje rzeczy na miejsce noclegu, a teraz jadą do pracy. A że się zgubią gdzieś po drodze... To nie było wojsko. Tu wprawdzie panował porządek, lecz przełożeni nie patrzyli im na ręce przez cały czas.

– Popieram – rzucił Tomek. – Żal faceta. Jezu, jaki tu upał...

– A czas płynie... – kiwnął głową Griffin, patrząc wymownie na butelkę z wodą, którą Lewicki podnosił do ust.

Pragnienie.

Sanję aż skreśliło. Złapała się na tym, że zaczyna mieć osobisty stosunek do człowieka, którego zapach nosiła przy sobie.

Pragnienie, uwięzienie pod gruzami, upał, rany, płynący czas...

„Cholera...”. Szybko wzięła się w garść.



Nocne powietrze lepiło się od gorąca i niesionej wiatrem obrzydliwej, mdlącej zapowiedzi tego, co spodziewali się znaleźć w głębi miasta.

Koty miały wyższy niż inni ludzie próg odporności na organiczne paskudztwa; łatwiej wyczuwały zgniliznę czy inne nieciekawe fetory, ale nie reagowały odrazą. Traktowały je czysto informacyjnie.

Tym razem było jednak inaczej. Zagrożenie, zaraza, to po pierwsze. A po drugie – cierpienie. Kiedy tylko znaleźli się między ludźmi, którzy cały czas, dzień i noc, ryli w ruinach swoich domów... Kiedy mijały ich nosze z rannymi...

Wiedzieli, czego się spodziewać, ale teraz szli przez gruzowisko skuleni i spięci.

Peter zrobił kilka kroków na prawo, odruchowo zagarniając najmłodszego z kolegów, Tomka, do środka grupy. W pewnym momencie, kiedy Griffin zapatrzył się na coś, na co nie powinien, Majka chwyciła go za rękę i delikatnie pociągnęła za sobą. Oddychał zbyt szybko, węszył. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Steven – szepnęła Popović, chcąc go otrzeźwić.

Odkaszlnął, uwolnił rękę z uścisku Majki i ruszył szybciej naprzód, a reszta za nim.

Zainstalowany w satelitarnym telefonie Sanji system nawigacji wyprowadził ich z rejonu najintensywniejszych działań ratunkowych do dzielnicy, która – jak zdążyli się dowiedzieć od przełożonych Reade’a – już przed trzęsieniem ziemi była w znacznej części przeznaczona do wyburzenia. Kilkupiętrowe kamienice z początku wieku, zbyt stare, by dało się w nich wygodnie mieszkać, a zbyt nowe, żeby kwalifikowały się do renowacji jako zabytki, powoli chyliły się ku upadkowi. Kogo tylko było na to stać, wyprowadzał się do mieszkań budowanych według nowych standardów, uwzględniających wymogi bezpieczeństwa. Państwowe dofinansowanie

takich inwestycji też robiło swoje. Adana szykowała się na kataklizm. Zabrakło jej dziesięciu, góra piętnastu lat.

Popović rozejrzała się, zerkając na wyświetlacz telefonu. Byli na miejscu. Ich oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności. Za czarnymi kształtami ruin majaczyła łuna ocalałych dzielnic na północy i jaśniejszego nieba na wschodzie.

Upiorna pustka i cisza. Kamienice opuszczone przez ostatnich mieszkańców, odgródzone od spękanego asfaltu ulicy rozpiętą na gruzach fluorescencyjną taśmą. Sanja wiedziała dzięki temu, że teren został sprawdzony. Przeszli już tędy ratownicy ze sprzętem i psami. W ruinach nie było nikogo.

Stanęli przed budynkiem, z którego Charles Reade nawiązał ostatnie połączenie z centralą. W tej chwili trudno było ocenić, czy to jeden z pustostanów, opróżniony na tyle niedawno, że szyb okiennych nie zastąpiono jeszcze kawałkami dykty, czy też Reade mieszkał tu u kogoś, odwiedzał czyjś sklep, a może po prostu zatrzymał się na chwilę w tym miejscu, żeby spokojnie porozmawiać.

Popović przeskoczyła lekko przez taśmę, dając pozostałym znak ręką, żeby poczekali. Stąpała delikatnie, co przychodziło jej tym łatwiej, że dziś zamiast wojskowych butów miała adidas. Szła po gruzowisku bardzo cicho, z miękka, nie do końca ludzką gracją.

Schyliła się i zaczęła węszyć. Potem wyprostowała się gwałtownie i zlustrowała wzrokiem interesujący ich sektor między połyskującymi w mroku, szarpanymi przez wiatr taśmami. Włączyła podświetlenie w zegarku i sprawdziła godzinę. Dokładne przeszukanie całości zajęłoby im mnóstwo czasu. Wróciła do czekających kumpli.

– Jestem prawie pewna, że jego tu nie ma. W jakiegokolwiek... – zawahała się – postaci.

– Też mi się tak wydaje – zgodziła się Majka.

– Ale trzeba to wszystko obejrzyć, centymetr po centymetrze – stwierdził Peter. – Powiedzmy sobie szczerze, bardzo byśmy chcieli, żeby go tutaj nie było. Mam nadzieję, że nie zaburza nam to oceny sytuacji – dodał ponuro.

Tomek skinął głową i ziewnął, a Sanja, też zasłaniając usta i przecierając oczy, zdecydowała: – Jutro.

Griffin podniósł się z kawałka betonu, na którym siedział do tej pory.

– Wracamy, i to zaraz – utwierdziła się w postanowieniu Popović, patrząc na niezbyt kontaktującego Steve'a. – Trzeba się przespać.

Koty sypiały długo, co odnotowano w ich medycznych kartotekach jako lekkie odstępstwo od statystycznej normy. Jak kluczowa jest to kwestia, okazało się w czasie wojskowych treningów z deprivacją snu. Kiedy ich koledzy z oddziałów specjalnych byli co najwyżej rozkojarzeni i mało wydajni, Koty zaczynały mieć halucynacje. I nikogo to nie bawiło.

A już najmniej samych zainteresowanych, których poddano serii szczegółowych badań w celu odtworzenia sytuacji w warunkach laboratoryjnych. Z długich wyjaśnień dotyczących funkcjonowania Kocięgo układu nerwowego Sanja nie zrozumiała wiele. Sama wolała myśleć w ten sposób: codziennie odbiera wielokrotnie więcej bodźców niż normalni ludzie. I kiedyś mózg musi je przetworzyć, a jeżeli to nie następuje – jest problem.

W praktyce wyglądało to tak, że na kursie dla przyszłych komandosów Mykicioniuk stwierdzał czasem z diabelskim błyskiem w oku: „To wy tu sobie będziecie drzemać na zapiecku, a reszta idzie w teren. Biegiem marsz!”.

Teraz nie było z nimi Mykicioniuka, więc Popović, patrząc na zegarek i sumując szacunkowo przespane godziny, sama doszła do wniosku, że nie ma co chojraczyć.



Dziewczyny leżały obok siebie na karimatach w dusznym namiocie, gdzie z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej i cieplej. Noc błyskawicznie przeszła w kolejny morderczo upalny dzień.

Sanja miała już zamknięte oczy, ale w pewnym momencie usłyszała szept Majki: – Wiesz, na ostatnich ćwiczeniach w Nowej Dębie rozmawiałam z takim jednym kolesiem. Starszym od nas. Najpierw oczywiście jakieś pierdu, pierdu, żarciki o kotach i fali, ileż tego można słuchać. – Popović po tonie głosu poznała, że Majka się skrzywiła.

Nazwę formacji wymyślono dawno temu w unijnym sztabie. Debatowali nad nią po angielsku panowie generałowie z różnych krajów i tylko nikomu przez myśl nie przeszło, jak zabrzmiałoby w realiach polskiej armii. Koty dzielnie niosły swe brzemie, od czasu ukończenia liceum ograniczając się wyłącznie do reakcji słownych.

– A potem – ciągnęła Szymczyk – powiedział mi, że dobrze, że te moje nadprogramowe geny to są od kota, a nie od rysia, boby mi się pędzelki na uszach hełmem przygniotły!

– I co? Wybiłaś mu zęby? – spytała Sanja z entuzjazmem. Znała Majkę od lat i wiedziała, czego należy się po niej spodziewać.

– Nie. Umówiliśmy się. Za dwa tygodnie mam przepustkę.

– O... – Popović nigdy nie była elokwentna, ale teraz ją po prostu zatkało. Do tego stopnia, że aż otworzyła oczy i przyjrzała się przyjaciółce. Ta dodała tonem wyjaśnienia: – Niezły jest. Nawet nie ciacho, ale papryczka. Ciastka są słodkie, ale papryczki, rozumiesz, hot, hot. – Szymczyk zrobiła minę znawczyni. – Poza tym wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

– Fajnie – mruknęła Sanja bez przekonania.

„Papryczka. Dżizas faken krajst...”.

Nie pozostało jej nic innego, jak czym prędzej zasnąć.



Tomek Lewicki ziewnął głośno, przeciągnął się i usiadł. Jego wzrok padł prosto na śpiące dziewczyny. Uznał, że wyglądają ślicznie, zwinięte w jeden ciasny kłębuszek. Trzymały się za ręce, a Popović miała nos wtulony w kucyk Majki.

Lewicki zorientował się, że nie on jeden przygląda się Kotkom. Młody wolontariusz z litewskim nazwiskiem na identyfikatorze rzucił z porozumiewawczą miną: – To one są...

Tomek nie zrozumiał.

– Są co?

– No wiesz... – Jeszcze bardziej znaczący wyraz twarzy rozmówcy sprawił, że Lewicki wreszcie załapał.

– Chyba cię pogięło. – Postukał się w głowę.

„A Popović twierdzi, że to mnie się wszystko świńsko kojarzy”.

Tomkowi, wychowywanemu przez matkę i dwie starsze siostry, a przyjaźniącemu się głównie z Kotami, dobrych parę lat zajęło zrozumienie, że w relacjach z ludźmi opcją domyślną nie jest dotyk, tylko brak dotyku. Do tej pory zdarzało mu się o tym zapominać.

Dla niego było oczywiste, że dziewczyny, śpiąc na ziemi w publicznym miejscu, wolą czuć zapach znajomej, bliskiej osoby niż unoszącą się w obozie woń klęski żywiołowej – bólu, pośpiechu i lęku.



– Sanja, mogę cię prosić?... – Peter nie miał zwyczaju wznoszenia dramatycznych okrzyków i jeżeli miał coś do zakomunikowania, robił to spokojnie.

Nawet w drugiej godzinie przeszukiwania częściowo zawałonej kamienicy, kiedy wszyscy czekali tylko na takie wezwanie.

Popović zeskoczyła z wysokości pierwszego piętra, w miejscu, gdzie dawna podłoga jednego z mieszkań urywała się w pustce. Lądując, Kotka uważała, żeby się nie poślizgnąć na potrzaskanych panelach baterii słonecznych, które siła wstrząsów zrzuciła z dachu na chodnik.

Sanja spojrzała jeszcze w stronę wartowników, ale dostrzegła tylko Majkę siedzącą pod murem po ocienionej stronie ulicy. Steven zaszył się na jednym z wyższych pięter kamienicy zamykającej sektor poszukiwań i starał się nie rzucać w oczy. Niby mieli przygotowaną dość spójną historyjkę, co i dlaczego robią w tej dzielnicy, woleli jednak nie sprawdzać jej wiarygodności w kontaktach z żandarmerią. Próby dowiedzenia, że nie są szabrownikami, nie należałyby do przyjemności. Tym bardziej kontakt z prawdziwymi rabusiami. Wczoraj, wracając, musieli przedzierać się przez podejrzanie wyglądające ruiny, bo przy jednym z budynków pracowali mężczyźni z mocnymi reflektorami i dobrym sprzętem.

– Znalazłeś coś? – spytała Sanja, nurkując ostrożnie do rozpadliny między betonowymi płytami, w której siedział Rueckner. Chwilę później pochylił się nad nimi Lewicki.

– No i? – Tomek był bardziej niecierpliwy.

Peter bez słowa wskazał złamaną belkę, z której końca sterczały cienkie, paskudnie ostre drzazgi. Drewno było pokryte brunatnymi plamami i

strzępami cienkiego materiału. Białego w drobne, błękitne prążki.

– O szlag... – szepnęła Popović.

W zasadzie wystarczyło im lekkie pociągnięcie nosem, ale procedura – rzecz święta. Sanja wyjęła z kieszeni próbkę wzorcową. Potem sprawdzili po kolei, wszyscy troje. Tomek i Peter potwierdzili kiwnięciem głowy.

– No dobra. Czyli rzeczywiście tu był. I tyle. Nie wiemy nawet, czy przeżył.

– Masz coś od rezydentów?

– Od rezydenta. Udało mi się dodzwonić tylko do jednego, pozostała dwójka przepadła, nie odbierają. A ten od wtorku chodzi po mieście i nic, kamień w wodę. Ani w szpitalach, ani w kostnicach. Kazałam mu dalej sprawdzać.

– On szuka Charlesa Reade’a. Po nazwisku i numerze ubezpieczenia – wtrącił Peter. – Trzeba być w niezłej formie, żeby się wdawać w pogawędki, kiedy cię przywożą na izbę przyjęć.

Chłopcy byli właśnie w trakcie praktyk na oddziale ratunkowym jednego z warszawskich szpitali, więc Rueckner wiedział, co mówi.

– Poza tym – dodał Lewicki – pacjent musi chcieć podać dane. A to już nie jest takie oczywiste.

– Legenda mogła mu się z jakiegoś powodu posypać – zgodziła się Sanja.
– Zrobimy rajd po szpitalach, to jedyny trop.

Wyskoczyła z rozpadliny zwinnym susem, a jej miejsce zajął od razu Tomek. Patrząc z góry na kolegów, zobaczył na dnie zagłębienia, pod ich stopami, coś, co go zastanowiło. Wsunął rękę w wąską przestrzeń między kawałkami gruzu i starając się nie pokaleczyć o drut zbrojeniowy, wyciągnął stamtąd znaleźisko. Nieduży pistolet.

– Taaa... Do plecaka to – podsumowała Popović i wyszła na otwartą przestrzeń.

Zwróciła się najpierw w stronę jednego, potem drugiego wartownika i wezwała ich do siebie, poruszając kilkakrotnie otwartymi dłońmi w górę i w dół. Pora się stąd czym prędzej zwijać.



Rozdzielili się, żeby zyskać na czasie, a teraz spotkali się pod kliniką uniwersytecką. Do środka wszedł Rueckner, reszta czekała na parking. Słońce stało wysoko, więc pasek cienia rzucanego przez wielopiętrowy budynek był zaskakująco wąski.

Zanurzenie się w szpitalną atmosferę popsuło Kotom humory, ale starali się trzymać fason.

Popović jadła orzechowy batonik w czekoladzie. Za jej plecami zmaterializował się nagle Lewicki i zaczął bezczelnie żebrać, zaglądając dziewczynie przez ramię.

– Sanjeczkaaa... Dasz gryza?

– Yhm – odpowiedziała, podsuwając mu roztopiony od gorąca smakołyk.

– Czy ty mówisz ludzkim głosem tylko w Wigilię?

– Yhm! – zgodziła się radośnie.

Potem spojrzała na sreberko z batonikiem.

– Noż kuurwa... Prawie wszystko mi zeżarł!

– Miało być ludzkim głosem – mruknął obrażony Tomek i czym prędzej odsunął się poza zasięg jej rąk.

Drzwi urazowej izby przyjęć rozsunęły się i po schodach zbiegła Szymczyk, niosąc zdobytą w szpitalnym kiosku dwulitrową wodę mineralną. Kiedy mijiała zaparkowaną pod wiatą karetkę, dwaj palący papierosy

sanitariusze zagwizdali z zachwytem.

– *Hello, hello, beautiful lady!* – zawołał jeden z nich, boleśnie kalecząc angielską mowę.

– Widzisz, Popović – skomentował Lewicki z filozoficzną miną. – Blondynki zawsze w cenie. Ale nie martw się, tobie też znajdziemy jakiegoś adoratora.

Sanja puściła to mimo uszu, ale Maja dotarła do nich zła jak chrzan.

– *Fuck you* – syknęła, pokazując sanitariuszom środkowy palec; zareagowali wybuchem śmiechu. – Nawet spokojnie przejść ulicą nie można. Co za dzicz, cała ta turecko–arabska hołota...

– Maja!! – Sanję aż zmroziło. Zerknęła na Griffina, któremu Szymczyk zdążyła podać napoczętą wodę, kompletnie nie zdając sobie sprawy z tego, co właśnie powiedziała.

– Nie przejmuj się – rzucił Steven ze stoickim spokojem. – Nie czuję się urażony w imieniu mojego pradziadka. Poza tym on nie był Arabem, tylko Persem.

– Jeden diabeł – mruknęła Majka, wcielenie dyplomacji.

Sięgnęła za dekolt i wyjęła na koszulkę łańcuszek z dużym, srebrnym krzyżykiem. Nosiła go z neofickim zapalem od czasu, kiedy w gimnazjum postanowiła przyjąć chrzest i nawrócić się na katolicyzm; zdejmowała tylko na basenie, w czasie treningów walki wręcz i skoków spadochronowych.

– Ty, Lwie Serce, uważaj z tym krzyżem – drażnił się Griffin. – Jeszcze cię wezmą za zakonnicę.

– I bardzo dobrze! Może wtedy się odczepią!

Młodszy z sanitariuszy kiwał właśnie do Majki zapraszająco, a starszy śmiał się od ucha do ucha, widząc, że udało im się utrzymać jej zainteresowanie.

Poszła po rozum do głowy i zignorowała Turków kompletnie,

równocześnie rezygnując ze zrewanżowania się Stevenowi. Lwie Serce, tak, to jej się nawet podobało. Krzyże na płaszczach rycerzy kolejnych krucjat, szum husarskich skrzydeł pod Wiedniem – zdecydowanie klimaty Majki Szymczyk.



Zdążyli wypić prawie całą wodę, zanim wreszcie wrócił Peter. Od razu zorientowali się, że ma dobre wieści.

– Na neurologii leży facet ze złamaną ręką i częściową amnezją. Amerykanin albo Anglik! Normalnie zawiadomiliby konsulaty, ale teraz nikt nie ma do tego głowy.

– A ten rezydent co, pijany jakiś? – najeżyła się Sanja. – Powiedział mi, że tu był! Dwa razy! Niby szuka brata.

– Na urazówce młyn nie z tej ziemi, nie ma kto danych wklepać do systemu. Wzięli gościa na neurologię tak trochę na lewo, na słowo honoru.

– Może rezydent pytał tylko tutaj...

– Ja rozmawiałem z pielęgniarką, która akurat była przy tym, jak zabierali faceta. Po prostu go zapamiętała, w systemie nie ma po nim śladu.

– Ale tego naszego człowieka to trzeba będzie sprawdzić – skrzywiła się Sanja. – Na wszelki wypadek. A teraz co, może pójdziemy wszyscy? Myślisz, że nas pogonią?

Nie pogonili. Na oddziale neurologicznym panował mniejszy ruch niż na chirurgii, ale personel też nie mógł narzekać na brak zajęcia.

Pomachali parę razy identyfikatorami organizacji charytatywnej i Brytyjskiego Czerwonego Krzyża, uśmiechnęli się do odpowiednich osób i

nie minął kwadrans, a szli za pielęgniarką długim korytarzem i schodami prowadzącymi do sutereny.

– Pacjent potrzebuje spokoju – wyjaśniła im po drodze dziewczyna, a Sanja od razu zorientowała się, że coś w tym uzasadnieniu szwankuje. I na pewno nie chodziło o angielszczyznę, zaskakująco płynną. – Nie mamy teraz możliwości, żeby położyć go w zwykłej izolatce – ciągnęła pielęgniarka – więc... Proszę się nie zdziwić, to jest... zapasowa sala. No, właściwie magazynek. Ale chory może w ciszy dochodzić do siebie. W przypadkach takich jak ten zdarza się czasami, że amnezja sama ustępuje. Staramy się zapewnić najlepsze warunki...

– Czy on poprosił o izolatkę? – spytała Popović niezobowiązującym, konwersacyjnym tonem.

– No... Tak.

„Ha!”, pomyślała z satysfakcją Sanja, przyjmując przy tym uprzejmie obojętny wyraz twarzy. „Toś ty taki, ptaszku? Niby nie wiesz, jak się nazywasz, ale pamiętasz, że dopóki nie wyzdrowiejesz, bezpieczniej jest się schować przed całym światem?”.

Kiedy na końcu korytarza otworzyły się drzwi i za wychodzącą pielęgniarką popłynęła z wnętrza sali niesiona przeciągiem smuga powietrza, Koty tylko wymieniły spojrzenia.

„Yes!”, miała ochotę zawołać Popović.

Radosny Tomek puścił oko do mijającej ich drugiej pielęgniarki, lecz ku jego zdziwieniu i rozczarowaniu w ogóle tego nie zauważyła.

– Witam! – powiedziała prowadząca Koty dziewczyna, przekraczając próg. – Ma pan gości.

Pomieszczenie było niewielkie i chyba rzeczywiście użytkowane jako składzik. Porządne łóżko na kółkach, z białą pościelą, uchwytem do kroplówek i wygaszonym terminalem ogólnoszpitalnego systemu na tylnej

ścianie wydawało się tu trochę nie na miejscu.

Na łóżku leżał szczupły mężczyzna w piżamie. Lewą rękę miał w ochronnej piance, a na grzbiecie prawej dłoni – zielony, oklejony plastrem wenflon. Jego ciemne włosy były przystrzyżone w takim stylu, że Sanja w pierwszej chwili wręcz się zdziwiła, że nie zostały potraktowane żelazkiem. Puknęła się zaraz w głowę – przecież Reade nie ma w szpitalu dostępu do kosmetyków fryzjerskich.

Oczy tym razem piwne, twarz, o dziwo, gładko ogolona. Złoty sygnet na palcu zdrowej ręki, łańcuch na szyi – z tego samego metalu. Zegarek, przełożony na prawy nadgarstek, chyba drogi – tego Kotka nie umiała ocenić – a na pewno efekciarski aż do bólu zębów.

Na półkach zamocowanych pod materacem łóżka leżały złożone w kostkę jasne spodnie i marynarka, a obok stały buty. Z bajeranckim szpicem, wykonane z imitacji krokodylej skóry.

„Powiedz mi, że to tylko przebranie ze względu na misję”, jęknęła w duszy Popović.

Agent skinął głową wchodzącym i zwrócił się do pielęgniarki: – Masz może zakupy dla mnie?

– Tak.

Wręczyła mu przyniesione przedmioty – na wierzchu leżała fabrycznie zapakowana biała koszula, a schowane pod nią pudełka zawierały najwyraźniej bardziej osobiste części garderoby, bo dziewczyna bardzo starała się ukryć je przed Kotami.

– Poprosiłam brata, żeby to dla pana załatwił.

„Oj, biedactwo, ale ty ściemniasz”, pomyślała Sanja. „Nie kompromitowałabyś się przed bratem. O ile w ogóle go masz”.

Faktu posiadania brata Popović nie umiała zweryfikować – pielęgniarka była zbyt rozemocjonowana i ogólnie za dużo kłamała.

W każdym razie na pewno poszła sama po te zakupy; Adana to wielkie miasto, zresztą teraz konwenanse siłą rzeczy obowiązywały słabiej.

Reade szukał pieniędzy w kieszeni marynarki i zabrakło mu końcówki.

– Ja mam! – zaoferował Lewicki i ruszył w pogoń za dziewczyną, która wyszeptawszy jeszcze pod adresem Brytyjczyka: „Ależ nie trzeba”, uciekła na korytarz.

– Tomo, zostań – syknęła Sanja na tyle ostro, że Kota aż wryło w podłogę.

– Majka, możesz?

– Jasne! – Szymczyk skoczyła do drzwi.

Popović pomyślała, że ta pani może mieć opory przed przyjmowaniem od mężczyzny pieniędzy, nawet jeżeli miał to być zwrot kosztów, a nie napiwek... Sanja nie uważała za stosowne, żeby turecka pielęgniarzka miała z własnej skromnej pensji fundować agentowi MI6 drogą koszulę. O reszcie zakupów nie wspominając.



Załatwiwszy sprawę gotówki, Popović przeszła do tematu zasadniczego.

– Charles Reade, jak rozumiem? – spytała zimno, mierząc spojrzeniem domniemanego agenta.

Facet zdecydowanie nie wyglądał na umierającego. Najwyraźniej zajmował się głównie podrywaniem pielęgniarek. Sanja zaczynała się coraz poważniej zastanawiać nad rolą Kotów w tym całym cyrku.

– Reade?... Charles? – Mężczyzna zawahał się, umiejętnie imitując zdziwienie. – A kto pyta?

– Londyn, sir – odparł krótko Rueckner, podając Brytyjczykowi jego

nowy paszport.

Agent przyjrzał się bardzo uważnie dokumentowi, a potem powiódł wzrokiem po twarzach gości.

– Oni tam w centrali kompletnie oszaleli? Przysyłać mi w charakterze oddziału ratunkowego drużynę skautów?

Popović w przeciwieństwie do Majki zazwyczaj wiedziała, kiedy mówi coś niestosownego. I robiła to z pełną premedytacją.

– A po co w ogóle oddział ratunkowy? – wycedziła głosem ociekającym słodyczą, sztuczną jak słodzik do kawy. – Świetnie pan sobie radzi sam.

– No właśnie – zgodził się z Sanją, zbijając ją na chwilę z tropu.

Jednak ironia w głosie Reade'a podziałała na nią jak płachta na byka. Niech się dzieje, co chce.

– Ja może się nie znam, ale wydaje mi się, że pana obowiązkiem było poinformowanie centrali, że pan żyje, zanim zorganizowano misję poszukiwawczą.

„Że koleś przegina, to mało powiedziane! Za coś takiego mogą go zdegradować!”. Popović w pewnych kwestiach była niezwykle zasadnicza. Teraz naprawdę się wściekła i nie zwracała uwagi na fakt, że właśnie opieprza komandora.

– Sanjeczka znów mówi ludzkim głosem, Jezu drogi... – rzucił po polsku Lewicki i zasłonił twarz, parskając nerwowo.

Wszyscy byli spięci jak jasna cholera. Poza Reade'em, który sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– A kto mówi, że ja się nie zameldowałem przełożonym? Najpierw rzeczywiście nie mogłem, byłem skołowany, obolały i naćpany lekami przeciwbólowymi. Chyba ktoś się machnął i dostałem za dużą dawkę. Jak doszedłem do siebie, to zadzwoniłem gdzie trzeba.

Sanja wiedziała, że agent nie kłamie. Tylko w ostatnim zdaniu coś jej

zgrzytnęło, ale Reade, który jakimś cudem zarejestrował minimalne uniesienie jej brwi, dodał: – A dokładniej: zadzwoniłem, kiedy już byłem pewien, co chcę przekazać.

I to była prawda.

– Czyli – ciągnął – że wszystko w porządku i będę kontynuował misję.

Popović obejrzała się na pozostałe Koty. Ich miny wskazywały na jedno – owszem, mają problem, jednak wersja Anglika jest nie do podważenia.

– Ekhm – odchrząknęła. – A kiedy konkretnie pan zadzwonił?

– Wczoraj wieczorem.

– Czyli już tu byliśmy – stwierdził Griffin. – Sanja, pokaż mi swój telefon.

– Jest w porządku – ucięła. – Przecież kontaktowałam się z centralą, kiedy złapaliśmy trop.

– OK. – Skinął głową. – Swoją drogą, długo pan przytomniał...

– Musiałem ocenić sytuację. – Reade postanowił zignorować powątpiewanie w głosie Stevena. – Zdecydowałem, że dam radę. To zadanie kosztowało nas dużo czasu, energii i pieniędzy podatników. Dokończę je.

– Ale my mamy proste rozkazy, sir – odezwał się nagle Peter, stanowczo, choć z przepaszającym uśmiechem.

– Przede wszystkim: Charles – poprawił go Reade. – Przynajmniej dopóki jesteśmy po tej stronie unijnej granicy.

– Tak jest, Charles. – Służbistość Ruecknera nie wróżyła nic dobrego. – Dostaliśmy rozkaz, żeby dostarczyć pana do Londynu. Nie widzę tu dużego pola manewru.

– Hej! – wtrącił się nagle Tomek z dobrze odegranym zapałem. – Była też druga opcja. Tylko niestety – zwrócił się do agenta z bardzo poważną miną – musiałyby nam pan udostępnić swoje zwłoki do identyfikacji.

Uśmiech Reade'a był szeroki i sprawił, że lody nareszcie stopniały. Sanja pomyślała, że Lewicki miewa przebłyki.

– Daj mi telefon, Sanja – powiedział komandor. – Jestem tu najstarszy stopniem, więc jednak przyjmijmy, że to wy słuchacie mnie, a nie ja was. Zadzwoń do Londynu i wyjaśnimy sprawę w taki sposób, żebyście nie mieli przeze mnie kłopotów.

Rozwiązanie było bardzo logiczne. Popović sięgnęła po telefon i już miała go podać Charlesowi, kiedy aparat zadygotał na jej dłoni, włączając alarm wibracyjny.

Sprawdziła zaszyfrowaną wiadomość.

– Co jest?... – kompletnie zgłupiała. – „Reade żyje, szukajcie dalej. Jeżeli jest ranny, sprowadzić do kraju”.

– Jak to: szukajcie? – Maja Szymczyk po powrocie z pogoni za pielęgniarzką w milczeniu śledziła rozmowę, ale teraz nie wytrzymała. – Co to, kurwa, jakieś podchody?! Dlaczego po prostu nie napisali, żeby przyjść tutaj?

– No bo widzicie... – Reade zawahał się, a kąciaki ust drgały mu lekko. – Oni nie wiedzą, że jestem w szpitalu. Wtedy szefowa kazałaby mi wracać, a to naprawdę nie jest konieczne.

– Nie wiedzą? Jakim cudem? – Griffin spojrzał na Charlesa, jakby ten urwał się z choinki. – Nasze telefony automatycznie meldują się współrzędnymi geograficznymi, a jeżeli dzwonił pan albo pisał maila ze szpitalnej sieci, no to przecież...

– Mój telefon satelitarny jest uszkodzony. I oczywiście, że nie używałem publicznego kanału! Pewna miła osoba pożyczyła mi swoją prywatną komórkę... W tej dzielnicy działają, na dachu kliniki jest nadajnik.

„Pewna miła osoba, jasne...”. Sanja z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy.

– Ale dlaczego oni piszą nam o tym dopiero teraz? – zdziwił się Lewicki.

– Jak by to wam dyplomatycznie... – Agent nie mógł już powstrzymać

uśmiechu. – Na terenie Unii miałoby mnie w kilka minut. Ale to jest Turcja. W obcym, neutralnym kraju nie mogą sobie tak po prostu zażyczyć danych od prywatnego operatora. Widocznie jednak szefowa starała się uruchomić wszystkie swoje kontakty i mnie jakoś namierzyć. A wy w końcu i tak mieliście mnie szukać, no nie? Woleli wam podać pełną informację, więc odezwali się dopiero, kiedy już widzieli, że nie ma na to szans.

„A niech cię diabli wezmą, Reade! Tracę do ciebie cierpliwość!”, Sanja aż prychnęła. „Jak dobrze, że to nie ja jestem twoim dowódcą”.

– Powiem, że wrócicie najbliższym planowanym dla was samolotem, a ja...

– Chyba nie. – Peter pokręcił głową. – Pan jest ranny i my się panu przydamy. Tak łatwo się nas pan nie pozbędzie. W końcu – spieszył się trochę własnym żartem – nas jest pięcioro, mamy przewagę liczebną...

– Oj, nie byłbym taki pewny siebie na twoim miejscu – w tonie Charlesa znów zabrzmiała ironia. – Umiem się obronić przed kilkoma przeciwnikami.

– Ale chyba nie przed nami – Rueckner urwał, widząc, że zagalopował się w dowcipkowaniu.

Oczy Reade’a zwęziły się nagle. Spoważniał. Ewidentnie zaczął kojarzyć fakty.

– Jesteście silniejsi, tak? Genetycznie poprawieni? Teraz rozumiem, dlaczego tacy młodzi... Chociaż na pewno znaleźliby też kogoś dorosłego.

Jawnie zachnął się tylko Lewicki, Szymczyk kopnęła go w kostkę. Kwestia wieku nie była teraz kluczowa.

– „Genetycznie poprawieni”... Ciekawe sformułowanie – odpowiedziała powoli Sanja. – Chyba wiem, co pan ma na myśli.

Owszem, istnieli „dorośli”, nawet dużo starsi od Kotów, z drobnymi modyfikacjami zwiększającymi siłę mięśni. Efekt trwających od bardzo dawna badań nad leczeniem chorób genetycznych oraz presji lobby sportów

wyczynowych. I armii oczywiście.

– No więc – ciągnęła Popović – nie do końca o to chodzi. Silniejsi, nie.

– O jasna cholera... – Skojarzenia Charlesa biegły zaskakująco trafnym torem. – Rocznik czterdzieści ileś, tak? Wszystko pasuje... Jesteście tymi transgenicznymi dziećmi? Czarne Koty?

Sanja w pierwszej chwili przeraziła się, ale uświadomiła sobie, że ona nie powiedziała nawet o pół słowa za dużo. Reade po prostu musiał wiedzieć.

Kotom wolno było mówić o swoich zmanipulowanych genach nawet przypadkowym osobom; większą kurczliwość mięśni trudno ukryć, zwłaszcza dzieciom. Jednak i tak nikt nie skojarzyłby ich z plotkami na temat międzygatunkowych mutacji wpływających na działanie układu nerwowego. To właśnie stanowiło istotę tajemnicy – transgeniczność i skutki neurologiczne; oba aspekty delikatne, lecz dla wielu fascynujące.

Niestworzone historie, podsycane wręcz przez odpowiednie służby, zataczały szerokie kręgi, lecz funkcjonowały na zasadzie miejskiej legendy. Unijna armia ze swoją cudowną bronią stoi na straży zachodniej cywilizacji, bojownicy dżihadu mają się czego bać – i takie tam bzdury.

– Czarne Koty. – Sanja skinęła w potwierdzeniu. – Proszę to wziąć pod uwagę, Charles. My naprawdę możemy się panu przydać.

– I szefowa was tu po mnie przysłała? Rany boskie...

Reade jeszcze przez moment dochodził do siebie, lecz szybko wrócił mu zwykły sposób bycia.

– Moje drogie panie, czy mógłbym prosić, żebyście zostawiły mnie na chwilę samego? – Pytaniu towarzyszył niedbały gest, sugerujący, że agent chce się przebrać, i prowokujący, złośliwy uśmiezek.

– Oczywiście – wykrztusiła Sanja.

Ostatnie lata spędziła w koedukacyjnych wojskowych akademikach i na poligonach, ale w spojrzeniu Reade'a było coś, co sprawiło, że poczuła

zdradliwe ciepło na policzkach.

Wychodząc, usłyszała głos Ruecknera.

– A może my z kolegą zostaniemy i pomożemy panu?

Propozycja została przyjęta z wdzięcznością.



Zanim Charles wyszedł na korytarz, taśmy mocujące jego temblak zostały porządnie skrócone i spięte klamrami; znać tu było fachową rękę Petera.

Marynarka – z prawej strony założona normalnie, z lewej tylko zarzucona na ramię – trzymała się podejrzenie dobrze, nie spadając ani nie powiewając, kiedy Anglik gwałtowniej się poruszył. Obciągał ją ciężar wewnętrznej kieszeni.

– Oddałeś Charlesowi jego zgubę – raczej stwierdziła, niż spytała Sanja, zwracając się do Lewickiego.

– Ja niczego nie zgubiłem – obruszył się Reade. – Zanim mnie wyciągnęli, pozbyłem się źródła potencjalnych kłopotów.

Agent ewidentnie nie poczuwał się do odciążenia deficytu budżetowego Republiki Turcji, bo ze szpitala wymknęli się – *nomen omen* – po angielsku, nie kłopotząc się zostawianiem numeru polisy czy innymi biurokratycznymi formalnościami.

Zatrzymali się na zaśmieconym skwerze. Reade pożyczył telefon od Sanji, rozłożył klawiaturę, przelogował się na swoje hasła i zaczął pisać meldunek. Jedną ręką fatalnie mu to szło, więc niechętnie zdecydował się na rozmowę. Perspektywa bezpośredniej konfrontacji z szefową wcale go nie cieszyła, co nie umknęło uwadze Sanji. Tak jak i fakt, że przed nawiązaniem kodowanego

połączenia Charles oddalił się na przeciwny kraniec skweru. Musiał mieć niejakie pojęcie o Kocim słuchu.

Rzeczywiście, nie dotarło do nich ani jedno słowo, lecz wystarczyło przyjrzeć się postawie Anglika, jego oszczędnym, jakby urywanym gestom, a później wyrazowi twarzy, gdy wracał zakurzoną i rozgrzaną od słońca alejką, żeby się zorientować, że absolutnie nie jest zadowolony z rozkazów.

– Zostajecie – powiedział, starając się, żeby wypadło to możliwie neutralnie. Dla Kotów oczywiście nie było neutralne w najmniejszym stopniu.



– Dziś wieczorem mam spotkanie biznesowe – poinformował Koty Reade, kiedy czekali na taksówkę. Ocalała część Adany powoli wracała do normalnego życia, funkcjonował ruch uliczny, choć dyspozytorka uprzedziła ich, że przebiecie się przez miasto zajmie prawie godzinę.

– Oczywiście może się okazać, że spotkanie jest nieaktualne. Nie jestem ze swoim... kontrahentem w takich układach, żeby teraz do niego wydzwaniać i o cokolwiek pytać. Po prostu się tam stawię. Pochylili się nad wyświetlaczem telefonu, analizując powiększony fragment planu miasta.

– Któraś z was może ze mną pójść. Jeżeli to, co o was słyszałem, jest mniej więcej zgodne z prawdą.

– Dlaczego „któraś”? – zaperzył się Lewicki.

– A niby jako kto miałbyś występować? – skrzywił się agent. – Syna w twoim wieku raczej nie zdołałbym się dorobić. A osobiste preferencje Charlesa Reade’a, brytyjskiego człowieka interesu, są równie jednoznacznie

określone jak moje.

Lewicki się speszył. Rzadki widok.

„Dwa do zera dla pana komandora”, pomyślała Sanja. „A właściwie trzy, jeżeli dołożyć permanentne onieśmienie Ruecknera”.

Powoli zaczynało ją to wkurzać.

– Ja pójdę – powiedziała na głos.

– OK. – Reade nie skomentował decyzji Kotki. – Podskoczmy jeszcze tylko do którejś galerii kupić ci coś do ubrania.

– Nie trzeba, mam w plecaku zwykłą czarną koszulkę. – Zdawała sobie przecież sprawę, że nie zawsze będzie korzystne świecić ludziom w oczy jaskrawym pomarańczem ich strojów.

– Nie obraż się, moja droga, nie mam zwyczaju pokazywać się z kobietami, które noszą „zwykłe czarne koszulki”. I stare adidas.

„Nie są stare! Mają tylko dwa lata!”, chciała zaprotestować Sanja, ale ugryzła się w język. Powstrzymała się resztką woli, żeby nie prychnąć, pokazując zęby.

Na szczęście od zjazdu z przelotowej trasy sunęły już ku nim dwie taksówki, szykując się do parkowania koło gazonu obsadzonego wysuszonym, smętnym wspomnieniem po różach.



Jechali zakorkowanymi ulicami wśród drapaczy chmur. Można by na chwilę zapomnieć o rozciągającym się tak niedaleko obszarze nieszczęścia, ale wystarczyło, że znaleźli się na nowo otwartym moście wiszącym nad rzeką Seyhan, i skutki kataklizmu znów stały się widoczne. Stojący nad wodą

ogromny meczet stracił pięć minaretów – niektóre zawały się w całości, inne przełamały w połowie jak drzewa. Ostatnia, szósta wieża przetrwała – wznosiła się nad gruzami, biała i dumna.

Galeria handlowa, którą wybrał Reade, znajdowała się po przeciwnej stronie rzeki, w sąsiedztwie blisko stupiętrowego Hiltona. Jej dolne kondygnacje zajmowały hipermarkety spożywczo–przemysłowe, gdzie panował teraz gorączkowy, chaotyczny ruch.

Jadąc przeszkloną windą, Sanja mimochodem zajrzała do wnętrza sklepu ze sprzętem elektronicznym. Nieliczni klienci, ubrani w garnitury i trzymający w dłoniach jednorazowe kubki z kawą, oglądali serwis informacyjny – zwielokrotniony na całą oklejoną monitorami ścianę obraz gruzów i akcji ratunkowej.

Najwyższe piętro, oaza kosztownego luksusu dostępna tylko dla szczęśliwych posiadaczy kart klienta, powitało wchodzących agentów ciszą. Z wyłączonych głośników nie sączyła się wysmakowana klasyka, a obsadzone naturalną roślinnością alejki między butikami świeciły pustką.

Reade prowadził. Z zadziwiającą znajomością terenu omijał te sklepy, przy których drzwiach personel grzecznie zatrzymywał mężczyzn, wpuszczając tylko klientki, zazwyczaj szczelnie owinięte chustami.

Kiedy Anglik wreszcie się zdecydował i przekraczali próg przybytku oznaczonego marką, którą nawet Sanja umiała rozpoznać, Kotka odwróciła się do chłopaków i warknęła Lewickiemu prosto w twarz: – A wy dokąd? Znajdźcie sobie jakieś zajęcie!

Griffin z Tomkiem w zgodnej, rechoczącej komitywie zgarnęli Petera i ruszyli na spacer, a Sanja rzuciła Majce spojrzenie, które było jednym wielkim S.O.S.

Od początku przeczuwała kłopoty. Osobisty gust Reade’a różnił się znacząco od gustu, który komandor w swoim obecnym wcieleniu powinien

mieć, więc nawet on sam nie do końca wiedział, czego chce. A Popović, no cóż, miała w kwestiach odzieżowych ustalone poglądy. Spódnica nie, sukienka nie, takie kolory nie, a odkryte ramiona – o, zdecydowanie nie.

Przez chwilę zanosilo się na to, że Reade z Sanją odstawią na samym środku czwartego ze sklepów popisową szeptaną scenę, a ekspedientki już zerkały ciekawie, zastanawiając się, kim dla przystojnego Anglika jest ta druga dziewczyna.

Jednak szybka akcja Majki pozwoliła oddziałowi zachować resztki profesjonalizmu. Jasnowłosa Kotka wcisnęła przyjaciółce do ręki wieszak i chwilę później Sanja stała w przymierzalni ubrana w lniany komplet w naturalnym kolorze – wygodne, nie krępujące ruchów spodnie oraz bluzkę z rękawami do łokcia. Do tego błyskawicznie udało się dobrać brązowe sportowe sandały i rzecz jasna torebkę. Zamiast chlebaka.

Sanja z lekką paniką przyjrzała się jeszcze tylko swoim włosom, zaczesując je w wysoki koński ogon. Rano nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby je myć, miała ważniejsze problemy, ale teraz żałowała.

Już dawno zdążyła sobie wbić do głowy, że ludzie stosują jakieś inne niż ona kryteria czystości. Generałowa Popović należała do bardzo nieekologicznych pedantek, których dbałość o higienę graniczy z obsesją, więc wielokrotnie komentowała niewystarczającą jej zdaniem schludność córki.

Tymczasem Sanja z dużo mniejszym wstrętem zniosłaby zapach tygodniowego potu niż osoby w zakaźnej fazie grypy.

W efekcie biedna Kotka, przekonana, że ludziom po prostu śmierdzi, nauczyła się na pamięć, jak często należy się myć i zmieniać ubrania, żeby postępować w sposób społecznie akceptowalny. Włosy występowały w grafiku co drugi dzień. A najlepiej codziennie. Czyli było źle.

Nie mogła jednak nic na to poradzić. Efekt wizualny wydawał jej się zbyt

dobry, żeby odstawiać cyrk z myciem głowy nad umywalką w toalecie. Na myśl o odwiedzeniu w tym celu fryzjera aż się wzdrygnęła.

„Trudno, najwyżej komandor Reade poinformuje mnie za chwilę, że oprócz starych adidasów mam brudne włosy. Taki już widać mój niepowtarzalny styl”, stwierdziła i wyszła z przymierzalni.

Charles mruknął coś pod nosem i wręczył jej kartę. Za to mina Tomka, który dziwnym trafem kręcił się akurat w pobliżu, wynagrodziła Sanji szarpaninę z wieszakami i fochy Anglika.

– Zamknij buzię, Lewicki. Nieładnie tak się na kogoś gapić – powiedziała, mijając go pozornie niedbałym krokiem.



Kiedy Sanja wróciła od kasy, zastała widok, który od razu przywrócił ją do rzeczywistości. Anglik siedział na jednej z rozstawionych między sklepami kanap, był paskudnie blady, miał napiętą, spoconą twarz i pachniał bólem.

„Szlag by to trafił”. Zajęta głupotami nie zwracała wcześniej uwagi na niepokojące sygnały, a Charles rzecz jasna udawał, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Szef trochę nam tu próbował zemdleć. – Griffin mówił po polsku, ale na wszelki wypadek cicho, unikając też wypowiedzenia na głos nazwiska.

Rueckner wyciągnął z plecaka fiolkę pełną białych kapsulek i butelkę z napojem elektrolitowym, sądząc po etykiecie – przywiezioną jeszcze z Londynu.

– Ty nosisz takie rzeczy przy sobie? – spytał Lewicki z bezbrzeżnym

zdziwieniem.

– Taa – mruknął Peter, wręczając Reade’owi pojedynczą dawkę lekarstwa.
– Noszę też igłę, nici, agrałki oraz puderniczkę i różowy błyszczak do ust, na wszelki wypadek – dodał, uprzedzając komentarz Tomka.

Charles popił kapsułkę, posiedział chwilę i rzucił przesadnie różnym tonem: – Jeszcze za wcześnie, by mnie opłakiwać. Chodźmy na obiad, a przy okazji zaaplikuję sobie whisky z wodą sodową i od razu będę jak nowo narodzony.

– O, nie! – powiedział Peter tak ostro i zdecydowanie, że wszyscy na niego spojrzeli. – Syntetycznych opiatów nie można łączyć z alkoholem, nie będzie pan pił żadnej whisky! Sir... – dodał już mniej pewnie, ale Reade skulił się pod jego spojrzeniem, stracił rezon i tylko skinął głową.

– OK, OK, żadnej whisky.

– No proszę – stwierdziła z satysfakcją Majka. – Jak chcesz, to umiesz.

– Co umiem?... – spłoszył się Rueckner.

– Bo widzisz, Lwie Serce – wyjaśnił Griffin, ignorując kolegę – Peter nie cierpi kłamać. Więc mu to nie wychodzi. Ale tym razem był po prostu głęboko przekonany, że ma rację.

– Rację w jakiej kwestii? – zainteresował się Anglik.

– Nieważne – ucięła Sanja. – Charles ma rację, idziemy na obiad. Widziałam tam na dole fajne knajpy, mają jakieś frytki, hamburgery...

– Nie ma mowy! – w oczach Reade’a zapłonął ogień świętego oburzenia.
– Nie będę jadł takich rzeczy. Nie po szpitalnej kuchni.

Wstał i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku wykwintnej restauracji.



Usytuowany tuż przy windach lokal wyglądałby na nieczynny, gdyby nie jeden jedyny stolik zajęty przez ekipę dalekowschodniej stacji telewizyjnej. Pośród bezkresu białych obrusów, zastawionych migoczącym w świetle świec szkłem, siedzieli prezenter, operator kamery i technicy, bez skrępowania obstawiając się ciężkimi futerałami ze sprzętem.

Agenci wybrali stolik po przeciwnej stronie sali. Koty poddały się dyktaturze Reade'a, który z uporem godnym lepszej sprawy postanowił zaznajomić ich ze specjałami lokalnej kuchni.

Popović, zazwyczaj pierwsza do próbowania smakołyków, tym razem jadła swój – jak zapewniał Charles, jedyny w swoim rodzaju – „Adana kebab” dość mechanicznie. Grillowane mięso i mnóstwo jarzyn, pięknie ułożone na wielkim talerzu, wzbudziłyby w innej sytuacji żywiołowy entuzjizm Sanji, ale zachowanie Anglika psuło jej apetyt.

W miarę jak lekarstwo przeciwbólowe zaczynało działać, Reade stawał się z pozoru coraz bardziej rozluźniony, opowiadał anegdoty z dziedziny kulinarno-turystycznej i starał się zatrzeć niemiłe wrażenie z poprzednich rozmów.

Jednak Koty doskonale zdawały sobie sprawę z dręczących go wątpliwości. Facet coś rozważał, kalkulował, a towarzyska paplanina miała tylko maskować jego niepokój.

– OK – powiedziała w końcu Popović znad kawy. – Dziękujemy za pyszny obiad, teraz może przejdźmy do konkretów? Musimy w końcu orientować się w sytuacji.

– Nie musicie – uciał Reade tak ostro, że Sanję po prostu zatkało. – Dasz mi znać, gdybyś zauważyła coś podejrzanego. I tyle.

– Czego podejrzanego konkretnie się spodziewamy?

Charles przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar im coś wytłumaczyć, lecz nagle zrezygnował z tworzenia pozorów przyjaznej atmosfery.

– Słuchaj, skautko. Widzisz, co tu się dzieje. Wprowadzanie nowych osób zawsze jest ryzykiem, a już na pewno w tak niepewnych warunkach. I to jest w tej chwili główny problem: twoja obecność może być fatalnie odebrana. Powiem, że jesteś w szoku po trzęsieniu ziemi i bałaś się zostać sama.

– Postaram się wyglądać wystarczająco bezradnie. – Kotce wcale nie było do śmiechu i powiedziała to całkowicie poważnie.



– To za długo trwa. Chłopaki, idźcie go sprawdzić – stali pod drzwiami toalety i Majka Szymczyk pierwsza straciła cierpliwość. – On tam albo umarł, albo zwiął.

– Zwiął? Przed nami? – Griffin popukał się w głowę. – Nie pomyliło ci się coś czasem?

– Zresztą niby jak, przez ścianę przeniknął? – wzruszył ramionami Lewicki.

– Maja, Charles ma jedną rękę kompletnie niesprawną. – Rueckner wdał się w wyjaśnienia. – Myśmy go z Tomkiem praktycznie ubrali, teraz sobie radzi sam. Daj facetowi trochę świętego spokoju.

Ale Popović uznała, że Maja ma rację.

– Peter, idź do niego. Nie wyglądał najlepiej, później będzie, że tak gościa chroniliśmy, aż zemdłał i rozbił sobie głowę o muszlę. Już słyszę, co powie Mykicioniuk...

Uśmiezek na ustach Ruecknera zgasł jak zdmuchnięty, kiedy Kot otworzył drzwi.

– Kurwa mać...

Peter kłął rzadko i wyłącznie w sytuacjach do tego adekwatnych.

Sanja momentalnie znalazła się przy nim i od razu zrozumiała, o co chodzi. Zamiast spodziewanego rzędu lśniących umywalek, luster i idealnie czystych kafelków, zobaczyła ciasny korytarzyk, a w nim z jednej strony, owszem, wejście do toalety, ale z drugiej – kolejne drzwi. Oznaczone symbolem drogi ewakuacyjnej.

„Niee... Powinnam była rzucić okiem, zanim tu wszedł!”.

– Rueckner, jednak sprawdź łazienkę. Pozostali do najbliższych wyjść z budynku. Spróbujemy go okrążyć.

Już wybiegali, kiedy Popović odwróciła się jeszcze.

– Lewicki? Ty idź na parking.

Wizja Reade’a, który nie mogąc prowadzić, terroryzuje bronią przypadkowego kierowcę, wydawała się Sanji co prawda kompletnie pijana, ale jakby odrobinę mniej niż jeszcze przed pięcioma minutami.

Dziewczyna popchnęła drzwi oznaczone odblaskowym symbolem uciekającego człowieka, uświadamiając sobie, że poprzednie, te eleganckie, prowadzące prosto ze sklepowych alejek, w ogóle tego znaku nie miały.

„Turecki porządek!”, podsumowała i zaraz skarciła się, że zaczyna myśleć jak Majka.

Klatka schodowa była ciasna, pozbawiona okien i bardzo klaustrofobiczna. Kotka przeskakiwała po kilka stopni na raz, ale nie starczało miejsca, żeby się dobrze rozpędzić.

Pokonała w ten sposób kilka kondygnacji i gdy tylko natrafiła na boczne drzwi, otworzyła je, modląc się, żeby nie spowodowało to automatycznie uruchomienia alarmu. Miała szczęście, bo nic się nie stało.

Znalazła się na zewnętrznych ażurowych schodach, wykonanych z metalu; jakieś pięć pięter nad zalanym słońcem, rozciągającym się na całą długość budynku tarasem widokowym. Daleko w dole błyszczała rzeka. Nad

majaczącymi na horyzoncie górami wisały ciężkie, bure chmury, a podmuchy gorącego wiatru szarpały Kotce włosy. Po wyjściu z klimatyzowanego wnętrza różnica temperatur wbijała w ziemię.

Sanja zarejestrowała to jednak tylko skrajem świadomości. Jej wzrok przykuła sylwetka mężczyzny w jasnym garniturze, idącego szybkim, nierównym krokiem. Prawie zdążył dotrzeć do zejścia na niższy poziom tarasu.

Popović zaczęła schodzić po zewnętrznej stronie rusztowania, zwinnie jak małpka. Tak było szybciej. Z połowy wysokości zeskoczyła. Sandały teoretycznie wyglądały na sportowe, ale lądując Sanja o mały włos nie skręciła sobie kostki. Zakląła szpetnie po chorwacku i puściła się biegiem.

W tym momencie po przeciwnej stronie tarasu pojawiły się pomarańczowe punkty – to Majka i Steven prawie równocześnie wypadli na otwartą przestrzeń z dwóch różnych wyjść ewakuacyjnych.

Reade zwolnił, spojrzął za siebie i po chwili stanął.

Podchodząc Sanja widziała, jak Charles wyciera dłonią spocone czoło. Ona też czuła, że bluzka zaczyna jej się kleić do pleców, a włosy na karku robią się wilgotne. Biała posadzka tarasu oślepiała, odbijając popołudniowe słońce.

Popović zatrzymała się tuż przy agencji, może nawet o krok za blisko, zbyt agresywnie. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. To ona pierwsza odwróciła wzrok.

Zacisnęła zęby tak mocno, że aż zaboląło, ale przynajmniej udało jej się zapanować nad wyrazem twarzy.

– Peter – wycedziła do nadchodzącego od strony schodów przeciwpożarowych Kota – daj panu komandorowi coś do picia. Zanim zrobi mu się słabo.



– Ja mam złamaną rękę, pół miasta zrujnowane i jeszcze do pełni szczęścia wy! – stwierdził Reade, kiedy już schowali się z powrotem w chłodnej galerii handlowej.

Szli w kierunku ruchomych schodów. Anglik popijał napój elektrolitowy, a młodzi podawali sobie wielką butlę z colą.

– *Dame* Rachel oceniła – ciągnął Charles – że to taka spokojna, półcywilna misja, akurat na wdrożenie Kotków. Tylko, że ja na swoją pozycję w Adanie pracowałem równe półtora roku i ostatnie, czego mi trzeba, to żeby niedoświadczone dzieciaki teraz coś zepsuły!

– Na razie radzimy sobie chyba całkiem dobrze – nie mogła się powstrzymać Sanja.

– To są niebezpieczni ludzie. – Reade kompletnie Kotkę zignorował. – Trzeba z nimi grać delikatnie. Bądźcie łaskawi słuchać rozkazów i nie przeszkadzać za bardzo, zrozumiano?

– Tak jest, sir – odpowiedział Steven, z idealnie podpatrzoną u Reade’a ironią.



Zmierzch zapadł szybko, bez olśniewającej gry kolorów zachodzącego słońca.

Siedzieli przy samej balustradzie, dwa piętra nad ulicą, szeroką, ale

zamkniętą dla ruchu innego niż samochody dostawcze.

Młodzi i jasnowłosi, pewnie para studentów z Północy na spontanicznym wypadzie, zepsutym przez trzęsienie ziemi. Sącząc drinki, patrzyli na resztki nocnego życia jednej z najbardziej romantycznych dzielnic Adany, na palmy w kształcie ananasów, markizy nad balkonami, klekoczące żaluzje w oknach. Zastanawiali się, czy wypada się bawić, czy może trzeba koczować na lotnisku i w hysterii czekać na najbliższy samolot do domu. Ale widać uznali, że miastu należy się każde euro od tych turystów, którzy nie uciekną.

Do podobnych wniosków musieli też dojść dwaj chłopcy, Europejczyk i chyba miejscowy, rozmawiający w ogródku przy samych drzwiach lokalu po przeciwnej stronie uliczki.

A wewnątrz kawiarni, przy otwartym oknie, siedzieli w kręgu światła facet o wyglądzie wymuskanego cwaniaczka, jego ruda dziewczyna i barczysty Turek w niemodnej marynarce.



Kontrahent Reade'a kłamał. Łgał z taką wprawą, że słuchającej go Sanji aż przeszedł po plecach lodowaty dreszcz. Bo w tym człowieku było coś złego. Nieprzyjemny, niesprecyzowany sygnał zagrożenia, od którego włoski na przedramionach zaczynały się jeżyć.

Popović odstawiła szklankę z sokiem i w umówionym geście zabębniła palcami o blat kawiarnianego stolika. Reade spojrzał na nią z niedowierzaniem, a ona dalej wystukiwała nerwowy rytm.

Nie rozumiała z rozmowy ani słowa, ale była pewna – ten człowiek nie mówił prawdy. Co więcej, miał wrogie zamiary. Zasłoniła usta i udała, że

tłumi ziewnięcie. Było już bardzo późno, wolno jej było okazywać zmęczenie, zwłaszcza po wydarzeniach ostatnich dni.

Charles nadal nie mógł uwierzyć. Choć chyba złe zamiary kontrahenta zdziwiły go mniej niż fakt, że akurat w tym momencie rozmowy padło kłamstwo. A raczej długa i zgrabna, całkowicie fałszywa opowieść.

Siedzieli w bocznej salce lokalu, w tej chwili pustej, o co pewnie zadbał organizujący spotkanie Turek. Wielkie, otwarte na oścież okno wpuszczało do pomieszczenia podmuchy upalnego wiatru i gwar uliczki.

To, że Turek ma broń, Sanja wiedziała od początku. Zorientowała się błyskawicznie, po samym tylko jego sposobie poruszania się. Na informację o pistolecie nie mieli z Charlesem umówionego sygnału, widocznie w tym fachu mężczyźni zawsze chodzą uzbrojeni.

Sanja snuła różne przypuszczenia, włącznie z wizją przerzutu ludzi przez granicę z Kalifatem. Teraz jednak nie miała już wątpliwości, że interesy, które MI6 prowadziło w Adanie, nie były polityczne. Witając się, podała Turkowi rękę. Na jej zdecydowany uścisk odpowiedział niemiłym, słabym gestem zimnej, spoconej dłoni. Popović prawie się wzdrygnęła. Kiedy usiedli, podniosła palce do nosa, udając, że musi potrzebować swędzącą górną wargę.

Pot Turka pachniał jednym z najpopularniejszych w Unii narkotyków. Tylko ten na rękach. Handel, transport, kontrola towaru, ale żeby brać samemu – nie ma mowy. Taki głupi to on nie jest.

Ciekawość Kotki w zasadzie została zaspokojona. Rozpracowują kanał przemytniczy z Azji do Unii. Dlaczego? To już nie jej kompetencje. Może *dame* Rachel uznała, że skala zjawiska staje się niebezpieczna? A może pieniądze z handlu narkotykami szły na inny, jeszcze bardziej niebezpieczny cel?

Na razie mieli tu gościa, który albo chciał Reade'a po prostu oszukać na

pieniądze, albo zwabić w pułapkę. Palce Sanji znów zabębniły o blat. Poirytowany Turek rzucił jej karcące spojrzenie. Wydęła usta w nadąsanej minie niemądrej laleczki, znudzonej, kiedy mężczyźni zamiast zajmować się nią, rozmawiają o interesach. Nabrał się – posłał jej pobłażliwy uśmiech, bardzo macho.

Wiszące w oknie dzwonki powietrzne zagrały dość głośno, mimo że wiatr zdawał się słabnąć. Miły dźwięk tym razem zamiast kojąco, zabrzmiał dla Sanji jak pobudka. Kotka czuła narastający niepokój, którego przyczyny nie rozumiała. Gangster stanowił zagrożenie, ale nie bezpośrednie. Nic nie wskazywało na to, żeby miał nagle zacząć do nich strzelać.

Popović nasłuchiwała przez chwilę odgłosów dobiegających z głębi budynku. Zwykle, rozkręcające się dopiero o tej porze życie kawiarniane.

Patrząc nad ramieniem Turka, poszukała wzrokiem Petera i Majki, siedzących na tarasie kamienicy naprzeciwko. Lewickiego i Stevena nie mogła stąd widzieć, lecz na pewno też trwali na posterunku.

Przyszli tu wszyscy kilka godzin temu, jeszcze za dnia. Sprawdzili całą okolicę, znaleźli najlepsze punkty obserwacyjne. Teren był czysty; pełna kultura negocjacji na neutralnym gruncie.

Jednak Kotce coś się bardzo nie podobało. Znowu poczuła, jak jeżą jej się włoski na całym ciele. Dzwonki powietrzne zaklekotały lekko. A Sanja usłyszała niski, dziwny pogłos.

Odruchowo potrzaskała głową i podniosła ręce do uszu, żeby spróbować je odetkać; pewnie lot samolotem jej zaszkodził. Zamarła w pół ruchu, czując na sobie spojrzenie Reade'a. Czym prędzej położyła dłonie z powrotem na kolanach, posyłając mu uspokajający uśmiech. Myślał, że Sanja chce poprawić koński ogon – jednoznaczny, trudny do wykonania przypadkiem gest oznaczający zagrożenie atakiem.

Zupełnie w tej chwili nieadekwatny.

„Chryste, omamy słuchowe”, przeraziła się. Dochodziła północ, spali bardzo krótko, przed południem. Powinno wystarczyć, ale Sanja nie miała czystego sumienia. Kilka nocy przed akcją, pozarywanych na wkuwanie do egzaminu z kryptologii, teraz mogło się paskudnie zemścić.

Pomruk, bardzo niski, na granicy percepcji, jak dudniące w głowie, tętniące w uszach sygnały nadchodzących majaków – wtedy, w izolatkach wojskowej kliniki, w upiornej ciszy, kiedy próbowano ich w najbardziej efektywny sposób doprowadzić na parę chwil do obłądu. Oczywiście, żeby później wiedzieć, jak tego unikać.

Tym razem było... straszniej. I wcale nie dlatego, że wszystko działo się nie w znanym jak drugi dom szpitalu, pod opieką najbardziej zaufanej osoby – profesora psychiatrii, naukowego szefa projektu, tylko w obcym kraju, podczas akcji przeciw handlarzom narkotyków.

Po prostu było inaczej, coś napawało ją czystym, zwijającym żołądek w supeł strachem. Sanja próbowała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w ustach. Była jak sparaliżowana, nie mogła nawet sięgnąć po szklanę z sokiem. Miała wrażenie, że jeżeli pozwoli sobie na choćby najdrobniejszy ruch, zrujnuje utrzymywaną resztką woli fasadę normalnego zachowania i rzuci się do ucieczki.

Reade i gangster rozmawiali jakby nigdy nic, nie zwracając na dziewczynę uwagi i utwierdzając ją w przerażającym uczuciu, że to z nią jest coś nie tak, że to ona pogrąży się w nagłym szaleństwie.

Wbiła wzrok w dzwonki powietrzne, czekając na omamy, zwidy, na to, co miało przyjść, o wiele straszniejsze niż w czasie eksperymentów. Huk w uszach narastał, zagłuszając prawie rozmowę mężczyzn. Nie tętniący jak puls, tylko przerażający się w koszmarne niski, głęboki, rozsadzający głowę zgrzyt.

„UCIEKAJ! UCIEKAJ!!”, zawył instynkt, choć Sanji nadal udawało się

nad nim panować. Paznokcie jej splecionych dłoni wbijały się w skórę prawie do krwi.

I wtedy zobaczyła, jak nad balustradą tarasu naprzeciwko przefruwa pięknym, nienaturalnie lekkim susem dwoje ludzi. Wylądowali miękko dwa pietra niżej, przetaczając się po chodniku i budząc popłoch przechodniów. Jednak byli jeszcze w powietrzu, kiedy Popović zrozumiała.

– Charles, uciekaj! – wrzasnęła i wyskoczyła przez otwarte okno na ulicę.

Powinna przede wszystkim wyprowadzić z budynku dowódcę. Rannego dowódcę. Pomyślała o tym dopiero dużo później, w tamtej chwili nie była w stanie dłużej nad sobą panować.

Na szczęście Reade mimo unieruchomionej ręki zdołał sam wydostać się przez niskie, parterowe okno. Dogonił Sanję, złapał za ramię i przerażony tym, jak ona wygląda, oniemiała w zgrozie, z rozszerzonymi, niewidzącymi oczami, zawołał: – Dziecko, co ci jest? Co się dzieje?!

Turek stał tuż przy nich; Popović zarejestrowała jego nagłą złość, wywołaną dziwną, potencjalnie niebezpieczną sytuacją – facet z niepoczytalną kochanką to kiepski partner biznesowy, trudniej też wprowadzić go w wymagającą przewidywalności pułapkę. To już jednak nie miało znaczenia.

Zdołała wykrztusić:

– Wstrząsy wtórne!

I wtedy chodnik pod ich stopami zakołysał się nagle. Perspektywę ulicy przebiegł upiorny dreszcz, domy zafalowały jak na animowanym filmie. Oczy Sanji rejestrowały obraz, lecz jej umysł odmawiał przyjęcia go do wiadomości, bo był całkowicie niezgodny z dotychczasowym doświadczeniem. Makabrycznie groteskowy.

Oświetlone markizami i obsadzone doniczkowymi palmami balkony posypały się ze ścian kamienic jak domino. Z wyrwy w bruku strzelił gejzer

wody; we wszystkich domach po jednej stronie ulicy zgasło światło, a po drugiej świeciło nadal. Gdzieś niedaleko rozległa się pojedyncza eksplozja.

To trwało dosłownie kilka sekund.

I nagle było po wszystkim. Huk w uszach Kotki umilkł.

A przez dobiegającą wciąż z wnętrza zrujnowanej kawiarni muzykę przedarł się pierwszy, świdrujący, pełen bólu wrzask.



Sanja rozpaczliwie usiłowała wypatrzeć wśród kłębiącego się w ulicze tłumy znajome twarze. Mignęli jej, bardzo blisko – Peter, Tomek, Majka...

„Matko Boska, gdzie jest Steven?!”.

Nagle, zanim zdążyła odnaleźć Griffina, zarejestrowała zapach. Taki, jakiego nie da się uzyskać na żadnym treningu, a którego nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się poczuć w sytuacji rzeczywistej.

Mimo to rozpoznała woń, całkowicie instynktownie reagując w jedyny możliwy sposób: „Uciekaj albo walcz”. Śmiertelne zagrożenie. Zapach człowieka, który za chwilę zaatakuje. Nie dla zabawy, nie w ramach ćwiczeń – tylko naprawdę.

Być może gangster uznał, że nie warto czekać na możliwość zastawienia pułapki, skoro okazja sama pcha się w ręce. A może miał też inne powody. O tym Sanja nawet nie myślała.

Turek stał tuż za nią i wiedziała, że właśnie sięga po broń. Miała nad nim przewagę, poruszała się szybciej, zwinniej, mogła spróbować wyrwać mu pistolet. Mimo to bała się ryzykować, bo to nie ona byłaby na linii strzału.

– Padnij!! – popchnęła Reade’a na ziemię, zasłaniając go i szarpiąc

zapięcie torebki.

Strzał prawie ją ogłuszył. Strzał? Dwa strzały!

Odwróciła się błyskawicznie, już ze swoją berettą w złączonych dłoniach. Lekko ugięła ręce w łokciach, żeby nie oberwać odrzutem.

Człowiekiem, do którego celowała, był pochylony nad ciałem tureckiego gangstera... Steven Griffin.

– No co – rzucił pod adresem zbliżającego się Lewickiego. – Z takiej odległości nawet ja trafię.

Jednak Kotka wyczuła, że Steve tak naprawdę cały w środku dygocze.



Griffin stał bez ruchu, z bronią w opuszczonej bezwładnie ręce, wpatrzony w leżące na chodniku ciało. Tomek objął przyjaciela uspokajającym gestem i przekazał pod opiekę Petera oraz Majki, chowając pistolet Steve'a przed oczami świadków.

Potem, zanim Reade zdążył zaprotestować, podszedł zdecydowanym krokiem do zaparkowanej pod jedną z knajp furgonetki, otworzył drzwi i rozkazał kierowcy wysiąść. Nie musiał mu niczym grozić, po prostu wydał polecenie. Mężczyzna, zamiast spokojnie odejść, uciekł pośpiesznie; widać Lewicki też nie do końca panował nad emocjami i osiągnął efekt silniejszy od zamierzonego.

Sanja uświadomiła sobie, że w zasadzie nikt się nimi nie interesuje. Ludzie przerażeni własnym nieszczęściem w ogóle nie zauważyli tego, co się stało. Huk wystrzałów musieli wziąć za kolejne wybuchy instalacji gazowej.

Popović pomogła wsiąść do furgonetki obolałemu Reade'owi, który

dopiero chwilę wcześniej pozbiierał się z ziemi. Mruknęła speszone przeprosiny – chyba popchnęła go na chodnik zbyt mocno. Charles przerwał jej zdecydowanym ruchem dłoni. Czujnie przyglądał się Lewickiemu, który usiadł za kierownicą.

Anglik wolałby prowadzić sam, jednak to nie wchodziło w grę. Tomo kłął na archaiczny komputer pokładowy, ale jakoś sobie radził. Może nawet zbyt dobrze, bo jechał brawurowo.

Furgonetka lawirowała niebezpiecznie między gruzami, ludźmi i unieruchomionymi samochodami, aż w końcu udało im się przebić na przelotową trasę, na szczęście przejezdną. Lewicki dodał gazu, a komputer zaprotestował ostrzeżeniem o złamanych przepisach.

Siedząca koło kierowcy Majka pilnowała GPS-a i pilotowała Tomka w chaosie niekontrolowanego w tej chwili żadnymi przepisami ruchu. Pozostali, na tylnych fotelach i podłodze między skrzynkami z ładunkiem, spojrzeli na siebie w chwilowym odprężeniu.

– *Dame* Rachel bywa nadopiekuńcza – powiedział nagle Reade. – Przysłała tu was, bo wiedziała, że mnie znajdziecie. I że Koty trudno mi będzie oszukać. A co do reszty... No cóż, powiem jej, że w miarę słuchaliście rozkazów i udało wam się nie przeszkadzać. Za bardzo.

Sanja uśmiechnęła się pod nosem. Charles próbuje kogoś wylewnie pochwalić – masakra.



Zwolnili na moście, wyrzucając prosto w nurt rzeki Seyhan pistolet, którego pod żadnym pozorem nie mogli mieć przy sobie nawet minuty

dłużej.

– Dowódca mówił, że jest stan wyjątkowy? – spytała Majka. Żadne z nich nie miało wątpliwości, że nie mówi o komandorze, tylko o jedynym człowieku, o którym pomyśleli, słysząc słowo „dowódca”.

– Nie Mykicioniuk, tylko ja – odpowiedział Griffin. – A co?

– Stan wyjątkowy oznacza okresowe uchylenie moratorium na karę śmierci za najpoważniejsze przestępstwa – odpowiedział za Majkę Reade.

– Świetnie. W domu nie wpuszczą mnie do pubu, a tu mogą w majestacie prawa powiesić – zaśmiał się Griffin nieco histerycznie.

– Podać zastrzyk z trucizną – odruchowo poprawił go Charles, jeszcze zanim zrozumiał to, co właśnie usłyszał. – Ty nie masz nawet dwudziestu jeden lat?!

– Skończę w listopadzie.

– Rany boskie...

Sanja darowała Reade’owi informację, że Steven jest z Kotów najstarszy.

Śledząca trasę Majka zameldowała: – Zaraz lotnisko. Charles, co teraz, co robimy z samochodem?

– Jedziemy pod sam terminal, zostawimy go na parkingu. Słyszysz, żeby nas ktoś gonił? A może jakimś cudem zdążymy na ten lot specjalny do Rzymu, którym was chciałem odesłać.

Nie zdążyli i czekało ich pięć bardzo nerwowych godzin, telefony do centrali, używanie pięknie sfabrykowanej dziennikarskiej karty Reade’a – teraz już niebieskookiego – i masa innych gorączkowych zabiegów. A wszystko to w sytuacji, kiedy Koty prawie zasypiały na stojąco, w pół zdania, a Charles dostał od Petera już trzecią w ciągu tej doby kapsułkę z lekarstwem.

Ale w końcu, wyjątkowym fuksem, wspartym przez obrotność pracującego na lotnisku rezydenta, udało im się wydostać z Adany małym

odrzutowcem hiszpańskiej organizacji charytatywnej.



Koty, w nienagannych mundurach, z butami tak lśniąco, że można by się w nich przeglądać, czekały na korytarzu siedziby MI6. Trwało przesłuchanie w sprawie okoliczności użycia broni przez podchorążego Stevena Griffina.

Szara wykładzina dywanowa tłumiała odgłos kroków, kiedy Sanja krążyła w pobliżu drzwi, za którymi zniknął Steve. Nie różniły się one niczym od pozostałych – tak samo solidne, nijakie, jedne z wielu w ciągnącym się chyba ku nieskończoności korytarzu.

Rueckner, Majka i Lewicki rozmawiali szeptem, siedząc na fotelach koło wind, ale Popović nie słuchała ich, pogrążona w myślach.

A Griffin zeznawał.

Nagle drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł Reade. Miał na sobie garnitur z rodzaju tak neutralnie eleganckich, że właściciel staje się w nich w zasadzie anonimowy. Ku dużej uldze Sanji zniknęła też złota biżuteria i buty z udawanego krokodyla. Zegarek również przestał się rzucać w oczy.

Popović oddała komandorowi honory, salutując do orzełka na czapce. Już nie byli po tamtej stronie unijnej granicy.

– Zaraz twoja kolej, wywołają cię – powiedział. – Nie denerwuj się tak, Griffin nie powinien mieć żadnych kłopotów. Opisałem wszystko w raporcie, sprawa jest jasna.

– Tak jest, sir.

– Mam dla ciebie małą ciekawostkę, bo lubisz orientować się w sytuacji –

zmrużył oczy, zastanawiając się pewnie, czy załapała, do czego pije. – Już rozumiem, co się posypało. Kumpel mojego kontrahenta wyszedł z więzienia przez dziurę w zawalonej ścianie. Wiedział o mnie to i owo. Akurat tyle, żeby skojarzyć, przez kogo siedzi. Przyznasz, że trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby zostać wsypanym przez gangstera, który wydostaje się na wolność w akurat takich okolicznościach!

Popović parsknęła cicho.

Charles poprawił niewygodnie spięte taśmy temblaka i już miał odejść, ale jeszcze spytał mimochodem: – Sanja? Niedługo będę w Warszawie, gdzie można cię spotkać?

Kotka już dawno odnotowała, że Reade przygląda jej się czasem w specyficzny, pełen aprobaty sposób. Ludzie zazwyczaj nie zauważają takich spojrzeń. Ona zawsze rejestrowała nawet te naprawdę dyskretne, ominęły ją więc przynajmniej typowo dziewczynskie kompleksy na tle wyglądu.

Teraz jednak dochodziła jeszcze nutka zaintrygowania.

„No tak”, pomyślała Sanja, „z punktu widzenia kolekcjonera stanowię interesujący okaz”.

Tacy też się zdarzali – ciekawscy.

„Mam dwie ręce, dwie nogi i głowę; można z tego wnosić, że pod innymi względami też nie różnię się zbytnio od ludzi”.

Najeżyła się odruchowo i wbiła pięści w kieszenie mundurowej kurtki.

– Nie imprezuję po lokalach, jestem bardzo zajęta. Mam dużo zbiorów harcerskich.

Niestety Reade wcale nie poczuł się urażony. Uśmiechnął się do Sanji ciepło.

– Bywaj, skautko! – powiedział i odwrócił się, ruszając w głąb korytarza. Po chwili bezszelestnie zasunęły się za nim chromowane drzwi windy.

Popović jak zwykle nie umiałaby uzasadnić swojej intuicyjnej oceny, ale

uznała nagle, że Charles Reade ma dużo więcej klasy, niż początkowo sądziła.



Na warszawskim lotnisku czekał na Koty pułkownik Mykicioniuk.

– Nie mogłem zostać w Londynie, wezwano mnie do pilnych obowiązków – skrzywił się z przekąsem, machając elektroniczną gazetą. – Zresztą rzućcie okiem, prędzej czy później i tak was to nie ominie.

Oddał urządzenie Sanji, która rozwinęła rulon cienkiego monitora. Gazeta otworzyła się na zaznaczonej przy poprzednim czytaniu sekwencji okien.

Kumple zaglądali Popović przez ramię, kiedy przeglądała kolejne strony.

„MON potwierdza! Mamy transgenicznych komandosów!”, krzyczał nagłówek wyważonego zazwyczaj, opiniotwórczego portalu. Dalej następował długi artykuł, zilustrowany obrazkiem przedstawiającym między innymi podwójną helisę DNA, ludzki embrion i mózg wraz z rdzeniem kręgowym. Sanja poczuła głęboką wdzięczność do grafika, że darował sobie przynajmniej pręgowane kocię rasy dachowiec w charakterze źródła genów.

„Wywiad z dowódcą Czarnych Kotów, płk. Mykicioniukiem”, reklamował się inny serwis, dołączając do rozmowy fotografię oraz życiorys Ukraińca.

„Koty na ćwiczeniach, taktyka czarna”, głosił podpis pod zdjęciem antyterrorystów w pełnym uzbrojeniu, hełmach i kominiarkach, zajmujących zatrzymany w szczerym polu pociąg osobowy. Popović jakoś nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek ćwiczyła taką akcję, choć to niewątpliwie przydatna umiejętność.

Uśmiechała się coraz szerzej, a reszta przyjaciół wraz z nią, kiedy otworzyła ostatnią zakładkę – nieznany jej zupełnie, pewnie niszowy portal z Polską w nazwie.

„Mutanci w armii – ludzie czy zwierzęta?”.

– O kurwa... – Majka nie wiedziała, jak zareagować, więc wybrała opcję domyślną.

– Daj spokój, głupich nie sieją – skwitował Rueckner. Steven mu przytaknął, wzruszając ramionami.

Lewicki objął jedną ręką Majkę, drugą Sanję i szepnął teatralnie: – No to nareszcie wiem, skąd ten mój zwierzęcy magnetyzm. Nie, dziewczyny?

Szymczyk wywinęła się Tomkowi, w dość bolesny dla obejmującego sposób, ale Popović nawet nie zwróciła uwagi na jego gest. Wpatrywała się w nagłówek, zeszywniała i spięta, bojąc się czytać dalej.

„Boże... Wiedziałam... Wiedziałam, że to się tak skończy”.

Nagle uświadomiła sobie, że Mykicioniuk od dłuższej chwili uważnie jej się przygląda. Wzięła się w garść, uśmiechnęła w wymuszony, lecz po Kociemu bardzo przekonujący sposób i oddała pułkownikowi zwinięty w rulon monitor.

Dowódcy nie było tak łatwo nabrać, powiedział jednak tylko, taksując spojrzeniem twarze młodych: – Witajcie w świecie celebrytów, Kotki.

BŁĄD WARUNKOWANIA

– Będzie śnieg – powiedziała Majka Szymczyk, wdychając wilgotne, chłodne powietrze niesione wiatrem od masywu Jungfrau.

Gór rzecz jasna nie było widać przez niskie chmury, spływające białym mlekiem na przeciwległy stok doliny. Strzępki mgły gnały między świerkami jak duchy.

– Śnieg? Nad lodowcami może tak, ale tutaj, na dole? – Pułkownik Gajewski spojrzał pytająco w stronę Sanji Popović, która stała wraz z nimi na tarasie willi.

Rudowłosa Kotka wzruszyła ramionami.

– Mnie niech pan nie pyta – stwierdziła ponuro, wycierając nos. – Ja mogę co najwyżej sprawdzić prognozę w internecie.

Już w samolocie zaczęło ją piec gardło, a na wojskowym lotnisku pod Bernem, w czasie gdy próbowano ją przedstawiać kilku szychom ze szwajcarskich służb specjalnych, zaliczyła regularny atak nieopanowanej kichawki.

Sanja od razu zgłosiła problem Gajewskiemu. Dla Kotki węch był głównym zmysłem. Nie czując zapachów, funkcjonowała kiepsko.

Zadanie Popović przejął Steven Griffin, więc mogła teraz beztrąsko kręcić się po ogrodzie. Ta akcja w ogóle zaczęła się pod hasłem zastępstw. Dowódca jednostki, pułkownik Mykicioniuk, dwa tygodnie wcześniej miał wypadek samochodowy i dochodził do siebie w szpitalu w Warszawie, a jego obowiązki chwilowo pełnił Gajewski.

Willa, przestronny dom w charakterystycznym alpejskim stylu, została wynajęta rzekomo na potrzeby bogatego biznesmena. W okolicach Interlaken i Grindelwald nietrudno było znaleźć przeznaczoną dla zamożnych turystów posiadłość. Nawet prywatne lądowisko dla helikoptera stanowiło tylko umiarkowaną ekstrawagancję.

Gajewski pozwolił Sanji pilotować śmigłowiec, na osłodę po spowodowanym zmianą ról rozczarowaniu. Szwajcarski pilot uważnie patrzył Kotce na ręce, jednak kiedy wylądowali, powiedział pułkownikowi, że jak na kogoś, kto, nie licząc czasu spędzonego na symulatorach, wylatał niewiele więcej godzin niż na kursie, radziła sobie zaskakująco dobrze. Popović oczywiście się ucieszyła, ale od razu zastrzegła, że to chyba nie do końca jest jej zasługa. Wyostrzone zmysły i Kocie poczucie równowagi przydawały się również przy pilotażu.

Teraz Sanja oderwała spojrzenie od rozpościerającego się za doliną całkowitego braku widoku na góry i razem z Majką oraz nowym dowódcą wrócili do środka.

W progu powitał ich rechot Tomka Lewickiego, pozornie beztroski, zakończony retorycznym: – I kto to mówi, Ted?

– A dlaczego Ted? – spytał lekko zdezorientowany Gajewski, bo pytanie Tomka było skierowane do Petera Ruecknera. Widząc miny Kotów, dodał: – Aha, lepiej, żebym nie wiedział?

Wymienili spojrzenia.

– Tak, panie pułkowniku, może lepiej niech pan nie pyta.

Koty oglądały niedawno film o Unabomberze. Fajny był. Film oczywiście. Rueckner pirotechnik przyjął ksywkę z godnością i wrodzonym stoicyzmem.

Sanja poszukała wzrokiem Stevena. Siedział pod oknem, z laptopem na kolanach, po raz setny odbywając wirtualną wycieczkę po stojącym na sąsiedniej posesji domu, w którym miał się już niedługo znaleźć.

Kotka wyczuła podminowanie Griffina, kiedy przesunął palcami po monitorze, sprawiając, że postać, z której punktu widzenia prowadzona była symulacja, opuściła należącą do podejrzanego willę. Film, wygenerowany na podstawie danych z satelity oraz nagrań odwiedzającej już wcześniej dom ekipy technicznej, przedstawiał teraz ogród na spadzistym zboczu. Alejka prowadząca do bramy i budki strażniczej biegła nad ostrym urwiskiem, poniżej którego lśnił spieniony potok.

Steven dotarł do bramy, jeszcze raz włączył panoramę – powolny obrót kamery o trzysta sześćdziesiąt stopni – i zamknął symulację w momencie, kiedy znów pokazywała porośniętą lepiężnikiem dolinkę strumienia, a za nią solidne, oblepione kamerami i czujnikami ruchu ogrodzenie. Odruchowo spojrzął za szybę, ale mgła uciniała widoczność już na kępie drzew kilkanaście metrów od tego właśnie płotu.

– A może jednak szkoda, że nasz pan sąsiad ze swoim gościem już wyjechali – skrzywił się Lewicki, nerwowo obracając w palcach okulary przeciwsłoneczne. W Polsce czerwiec zaczynał się piękną, upalną pogodą.

Sanja schyliła się nad Tomkiem i wyjęła mu z ręki okulary, dyskretnie stukając się w głowę. Wystarczy, że Steven sam z siebie jest spięty, nie trzeba go jeszcze nakręcać.

Ku jej zaskoczeniu Lewicki skrzywił się i gwałtownie odsunął.

– Jezu, Popović...

– *Sorry* – spieszyła się.

Dla Kota zasmarkana i rozsiewająca wirusy koleżanka na pewno nie stanowiła miłego zjawiska zapachowego. Siadła więc po przeciwnej stronie sporego salonu, w którym technicy rozstawiali już swój sprzęt.

Tymczasem Peter, jak zwykle zrównoważony i emanujący spokojem, po raz kolejny przywracał Lewickiego do rzeczywistości. Traktował go jak brata – młodszego i głupszego, lecz nie mniej przez to kochanego. Tłumaczył więc

po raz setny, jak dziecku: – Steven ma tylko potwierdzić ślad zapachowy. Dlaczego chciałbyś go od razu pchać w bezpośrednią konfrontację? Tomo, ktoś, kto tę akcję wymyślał, naprawdę ma swój rozum. Jeżeli nam się uda, to aresztowanie będzie sprawą drugorzędną: facet jest przekonany, że ta tożsamość jest bezpieczna, używa kart, znamy jego rezerwacje hotelowe i numery lotów.

Sanja rozejrzała się za pułkownikiem, oczekując od niego jakiejś reakcji, lecz Gajewski ze słuchawkami na uszach stał pochylony nad montowanym właśnie przez jednego z techników stanowiskiem łączności i nie zwracał na Koty uwagi. „W sumie chyba słusznie”, zdążyła pomyśleć Popović, ale wtedy Lewicki odezwał się znowu: – Żeby nie było jak z domem Reade’a rok temu. – Uniósł znacząco brew, a Griffin prychnął.

– Sprzątaczką przychodzi w poniedziałki, mamy sobotę, Tomo, weź odpuść. – Nawet Peter powoli zaczynał tracić cierpliwość. – Nikt ci śladów zapachowych nie zatrze. A naprawdę nie było po co Griffina pakować w sam środek kotła, kiedy się tam jeszcze plątali ci wszyscy ochroniarze.

– Nie szukamy człowieka. – Sanja postanowiła się wtrącić, choć katar utrudniał jej mówienie. – Szukamy jego zapachu, to wystarczy do wystawienia nakazu aresztowania.

Powiązanie szanowanego biznesmena, który właśnie opuścił alpejską willę swojego znajomego, z trzema zabójstwami i wynikami szeroko zakrojonego śledztwa w sprawie handlu bronią stanowiłoby spektakularny sukces, wart ściągania Kotów z drugiego końca Europy.

– Przyznaj się, Lewicki, ty po prostu uważasz, że za nudno będzie? – rzucił Griffin odrobinę złośliwie. Najstarszy Kot nadal wyglądał delikatnie i – co tu kryć – dziewczęco, z wielkimi brązowymi oczami i oliwkową cerą, ale charakterek miał i nie dawał sobie w kaszę dmuchać.

– Bo nasz Tomo – wskazał na kolegę gestem przewodnika

oprowadzającego wycieczkę – toby chciał efektownie, żeby było o czym dziewczynom opowiadać, a tu skrzeczy szara rzeczywistość.

– Jakbym Weronikę słyszał, ona też tak kiedyś powiedziała – parsknął Rueckner.

– No skoro Weronika tak powiedziała, to o czym my jeszcze dyskutujemy?! – Tomek wyszczerzył się w beczelnym uśmiechu. – Podsumowała mnie i amen, przepadłem.

Dla Lewickiego nie do pojęcia był fakt, że Peter jest już od czterech lat w stałym związku. Żeby było jasne, Tomek uważał dziewczynę przyjaciela, Weronikę, za świetną kumpelkę. Jej rodzice pracowali w projekcie, więc znała się z Kotami od dziecka i doskonale się rozumieli. Ale żeby chodzić przez cztery lata z tą samą osobą?

– A właśnie, co tam u Weroniki? – spytała Sanja, żeby zmienić temat.

– Tydzień temu pojechała na jakiś koszmarny obóz treningowy. Powiedziała, że jak przeżyje, to znaczy, że jest twardy Słowian, a nie miękka ninja.

– Ona z tym karate to tak na serio? Pójdzie w sport wyczynowy?

– Chyba nie – Rueckner się zawahał. – Nie wydaje mi się.

Popović była ostatnią osobą, której można by powierzyć trudną rolę podtrzymywania konwersacji, więc zapadła cisza, ale na szczęście już mniej napięta, co Kotka odnotowała z ulgą. Griffin zajął się pakowaniem do plecaka komputera i innych prywatnych rzeczy, a Tomo i Ted, wbrew pozorom zazwyczaj nierozłączni, poszli pogapić się na chmury zasłaniające panoramę Alp Berneńskich.

Majka klepała offline maila do chłopaka. Gajewski obiecał jej, że będzie mogła wysłać go za chwilę bezpiecznym łączem. Sanja zastanawiała się, co tak pilnego miała Szymczyk do przekazania. Nie bardzo potrafiła zrozumieć tę potrzebę nieustannego pozostawania w kontakcie, zważywszy, że Maja nie

mogła przecież wspomnieć ani słowa o tym, gdzie jest i co robi. Czułe wyznania też raczej nie wchodziły w grę, bo wysyłając maile oficjalnym kanałem, zawsze ryzykowało się cenzurę – niby tylko automatyczną, ale w „uzasadnionych przypadkach” również normalną.

Popović była ciekawa, czy ludzie Mykicioniuka zdążyli już sprawdzić tego chłopaka. Pewnie tak. Bezpieczeństwo Kotów traktowano bardzo poważnie.

Ewidentne zaangażowanie uczuciowe kumpelki wcale nie wprawiało Sanji w dobry humor. W głębi duszy była przekonana, że Szymczyk okropnie się przejedzie na romantycznej, trwającej już zaskakująco długo, przygodzie z kolesiem od rysiów i przygniatanych hełmem pędzelków na ich uszach.

Popović uważała, że ta historia po prostu musi się źle skończyć. Rueckner i jego Weronika stanowili wyjątek potwierdzający regułę, a Majka... No cóż, niech się jeszcze łudzi. Problem w tym, że model „Piękna i Bestia” nie uwzględnia równouprawnienia. To kobiety są od przygarniania i osvajania odmieńców, dziwadeł. Chłopakowi Majki szybko się znudzi romansik z „mutantką”.

Sanji też kiedyś wydawało się, że to nie ma znaczenia. Naiwnie przyznała się komuś, kim jest, i została stosownie potraktowana – z połączeniem odrazy i strachu. Rozkoszny mix dla zakochanej dziewczyny. I to by było tyle w temacie perspektyw uczuciowych dla Kotki.

Popović już robiło się przykro na myśl o tym, co czeka Majkę, kiedy dowcipnisi od pędzelków na uszach inność przestanie bawić, a zacznie mu przeszkadzać.

Szymczyk, nie podnosząc wzroku znad monitora, pośpiesznie wstukiwiała ostatnie słowa listownej recenzji gry komputerowej. I rzeczywiście musiała dokonywać cudów stylistycznych, żeby cenzurująca maile sztuczna inteligencja nie posądziła jej o zdradę wojskowych tajemnic, bo gra była z

gatunku militarnych.



– Dobra, jest wezwanie – powiedział technik, podnosząc wzrok nad monitorów. – Helpdesk podał standardowy termin, mamy co najmniej trzy godziny.

Griffin, ubrany już w wiatrówkę z wielkim logo Siemens na plecach, sięgnął po firmową czapkę i torbę z narzędziami.

– Strona siedemnasta, punkt czwarty? – rzucił Lewicki z miną niewiniątka.

– Zresetuj urządzenie – parsknęli chórem Sanja i Steven.

Nie żeby wykuli instrukcję pieca dwufunkcyjnego na pamięć. Jednak to polecenie powtarzało się najczęściej.

Piec w sąsiednim domu znowu przestał działać, a podstawiony konsultant Siemens musiał wysłuchać mało parlamentarnej tyrady na temat urządzenia, które już trzeci raz w ciągu dwóch miesięcy przestaje dostarczać ciepłą wodę do kranów i kaloryferów. I to jeszcze w taką wszawą pogodę, jak raczył się wyrazić klient.

Sterowane elektronicznie piece rzadko się psuły. Tylko że w tym konkretnym wprowadzono przy okazji rutynowej kontroli maleńką zmianę w oprogramowaniu. Możliwość zdalnego wyłączenia.

Rola serwisanta ograniczała się w zasadzie tylko do zrobienia mądrej miny, podpięcia panelu kontrolnego i... zresetowania urządzenia. Pierwszy raz, drugi i teraz – gdy czujność ochroniarzy zmieniała się już w rutynowe wkurzenie na jakość oferowanych przez Siemens usług. W sąsiedztwie

również zdarzyło się kilka awarii. Ktoś skarżył się, że też ma piec kupiony dokładnie w tym samym czasie i proszę – widać jakaś trefna seria, cholery można dostać.

Ochrona zaczynała traktować wizyty miłych chłopców z Siemensa jako rytuał i dopust Boży. Dobrze, że teraz przynajmniej piec padł dopiero, jak szef i jego gość zdążyli wyjechać.



Cywilnym samochodem z przyciemnionymi szybami przewieziono Stevena w pobliże jeziora Thun. Tam przesiadł się do firmowej furgonetki, która wcześniej – jak należało – przyjechała z Berna.

Kamera w guziku wiatrówki Griffina zaczęła pracować w momencie, kiedy samochód opuścił garaż willi, więc dowódca, Koty i technicy mogli obserwować błyskawiczną zmianę środka transportu, a teraz widok zza przedniej szyby furgonetki, mozolnie pnącej się z powrotem pod górę.

Sanja rzuciła okiem na pozostałe monitory i pomyślała, że przyjemnie jest móc pracować ze sprzętem, o którym jej koledzy ze studiów mogą co najwyżej poczytać w podręcznikach albo i to nawet nie.

Furgonetka, odprowadzana czujnym okiem satelity, minęła stanowiącą centrum dowodzenia willę, przejechała przez most i zaparkowała pod bramą sąsiedniej posesji.

Steven, wraz z kamerą, odwracał się właśnie w stronę drzwi, żeby wysiąść i podejść do domofonu, kiedy brama rozsunęła się. Chłopak wprowadził więc samochód za ogrodzenie i zatrzymał dopiero przed niedużym budynkiem zajmowanym przez ochroniarzy.

Wszystkie pozostałe dane też potwierdzały, że akcja przebiega bez zakłóceń. Strażników było w tej chwili tylko trzech, wszyscy w przybudówce przy bramie, a jeden z nich wychodził teraz do Stevena. W domu – dwie pracownice w kuchni. Jedna z nich mieszkała w willi na stałe, druga dojeżdżała z Grindelwald.

Griffin, jak poprzedni „serwisanci” przed nim, został zaproszony do wnętrza budki strażniczej. Przeszedł przez bramkę z wykrywaczem metalu, zostawił w depozycie swoją rzekomo prywatną komórkę, słuchawki z odtwarzaczem, a nawet zegarek – bo był zbyt bajerancki i miał wbudowany aparat fotograficzny. Taki tam kiczowaty gadżet, akurat szalenie modny.

Nikogo nie zdziwiło, że serwisant zadawane po niemiecku pytania zbywa przepraszającym uśmiechem i przechodzi na angielski. Obywatele Unii byli w ogromnej większości co najmniej dwujęzyczni i mieszkali często daleko od swoich rodzinnych krajów. Po angielsku można było swobodnie porozumieć się na całym kontynencie.

Sanja, wpatrzona w obraz z kamery Griffina, czuła się jak podczas tyle razy trenowanej symulacji. Nie zgadzały się tylko drobiazgi: narzędzia zapomniane przez ogrodnika czy kolor kwiatów w donicach.

Później wewnątrz domu: korytarze, migający po prawej salon w półmroku zasuniętych rolet i kłębiącej się za oknami mgły. Zejście do piwnicy, w której Steven sumiennie odrobił lekcję ze sprawdzania styków i automatycznego testowania software’u. Ochroniarz z nudów gapił mu się na ręce.

– Może i dobrze, żeście tak kuli tę instrukcję – mruknął Lewicki w centrum dowodzenia.

Popović chciała prychnąć, ale wyszło jej raczej siorbnięcie. Za to Rueckner nie dał się sprowokować, wiedział, że Tomek sam z Griffinem jeszcze parę dni temu rozkładał taki piecyk na czynniki pierwsze. Majka „Lwie Serce” bawiła się zawieszonym na szyi krzyżykiem.

– Nawalił czujnik temperatury w jednym z pokoi na górze – zabrzmiał głos Stevena, trzeszczący i przerywany, bo mikrofon w kołnierzu był zbyt blisko ust. – Będę musiał go wymienić.

Czujnik w sypialni gościa, tej z oknami skierowanymi na sąsiednią willę. Nikt nie miał prawa wiedzieć, że dom jest pod obserwacją, ale mimo to, chyba na zasadzie rutynowej, rygorystycznie przestrzeganej ostrożności, przez większość wizyty pokój był osłonięty okiennicami przed wścibskim spojrzeniem laserów, czytających wypowiedane słowa z drgań szyby. Teraz stał pusty, więc i okiennice otwarto.

Ochroniarz poprowadził Griffina na piętro i przepuścił chłopaka w drzwiach gościnnej sypialni. Kiedy Kot przekroczył próg, rozległ się wysoki, świdrujący dźwięk.

W centrum dowodzenia ktoś zaklął, ktoś poderwał się, żeby spojrzeć na inny monitor. Dłonie techników tańczyły na dotykowych ekranach.

Zbliżenie okna, w podczerwieni, przez mgłę. Sylwetka w progu, druga niewidoczna – zapewne jeszcze na korytarzu, za skrzydłem drzwi.

Obraz z kamery Stevena – gwałtowny zwrot w stronę ochroniarza, który mówił: – Tu jest zakaz wnoszenia sprzętu elektronicznego, zwłaszcza z nadajnikami! Przecież miał pan zostawić wszystko u nas na bramie.

– Ale ja mam tylko służbowe narzędzia!

Poirytowana twarz ochroniarza widoczna na monitorze w centrum dowodzenia zgasła nagle, zastąpiona przez napis *BRAK SYGNAŁU*.

– Przełączam na nasze mikrofony... – zameldował technik.

Z kilkusekundowym poślizgiem głośnik odezwał się znowu.

– ...pan z powrotem na korytarz i jeszcze raz przejdzie przez próg.

– Tu mam odłożyć narzędzia? – spytał Griffin, ewidentnie na użytek zdanych na podsłuch obserwatorów.

Koty wymieniły się błyskawicznymi spojrzeniami. Lekka nuta niepokoju

w głosie Stevena nie dziwiła.

Sylwetki w podczerwieni mijały się w ciasnym przejściu, gdy zabrzmiał radosny dzingiel modnego ostatnio przeboju.

– Jest połączenie bezprzewodowe przez jeden z telefonów na posesji.

Nie dostali uprawnień do założenia podsłuchu na prywatnych komórkach ludzi, którzy przecież byli tylko pracownikami właściciela willi – a i on sam miał nadal formalnie nienaruszoną legendę praworządnego obywatela.

– Tak, rozumiem. Dzięki, dzwonił się – powiedział ochroniarz, dość głośno, by dało się rozpoznać słowa, mimo że stał na korytarzu.

– Wkurzył się! – ocenił błyskawicznie Peter. – Jest jeszcze bardziej wkurzony niż po wtopie z kamerą.

– Idziemy na bramę – rozkazał tymczasem strażnik. – Przeskanujemy pana jeszcze raz.

Technikom udało się wreszcie znaleźć informacje, z pozoru niepotrzebne, lecz jak się okazało, bardzo niepokojące.

– Panie pułkowniku, może to przypadek, ale rozmowa była z niezarejestrowanego numeru komórkowego z tej dzielnicy Berna, w której jest biuro firmy serwisującej!

Lewicki zaklął.

– Wypuście sondę – zdecydował dowódca.

Za oknem ubrany w turystyczne buty i kurtkę łącznościowiec udawał, że przepakowuje na tarasie plecak, a tak naprawdę uruchamiał właśnie miniaturowe urządzenie. Było wykonane z matowego metalu, więc nawet nie błysnęło, tylko wtopiło się w mgłę.

Mimo to Sanja zagryzła usta. Jak wszyscy miała nadzieję, że żaden z ochroniarzy nie okaże się zbyt spostrzegawczy i że nie narobią w ten sposób Stevenowi jeszcze większych kłopotów.

Sonda zatrzymała się pod osłoną drzew, tak jak było już dawno ustalone –

żeby nie złowiła jej któraś z kamer na ogrodzeniu.

Krajobraz trwał w bezruchu, z niskich chmur rzeczywiście sypnęło śniegiem.

Nagle drzwi domu otworzyły się i na alejkę wyszli strażnik oraz Griffin.

– Steve jest bardzo zdenerwowany – rzuciła szybko Majka.

– Po czym to poznajesz? – chciał wiedzieć pułkownik.

– Po sposobie poruszania się – odpowiedziały obie Kotki prawie równocześnie.

Ochroniarz szedł szybko, a Griffin jakby celowo zwalniał, żeby ani przez moment nie mieć tamtego za plecami. Tylko że wtedy strażnik też zwolnił.

– Jezu – szepnęła Sanja.

Kiedy znaleźli się na wysokości prowadzącego nad potok prześwitu między drzewami, Steven nagle upuścił torbę z narzędziami i zaatakował ochroniarza. Precyzyjnie, diablo skutecznie, a przy tym tak zwinnie, że można by nie zauważyć ciosów, gdyby ofiara nie osunęła się na ogrodową alejkę.

I to było ostatnie, co zapamiętał Rueckner.



Peter obudził się i nie musiał otwierać oczu, żeby od razu zorientować się, gdzie jest. Zapach dezynfekującego płynu, którym umyto podłogę, niosące się echem przez długi korytarz głosy rozmawiających w dyżurce po niemiecku pielęgniarek... Szpitalna noc.

Rueckner gwałtownie otworzył oczy i najpierw zupełnie odruchowo sprawdził, czy jest w stanie się poruszać. Dopiero kiedy okazało się, że ma

władzę i w rękach, i w nogach, z opóźnieniem się przestraszył.

Nic go nie bolało. Nie miał żadnych bandaży, opatrunków. Znów czując lodowaty ucisk w żołądku, przejechał dłonią po twarzy.

Wszystko w porządku.

Usiadł i nie zakręciło mu się w głowie. Sala, w której leżał, była dwuosobowa. W sączącym się znad sąsiedniego łóżka nieprzyjemnie zielonkawym świetle lampki zobaczył twarz Tomka Lewickiego. Tomo spał na wznak, z jednym ramieniem pod głową, podobnie jak Peter ubrany w szarozieloną koszulkę z krótkimi rękawami i spodnie od wojskowej piżamy. Rueckner uśmiechnął się na widok skłębionej pod ścianą kołdry. Nie od dziś Peter robił sobie z Lewickiego żarty, że sypia w przedziwnych pozach, jak małe dziecko.

Tym razem pomogło to ocenić stan chłopaka – też nie miał żadnych widocznych obrażeń, oddychał regularnie i głęboko.

– Tomo?... – zawołał Peter półgłosem.

Zero reakcji. I to już nie było normalne. Koty nie sypiały tak mocno.

Rueckner wstał z łóżka i podszedł do przyjaciela, ale po chwili namysłu zrezygnował z budzenia go. Rzucił okiem na monitory przy obu łóżkach – były wyłączone. Ani nazwisk, ani historii choroby; nie zdziwiło go to.

Pomyślał, że może po prostu przejdzie się korytarzem, przeczyta napisy na tabliczkach i w ten sposób dowie się, na jakim leżą oddziale i co się w zasadzie stało. Podszedł do drzwi i usłyszał szuranie ciężkich butów. Po drugiej stronie ktoś siedział na krześle, było mu niewygodnie i pewnie walczył ze snem.

– Cześć, chłopaki – odezwał się Rueckner, otwierając drzwi. W sumie powinien się tego spodziewać – nikt nie zostawi przecież nieprzytomnych Kotów bez ochrony.

„Chłopaków” było dwoje – Polka po cywilnemu i szwajcarski żandarm.

– O... Cześć! – Dziewczyna zerwała się na widok Petera z uśmiechem, ale od razu zorientował się, że ona wcale się nie cieszy. Jakby spotkanie z nim było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

– Co się stało, gdzie reszta?

Mówił po angielsku z nadzieją na włączenie do rozmowy Szwajcara i rzeczywiście to on mu odpowiedział: – Tam. – Wskazał sąsiednie drzwi.

Kot złowił ostrzegawcze spojrzenie dziewczyny.

– Mamy rozkazy – ucięła zdecydowanym tonem. – Zaraz zjawi się dowódca, będzie z wami rozmawiał.

Żandarm odszedł dość daleko, poprawiając mikrofon przy kołnierzu. Poinformował kogoś, że „jeden z nich się obudził, chce chodzić po korytarzu”. Mówił bardzo cicho, myślał pewnie, że Peter już go nie słyszy.

– Proszę, wróć do sali, połóż się – powiedziała Polka, pozornie ciepło i opiekuńczo, ale Rueckner wiedział, że ona po prostu chce pozbyć się problemu.

Nagle usłyszał dziwny dźwięk. Odwrócił się i jego wzrok padł na kumpla, który obudził się i zaraz potem zwinął w kłębek, naciągając sobie kołdrę na głowę.

Lewicki płakał.



Profesor Mikołajczak wysiadł z samochodu prosto w noc i ulewę. Nad Bernem padało non stop już drugi dzień, tak przynajmniej powiedział mu kierowca. Szeregowiec, mający nieść nad neurologiem parasol, zmaterializował się na parkingu dopiero, gdy lekarz zdążył już nieco

zmoknąć, idąc w stronę budynku.

Umęczone wielogodzinnym lotem oczy profesora chłoneły wilgoć z powietrza. Zatrzymał się na moment, czując, że wysuszone soczewki kontaktowe nareszcie przestały mu przeszkadzać. Potem wbiegł po schodach głównego wejścia szpitala z energią, której po dobijającym do siedemdziesiątki lekarzu szeregowiec się nie spodziewał.

Profesor spojrzął na zegarek, który wskazywał dwudziestą drugą siedemnaście. Czas główny przestawił się automatycznie, kiedy urządzenie znalazło się w zasięgu nadajników na lotnisku, ale w rogu małymi cyframi widniał nadal czas Seattle.

Decyzja o ściągnięciu naukowego szefa projektu z konferencji w Stanach zapadła praktycznie natychmiast. Problemem okazało się zrobienie tego wystarczająco dyskretnie. Szczęśliwie udało się znaleźć dla Mikołajczaka wolne miejsce w rejsowym samolocie do Europy. Czarterowanie prywatnego odrzutowca na pewno zwróciłoby uwagę jankeskiego wywiadu, zwłaszcza gdyby wybrano odrzutowiec naddźwiękowy, co sugerował nawet pewien pozbawiony silnych nerwów decydent na wysokim stanowisku.

Przed neurologiem rozsunęły się szklane drzwi. Znalazł się w głównym hallu wojskowej kliniki, a tam czekała już na niego cała świta. Odpowiedział na oddawane mu honory i zdjął ociekającą deszczem mundurową czapkę. Sięgnął po biały fartuch, który mu podano. W rozmowie telefonicznej wyraźnie sobie tego zażyczył. Dzięki fartuchowi już na pierwszy rzut oka będzie widać, że jest lekarzem i personel tak też będzie go traktował.

Mikołajczak ruszył do windy i dalej, długimi korytarzami. Kiedy stanął pod drzwiami jednej z pilnowanych przez strażników sal, rzucił towarzyszącym mu osobom uprzejme, lecz stanowcze: „Proszę tu zaczekać” i wszedł do środka sam.

Lampki nad łózkami przygaszono, ale żadna z pacjentek nie spała. Maja

Szymczyk modliła się, bezgłośnie poruszając ustami, z dłonią zaciśniętą na krzyżyku, palcami drugiej przesuając po różańcowym pierścionku. Widząc profesora, uśmiechnęła się blado i skinęła głową.

Sanja leżała na boku, z pustym wzrokiem wbitym w punkt gdzieś między szafką łóżka Majki, a butami siedzącego w fotelu generała Popowicia. Oczy Kotki błyszczały od gorączki, a jej twarz była kompletnie bez wyrazu, jak maska.

Oficerowie przywitali się nieformalnie. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, tych dwadzieścia parę lat temu, Mikołajczak był już pułkownikiem i profesorem z podwójną specjalizacją z neurologii i psychiatrii, a przyszły ojciec Kotki dopiero dumnie obnosił świeżo zdobyte kapitańskie cztery gwiazdki. Jego późniejsza pięknie rozwijająca się kariera niewiele zmieniła w relacjach z szefem projektu.

Profesor przysunął sobie krzesło do łóżka Sanji i odezwał się spokojnym, niezobowiązującym tonem: – I jak tam?

– Źle – odpowiedziała po dłuższym czasie, z trudem przenosząc spojrzenie na lekarza. I to było wszystko, co od niej usłyszał.



Kiedy później obaj mężczyźni oddalili się od oczekującej na korytarzu grupy na tyle, by móc rozmawiać, Popović zaznaczył: – To był pierwszy raz, kiedy Sanja się odezwała. Przestała mówić, tak w ogóle. Cokolwiek i do kogokolwiek.

„Do pana również, tak?”, pomyślał Mikołajczak. „Mam nadzieję, że nie potraktuje pan ambicyjnie, że to w mojej obecności udało jej się przełamać”.

– Wyjdźmy na zewnątrz. – Profesor wskazał drzwi balkonowe.

Na dworze było zimno, Popović zapiął mundur. Deszcz szumiał monotonnie, a za barierką migotało miasto, przechodząc stopniowo w aksamitną ciemność dalekich gór.

– Gdzie Gajewski? Bo nadal on tu dowodzi?

– Pojechał się umyć, przebrać i pewnie trochę przespać; koczował w klinice od wczoraj.

– Podejmował, hmm... jakieś decyzje?

– Od strony medycznej nic, o czym pan by nie wiedział. Jeśli chodzi o środki bezpieczeństwa, no to łatwo się domyślić, że mamy tu mały armagedon.

– Taaak. – Neurolog sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. – W końcu nie codziennie cała jednostka specjalna wariuje za jednym zamachem.

Odruchowo poczęstował towarzysza, udając, że nie zauważa miny, jaką tamten skwitował jego słowa.

– Nie palę – powiedział kwaśno Popović i sięgnął po papierosa.

– Pierwszy raz? – uśmiechnął się Mikołajczak, a generał kiwnął głową. – Jak widać, czasem trzeba. Proszę się nie martwić, nie wydam pana. Pilotom pewnie nie wolno? – spytał z szelmowskim błyskiem w oku, jakby badając reakcję młodszego mężczyzny.

Popović umiał się znaleźć, nie obruszył się.

– W moim wieku już wszystko wolno. Oczywiście poza lataniem.

Generał był w młodości naprawdę dobrym pilotem samolotu wielozadaniowego. Niosły go ambicja i zdolności, szybko awansował.

Kiedy projekt ruszał, zdecydowano, że w pierwszej fazie eksperymentu weźmie udział pięć par, w których co najmniej jedno z małżonków jest oficerem. Od początku ustalono, że dwie będą polskie, bo centrum badań powstało w Polsce. Po jednej z Wielkiej Brytanii i Niemiec, ze względu na

rolę tych państw w obronności kontynentu. Tylko ostatnią, piątą parę wybierano spośród zgłoszonych z całej Unii kandydatów.

Na początku, jeszcze zanim oficer dostawał wstępną ofertę, wkraczał kontrwywiad, a potem badano oboje małżonków na wszelkie możliwe sposoby. Zdrowie fizyczne, pełen profil genetyczny, testy psychologiczne, światopogląd. Pod uwagę brano czasem i najdziwniejsze drobiazgi, różne były tylko liczbowe wagi przypisywane przez system gromadzący dane poszczególnym informacjom. A i tak najważniejsza była osobista opinia Mikołajczaka, który wprost oświadczył, że demokracja jest rzeczą piękną, ale nie w nauce.

Jednak kiedy profesor uzyskał już ostateczną grupę osób, co do których mógł mieć nadzieję, że gwarantują maksymalną szansę powodzenia eksperymentu, trzeba było zdecydować, kto z nich w rzeczywistości zostanie przyjęty do jego kolejnych, planowanych co pięć lat faz. Choć kwalifikacje przypominały konkurs na najlepszą rodzinę Europy, to jednak ich finałowy etap był rodzajem nagrody za zasługi konkretnego oficera.

Wygrał Popović. Nic dodać, nic ująć.

Mógł jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję, kiedy ujawniono, jak daleko idąca będzie genetyczna modyfikacja, której zostanie poddane jego pierworodne dziecko. Zgodził się bez wahania. Taką miał zasadę – służy w armii, nowe wyzwania są po to, żeby się ich podejmować.

Pani Popović została spytana o to samo, ale ona nie miała zwyczaju kwestionować woli męża.



Mikołajczak wyrzucił niedopałek do kosza. Nagle o czymś sobie przypomniał.

– Sanja kaszle, chyba ma gorączkę?...

– Przeziębiła się, czymś ją tu leczą. – Popović umilkł na chwilę i dodał: – To Sanja miała wejść do tamtej willi, ale już była chora. Griffin poszedł w zastępstwie za nią.

Mikołajczak zapalił drugiego papierosa i spojrzał przez barierkę w dół, na wodę spływającą po dachu sąsiedniego szpitalnego budynku.

– Co z Mykicioniukiem, przyleci?

– Mowy nie ma, nie wstaje z łóżka. Może i lepiej, bo jak mi powiedział, co zrobi Gajewskiemu, to nie wyglądało, że żartuje.

– Gajewski zepsuł Andriejowi Koty – powiedział Mikołajczak. – Trudno się dziwić, że Andriej zrobi mu krzywdę. Choć raczej nie złamie mu nosa, tylko karierę.

Zapadła cisza, neurolog wyjął telefon, puknął kilka razy w ekran i przez chwilę przeglądał zdjęcia, które miał przypisane do numerów. A jedynymi kontaktami, do jakich Mikołajczak podpiął fotografie, była piątka najstarszych Kotów.

– A pan, generale? – profesor spytał nagle, swoim zwyczajem zerkając kątem oka na rozmówcę. – Chce pan komuś zrobić krzywdę?

– Z powodu? – Popović wyraźnie się najeżył. – Nie widzę żadnych błędów w postępowaniu Gajewskiego.

– Czasem liczy się po prostu, jaki jest efekt czyjegoś postępowania.

Popović nie był wyczulony na zmiany intonacji głosu swoich rozmówców, więc nie wyłapał groźby w pozornie neutralnych słowach Mikołajczaka. Dokładnie takiej samej, jaką zupełnie jawnie wyrażał dowódca Kotów w rozmowie w cztery oczy w warszawskim szpitalu wojskowym tuż przed tym, jak Popović odleciał do Berna.

– Jutro rano zabieram dzieci do wojskowego sanatorium w Baile Tusnad – stwierdził neurolog. – To są rumuńskie Karpaty, cisza, spokój, bezpieczne miejsce. Tam zobaczę, co da się zrobić.

– Ale na ile do tego sanatorium? W Akademii za tydzień zaczyna się sesja.

– Jaka sesja? O czym pan mówi? Szkolenie zostanie przerwane.

– Przerwane?! Niby dlaczego? Sanja się pozbiera, to twarda dziewczyna. Trochę odpocznie i weźmie się w garść.

– Pan nie rozumie. – Mikołajczak pokręcił głową. – Popełniliśmy straszny błąd, luka w szkoleniu. Być może nieodwracalna. Oni... Pan nie...

– Ależ doskonale rozumiem! Moja córka miała być oficerem i będzie oficerem. Musi się tylko zmobilizować.

– Ona się już zmobilizowała, proszę pana. Bardziej niż którekolwiek z nich. Bardziej niż należałoby się po niej spodziewać, gdybyśmy tylko przewidzieli... Nie wpadliśmy na coś tak oczywistego: inna biochemia, inne reakcje. A teraz to wyszło w takich okolicznościach, że... Myślę, że projekt się z tej kompromitacji nie podniesie.

Mikołajczak sam był zdziwiony, że mówi to tak bez emocji.

– Całkowita porażka. – Pokręcił głową. – Postawiłem na złego konia, trzydzieści lat pracy i jeden głupi błąd w procedurze warunkowania... Już nie będę miał drugiej szansy, nie w moim wieku. Dzieła życia mają to do siebie, że nie ma się okazji na ich powtórzenie.

„Jestem w szoku, chyba do mnie jeszcze nie dotarło”, podsumował beznamiętnie. Bo dalszy los projektu nie bardzo go teraz obchodził.

Przypomniał sobie, jak streszczał Ruecknerowi wydarzenia, których Kot nie pamiętał, a profesor znał z przesłanych mu natychmiast materiałów. Peter wysłuchał, pomilczał przez chwilę, siedząc na szpitalnym łóżku i patrząc na śpiącego Lewickiego. A potem tylko spytał, nadal bardzo spokojnie: „Tomo dostał coś nasennego?”. „Tak”. „Ja też chcę”.

Mikołajczak przypomniał sobie Majkę i Sanję, wszystkie rozmowy, jakie w ramach badań i szkolenia odbywał z Kotami przez ostatnie lata.

„Żal dzieci”.

– Generale, opcje są dwie. Albo ich trzeba potopić jak kocięta, albo szybko wyleczyć.



Siedzieli na fotelach ustawionych w krąg, Sanja na wprost okna. Jej wzrok uciekał w kierunku białych, poszarpanych wiatrem obłoków na jasnym niebie i gałęzi potężnego drzewa rosnącego tuż pod budynkiem ośrodka. Popović pomyślała, że w pochmurne dni jest jej łatwiej. Można się schować przed światem. W sumie miała słońcu za złe, że świeci.

– I wtedy usłyszałaś strzał – podjął Mikołajczak, patrząc na Majkę.

– Nie, chwilę później.

Mówiła powoli, z wysiłkiem, a Sanję zirytowało drażnienie tematu. Przecież Peter i tak oglądał już film z sondy.

– Widziałam na monitorze, jak od strony bramy biegnie drugi ochroniarz. Sięgał po pistolet. Steve przeskoczył nad tym pierwszym i zaczął biec.

Maja poprawiła włosy, ręce jej się trzęsły. Rueckner nie odrywał od niej wzroku. Sanja przygryzła usta. Tomek siedział z łokciami opartymi na kolanach i twarzą schowaną w dłoniach.



Griffin biegł w stronę potoku, długimi, nieludzkimi susami.

Gajewski, wpatrzony w ekran, rzucał rozkazy do umocowanego przy ustach mikrofonu. Z centrum dowodzenia wysypali się ludzie, z garażu wyjechał w stronę sąsiedniej posesji radiowóz z włączoną na cały regulator syreną, mającą pewnie tworzyć odpowiedni efekt psychologiczny.

Tomek Lewicki zerwał się, rzucił w stronę okna, otworzył je i skoczył z pierwszego piętra na taras. Za nim Majka.

– Dokąd?! Stać! – krzyknął Gajewski, znad głowy technika.

Wtedy od strony doliny huknął strzał. Sanja w pół kroku obejrzała się, czując, jak żołądek podchodzi jej pod gardło. Na monitorze Steven szykował się do pokonania kamienistej dolinki, którą płynął wezbrany po deszczach strumień.

Griffin zatoczył się, potknął i – skoczył. Jednak Popović aż krzyknęła.

Skoczył źle. Ufny w swoje Kocie możliwości, chciał wylądować po przeciwnej stronie parowu, tuż przy ogrodzeniu. Jednak już w momencie, kiedy wybił się ze śliskiej, pokrytej świeżym śniegiem trawy, Sanja wiedziała, co się stanie.

Rueckner, odpychając lekko Kotkę z przejścia, też wydostał się na zewnątrz. Ona stała nadal, zupełnie bezsensownie wpatrzona w monitor, na którym Steven spadał na wielkie otoczaki na dnie dolinki, lądował nie tak, jak można by się spodziewać po jednym z Kotów, lecz bezwładnie i ciężko. A potem toczył się w dół, w stronę wody, po kamieniach.

– Popović! – usłyszała jeszcze, ale była już wtedy na tarasie, biegła w stronę mającego we mgle ogrodzenia, które właśnie przesadził sprężystym susem Lewicki. Słyszała krzyki, widziała, jak Szymczyk cedzi coś do jednego z policjantów i – korzystając z jego nienaturalnej uległości – wrywa mu karabinek maszynowy, a potem nurkuje między zarośla nad potokiem.

Seria z karabinku odbiła się echem po górach. Sanja z pistoletem w dłoni

dopadła ogrodzenia.



– Wtedy złamaliście pierwszy rozkaz – Mikołajczak spokojnie stwierdził fakt.

Gałęzie za oknem ośrodka kołysały się w rytm podmuchów wiatru.

– Gajewski wołał, żebyście wracali. Jego głos zarejestrował mikrofon w sondzie, słyszeli go policjanci, których wyprzedziliście tylko o kilka kroków. Raczej nie uda wam się nikomu wmówić, że wy nie.

Cisza przedłużała się, aż w końcu odezwał się Tomek. Siedział pod oknem, więc Sanja widziała go pod światło.

– Przecież tam był Steven...



Koty trzymały się razem. Jeżeli tylko nie dostawali wprost innych poleceń, chodzili wszędzie we czworo, nawet jak na nich nienaturalnie w siebie wczepieni. Teraz też siedzieli w ciasnej grupce na zalanej lipcowym słońcem łączce na tyłach budynku sanatorium. Peter leżał na plecach, z głową na kolanach Sanji, a Majka i Tomek wspólnie łamali kupioną w szpitalnym kiosku czekoladę.

Popović bez skrupowania sięgnęła od razu po dwa kawałki, mówiąc przy tym: – Wolałabym bitą śmietanę.

Najbliższy lokal serwujący desery znajdował się podobno w odległym o dwadzieścia kilometrów miasteczku, ale dla zamkniętej w ośrodku Kotki równie dobrze mógłby być na Księżycu. W monotonnym trybie życia pacjentów nawet menu stawało się tematem dnia. A Sanja jak na złość miała ochotę wyłącznie na frytki i słodczyce, na które nie było co liczyć.

Majka zerknęła za siebie, w górę, w stronę świerków i kilku jarzębin, osłaniających polankę od strony budynku. Umknęli na chwilę przed czujnym wzrokiem Mikołajczaka, więc wołała się upewnić, czy zrobili to skutecznie.

– Zachowujemy się jak gimnazjaliści pijący w krzakach pryte – pokręciła głową.

– Przecież nie robimy nic złego – mruknął Peter, nie otwierając oczu, a obie dziewczyny od razu na niego spojrzały. Rueckner teraz odzywał się jeszcze rzadziej niż zazwyczaj.

Dziś jednak był w nastroju na zrzędenie.

– Psychoterapia na prochach jest bez sensu – stwierdził. – Na niczym nie można się skupić. O kant dupy potłuc i tyle.

Nie podjęły tematu, bo i co tu mówić.

Sanja czuła lekki zapach Kocięgo potu, cieplej od słońca skóry, wyciszenia i bezpieczeństwa. Nawet Tomek był odrobinę spokojniejszy.

Kotka wiedziała, że chłopak jest nadal jak napięta struna. Ruszał się nieco za gwałtownie. Zwykle strzygł się na jeża, a teraz miał już za długie włosy, posklejane na czole w idiotyczną grzywkę. Te wszystkie drobne, pozornie nieistotne szczegóły, po których można poznać, że z kimś jest coś nie tak.

W każdym razie, szło ku dobremu. Sanja pamiętała, jakie to było dla nich wszystkich paskudne uczucie: patrzeć na Tomka, normalnie wesołego jak żywe srebro, kiedy po wielu namowach wyszedł z nimi na dwór, a po chwili uciekł z powrotem do pokoju w nagłej panice nieracjonalnego stanu lękowego.

Teraz jednak miał najwyraźniej przyływ wisielczego poczucia humoru: – A co jeżeli oni nas stąd po prostu nie wypuszczą? – powiedział to tak, że zabrzmiało jak żart.

– Tobie to wiele nie zaszkodzi – palnęła beczelnie Majka. – I tak cud boski, że wyszedłeś z pokoju. Co, wsiadłbyś teraz w samochód i pojechał po rurki z kremem dla Sanji? Bo ja nie.

Lewicki zrobił taką minę, że Popović od razu dodała: – Hej, ona cię usiłuje rozśmieszyć! Chyba lepiej się śmiać niż płakać?

Tomek pokiwał głową. Popović przejechała dłonią po jego niedogolonym policzku, myśląc przy tym, że widać po twarzy, jak Lewicki schudł. Ona sama czuła się okrągła jak kula, choć raczej wynikało to tylko z subiektywnego nastawienia, skoro nadal mieściła się w ubraniach.

– No wiecie... Ewki nie wypuścili... – drążył Lewicki i tym razem już się nie uśmiechał.

Jeżeli chodzi o fakty, miał rację – Ewa, młodsza od nich o pięć lat Kotka z drugiej partii zmodyfikowanych dzieci, od prawie roku przebywała w zakładzie zamkniętym. Diagnoza – schizofrenia.

– Objawy w sumie jakby podobne, my też w końcu... – Tomek nakreślił dłonią kółko tuż przy swojej skroni.

– Nie nakręcaj się! – warknął Peter, a Sanja prawie podskoczyła, wyczuwając jego złość. Wkurzyć Ruecknera to nie lada sztuka. – Słyszysz głosy? Kontaktujesz z rzeczywistością? Jaką terapię z tobą prowadzą? Zapisali ci antypsychotyki? Popović, nie próbuj mi zatykać ust czekoladą, jak będę chciał opieprzyć Tomo jeszcze bardziej, to i tak to zrobię!



– Przyjechał cywilnym samochodem, wynajętym na lotnisku w Bukareszcie, ale ma na sobie mundur. Dokumenty też wyglądają na prawdziwe. – Widoczny na ekranie strażnik mówił szybko, dość przejęty.

„Zaraz zacznę mi się tłumaczyć z faktu, że nie zastrzelił natręta na miejscu, a zwłok nie zakopał w lesie”, pomyślał profesor Mikołajczak i postarał się, żeby jego twarz przybrała choć odrobinę mniej kwaśny wyraz.

– Nie gorączkujcie się tak, sierżancie. Oczywiście, że dokumenty są prawdziwe. To prywatna wizyta, wpuście natychmiast pana generała.

Rzucił okiem na zegarek, dając Popoviciowi około pięciu minut na przejechanie trasy od szlabanu, przegradzającego wąską boczną drogę, w górę przez świerkowo–bukowy las, pod główny budynek ośrodka.

W tym czasie Mikołajczak zadzwonił do trenera ganiającego właśnie czwórkę Kotów dookoła boiska, żeby był łaskaw poganiać ich jeszcze przez resztę popołudnia – na przykład w ramach biegu przełajowego po okolicy. Potem neurolog zszedł na parking przywitać Popovicia, z silnym postanowieniem, że jeżeli ten przyjechał rozmawiać z córką, to gorzko się rozczaruje. Presja była ostatnią rzeczą, jakiej Sanja teraz potrzebowała.

Okazało się jednak, że generał zjawił się po to, żeby ustawiać nie córkę, ale Mikołajczaka. Jakkolwiek naiwnie by taki zamiar nie wyglądał.

Toczona w gabinecie neurologa rozmowa dość szybko doszła do etapu, w którym Popović zerwał się i zaczął wzburzony przechadzać się po pomieszczeniu.

– Panie profesorze – wyprostował się na całe swoje metr dziewięćdziesiąt i popatrzył z góry na drobnego lekarza, który w dodatku wcale nie śpieszył się ze wstawaniem zza biurka – na tym przecież polega wojna. I nie może być tak, żeby żołnierze przestawali działać sprawnie, jeżeli... Z całym szacunkiem, ale jakoś szkoleni przez nas młodzi ludzie potrafią sobie poradzić z takimi sytuacjami. Mimo że nie mamy profesur z psychiatrii.

Może nie powinienem się bawić w te wasze eksperymenty, tylko wysłać dziecko do szkoły lotniczej?

Uwagi Mikołajczaka nie umknął fakt, że generał nie powiedział „córkę”, tylko „dziecko”. Oczyma duszy zobaczył tego wymarzonego syna, którego Popović nie miał: rudego, lekko piegowatego podchorążego na tle hangaru w Dęblinie.

„No cóż, to nie nasza wina, że Sanja nie jest chłopcem”, pomyślał profesor. „Chociaż dla nas to było korzystne, żeńskie płody łatwiej się modyfikuje”.

– Owszem, być może – odezwał się. – Ale to już przypało. Poza tym sam pan sobie odpowiedział.

– Nie rozumiem?

– Pan szkoli młodych ludzi. No a my... Koty trochę inaczej odbierają pewne rzeczy. Myśleliśmy, że są na to przygotowani. Przez jakiś czas pracowali w szpitalu, mieli kontakt z cierpiącymi, no właśnie – ludźmi. Tymczasem Griffin... To jest najwyraźniej kwestia biochemii, widać reagują mocniej, odczytując ból jednego z nich. A my oswajaliśmy ich z bólem ludzi.

– Pan raczy żartować. – Popović wyglądał, jakby uszło z niego powietrze.
– Pan raczy żartować – powtórzył ciszej, kręcąc głową w osłupieniu. – Niby kim jest moja córka, jak nie...

– Oni inaczej czują świat niż ja czy pan. Powiem panu coś w zaufaniu, nie będziemy tego wywlekać w żadnych raportach. Wydaje mi się, że cała ta mobilizacja Sanji wzięła się z trywialnego powodu: miała katar. To jej osłabiło węch i reagowała bardziej jak my, przynajmniej do pewnego momentu. Ale do raportu pójdzie, że jako jedyna prawie do końca zachowała zimną krew, proszę się nie bać. W sumie przecież takie były fakty, abstrahując od przyczyny.

Gniew Popovicia wypalił się chyba, bo generał stał jeszcze moment

pośrodku gabinetu i z powrotem zapadł się w głęboki fotel. Mikołajczak kontynuował myśl przerwana wybuchem rozmówcy: – Jak już wspominałem, w warunkach skrajnego stresu kortyzol zaczyna działać toksycznie i niszczy niektóre struktury mózgu, na przykład hipokamp. Mikrouszkodzenia można zobaczyć podczas badania funkcjonalnym rezonansem magnetycznym. Nie, u Sanji do tego nie doszło. – Profesor nie pozwolił, by ojciec Kotki wszedł mu w słowo. – Nie w znaczącym stopniu. Na szczęście to jest jedyna struktura mózgu, gdzie możliwa jest odnowa komórek pod wpływem leczenia farmakologicznego i odpowiedniego wsparcia.

„O ile oczywiście dane dotyczące funkcjonowania mózgu u ludzi można stosować do Kotów”, pomyślał profesor, zachowując tę refleksję dla siebie.

Popović milczał z wyrazem twarzy kogoś, komu po raz kolejny tłumaczą, że co prawda właśnie pali mu się dom, ale przecież ma to swoje dobre strony – na przykład można ogrzać się w ciepłe płomieni.

– Pan szkoli w Dęblinie młodych ludzi, generale. Rzecz w tym, że Koty nie były przygotowane na bodźce, jakich ludzie nawet w takiej samej sytuacji po prostu by nie doznali. A podczas warunkowania, czyli – nazwijmy to – znieczulania Kotów na pewne rzeczy, nie uwzględniłem decydującego czynnika. Mój błąd. Przed panem nie będę udawał, że mam coś na swoje usprawiedliwienie.

Dopiero po dłuższej chwili Popović odezwał się cicho.

– I jeszcze ta ich niesubordynacja... Jak pan się domyśla, w Warszawie huczy. Oficjalnie oczywiście nic nie wiem, ale mam swoje dojścia. Zjawiała się Rachel McLeary, pożarła się z którymś z Niemców, nazwisko nic mi nie mówi. Na szczęście dość powszechny jest pogląd, że projekt był zbyt kosztowny, żeby topić go akurat teraz, kiedy już zdążyliśmy się nim publicznie pochwalić.

– Tak, jeżeli zwiniemy zabawę po dwóch czy trzech rozreklamowanych

akcjach, zafundujemy armii efektowny skandal. Głównie na to liczę: jeżeli tylko postawimy Koty do pionu, będzie można użyć argumentu propagandowego.

– Właśnie w tej sprawie przyjechałem – stwierdził generał ponuro. – Proszę sobie szykować amunicję do dyskusji. Wyciekła do mnie informacja, że niedługo będzie pan miał gości.



– Nie strzelałam, żeby zabić – zastrzegła Maja Szymczyk, a Koty wiedziały, że nie kłamie. Mikołajczak też chyba jej wierzył.

– I nie zabiłaś przecież.

Skinęła głową.

– Mów dalej, Lewicki.

– Jesteśmy ratownikami, ja i Peter.

To było oczywiste, ale profesor odnotował, że chłopak wybrał ten właśnie sposób na określenie swojej roli w wydarzeniach. Jesteśmy ratownikami. Ja i Peter. Tomo i Ted, klęczący nad Griffinem, usiłujący zrozumieć, dlaczego chłopak tak potwornie krzyczy, skoro rana na twarzy jest powierzchowna, to tylko przecięty ostrym kamieniem łuk brwiowy.

Tomo i Ted nad zakrwawionym Stevenem. I Maja z karabinkiem nad krawędzią skarpy.

– Potem zjawiała się Sanja – opowiadał Lewicki – i zaczęła wrzeszczeć na Lwie Serce, żeby przestała strzelać. Chociaż już dawno nie strzelała.

– Ale mogła zacząć znowu! – nie wytrzymała Popović.

– Nie, no spoko... – machnęła ręką Majka. – Szwajcarscy gliniarze i ludzie

Gajewskiego już wtedy przeszli za strumień, zresztą nikt na chodzie tam nie został.

– W końcu znaleźliśmy ranę wlotową – ciągnął Tomek, ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Z tyłu, pod żebrami.

– Czytałem dokumenty z sekcji – powiedział Mikołajczak, z całą świadomością rzeczowo i bez ogródek. – Kula minęła nerkę i utkwiała w wątrobie, uszkodzając duże naczynie krwionośne.

– Ten doktor od Gajewskiego założył opatrunek z bionanobotami, mającymi wnikać do jamy otrzewnej i zatamować krwawienie wewnętrzne.

Sanja słuchała, jak Lewicki opowiadał. Łatwiej było przenieść Griffina do centrum dowodzenia niż do domu podejrzanego, mimo że w tym celu trzeba było przeciąć ogrodzenie. Ktoś zajmował się rannymi ochroniarzami, co Koty zapamiętały z rozkazów wydawanych przez Gajewskiego. Zatrzymano trzeciego strażnika i obie pracujące w willi kobiety. Przy okazji diabli wzięli wiarygodność śladów zapachowych.

– Steven był w fatalnym stanie – mówił Tomek, starając się przy tym nie szczekać zębami. Sanja czuła, że Kot balansuje na krawędzi hysterii. – To było widać od razu. Peter powiedział temu całemu doktorkowi, że nanobotów jest za mało. Zbyt poważne obrażenia i po prostu to, co jest w standardowym opatrunku, nie wystarczy. A ten sku... Znaczy, a doktor, że pacjent jest stabilny! Gównno, nie stabilny...

Sanja przymknęła oczy. Pod powiekami widziała wryty już chyba na zawsze w pamięć obraz Griffina na trawniku przed pełniącym funkcję centrum dowodzenia domem. Drobny, szczupły chłopak, zawinięty w srebrnozłotą folię termiczną, płatki śniegu topniejące na jego śniadych, lecz teraz ziemistych policzkach, pokrytych resztkami byle jak startej, zakrzepniętej krwi. Steve jeszcze nie stracił przytomności, jednak nawet prawie pozbawiona węchu Popović zorientowała się, że jest naprawdę źle.

– Mnie wydawało się oczywiste, że weźmiemy śmigło – stwierdziła. – Ale Gajewski kazał wezwać karetkę. Dwie karetki. Dla postrzelonego przez Maję ochroniarza też.

– Tylko że technik zameldował o wypadku przed Interlaken, zrobili objazd – wtrąciła Szymczyk.

– Więc powiedziałam, że ja polecę. Ja, Steven i lekarz. I pilot, jeżeli chce. Tylko że ja za sterami. Bo jednak warunki były rzeczywiście paskudne. Mgła, śnieg... Dalej, nad Mittellandem już normalniej, tyle że lało.

– Sanja naprawdę dobrze lata – odezwał się nagle Peter, do tej pory tylko śledzący czujnie rozmowę, podobnie jak Mikołajczak skupiony nie na suchych faktach, które teoretycznie znał, lecz na emocjach, z jakimi Koty o nich opowiadały. – To przecież wyszło jeszcze, jak byliśmy w szkole, kiedy ojciec wpuścił cię na symulatory w Dęblinie, prawda?

– Miałam świetne wyniki – zgodziła się Popović, bez entuzjazmu. – To nie moja zasługa, z każdym Kotem byłoby tak samo. Kwestia wyczucia maszyny, rejestrowania drobnych wibracji, minimalnych zmian dźwięku silników. Skoro mi dobrze szło, to trenowałam. Lubię latać, to znaczy... Lubiłam, no... – zająknęła się i umilkła, tracąc wątek.

– Co na to pilot i Gajewski?

– Jak to co? – Majka Szymczyk skrzywiła się w nieładnym grymasie. – Łatwo się chyba domyślić, nie?

– Profesorze, mogłam udawać miłego, skromnego podchorążego tuż po kursie, ale przecież nie w takich okolicznościach!

– Formalnie jesteś „tuż po kursie”.

– Bo niby kiedy miałam pozdawać te wszystkie kolejne egzaminy? Trzeba ileś godzin fizycznie wylatać, tego się nie da zrobić, siedząc w Akademii!

– Gajewski się wkurzył – wróciła do tematu Majka. – Niby trudno się dziwić, tam był jeden wielki burdel na kółkach, ale on się jakoś tak strasznie

spiał i zestresował, stałam koło niego, od razu to wyczułam.

– A Sanjeczka dalej swoje – dodał Tomek – żeby ładować Griffina, ona poleci.

– Co ty w tym czasie robiłeś? – upewnił się Mikołajczak.

– Byliśmy obaj przy Stevenie. Pomagaliśmy lekarzowi.

Profesor pomyślał, że chłopcy spędzili najwięcej czasu w bezpośredniej bliskości cierpiącego kolegi. Wiedział, że powinien zbadać pod tym kątem film z sondy, mierząc średnią odległość, czas ekspozycji na zapach i ogólnie uzyskując mnóstwo obiektywnych danych, zamiast opierać się na być może mylnym wrażeniu. Jednak z jakiejś przyczyny przekazanie nagrania do takiej analizy wydawało mu się niestosowne.

Szymczyk mówiła dalej.

– Sanja podniosła głos.

– Naprawdę? – spieszyła się Popović. – Wydawało mi się, że tylko mówię dobitnie. Pan pułkownik – nagle przeszła na taki sposób określania Gajewskiego – nie miał pełnej informacji. Starłam się mu ją przekazać.



Rudowłosa Kotka – Popović – podniosła głos. Gajewski odpowiedział jej, w zamierzeniu spokojnie, bez unoszenia się, które tylko mogłoby nadszarpnąć jego autorytet. Że owszem, czytał akta, mgliste, nieprecyzyjnie określające istotę uzdolnień Kotki. Ale za sterami usiadł pilot z wieloletnim doświadczeniem, udokumentowanym na piśmie. Oczywiście jeżeli uzna, że w ogóle można lecieć.

Pułkownik nieco się zagalopował, chyba też mówił za głośno. Dał się

wciągnąć w konflikt z dwudziestojednoletnią podwładną.

Tymczasem ona pytała właśnie Ruecknera o ocenę stanu rannego. Ruecknera. Jakby lekarza w ogóle tam nie było. A Szymczyk stała tuż przy Gajewskim, przyglądając mu się czujnie, z ręką na wciąż przewieszonym przez ramię karabinku.

Zimny dreszcz przeszedł pułkownikowi po plecach, kiedy patrzył na czwórkę mutantów, idealnie zgranych, bezwzględnie lojalnych wobec siebie nawzajem, a za nic mających przepisy. I jeszcze to upiorne wrażenie, że oni współdziałają prawie bez słów, całkowicie zsynchronizowani w niewerbalnej komunikacji.



– I wtedy sobie uświadomiłam – powiedziała Majka – że Gajewski zachowuje się, jakby wolał przestrzelić Sanji kolano niż pozwolić jej lecieć. Zobaczyłam, że go ręka zaczyna świerzbic. Sięgał do tej kabury, bo miał kaburę pod cywilną marynarką, sięgał po pistolet nie po to, żeby Sanję straszyć, ale żeby ją okaleczyć! No, zakładam, że strzelałby jednak w nogi...

– Jesteś pewna, że w ogóle zamierzał używać broni? – Mikołajczak słuchał rewelacji z kamiennym spokojem. Gajewski mógł uznać, że woli mieć dwoje rannych Kotów niż rozbity helikopter z – no właśnie, może dwójką, ale może i całą piątką Kotów na pokładzie. Od samego początku musiał im nie ufać, skoro tak niewiele wystarczyło, żeby poczuł się osaczony i zaczął panikować.

– Tak, jestem pewna! – prawie krzyknęła Majka. – Dlatego kazałam mu zabrać łapę z pistoletu, tylko grzeczniej.

– Kazałaś po Kociemu.

– Przecież dobrowolnie by nie posłuchał. Ale był rozchwiany, wcale nie czuł się tak naprawdę panem sytuacji, łatwo się poddał.

– Łatwo mogłaś go zdominować, mimo że formalnie był twoim dowódcą. Myślisz, że z kim innym poszłoby ci równie szybko, tylko dlatego, że jesteś Kotką?

– Nie – pokręciła głową Szymczyk. – Gajewski stracił nad nami kontrolę już wcześniej.

– A ty, Sanja, też uważasz, że pułkownik miał zamiar do ciebie strzelać? Może to było nieporozumienie, może Maja w stresie źle zinterpretowała jego zachowanie?

– Nie, Lwie Serce miała rację. Kiedy ktoś chce zaatakować, to się czuje.

– Tomek? Jak ty pamiętasz ten moment rozmowy?

– W ogóle nie pamiętam. Steven zaczął rzygać, mało się nie zadławił, nie miałem głowy ich słuchać. Potem, jak Sanja kazała, żebyśmy go ładowali do śmigła, to się okazało, że Szymczyk stoi z karabinkiem i nas osłania. Pomyślałem: cholera, ale się wkopaliśmy. Tyle że jakie to w ogóle miało wtedy znaczenie?



Mikołajczak myślał początkowo, że Paweł Zwierzchowski – profesor aż musiał jeszcze raz sprawdzić jego nazwisko – jest czyimś asystentem. Na oko góra trzydziestoletni, dość dandysowaty, z włosami ciemnoblonde związanymi w kucyk. Ciemna marynarka ze stójką, a zanim weszli do budynku – płaszcz, jedwabny szalik i kapelusz. Nawet patrząc na obrączkę Zwierzchowskiego,

profesor pomyślał, że ten krążek jasnego złota ma w założeniu dodawać właścicielowi lat i powagi.

Okazało się bowiem, że milczący do tej pory najmłodszy członek delegacji nie jest niczym sekretarzem, tylko jednym z doradców ministra obrony. Czyli zasadniczo przyjechał tu w roli ważniejszej niż tylko pilnowanie papierów.

Teraz najwyraźniej postanowił to okazać.

Wstał zza konferencyjnego stołu i rzuciwszy jeszcze okiem na ostatni z wyświetlanych na ścianie slajdów, przeszedł pod okno. Z miejsca, w którym siedział profesor, widać było tylko zieleni gór, przetykaną wszystkimi odcieniami żółci, pomarańcza i czerwieni, ale Zwierzchowski spojrzał w dół, tuż pod okno, i zapatrzył się na dłuższą chwilę.

Mikołajczak odnotował to z satysfakcją. Nie przez przypadek Koty grały w koszykówkę akurat dziś i akurat na tym boisku. Oczywiście zainteresowani nie mieli pojęcia, że ktoś im się przygląda. A było czemu. Profesor sam kiedyś spędził kilkanaście minut, gapiąc się na swoich młodych pacjentów, którzy korzystając z tego, że grają w ściśle Kocim składzie, prawie fruwały po boisku.

Zwierzchowski ocknął się wreszcie, uśmiechnął przepraszająco – bardziej do swoich kolegów niż Mikołajczaka – i przerzucił plik trzymany w dłoni wydruków.

– Miałbym, jeżeli pan pozwoli, kilka pytań. Może najpierw to... – Zatrzymał wzrok na jednym z dokumentów. – Sanja Popović, to córka tego generała lotnictwa? W jej kartotece medycznej jest wpis: „Epizod autoagresji w wieku siedemnastu lat”. Sznyty sobie robiła?

Profesor stłumił irytację i odpowiedział całkowicie obojętnym tonem.

– Popović idzie w zaparte, że to był zakład z koleżanką. Rozumiecie panowie: z której niby większa twardzielka. Ja podejrzewam stresy osobiste.

Typowa reakcja ambitnej introwertyczki, podręcznikowe.

– Widzę, że Koty mogą na pana liczyć, jeżeli chodzi o wyjaśnianie nam wszelkich wątpliwości? – Uśmiech Zwierzchowskiego mógłby bez problemu uchodzić za życzliwy.

„Ech, ty mój Chłopcze Samo Zło”, westchnął w myślach Mikołajczak. Profesor był przyzwyczajony, że to on dyktuje tematy i sposób prowadzenia tego typu rozmów, tymczasem Zwierzchowski, cywil, który od biedy mógłby być jego wnukiem, wymykał mu się w zasadzie już od momentu pierwszych powitalnych frazesów. Nie szedł na jawną konfrontację, ale też nie ulegał wpływowi, zazwyczaj wywieranemu przez neurologa na rozmówców, czasem świadomie, a czasem instynktownie.

Zza okna dobiegła soczysta wiązanka w damskim wykonaniu. Mikołajczak rozpoznał głos Majki. Któryś z siedzących za stołem mundurowych zaśmiał się cicho.

Jednak Chłopiec Samo Zło miał jeszcze inne wątpliwości.

– No właśnie, wyraźnie tu widać – kartkował papiery – to wsparcie zwierzchników. Niewątpliwie projekt jest ogromnie faworyzowany przez dowództwo.

– Dziwi to pana? – Głos profesora zabrzmiał lodowato, na granicy dobrych manier.

– Nie, oczywiście, że nie. To unikalny eksperyment. Rzecz jasna wnikliwie obserwowany... Zwłaszcza teraz... Nie ukrywam, że zmartwiły mnie pańskie wyjaśnienia. – Zwierzchowski machnął w kierunku slajdu na ścianie. – Ten poziom, hmm, niezrównoważenia niepokoi.

– Z definicji wynika, że zaburzenia tego typu dotyczą ludzi normalnych, zdrowych. Ich przebycie nie świadczy o braku predyspozycji do służby wojskowej. Myślę, że w ciągu kilku tygodni Koty będą w stanie wrócić do zwykłych obowiązków.

– Skoro pan tak twierdzi... – Kolejne wystudiowane, na pewno nieprzypadkowe zawieszenie głosu. – Pan jest specjalistą. Ja jednak ciągle mam na uwadze sytuację ich młodszych kolegów... Sam pan przyzna, że to działa na wyobraźnię.

I tego już było za wiele. Chłopiec Samo Zło wkroczył na teren zakazany. Mroczny obszar lekarskich błędów i niedostatku wiedzy przy eksplorowaniu rejonów zupełnie nowych dla nauki, przynajmniej europejskiej, bo ponoć Chińczycy mieli już ten etap odkryć dawno za sobą.

Z grupy młodszych o pięć lat Kotów – rówieśników Ewy, której chorobą niepokoił się Tomek Lewicki – do wojskowego liceum chodziło teraz już tylko dwoje.

Problem Ewy poprzedziło wyłączenie z projektu we wczesnym dzieciństwie dwóch chłopców, którzy okazali się autystyczni. Już wtedy Mikołajczak i jego zespół uznali, że stosowana przez nich dotychczas technika modyfikowania embrionów jest daleka od ideału, może powodować niepożądane skutki uboczne.

Ulepszono więc metodę podawania transgenów i kolejne partie Kotów, w pozwalających na prowadzenie obserwacji pięcioletnich odstępach, zmieniano już przy zastosowaniu nowej, bezpieczniejszej.

– Wyobraźnia to cecha pożądana – powiedział bardzo powoli Mikołajczak. – Jednak w przypadku nauk przyrodniczych należy kierować się przede wszystkim rozumowaniem analitycznym.

Profesor usiadł wygodniej w obrotowym fotelu, zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

– Tu nie wolno palić – zachnął się Samo Zło.

– Panie Pawle – Mikołajczak odnotował jego skrzywienie na taką formę i z lubością powtórzył – panie Pawle, co tu wolno, decyduję ja. Jednoosobowo.



Koty były już na tyle zdrowe, żeby męczyła je bezczynność, ale też na tyle jeszcze rozchwiane, że nie umiały sobie z tym radzić. A na pewno dobijała je konieczność codziennego rozdrapywania wszystkich tamtych koszmarnych szczegółów, minuta po minucie, krok po kroku. Świadomość, że w ostatecznym rozrachunku wyjdzie to im na dobre, niewiele pomagała.

– Popatrz, Peter, mogliby nam chociaż pozwolić na kontakt z rodziną – stwierdziła ostro Szymczyk, a Popović pomyślała, że chyba nie tylko o mamę czy tatę Majce chodzi. I że nie bez powodu oczekuje zrozumienia akurat od Ruecknera.

Peter machnął zrezygnowany ręką, a jasnowłosa Kotka w złości wstała i zaczęła krążyć po sali. Popović po raz kolejny stwierdziła, że Majka jest jak odbezpieczony granat, czasem strach się w ogóle odezwać, żeby nie spowodować wybuchu.

Dziś rano pokłóciły się o kolejność brania prysznicą, co z pozoru nic nie znaczyło, ale Sanja dobrze wiedziała, że jest to niepokojący sygnał. Popović i Majka nie mieszkały razem w akademiku, bo psychologiczne konsylium już na etapie internatu w szkole średniej zarządziło, że Kocie towarzystwo trzeba czasem rozdzielać i że powinni umieć odnajdywać się w innych grupach. Ale poza uczelnią było mnóstwo okazji, kiedy dziewczyny spały w jednym namiocie, jadły z jednego garnka, czesały się jedną szczotką i jakoś nigdy nie dochodziło do zgrzytów związanych z codziennym funkcjonowaniem.

Tym razem kwestia, która z nich będzie się pierwsza kąpać, okazała się nie do przeskoczenia. Sanja rzuciła mięsem, na co Szymczyk rzuciła krzesłem.

Następnie pośpiesznie zaczęły razem naprawiać jego utraconą nogę, żeby

broń Boże ktoś się nie zorientował i nie doniósł Mikołajczakowi. Popović na końcu języka miała komentarz, że zachowują się jak więźniowie, którzy bardzo, ale to bardzo chcieliby już wyjść za dobre sprawowanie.

– Sanja pogadałaby z ojcem – drążyła Majka z uporem godnym lepszej sprawy. – Może dowiedzielibyśmy się, na czym stoimy.

Kotka, czując się wyrwana do odpowiedzi, sformułowała pełne powątpiewania: – Yhm...

– *The best of* Sanja „Yhm” Popović – parsknął Tomek.

– Też cię kocham, Lewicki. – Ton Sanji przeczył słowom. Miała dość tematu pogawędek z tatusiem.

Zdjęła buty i zwinęła się w kłębek na fotelu. Wraz ze zmianą poziomu hormonów ból głowy płynnie przechodził w ból brzucha.

– Może pójdz do pielęgniarek po coś rozkurczowego? – zaproponował ze szczerą troską Tomek, a Popović miała go ochotę zamordować. To był jeden z momentów, kiedy w pełni rozumiała, dlaczego ludzie czasem nie przepadają za towarzystwem Kotów.

Co gorsza, Lewicki miewał przy tym urok miny przeciwpiechotnej.

– A już myślałem, Sanjeczka, że w ciąży jesteś, tak ciągle gadasz o bitej śmietanie – stwierdził radośnie.

Popović prychnęła po kociemu i zamarkowała drapnięcie pazurami.

Szanse na zajście kiedykolwiek w ciążę miała w zasadzie zerowe, podobnie jak Weronika – dopóki pozostanie wierna Peterowi. Problem antykoncepcji rozwiązali za Koty wojskowi lekarze, zanim te w ogóle weszły w okres dojrzewania. Rozwój transgenicznych dzieci był wspomagany lekami, treningiem, szczegółowo monitorowany. W jaki sposób mutacja objawiłaby się w następnym, mieszanym pokoleniu, nie wiedział nikt i nie chciano ryzykować.

Akurat Sanja była z tego powodu bardziej niż zadowolona. Weronika i

Peter pewnie mniej.

– Tomo, tobie ewidentnie brakuje kobiety – mruknęła Popović. – Dmuchnij może jakąś pielęgniarkę, zamiast głupoty gadać.

Nigdy nie twierdziła, że ma dobry humor, kiedy boli ją brzuch, a migrena dopiero się kończy.

– Żadna nie chce. – Lewicki zaprezentował swój najładniejszy uśmiech z serii „chodząca niewinność”. – Wszystkie się boją Mikołajczaka.

– O wilku mowa... – powiedziała Majka, która zatrzymała się akurat tuż przy drzwiach.

Te chwilę później otworzyły się i do sali wszedł profesor.



Popović nie zmieniła pozycji, nadal skulona w fotelu.

– Ja mało co pamiętam – powiedziała od razu zaczepnie. – Starłam się nas przede wszystkim nie rozbić.

Nagle wspomnienia Sanji wróciły, prawie fizycznie bolesnym flashbackiem. Łoskot wirnika, ogłuszający mimo słuchawek. Białe smugi rzednących chmur, przez które tylko parę razy mignęło buroniebieskie jezioro Thun daleko w dole.

Dziewczyna jeszcze bardziej zapadła się w sobie.

Mikołajczak powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych Kotów. Tomek uciekł spojrzeniem, Majka siedła wreszcie na swoim miejscu, bardzo przy tym zajęta podwijaniem rękawów bluzy. Peter spytał niepewnie: – No więc lecieliśmy?...

Widząc, że doszli do martwego punktu i na odpowiedź któregoś z

młodych nie ma co liczyć, profesor skinął głową.

– Tak. Z Interlaken do Berna jest blisko i lot trwał bardzo krótko.

Mikołajczak dobrze odgrywał profesjonalny dystans, lecz Koty wiedziały swoje. Dla niego też nie była to chłodna rozmowa na temat ściśle zawodowy.

– Kiedy już... było po wszystkim, rozmawiałem z tym lekarzem, którego porwaliście.

– On tak powiedział?! – Sanja gwałtownie podniosła głowę. – Że go porwaliśmy?

– Nie, to w końcu lekarz. Był potrzebny, więc poleciał z wami, pewnie nawet z własnej woli. Tylko jeżeli spojrzeć prawdzie w oczy, to jego zdanie chyba średnio się wtedy liczyło, hmm?

Szymczyk odchrząknęła.

– Eeee, obawiam się, że...

Spod jej skruszonego tonu jawnie przebijało zadowolenie z własnej bojowej skuteczności. Mikołajczak uniósł w myślach oczy do nieba.

„A najgorsze, że Mykicioniuk pewnie jeszcze by się z nią w tej kwestii zgodził”.

– No więc wyciągnęli mnie z pierwszego wykładu, na szczęście dyskretnie. Zawieźli do konsulatu w Seattle i zorganizowali bezpieczną telekonferencję. Wy wtedy już byliście w klinice, jakoś starali się wam tu pomóc, ale widzieli, że sami sobie nie poradzą.

Chwilowy dobry nastrój Majki prysł i Mikołajczakowi zrobiło się jej żal.

– Gajewski zdążył przyjechać samochodem, pewnie pruć jak wariat na sygnale, i fakt, to trzeba mu przyznać, zadziałał bardzo sprawnie. Opanował sytuację, zdusił skandal w zarodku, rozstawił strażników, no i przede wszystkim w pełni współpracował ze mną. I niech to mu się liczy na plus – zaznaczył profesor dobitnie, patrząc na Koty. Starał się być obiektywny. – Od razu się zorientował, że przede wszystkim będę chciał rozmawiać z

lekarzem. Bo po prostu nikt nie mógł zrozumieć, co się konkretnie stało.



Kiedy Sanja Popović posadziła śmigłowiec na dachu kilkudziesięciopiętrowej wojskowej kliniki, lekarze już na nich czekali. Gotowe było wszystko, sprzęt, nosze, rozciągnięty ochronny rękaw prowadzący do wnętrza budynku, szarpany wiatrem i zacinającą ulewą.

Kotka instynktownie starała się oddychać krótkimi, płytkimi haustami. Żeby jak najślabiej czuć ten upiorny zapach krwi i śmierci sączący się do kokpitu, pozornie słaby, na granicy percepcji, ale podstępnie odbierający siły.

Ostatkiem woli wyłączyła silnik, zdjęła słuchawki i wyskoczyła na płytę lądowiska. Chciała zawrócić, pobiec za lekarzami do pasażerskiej części helikoptera, ale zacisnęła zęby i dopełniła procedury. Stała na baczność przed najstarszym stopniem oficerem, który wezwany radiowo przez Gajewskiego oczekiwał teraz wyjaśnień, i wykrztusiła meldunek. Poprawnie, wyraźnie, pełnymi zdaniem i nawet w całości po angielsku, choć o mały włos przeszłaby w pewnym momencie na chorwacki.

A potem usiadła, tak jak stała, na zalanym deszczem betonie. I zaczęła się kiwać.



– Lekarz nie był skurwysynem, Tomku – stwierdził Mikołajczak, a

Lewickiemu zrobiło się wstyd. – On się autentycznie przejął, i Stevenem, i tym, co stało się z wami. Fakt, zbyt optymistycznie ocenił stan Griffina, ale przecież i tak robił wszystko, żeby go ratować. Nie popełnił żadnego błędu, niczego nie przeoczył, po prostu wy wcześniej wyczuliście, że Steven umiera. Nie oczekujcie od ludzi, że będą zawsze za wami nadążać.

Koty milczały.

– Rozmawiałem z nim, wtedy przez telefon z Seattle, potem na żywo też, lecz tamta pierwsza rozmowa była chyba najważniejsza. On miał wszystko na świeżo w pamięci. Był trochę przestraszony, Sanja, proszę, nie krzyw się. Trochę się przede mną tłumaczył, bo wiedział, że widać po nim niepokój. Przecież starał się pomóc.



Lekarz siedział na tle jasnożółtej ściany, pewnie w którymś z pomieszczeń kliniki w Bernie. Czasem patrzył wprost do kamery, kiedy indziej gdzieś daleko, poza jej zasięg. Mikołajczak pomyślał, że może za okno, lecz przypomniał sobie, że w Europie jest teraz noc i szyby są raczej zasłonięte.

– W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi. Byłem przecież zajęty rannym. Potem uświadomiłem sobie, że oni... – Zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – Węszą. Tak, wiem, to brzmi jakoś tak... Ale to chyba najlepsze określenie. Węszą i dzieje się z nimi coś złego. Jeden z chłopaków zaczął mieć dreszcze.

– Są Kotami – wyjaśnił Mikołajczak, klnąc w duchu swoje niedopatrzenie, popełnione podczas szkolenia błędy, rozpaczliwie zastanawiając się, co teraz i na ile jeszcze da się cokolwiek uratować. – Są Kotami, wyczuwali to, co

działo się z rannym.

Lekarz skinął głową, że przyjmuje do wiadomości, nawet jeżeli nie do końca rozumie.

– Griffin jeszcze oddychał, byłem przygotowany do reanimacji. I wtedy dziewczyna wzięła go za rękę, wtuliła się. Chciałem poprosić, żeby się odsunęła, żeby nie przeszkadzała, ale pomyślałem, że może oni... Zamarła z nosem tuż przy rękawie jego kurtki. I węszyła. To było takie... – Lekarz odchrząknął. – Dziwne. Dość... zwierzęce.

Profesor nie komentował.

– Później chłopcy tak samo. W zasadzie to wyglądało, jakby starali się...

– Ogrzać umierającego własnym ciepłem? – podpowiedział Mikołajczak.

– Tak. Właśnie... Tak.



– Kiedy lądowaliście, trwała już reanimacja.

Peter nagle potwierdził.

– Pomagaliśmy lekarzowi – powiedział pewnym głosem. – Kiedy wylądowaliśmy, wyrzucili nas z kabiny. Zawadzaliśmy...

– I co zrobiłeś wtedy? – podchwycił czujnie Mikołajczak, a trzy pary Kocich oczu wraz z nim wpatrywały się w twarz Ruecknera, który właśnie zrozumiał, czemu budzi takie zainteresowanie.

– Pamiętam, tak, pamiętam, jak wyszedłem z kabiny. Z Tomkiem...

Urwał, bo głupio mu to było powiedzieć.

– Obejmowaliście się. Wszyscy troje, z Mają też. Tak?

Skinął głową.

– I podeszliśmy do Sanji. Siedliśmy koło niej.

– W tym deszczu? Na mokrym betonie?

– Tak. I zacząłem, no...

– Przykro mi Peter, ja wiem, że to idiotycznie brzmi. Zaczęliście się tulić, zbici w ciasną grupkę. Obwąchiwać po twarzach, włosach. Żeby się nawzajem uspokoić. Widziałem film, który ktoś kręcił z ręki. Oni od początku wiedzieli, że sytuacja jest kryzysowa, że helikopterem przyleci ciężko ranny unijny żołnierz i trzeba dokumentować.

– Potem nas chyba próbowali stamtąd zabrać? – Wspomnienia znów zaczęły Ruecknerowi umykać.

– Zwracaliście uwagę. Szczerze mówiąc, powszechną uwagę.

– Jezu... – jęknęła Popović.

Dopiero teraz pomyślała, jakie to było upokarzające. Wtedy nie zastanawiała się, czy ktoś na nią patrzy.

„Dziwne. Dość... zwierzęce. Boże...”.

Mikołajczak przyglądał się uważnie Sanji i w końcu powiedział: – To, co się stało, było reakcją fizjologiczną. Niezależną od waszej woli i w zasadzie, jeżeli jest to czyjaś wina, to moja. Niestety rozwiązanie widzę tylko jedno. Wiecie, co mam na myśli, już to kiedyś robiliśmy, chociaż w mniej... drastycznych okolicznościach. Zapach przestanie wywoływać taki efekt, jeżeli organizm oduczy się jego związku z rzeczywistym znaczeniem. Więc musimy was oduczyć.

Siedzieli przed nim, wyprostowani i spięci. Już zrozumieli. Majka i Tomek trzymali się za ręce.

Profesor otworzył pojemnik i położył przed sobą na stoliku, równo, jeden obok drugiego, cztery foliowe woreczki zawierające fragmenty granatowego materiału, zabezpieczonego jeszcze w Bernie. Z części nadrukowanych na nich białych liter można by ułożyć logo Siemens.



Kiedy niedługo później Maja Szymczyk wróciła z sanatorium, jej rodzice wzięli miesiąc urlopu, zwolnili młodszego syna ze szkoły i pojechali wszyscy w góry Taurus. Kotka potrzebowała pozwolenia od zwierzchników na opuszczenie terytorium Unii, ale dostała je bez problemu. Turcja była krajem neutralnym o orientacji proeuropejskiej, a znajomość geografii Bliskiego Wschodu mogła się jeszcze Majce nieraz przydać.

Profesor Mikołajczak też nie zgłaszał zastrzeżeń. Szymczyk dość szybko doszła do siebie i była w najlepszej formie z całej czwórki Kotów. W zasadzie mogła już wcześniej opuścić Baile Tusnad, jednak lekarze woleli, żeby została, bo miała dobry wpływ na resztę. Nawet jeżeli akurat kogoś zbluzgała, to zwykle zaskakująco oczyszczało to atmosferę.



Tomek Lewicki, kiedy tylko elementarna przyzwoitość wobec matki na to pozwoliła, zmył się na miasto. Obiecywał Mikołajczakowi, że będzie teraz grzecznie zażywał ruchu na świeżym powietrzu, kultywował życie rodzinne i przygotowywał się do egzaminów z letniej sesji, które wszystkim Kotom przepadły.

I będzie to oczywiście robił. Później.

– Czołem, Ziemianie! – huknął, stając w progu swojego pokoju w akademiku.

Powitały go wrzaski kumpli.

– Duch, duch!! Mam przywidzenia!

– Wrócił do nas, jednak zatęsknił!

– A już myśleliśmy, że cię wreszcie żandarmeria zgarnęła za zakłócanie spokoju.

– Albo że wyleciałeś z Akademii za tę historię z córką dziekana.

– Nie znam żadnej córki, dziekana też nie znam, nic nie wiem, to wszystko plotki. – Lewicki gwałtownie zamachał rękami, wywołując salwę śmiechu.

Uścisnęli sobie dłonie i zapadła wyczekująca cisza. Postawili przed Tomkiem butelkę piwa, a on sięgnął po nią, choć poczuł się odrobinę winny, gdy wyobraził sobie minę Mikołajczaka. Profesor był jedną z nielicznych osób, na których zdaniu Lewickiemu zależało.

Koledzy nie rezygnowali:

– Zjawiasz się tak bezczelnie w połowie października. Mielicie ćwiczenia terenowe?

– Ćwiczenia terenowe to są dla was, chłopaczki.

– Czyli misja? – Koledze zaświeciły się oczy.

– Nie zadawaj tylu pytań, bo jak się za dużo dowiesz, to cię jeszcze wraz z służbą zgarną – odpalił Lewicki, szczerząc zęby. – Przyszedłem po nagrania z wykładów, nie cierpię się uczyć z książek.

– Jaki pilny się nagle zrobił!

– Ano pilny, pilny, dowódca mi będzie indeks sprawdzał, zapowiedział to głośno i uroczyście.

– Nie mów, że zaczynasz się uczyć już dzisiaj? Trzeba by coś przecież wypić z okazji twojego powrotu.

– Ja na imprezę zawsze chętnie. Ale na trzeźwo. Muszę być pod telefonem. – Tomek zrobił przy tym odpowiednio porozumiewawczą minę.

Nie sprecyzował, że jedyną osobą, która mogłaby do niego dziś zadzwonić służbowo, był psychiatra.



Peter Rueckner nacisnął dzwonek w drzwiach mieszkania Weroniki. Nie wiedział, czy dziewczyna jest w domu, nie zapowiadał swojej wizyty. W ogóle nie rozmawiał z nią od wyjazdu do Interlaken. To nie były sprawy do wyjaśniania przez telefon.

Ale teraz uświadomił sobie, jak to wyglądało z jej punktu widzenia, i poczuł się jak ostatni idiota.

Weronika otworzyła drzwi, a on nie wiedząc, od czego zacząć, powiedział: – Cześć.

Wyglądała ślicznie, w krótkiej sukience z guziczkami, jak zwykle bez makijażu. Długie włosy ciemnoblonde miała po domowemu trochę potargane.

– Peter! Rozmawiałam z twoją mamą, wszystko wiem.

Stali wtuleni w siebie przez długą chwilę, a potem poszli do kuchni. Weronika nastawiła wodę na herbatę. Usiadła na blacie szafki i przyciągnęła do siebie chłopaka.

– Kiiici. Taki koci kotek – uśmiechnęła się z troską i pogłaskała Petera po twarzy.

Potem oplotła go długim nogami i pocałowała. Kiedy byli w połowie rozpinania guzików, a czajnik już dawno sam się wyłączył, Weronika nagle coś sobie przypomniała.

– Słuchaj! Zdobyłam stopień mistrzowski, pierwszy dan. Czarny pas.

– Wyjdiesz za mnie?



Sanja nie chciała, żeby ktokolwiek odbierał ją z lotniska, po prostu pewnego dnia stanęła w drzwiach. Postawiła wielki plecak przy schodach na piętro i – lekko zaskoczona – wpadła prosto w objęcia matki. Kiedy pani Popović odpłynęła do kuchni, żeby zrobić kawę, do Kotki podszedł ojciec. Rzucił jej czujne spojrzenie i położył rękę na ramieniu.

– Jak sytuacja?

– Wszystko w porządku. Już w porządku, tato.

– To dobrze – skinął głową. – Bo twoja matka trochę tu od zmysłów odchodzi.

Pożegnał się i ruszył do drzwi. Córka zdążyła go zastać dosłownie w ostatniej chwili przed wyjściem. Kierowca już czekał na podjeździe z włączonym silnikiem.

Sanja poszła do kuchni, gdzie została z kolei uściskana przez siostrę. Młodsza o dwa lata Dunja, z której narodzinami naukowcy projektu nie mieli absolutnie nic wspólnego, zdała w tym roku maturę i dostała się na jakiś psychologiczny kierunek. Siostry żyły w dwóch kompletnie odmiennych światach, starsza – córeczka ojca, młodsza – matki. Spotykały się rzadko, ale teraz Kotka z trudem wywinęła się z objęć Dunji.

– No dobra, nie przesadzajcie – powiedziała, czując się trochę niezręcznie, i z wdzięcznością sięgnęła po postawioną przed nią latte macchiato.

– Do kiedy zostajesz? – spytała pani Popović, nie mniej skrupowana.

– Nie wiem, co najmniej miesiąc. Potem mam badania.

– Teraz byłaś gdzieś w Karpatach, w sanatorium? – odezwała się Dunja. –

Tyle nam tata mógł powiedzieć.

– Tak. Piękne miejsce, ośrodek jest na uboczu, mało ludzi. Pod koniec wolno nam było wychodzić w góry. Tropiliśmy z Majką rysie.

– Tropiłyście? – spytała pani Popović znad mieszanej na kuchence potrawy. – Umiesz tropić zwierzęta?

– No... To tak samo wyszło. Byliśmy w lesie, poczułyśmy je...

– Aha – ucięła matka, trochę zbyt szybko.

Sanja spuściła wzrok i przygryzła wargę.

Uczucie obcości, odrobina instynktownej niechęci. Kotka czytała generałową bez problemu. I to nie było przyjemne.

„Przecież ona tak tylko czasem...”. Sanja próbowała dość bezskutecznie poprawić sobie zwarzony nastrój.

Matka przerwała przedłużające się niebezpiecznie milczenie: – Cieszę się, że doszłaś do siebie. Bo już dobrze się czujesz, prawda?

– Chyba tak. – Dziewczyna zawahała się, ale na pytanie postawione takim tonem nie wypadało odpowiedzieć przecząco. – Chyba. Wiecie, już latałam helikopterem, pilotowałam z ośrodka na lotnisko.

– Przecież uprawnienia masz od ponad roku – zdziwiła się pani Popović.

– No tak, ale... Moment, to wy... Wy nie wiecie? Co wam tak konkretnie powiedziano?

Matka odłożyła teflonową łyżkę na spodeczek, dbając, żeby po drodze nie poplamzić blatu.

– Steven Griffin zginął w akcji. Wy doznaliście szoku.

– Zespół stresu bojowego – płynnie weszła jej w słowo Dunja.

Sanja uświadomiła sobie, że wbrew temu, co jej się wydawało, wcale nie umie o tym teraz tak po prostu rozmawiać. Na szczęście ciężką ciszę przerwał dźwięk wiadomości przychodzącej na telefon Kotki.

Kiedy czytała, jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Rueckner się żeni! Właśnie się zaręczyli!

– Żeni?! – Pani Popović była bardzo zaskoczona.

– Oni z Weroniką chodzą właściwie od zawsze, nie wiem, jakoś od połowy liceum.

– Chodzić to jedno, ale wyjść za mąż za...

Sanja zmieniała się na twarzy, zerwała gwałtownie, zarzuciła plecak na ramię z takim rozmachem, że aż się zatoczyła, i wbiegła na schody, skacząc po cztery stopnie. Chwilę później trzasnęły drzwi jej pokoju.

– Jaka ona jest dziwna – westchnęła pani Popović. – Nigdy nie wiem, jak mam z nią rozmawiać. Co ja takiego powiedziałam? Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do profesora?

– Nie. – Dunja oparła ciężko czoło na dłoniach.

„Że też ty, mammo, zawsze potrafisz zabłysnąć jak tysiąc słońc”, pomyślała.



Sanja, w wyciągniętym z dna plecaka wygniecionym cywilnym ubraniu, stała w kolejce do kasy w jednym z wielu lokali szybkiej obsługi ogromnego centrum handlowego. Kotka zapłaciła i usiadła przy stoliku, stawiając przed sobą tacę z wymarżonym od dawna eklektycznym zestawem: frytki plus keczup, plus wielki deser z bitą śmietaną. Po namyśle zaczęła konwencjonalnie – od frytek.

Kończyła już jeść, kiedy ktoś koło niej przeszedł. Młody mężczyzna, podpowiedział Sanji węch. Odruchowo podniosła wzrok. Chłopak nie był szczególnie przystojny, lecz pachniał bardzo ładnie.

Usiedli przy sąsiednim stoliku, on i towarzysząca mu dziewczyna. Nie na

krzesłach, tylko na kanapie, żeby móc się objąć. Szeptał różne szalenie miłe rzeczy, a Sanja słyszała każde słowo.

Tak strasznie chciałyby być na miejscu tamtej dziewczyny.

Deser przestał stanowić atrakcję i przyjemność, jadła już tylko machinalnie.

„To nic, że ludzie nieprzesadnie mnie lubią”, powtórzyła sobie w myślach starą, dawno opracowaną mantrę. „Nie urodziłam się po to, żeby mnie lubili, ale żeby ich chronić. Jestem żołnierzem, to jest najważniejsze”.

W tym momencie zrobiło jej się niedobrze i tylko resztkami siły woli zmusiła się do połknięcia rosnącej w ustach bitej śmietany. Pochyliła się nad stołem, zasłaniając twarz, bo czuła, że zaraz zaczną jej płynąć łzy, a nie chciała robić z siebie widowiska.

„Chronić! Świetnie powiedziane. Na razie szczyt twoich osiągnięć, żołnierzu, to wzniesienie buntu, porwanie helikoptera i spędzenie iluś miesięcy w sanatorium na koszt podatników”.

Bardzo starała się nie rozplakać i jakimś cudem jej się udało. Wstała od stolika i ruszyła przed siebie wzdłuż wystaw.

Telefon w wewnętrznej kieszeni kurtki zaczął wibrować. Przed potwierdzeniem rozmowy Popović rzuciła okiem na wyświetlacz. Mikołajczak. Wzięła głęboki oddech i odchrząknęła.

– Tak, panie profesorze?

– Jesteś już w domu?

– W Warszawie, ale nie w domu. W galerii handlowej.

– Poszłyście na zakupy?

– Na frytki. Poszłam. – Nie mogła się powstrzymać, żeby nie uściślić liczby pojedynczej.

– Aha – zawiesił głos, ale nie doczekawszy się rozwinięcia tematu, spytał:

– I jak galeria?

- Głośno. Dużo ludzi, świateł i pachnie klimatyzacją.
- Za dużo bodźców?
- Yhm.
- Przeszkadza bardziej niż normalnie?
- No... Tak.

Koty były tak wyszkolone, że nie miały problemu z hałasem „bojowym”: strzałami, hukiem śmigłowca czy samolotu. Jednak co innego odpoczynek, tu wiele zależało od aktualnego samopoczucia.

Teraz, kiedy Sanja szła przez roziskrzzone centrum handlowe, ogarnął ją podprogowy, nie do końca racjonalny niepokój. Czuła, jak jeżą jej się włoski na karku, odruchowo nasłuchiwała, próbując zza ściany gwaru wyłować sygnały nadciągającego zagrożenia. Zaczęła węszyć; instynktowna reakcja, na którą właściwie nie miała wpływu, mimo że starała się nad sobą zapanować.

Niemniej, co najważniejsze, wiedziała jedno – to nie z galerią coś było nie tak, tylko z nią samą. Zacisnęła zęby, przepchnęła się przez nieprzyjemnie wąskie drzwi wyjściowe i z ulgą poczuła na twarzy pachnący opadłymi liśćmi podmuch.

Gdy znalazła się nad zejściem do stacji metra, zawahała się przez moment, ale potem ominęła prowadzące pod ziemię schody i ruszyła dalej chodnikiem. Miała czas, nigdzie jej się przecież nie śpieszyło.



Profesor Mikołajczak stał w oknie gabinetu w Baile Tusnad, obracając w dłoni telefon. W końcu jednak odłożył go, nie wybierając kolejnego numeru,

i tylko patrzył dalej na łagodną linię wzgórz. Wrócił myślami do podsumowań i raportów, które musiał przygotować przed powrotem do Warszawy.

Nie umiał się sam przed sobą do tego przyznać, ale wielki, pełen ludzi ośrodek wydawał mu się po wyjeździe Kotów jakiś taki pusty.



Popović siedziała z podkurczonymi nogami na ławce w wojskowej części cmentarza. W zapadającej szarówce migotały płomyki pojedynczych lampek stojących pod długim rzędem tablic pamiątkowych. W prawie zupełnej ciszy, jeżeli nie liczyć szumu miasta w tle, szeleściły niesione lekkim wiatrem liście.

Znicz oświetlał wykute w kamieniu półksiężyc, gwiazdę i daty: *25 XI 2048 – 7 VI 2070*.

Steven Griffin, awansowany pośmiertnie do stopnia porucznika i również pośmiertnie odznaczony Krzyżem Zasługi za Dzielność, przyznawanym „za czyny spełnione z narażeniem życia, w obronie prawa, nietykalności granic państwowych oraz życia, mienia i bezpieczeństwa obywateli”.

Sanja objęła ramionami kolana. Tak to właśnie miało wyglądać – urna i tablica. Ogień niszczy kod genetyczny.



Profesor Mikołajczak przekroczył próg i szarmancko ucałował dłoń pułkownikowej Mykicioniuk. Kiedy szli do salonu, ani na krok nie odstępował ich wielki owczarek alzacki, czujnie śledzący każdy ruch gościa.

– Baster, leżeć! – rozległ się ostry głos jego pana i pies przywarował między fotelami a kominkiem, niby już zwolniony z obowiązku eskortowania profesora, ale nieodrywający od niego wzroku.

Andriej Mykicioniuk nadal poruszał się dość sztywno. Znad kołnierza jego cywilnej koszuli wystawała górna część podtrzymującego kręgosłup egzoszkieletu. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce, a żona pułkownika zostawiła ich samych, wiedząc, że wizyta tym razem nie jest towarzyska.

Gospodarz otworzył barek.

– No, mamy co świętować. Zdecydowanie – powiedział, wyjmując nalewkę własnej roboty.

– Ciężka przeprawa? W sumie tego się spodziewałem. Mnie też magłowali na wszystkie strony.

– No więc właśnie – skrzywił się Mykicioniuk. – Tylko że od początku było wiadomo, że *dame* Rachel będzie niczym tygrysica bronić swoich Kociąt. Jej wystarczyło, kiedy potwierdziłem, że sam kazałbym młodym zrobić dokładnie to, co zrobili.

Mikołajczak podniósł kieliszek do ust. Nie dał się zwieść słodkiemu, malinowemu aromatowi – nalewka była mocna jak sam szatan.

– Powiedz mi, Andriej, zamknęliście wreszcie śledztwo w sprawie tego telefonu do ochroniarza tuż przed strzelaniną?

– Nie udało się ustalić, kto dzwonił. Nie podejrzewam, żeby tamci zorientowali się, że mają do czynienia z akcją policyjną. Raczej podstawiony przez nich człowiek, może po prostu ktoś, kto miał dowiedzieć się, o co chodzi z awariami, zauważył nietypowe zachowanie w filii Siemensu. Pewnie myśleli, że Griffin to wtyka konkurencji. Nie robiliby rozróby na oczach

policjantów.

– Rozróżbę zaczął Griffin – zauważył profesor. – Ochroniarz, którego raniła Szymczyk, miał go prawo nawet postrzelić. Agresywny intruz na posesji, przecież ten zaatakowany przez niego strażnik mógł wręcz nie żyć, leżał nieprzytomny.

– Ja tam jestem pewien, że już ten pierwszy miał złe zamiary i Kot je wyczuł! Steven był rozsądny. Owszem, dość nerwowy, ale wątpię, żeby spanikował. Prowadzili go do zamkniętego budynku przy bramie. Teoretycznie mógł dostać w piwnicy kulkę w łeb i co by mu Gajewski wtedy pomógł? Chłopak chciał uciec, kiedy miał szansę – między drzewami, przez potok i do swoich.

Mykicioniuk pochylił się w fotelu i podrapał wilczura za uchem. Profesor podsunął kieliszek pod drugą porcję nalewki i wrócił do tematu rozmów na wysokim szczeblu: – Jak nasz Chłopiec Samo Zło?

– Zneutralizowany. Chyba domyśla się pan, co McLeary zrobiła z raportem, który nie pasował do jej koncepcji. A reszta poszła za nią. Dokument wylądował gdzieś w archiwum i pewnie pozostanie tam do końca świata, czego mu szczerze życzę. No a raport Gajewskiego to dla odmiany sama rzeczowość, doprawdy nie wiedziałem, że facet umie tak sensownie pisać.

Szczupła, śniada twarz Mykicioniuka, okolona krótką czarną brodą, przybrała lekko diaboliczny wyraz, kiedy ten cedził przez zęby: – Wystarczyło, bym zwrócił mu uwagę, że nie opłaca się mieć w aktach wpisu o tym, jak nie poradził sobie z dwiema siksami i mało przy tym jednej nie postrzelił. Nagle się okazało, że jednak uznał wtedy argumenty Sanji i pozwolił jej lecieć.

– Przecież jest film...

– To, co się dzieje na filmie, można różnie interpretować. Nikt tam

nikomu bronią dosłownie przed nosem nie machał, ani Gajewski dziewczynom, ani one jemu. A właśnie! W kwestii naszej poprzedniej rozmowy... Myślał pan o Majce Szymczyk, prawda? Ja też, ale zmieniłem zdanie, kiedy przyjrzałem się dokładniej.

Mykicioniuk sięgnął po pilota. Na dworze panował już wczesny, jesienny wieczór, więc rolety w oknach były opuszczone, a salon tonął w pomarańczowym blasku bocznych lampek. Gospodarz przygasił je teraz. Potem wyjął telefon, odblokował, przykładając kciuk do ekranu i wpiął urządzenie do stacji dokującej w kinie domowym. Jedną ze ścian rozświetlił znany doskonale profesorowi obraz. Widziany z góry i nieco rozmazany przez padający śnieg.

Cywilny helikopter, przy nim nosze z Griffinem owiniętym w koc termiczny. Nad rannym lekarz w polarze i dwóch chłopców w koszulkach z krótkimi rękawami. W pośpiechu i stresie nawet nie czują, że im zimno.

Andriej maksymalnie zwolnił film, żeby było widać każdy gest.

Ręka Gajewskiego unosi się nieznacznie w stronę zapięcia marynarki. Maja Szymczyk robi krok w jego kierunku.

– Nie, za daleko – zirytował się Mykicioniuk. – Powtórzę. O, teraz!

Ręka Gajewskiego unosi się nieznacznie.

– Spojrzała na nią! Widzi pan?

– Taaak, ale...

– Żadne ale! Proszę popatrzeć uważnie. Na Szymczyk i na Ruecknera. Lewicki zajmuje się rannym.

W zatrzymanym kadrze widać było, jak Maja i Peter podnoszą wzrok w jednym kierunku, na Sanję, która stała już na drabince helikoptera, ubrana w niebieską koszulę w kratę, tak jaskrawą, że aż biła w oczy na tle jasnej maszyny i szarego betonu lądowiska.

– Szymczyk tylko wykonywała rozkazy.



Ślub Petera i Weroniki odbył się w Boże Narodzenie. Panna młoda pochodziła z tradycyjnej polskiej rodziny, więc pobrali się w katolickim kościele. Gdy nowożeńcy stanęli w jego drzwiach, drużny sypnęły płatkami kwiatów i ryżem, a koledzy Ruecknera utworzyli szpaler z szabli.

Porucznik Sandra Griffin, matka Steve'a, zachowała stalowe nerwy, z uśmiechem uściskała młodych i wraz z mężem ulotniła się cicho do domu. Rodzice Sanji też zniknęli tuż po życzeniach, nie zahaczając nawet o wesele. Generał nie lubił takich imprez, a pani Popović tym razem nie miała ochoty z nim walczyć. Dunja tydzień wcześniej wyjechała na wolontariat do Gwatemali.

Przyjęcie było wielkie, huczne i pełne młodych, tryskających energią gości. Kiedy Weronika i Peter szykowali się do pierwszego tańca, ćwiczonego od pewnego czasu przy zerowym entuzjazmie narzeczonego, Tomek nie mógł się powstrzymać i rzucił scenicznym szeptem: – Ale Rueckner, czemu masz taką minę, jakbyś szedł na ścięcie?

– Spierdalaj, Lewicki – warknął Peter, łamiąc swoje święte stoickie zasady i wzbudzając tym żywiołowy entuzjazm kumpli.

Jednak absolutnym gwoździem programu, omawianym potem z lubością i wspomnianym przez lata, okazała się metamorfoza Majki Szymczyk. Maja na ślubie pełniła z całą powagą swoje wojskowe obowiązki ubrana w przepisowy mundur, z oficerkami i rogatywką. Następnie, gdy zabawa już się rozkręciła, zniknęła na dłuższą chwilę i zjawiła się, mając na sobie czerwoną sukienkę z przyprawiającym o zawrót głowy rozcięciem. Mina jej chłopaka warta była wszystkich pieniędzy.

Majka i panna młoda przeszły morderczą próbę umiejętności tańczenia na

obcasach, kiedy Koty, objęte ramionami, skakały przy swoim zdecydowanie mało dyskotekowym nieformalnym hymnie.

Sanja miała ochotę się rozplakać. Nigdy jeszcze nie była równocześnie tak szczęśliwa i tak zrozpaczona. Pozostałe Koty czuły się dokładnie tak samo. Byli dla siebie emocjonalnie przezroczyści i teraz, przestając tańczyć, spojrzeli sobie w oczy nad głową niepodejrzewającej niczego Weroniki.

Tomek podszedł do stołu, zgarnął butelkę i rozdał kieliszki.

– *La chaim!* Za życie! Za Koty! *La chaim!*

Zmieniła się muzyka, na parkiecie zaroilo się od gości.

Sanja piła i tańczyła, a kiedy nad ranem wirujące na podłodze i ścianach kolorowe światełka zaczęły już utrudniać jej orientację, wylądowała przy jakimś spokojniejszym kawałku w ramionach Lewickiego.

Feromony innych Kotów działały na nich mocniej niż ludzkie, ale normalnie nie zwracali na to uwagi.

– Zabierz mnie stąd – mruknęła Sanja.

La chaim.



Popović zbudziła się, kiedy przez okno hotelowego pokoju sączyło się już słabe światło grudniowego przedpołudnia. Nie otwierając oczu, przeciągnęła się rozkosznie i uśmiechnęła do wspomnień poprzedniego wieczoru. O ile oczywiście wieczorem można nazwać czas między trzecią a czwartą rano.

Nawet irytująca świadomość, że oto właśnie dołączyła do długiej listy podbojów Lewickiego, wcale nie psuła jej humoru.

„Przynajmniej nie umrę jako dziewica”.

Miała właśnie zamiar odwrócić się na drugi bok i znów zasnąć, kiedy rozległ się dźwięk telefonu. Nastawiony na najgłośniejszy sygnał, żeby dało się go usłyszeć przy muzyce, teraz świdrował uszy. Sanja zerwała się jednym susem i sięgnęła do kieszeni leżącej na dywanie kurtki mundurowej.

Następnie całkowicie na luzie zakopała się z powrotem pod ciepłą kołdrę. Dzwonił Lewicki.

– No cześć – powiedziała do słuchawki.

Przypomniało jej się, jaki był wczoraj zaskakująco czuły i przejęty. I nawet śmiał się z niej tylko odrobinę. „Gdzieś ty się uchowała, Sanjeczka?”.

– Wyspałaś się, Popowicz? – Tomek nawet nie czekał na potwierdzenie. – To mi pomóż. Ja jestem na nogach prawie od przedwczoraj i już trochę w piętę gonię. Michał miał odwieźć *Grossmutti* Rueckner na lotnisko, ale nie jest w stanie, delikatnie mówiąc. Wstawaj i chodź tu do mnie, przecież babci w taksówkę nie wsadzę!

Lewicki szalenie poważnie traktował swoją funkcję drużby i bardzo zaangażował się w organizację wesela. Jak widać, eskortowanie ponaddziewięćdziesięcioletniej babci Petera było w jego pojęciu misją o najwyższym priorytecie.

– Zamów mi kawę – rzuciła do słuchawki Sanja, która wstała już dobrą chwilę temu.

Z oczywistych względów miała opanowane wychodzenie z domu w ciągu trzech minut od pobudki, ale dziś zdecydowanie planowała najpierw się umyć.

– Do kawy dużo mleka – ciągnęła i korzystając z tego, że telefon jest wodoodporny, weszła pod prysznic. – I dwa croissanty.

Spodiewając się dosadnej odpowiedzi Lewickiego, rozłączyła rozmowę i włożyła głowę pod strumień gorącej wody.



W sali śniadaniowej zjawiała się wypoczęta i świeżutka, przebrana w czarną koszulkę z nadrukiem swojego ulubionego zespołu i pseudowojskowe bojówki w maskującą panterkę. Puchową kurtkę i plecak zostawiła przy recepcji. Lewicki czekał karnie z przygotowaną kawą i rogalikami.

– Cześć – powiedział dużo cieplej niż normalnie, bez cienia zwykłej kpiny.

Przez chwilę obserwowali się czujnie, a potem parsknęli śmiechem. Wyglądało na to, że oboje myślą dokładnie to samo.

– No dobrze – odezwała się Popović. – Ja to powiem, bo mi bardziej wypada. Nie wyobrażaj sobie za wiele, Lewicki.

Siadła naprzeciwko niego i zaczęła jeść. Po chwili rzuciła znad kawy, ciszej i sympatyczniej: – Dzięki za przysługę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Z Kotką jest fajniej.

– Spadaj.

– Serio.

Zerkali cały czas w stronę windy, toteż od razu zauważyli, gdy jej drzwi rozsunęły się i stanęła w nich filigranowa, wsparta na lasce staruszka w eleganckim płaszczu i kapeluszu. Ku zgrozie młodych ciągnęła za sobą wielką walizę na kółkach. Sanja, starając się nie zakrztusić ostatnim kęsem croissanta, rzuciła się uwolnić leciwą damę od bagażu.

Na szczęście *Grossmutti*, choć urodzona ponad dekadę przed upadkiem Muru Berlińskiego, była już dzieckiem Unii i widząc wahanie w oczach Sanji, odpowiedziała na powitanie po angielsku.

Zapakowały się do terenowego samochodu Popović i ruszyły spod położonego malowniczo w lesie zajazdu w kierunku lotniska.

Babcia Petera zdjęła kapelusz, poprawiła sobie przed lusterkiem krótkie, zupełnie już białe włosy i odezwała się niewinnym tonem, w którym jednak Kotka od razu wyczuła zbliżające się kłopoty.

– Kochanie... Masz przy sobie służbową broń, prawda?

– Tak – odpowiedziała Sanja. Nie zdradzała żadnej tajemnicy, zważywszy, że pistolet przy jej pasie obejrzała wczoraj setka gości ślubnych.

– Bo widzisz... Ja piszę kryminały.

– Wiem! Peter mówił, że bardzo poczytne.

– Tak? Jak to miło z jego strony! Ale co z tego, że o mnie opowiada, skoro mi nie chce pomóc? Syn oficer, wnuk w szkole oficerskiej, a ja nigdy w życiu z niczego nie strzelałam! No, poza wiatrówką w młodości.

– Pani Rueckner...

– Babciu.

– *Grossmutti*... Przepraszam, ale nie. Nie ma mowy.

– Przecież nawet nie wiesz, o co mi chodzi!

– Wiem, wiem. Nic z tego.

– Ależ wy jesteście wszyscy porządni – skrzywiła się starsza pani. – Ten przystojniak, świadek Petera, dokładnie to samo.

– Lewickiego też pani dopadła... to znaczy... prosiła? – roześmiała się Sanja.

– Tak. I co z tego. – Błękitne oczy *Grossmutti* Rueckner wpatrywały się w Kotkę z wyrzutem. – Służbiści, żadnego z was pożytku.

Jechały przez chwilę w milczeniu boczną drogą przez las. W nocy padał śnieg i teraz gałęzie ugiwały się pod jego ciężarem.

– Kochanie?...

– Hmm?

– Was pewnie uczono takiej trochę, no, bardziej ryzykownej jazdy samochodem?

- Nie!
- Nie?
- To znaczy tak, uczono nas, i nie, nie będę pani uczyć.
- Babciu!
- Babciu.
- Eee tam, taka wycieczka z komandosem. Mogłam taksówką pojechać.

Grossmutti Rueckner, symulując śmiertelną obrazę, skupiła się na podziwianiu tonącego w śniegu lasu.

Wtedy do Sanji zadzwonił Mikołajczak. Mocując przy uchu bezprzewodową słuchawkę, dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy neurolog już kompletnie ześwirował i planuje pilnować Kotów na każdym kroku. Widzieli się przecież kilka godzin temu na weselu.

Popović czuła się przy tym dość głupio, jakby profesor mógł wyczytać z jej myśli przebieg minionej nocy.

– Rozmawialiśmy wczoraj przy wódce z Mykicioniukiem i Tadkiem Kotułą – stwierdził na powitanie neurolog, który najwyraźniej był na „ty” z dowódcą wojsk specjalnych. – Andriej jednak oberwał w tamtym wypadku bardziej niż się przyznaje. Gdyby to zależało tylko od lekarzy, dawno już dostałby jakąś spokojną sztabową robotę.

– Yhm. – Bardziej wyrafinowany komentarz jakoś nie chciał przyjść Sanji do głowy.

Bała się, do czego Mikołajczak zmierza. Pułkownik Mykicioniuk miał trudny charakter i na pewno niejednemu podpadł, ale Popović wolała nawet sobie nie wyobrażać, że mógłby zostać odwołany ze stanowiska.

– Formacją powinien docelowo dowodzić Kot – oświadczył tymczasem profesor. – Oczywiście za parę lat.

– Aha?... – Sanja wzbijała się na wyżyny swojej elokwencji.

– Zbliża się zimowa sesja. Ucz się, dziecko. Wszyscy powinniście się

uczyć, ale ty szczególnie. Zdrowia życzę. – Mikołajczak pożegnał się i rozłączył, zanim Kotka odzyskała mowę.

Chwilę to trwało, lecz w końcu zrozumiała, co właśnie jej powiedział. Wtedy, uśmiechnąwszy się szeroko, spojrzała na monitor komputera pokładowego. Jeżeli wierzyć informacjom z satelity, szosa co najmniej kilometr przed i za nimi była pusta. Zbliżały się do łagodnego zakrętu.

– *Grossmutti?*...

– Hmm?

– Trzymaj się.

Sanja przełączyła układ stabilizujący tor jazdy na tryb sportowy, zjechała na przeciwny pas, żeby zapewnić sobie nieco więcej miejsca, i wchodząc w łuk, gwałtownie skręciła kierownicę jeszcze bardziej w prawo. Zawirowały jak na karuzeli.

ZŁE DUCHY

Martin Sorensen nienawidził przedwiośnia. Fala nagłego ocieplenia przelewająca się nad Heidelbergiem zdążyła już na szczęście zlikwidować resztki śniegu, ale za to utopiła dolinę Neckaru w błocie i lepkiej mżawce. Żałobna flaga przed budynkiem Deutsches Krebsforschungszentrum i klepsydra informująca o śmierci kolejnego leciwego profesora tylko utwierdziły Martina w ponurym przekonaniu, że ta pora roku to czyste zło.

Duńczyk nie mógł doczekać się pogody sprzyjającej wycieczkom na wzgórze za miastem. Zdążył już dobrze poznać okolicę, bo mieszkał tu od trzech lat, na stypendium doktoranckim.

Ściśle rzecz biorąc, stypendium skończyło się miesiąc temu, a doktoratu jak nie było, tak nie było. Martin coraz bardziej tracił zapal do badań, a jego promotor był albo nieuchwytny, albo jeżeli już się zjawiał, to miał pomysły i rady z Księżycą.

Sorensen, na przekór wisielczym myślom, energicznym krokiem wszedł do przeszklonego centrum konferencyjnego, sąsiadującego z głównym budynkiem instytutu. Szczupły blondyn o bardzo jasnych, szaroniebieskich oczach – „złoty chłopiec, szkoda tylko, że już po trzydziestce”, jak lubiła mu dogryzać narzeczona, równie elegancka, co odpowiedzialna, zdolna i pracowita Silke Riehm. Ucieleśnienie przymiotów doktorantki DKFZ, po prostu stworzona do odnoszenia sukcesów.

Zażyłość z Silke początkowo działała na Martina jak doping, potem

wyścig z własną narzeczoną mu się znudził. Świat jest pełen ciekawszych zajęć niż robota w labie od rana do wieczora.

Sprytnie lawirując, przepchnął się przez tłum, żeby ze zdziwieniem stwierdzić, że hall został przedzielony żółtą taśmą. Chcąc dotrzeć do auli, trzeba przejść przez policyjne bramki do wykrywania metalu.

„Ha, takie czasy”, pomyślał Martin, czekając na swoją kolej. Z nudów przyjrzał się ponownie plakatowi zapraszającym na spotkanie z polskim neurologiem, jednym z najpoważniejszych kandydatów do tegorocznego Nobla.

Takie czasy – jeszcze wczoraj nie stały w tym miejscu żadne skanery. Jednak Mikołajczak był nie tylko profesorem, był też wojskowym. Jakkolwiek Sorensenowi wydawało się to trochę absurdalne, jego wykłady mogły przyciągać potencjalnych zamachowców.

Genetycznie modyfikowani ludzie. Projekt był naprawdę ciekawy, przy czymś takim Martin pracowałby chętnie. Miał jednak tyle rozsądku, żeby w tym momencie uciąć tęskne rozważania. Po pierwsze za wysokie progi na jego nogi, po drugie nawet gdyby – to właśnie byłby tylko trybikiem w wielkiej maszynie nauki, co mu chyba nie najlepiej wychodziło.

Pod profesjonalnie obojętnym spojrzeniem nieczulej na jego uśmiech policjantki przeszedł przez bramkę i wmieszał się w jeszcze większy tłum oczekujący pod aulą. Rozejrzał się za kimś znajomym, ale otaczało go morze obcych twarzy. Tuż obok rozległ się śmiech jasnowłosej dziewczyny. Mówiła po angielsku, z akcentem gdzieś ze wschodu Unii.

– Słyszałam, że ty to na praktykach nawet rodzającą potrafiłeś podrywać.

– Oj tam, oj tam. – Jej kolega wzruszył ramionami i wyjaśnił starszemu od nich mężczyźnie. – Szef powiedział, że pani jest zdenerwowana i trzeba ją rozweselić.

Blondynka wywróciła oczami.

– No co? Humor jej się przecież poprawił!
– Praktyki na porodówce? – zdziwił się mężczyzna.
– Na oddziale ratunkowym.
– No tak, to wiele wyjaśnia. Słyszałem, że mieliście takie zajęcia w czasie studiów.

Chłopak mu nie odpowiedział, wzrokiem szukał powodu nagłego poruszenia wśród oczekujących. Martin miał nadzieję, że może wreszcie zdarzyło się coś, co przyspieszy wpuszczanie słuchaczy do auli, ale nic z tego. Za to jak spod ziemi wyrósł koło niego kolega. Dokładniej – kumpel kolegi, poznany na jakiejś imprezie. Jednej z tych, na które nigdy nie chciała chodzić z nim Silke, mimo że na zdrowy rozum właśnie tam powinna go pilnować, bo pokus nie brakowało. Wydekoltowanych, wysokoprocentowych albo innych. Niekoniecznie legalnych.

– O, cześć! Cześć, Sorensen. – Przysadzisty Patrick nerwowo pocierał ciemną, nieporządnie przystrzyżoną brodę. – Szukałem cię, Andrea powiedziała, że tu będziesz.

Martin skinął głową wyczekująco. Patrick niepewnie chrząknął.

– Kiedyś rozmawialiśmy... Że może byłbyś zainteresowany...

– Taak? – Sorensen nie był do końca pewien, czy łąpie, o co chodzi, lecz dziwne zachowanie Patricka zdawałoby się potwierdzać jego przypuszczenia.

– No więc, jeżeli naprawdę chcesz, to możesz się z nimi spotkać...

– Kiedy?

– Na przykład teraz.

Sorensen najpierw spojrział z nadzieją w stronę dalekich drzwi do auli, potem nieco bardziej sceptycznie na otaczające go mrowie ludzi.

„Genetycznie modyfikowani agenci”, westchnął, ale zaraz pomyślał, że spotkanie ze znajomymi Patricka będzie przecież o wiele ciekawsze niż slajdy z wzorami podawanych Czarnym Kotom psychotropów.



Kimkolwiek był Olaf Lundeberg, do skąpców nie należał. Zatrzymał się w hotelu Haus zum Ritter, mieszczącym się w zabytkowej kamienicy. Martin ledwie omiół wzrokiem bogate zdobienia fasady, znane mu zresztą doskonale ze spacerów po starym mieście. Z gwarne go rynku zanurkował za Patrickiem w luksusową ciszę hotelowego hallu.

Czekał tam już na nich ubrany w garnitur mężczyzna. Jego przycięte na jeża włosy nie zasłaniały końcówki komunikacyjnego implantu w uchu.

„Obstawa?”, zdziwił się Sorensen.

Kiedy ochroniarz wskazał Martinowi schody na górę, ten pytająco spojrział na Patricka, który najwyraźniej nigdzie się nie wybierał.

– To jest twoja rozmowa o pracę, nie zostałem na nią zaproszony. – Patrick znów potarł brodę, a Sorensen utwierdził się w przekonaniu, że Olaf Lundeberg jest zaskakująco poważnym potencjalnym klientem.

W przewidzianej do przyjmowania gości części apartamentu pana Lundeberga fotele ustawiono pod oknem wychodzącym na sąsiednie kamienice. Czekał tam już gospodarz – wysoki, przystojny Szwed pod pięćdziesiątkę, w świetnie skrojonym garniturze koloru popiołu – oraz kobieta w wieku Martina. Nieduża, zgrabna, z krótkimi ciemnymi włosami przyszyzonymi na sztorc, w cienkiej skórzanej kurtce i z paznokciami pomalowanymi na niebiesko. Na widok Sorensena rozpromieniła się w uśmiechu. Ślicznie brzydka, pomyślałby Martin, gdyby miał chwilę na zastanowienie. Teraz jednak zamarł na mgnienie oka, a gdy odzyskał przytomność umysłu, zapanował nad wyrazem twarzy i zachowując wszystkie pozory nonszalancji, podszedł do wolnego fotela. Kobieta skinęła ręką i za ochroniarzem zamknęły się drzwi.

– No dobrze. – Sorensen do wielu rzeczy umiał podejść na luzie. – Co planują państwo ze mną zrobić? Wykorzystać jako informatora? Chodzenie na spotkania towarzyskie, o ile wiem, nie jest karalne.

Dziewczyna z niebieskimi paznokciami parsknęła śmiechem. Nazywała się Dagny Olsson, była pół Finką, pół Szwedką. Chodziła z Martinem do prywatnego liceum w Kopenhadze, a kiedy widział ją ostatnim razem, miała na sobie mundur. Studiowała w szkole policyjnej.

– Nie panikuj, Matti – rzuciła mu tak pobłażliwe spojrzenie, że poczuł się jak za szkolnych czasów. – Pan Lundeberg jest prywatnym przedsiębiorcą, nie pracujemy dla rządu.

– Odeszłaś do cywila?

– Noo, niezupełnie. – W oczach dziewczyny błysnęły figlarne ogniki, a Lundeberg uśmiechnął się samymi kącikami ust i natychmiast spoważniał.

– Studia Dagny traktowaliśmy jak rodzaj szkolenia – powiedział. – Podjęła je na nasze polecenie.

– Ahaaa... – skinął głową Martin.

„My. Niezłe. Ciekawe kontakty miała dziesiętnastoletnia Olsson”.

Przez głowę przebiegła mu myśl, że może nie powinien się pakować w to niesprecyzowane, podejrzanie pachnące „my”, jednak odgonił ją czym prędzej. Za bardzo był zaintrygowany.

– Potrzebujemy dobrego chemika, Dagny poleciła nam pana.

– Bardzo mi miło, ale oczywiście wszystko zależy od...

– Z tego, co wiem, poradzi pan sobie bez problemu. Należy przeprowadzić ekspertyzę, za odpowiednio wysoką opłatą. Jeżeli będziemy zadowoleni, w grę wchodzi też dłuższa współpraca, tylko wtedy musiałby się pan przeprowadzić.

– Dokąd? – spytał lekko oszołomiony Sorensen, zanim zdążył ogarnąć myślami sytuację.

– Jeszcze nie wiem dokładnie, jakoś bliżej granicy.

– Niemieckiej?

– Unijnej.

– Ach, no tak... – odchrząknął Martin, usiłując przypomnieć sobie szczegóły mętnych wyjaśnień Patricka na temat charakteru prowadzonej przez Lundeberga działalności. – Ja... Oczywiście zastanowię się nad pana propozycją. Tylko, rzecz jasna, nie jestem teraz dyspozycyjny, muszę się obronić, a przedtem...

– To by była oferta na już. Jesteśmy w stanie zorganizować wszystko w ciągu miesiąca, góra dwóch.

– W takim razie: nie. Niestety, nie mogę.

Sorensen czuł przede wszystkim ulgę, że oto problem sam się rozwiązał. Do końca czerwca miał zapewnione finansowanie badań z grantu promotorskiego, potem jakieś pół roku na pisanie pracy i obronę. Będzie mógł wyrwać się z Heidelbergu najwcześniej w styczniu.

Jednak w głębi duszy Martin był trochę rozczarowany. Tak szalony pomysł nie mógł mu się nie spodobać.

– Wrócimy do tematu, kiedy skończy pan zlecenie. – Olaf Lundeberg uciął dyskusję. – Teraz porozmawiajmy o szczegółach, no i o wynagrodzeniu. Oczywiście mówimy o kwocie, która... nie zostanie opodatkowana. Zdaje sobie pan z tego sprawę, mam nadzieję?

– Tak, Patrick mi wyjaśnił – potwierdził pośpiesznie Martin.

Kiedy wychodził, czuł się jak na lekkim rauszu. Kwota była nad wyraz zachęcająca. A Sorensen całą drogę po hotelowych schodach zastanawiał się, czy pistolet ochroniarza też jest... nieopodatkowany.



– Tomala, wstawaj! – Znajomy damski głos przebijał się przez ciężką mgłę snu, wspomnień przedwczorajszej imprezy i nocy spędzonej w pociągu.

Sławek Tomala spał na ławce przy ścieżce rowerowej na nadrzecznej Neckarwiese. Przez zamknięte powieki poczuł, jak ktoś zasłania mu ciepłe słońeczko.

– Tomala!

Szturchnięty bezceremonialnie postanowił zaryzykować i otworzyć jedno oko. Nie pożałował. Dagny Olsson stała nad nim, opierając na ławce stopę w czerwonym sandałku. A spódniczkę miała, swoim zwyczajem, bardzo krótką.

Sławek przeciągnął się.

– Nie musisz mnie od razu kopać.

– Brzydziłabym się ciebie dotknąć, nawet kijem przez szmatę. Coś ty ze sobą zrobił?

Wzruszył ramionami, podnosząc się ostrożnie.

– Nogi mi ścierpły od długiego siedzenia w podróży. Przy wysiadaniu poślizgnąłem się i wylądowałem w błocie.

– A skąd wzięłeś błoto na peronie w Mannheim?

– To było jeszcze na dworcu autobusowym w Trójmieście.

– Gdzie? A co ty... Nieważne. Jesteś dwa dni spóźniony, wstawaj, do ciężkiej kurwy nędzy.

Sławek wstał, starając się otrzepać drelichowe bojówki z zaschniętego błota. Z jego koszulki radośnie spoglądał na świat tańczący kościotrup z czaszką przystrojoną w kucyki z czerwonymi kokardami.

Na łące nad Neckarem piknikowali zachwyceni nadejściem wiosny studenci, bulwarem przemknęła dwójka rowerzystów i dziewczyna na rolkach pchająca przed sobą wózek z niemowlakiem. A nieopodal kilka wypasionych szczurów rozparcelowało właśnie wywrócony kosz na śmieci. Dagny podążyła wzrokiem za spojrzeniem Sławka.

– Co, twoi koledzy? – spytała.

– Jesteś słodko wredna, wiesz?

Tomala westchnął, bo przed oczami stanął mu nagle obraz Dagny oglądającej się kusząco przez ramię i jej nagie plecy, z wytatuowanymi na łopatkach załączkami nietoperzych skrzydeł. Wspomnienie warte czułego pielęgnowania, bo raczej bez szans na powtórkę.

Olsson nawet nie odpowiedziała. Sławek związał włosy w kucyk, zabrał służący wcześniej za poduszkę worek z ubraniami i ruszył za dziewczyną w kierunku DKFZ.

– Myślisz, że połknął haczyk? – spytał, przestawiając się na myślenie o interesach.

– Wszyscy łykają. Na tym polegają diaboliczne oferty. – Dagny błysnęła zębami. – Pokażesz Sorensenowi nasze laboratorium, może będzie miał jakieś pytania.

– Kiedy przyjeżdża transport?

– Jutro wieczorem. Spóźniłeś się. Te nasze specyfiki widać robią ci niezłą sieczkę z neuronów. Może lepiej nie testuj wszystkiego na sobie.

– Chcę być wiarygodny, kiedy je polecam. – Sławek posłał Dagny długie spojrzenie, ale ona rzuciła zaskakująco chłodno: – Nie lubimy nierzetelności.

A Sławek bardzo nie lubił, kiedy mówiła w liczbie mnogiej.



– Czy twój kolega czasem się myje? – spytał niewinnie Martin, patrząc na Tomalę przez szerokość hallu instytutu. Przetłuszczone włosy w burawym kolorze polski blond, czterodniowy zarost – ostatnie golenie najwyraźniej

przypadło w terminie, w którym Sławek miał jechać do Niemiec, ale jakoś mu się nie udało dotrzeć na dworzec. Brudne bojówki i kurtka dopełniały całości.

– Czasem chyba musi. Inaczej te wszystkie baby tak by na niego nie leciały.

Sorensen wbił w Dagny lekko zszokowane spojrzenie, upewniając się po raz setny w przekonaniu, że kobiet nigdy nie zrozumie. Nie zastanawiał się nad tym długo, bo Sławek podszedł i wskazał stojący przy wejściu do instytutu automat z przezroczystego plastiku, pełen kolorowych zatyczek do uszu – skutek uboczny niekończącego się remontu. Napis na automacie głosił: *UWAGA!! NIE JEŚĆ!*

– Myślałem, że tutaj pracują ludzie inteligentni... – zagaił Tomala przyjaźnie.

– Może kilku. – Sorensen obdarzył rozmówcę olśniewającym uśmiechem.

Dagny przyglądała im się w milczeniu, obserwując rozwój znajomości. Szukała chwilę po kieszeniach i wreszcie z ulgą wyjęła papierosa.

– Olsson! – Martin chciał złapać ją za rękę, ale wywinęła się jak duch. – Chcesz uruchomić alarm przeciwpożarowy?

– Ślepy jesteś? Przecież to elektroniczny.

– A właśnie, Dagny, mam dla ciebie coś specjalnego. – Sławek wyciągnął z podróżnego worka pudełeczko i otworzył je, prezentując cztery fiołki w delikatnym seledynowym odcieniu.

– Matko, jaki syfiasty kolorek – skrzywiła się Olsson, wyjmując z ust papierosa dymiącego niewinnie chmurką pary wodnej.

– Żeby się nie pomyliły z nikotynowymi. Te są... faaaajne. Do próbowania we dwoje, w miłych okolicznościach.

– Ile?

– Prezent.

– Żebyś sobie za dużo nie pomyślał – prychnęła. – Ile?

– Dla ciebie dwieście za całość – mruknął bez entuzjazmu Tomala. – Już nawet prezentu nie można dać?

Sorensen rozejrzał się po hallu, szukając wzrokiem kamer monitoringu.

– Czy wy musicie handlować tutaj? – spytał nerwowo.

– Nikt niczym nie handluje. – Dagny wyglądała na zadowoloną. Z gracją iluzjonistki wyjęła pudełeczko z dłoni Sławka i schowała do kieszeni kurtki.

– Kasę dostaniesz razem z tą wiesz za co.

Tomala skinął głową.

W tym momencie za przeszklonymi drzwiami instytutu przejechał zielono–srebrny radiowóz.

– Policja na kampusie? – zirytowała się Olsson.

– Mikołajczak ma w tym tygodniu serię wykładów – wyjaśnił Martin. – Ten od Czarnych Kotów.

Szwedka wzruszyła ramionami.

– Dobra, koniec poranka zapoznawczego. Jedziemy pracować.



Dom na przedmieściach był jak na standardy Heidelbergu zaniedbany. Rozglądając się po zapuszczonym ogrodzie i urządzonym tylko najpotrzebniejszymi sprzętami wewnątrz, Sorensen uznał, że od dawna nikt tu nie mieszkał. Przynajmniej nie na stałe.

W rogu wielkiego, pustego garażu stał tylko bajerancki czarny motocykl. Za to wyposażenie sąsiadującej z garażem piwnicy sprawiło, że Martin aż zagwizdał.

– Przenośny chromatograf? Myślałem, że mam zrobić te testy w labie w DKFZ.

– Tak będzie bezpieczniej – odpowiedziała rzeczowo Olsson.

– No, niewątpliwie...

Sorensen zabrał się za przegląd sprzętu i odczynników zgromadzonych przez ludzi Lundeberga. Dagny paliła swojego nieprawdziwego papierosa oparta o krawędź stołu, a Sławek rozwalił się wygodnie na stojącym w rogu starym fotelu.

– Moja rola w tej zabawie – zaczął – polega na tym, że zapewniam oryginalne, farmakologiczne rozrywki wąskiej grupie klientów: na tyle zblazowanych, żeby mieli ochotę eksperymentować, i na tyle dobrze sytuowanych, żeby mieli czym za to zapłacić.

Martin rzucił mu znad chromatografu pozornie neutralne spojrzenie. Tomala ciągnął niezrażony: – Problem w tym, że uczestnicy jednej z ostatnich imprez ulegli... uszkodzeniu. No, ostatecznie przeżyli. Tyle że raczej niestety...

– Ty na uszkodzonego nie wyglądasz? – Nie mógł się powstrzymać Sorensen.

– Miałem raz w życiu przebłysk zdrowego rozsądku i uznałem, że łączenie kokainy z wódką, antybiotykiem na anginę i tym nowym czymś to kiepski pomysł.

– Miałeś fuksa...

– Matti, przystopuj – ucięła zaskakująco ostro Dagny, wymieniając wkład w papierosie. – Nie czepiaj się go. Słuchaj, co ma ci do powiedzenia.

Martin przepraszająco machnął ręką, zachęcając Sławka, żeby mówił dalej.

– Te nowe cudeńka dostajemy od człowieka zza wschodniej granicy. Pytanie brzmi: czy im się coś pieprznięło przy produkcji, czy były celowo

zatrute.

– Masz je przy sobie?

– Nie, ale spodziewamy się kolejnego transportu.

– Zmieniliśmy miejsce spotkania – wtrąciła Olsson. – Przyjadą po prostu tutaj. – Wskazała w stronę pustego garażu.

Telefon Dagny zawył ostrym, nieprzyjemnym sygnałem. Wyjęła go i widząc, kto dzwoni, cmoknęła, nieprzesadnie szczęśliwa.

– Guemes – rzuciła do Sławka.

– Jest już w Europie?

– Ciiiicho. – Położyła palec na ustach i wyszła do garażu, odbierając połączenie. – Pote? Cześć, złotko... W robocie, a niby gdzie? Nie, no coś ty...

Martin usłyszał skrzypienie otwierającej się bramy, widać Olsson wolała jednak rozmawiać bez świadków.

– Pote Guemes – wyjaśnił Tomala. – Meksykanin, jej facet. Też pracuje w naszej... międzynarodowej korporacji. – Uśmiechnął się szeroko. – Tylko w trochę innej branży. Hmm, w mediach. – Zarechotał z niezrozumiałego dla Martina dowcipu. – Zazdrosny jak cholera.

– Jak znam Dagny, to ma powody – zaryzykował Sorensen, zakładając, że jeżeli styl życia Olsson zmienił się od czasów licealnych, to raczej na gorsze.

– Ha – skwitował Sławek filozoficznie.

Do powrotu dziewczyny zdążyli porozmawiać o działaniu i prawdopodobnym składzie magicznej imprezowej substancji, a Martin stwierdził, że będzie musiał zorganizować sobie dodatkowe odczynniki.

– Jeżeli to błąd produkcji, ten nowy transport może być bez zarzutu – asekurancko podkreślił rzecz oczywistą.

„O ile oczywiście o takiej substancji w ogóle można powiedzieć, że jest bezpieczna”, skrzywił się w myślach.

– Ale gdyby błąd się powtórzył, umiałbyś to odróżnić od celowego

zanieczyszczenia? – upewnił się Tomala.

– Tak.

W drzwiach stanęła Dagny.

– I jak ci się podoba nowa praca? – spytała.

– Najbardziej: perspektywa wypłaty. – Sorensen wyszczerzył się bezczelnie.

– No, to się rozumie samo przez się. Olaf mówił serio o zatrudnieniu na stałe, wierz mi, Matti, drugi raz ci się w życiu taka szansa nie trafi.

– Trochę to nagle... Wątpię, żeby się spodobało mojej narzeczonej. Silke jest bardzo poukładana, lubi mieć wszystko zaplanowane. Wiecie, ona zapisuje sobie w telefonie, kiedy nastawić pranie i ile kostek mydła kupić w przyszłą środę. A co dopiero przeprowadzka do innego kraju.

– To masz problem. – Olsson nie wyglądała na szczególnie przejętą.

– Ale i tak najpierw muszę się obronić. Chyba że utopicie mojego promotora w Neckarze. Tak go kocham, że naprawdę dojrzewam do takiego rozwiązania.

– Powiadasz? – zadumała się Dagny.

Sławek parsknął.



Martin nie wiedział, jak to się właściwie stało, że zaproponował Tomali nocleg w mieszkaniu, które wynajmowali z Silke. Przecież jeżeli motocykl Dagny spał w garażu domu z laboratorium, to jego właścicielka zapewne – piętro wyżej. Więc Sławek też miałby gdzie się podziać.

Ale jakoś tak wyszło: poszli we trójkę na piwo, czas zleciał przyjemnie.

Tomala poinformował Martina konfidencyjnym szeptem, że jego była koleżanka z klasy jest teraz szefową ochrony Olafa Lundeberga. Sorensen poczuł lekki niepokój połączony z przyjemnym, adrenalinowym dreszczykiem. Zważywszy specyfikę interesów pana Lundeberga, „ochrona” mogła znaczyć... różne rzeczy.

I tak właśnie, na fali niezobowiązującej atmosfery, w połączeniu ze stwierdzeniem Dagny, że musi teraz iść na spotkanie z szefem w hotelu Haus zum Ritter i nie wie, kiedy wróci, Sorensen wyskoczył z zaproszeniem. Chyba ciągle zapominał, że od pewnego czasu nie mieszka sam.

No, a potem oczywiście nie było już odwrotu – Sławek tylko się rozpromienił. Najwyraźniej należał do tych, którzy dla towarzystwa daliby się powiesić. Martin też, na swoją zgubę.

Olsson odprowadziła ich, bo miała po drodze. Sorensen zmartwił się ponieważ, że zapraszanie do dwupokojowego mieszkania kompletnie obcego, a przy tym mocno imprezowego faceta nie było najlepszym pomysłem. Postanowił uprzedzić narzeczoną SMS-em – i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zjawił się wraz ze swoją barwną eskortą pod drzwiami na klatkę.

Silke, wiedzona niepokojem, wkurzeniem, a może gościnnością, zesłała, żeby im otworzyć, i dokładnie w tym momencie z gzymsu nad drzwiami zwałił się prosto na Dagny ciemny kształt. Olsson zamiast wrzasnąć, uskoczyła błyskawicznie, strząsając go z siebie. Kształt pomknął chodnikiem i zanurkował pod płotem sąsiedniej posesji.

– Pieprzony kocur! – warknęła Dagny.

Odwróciła się w stronę pozostałych i wtedy okazało się, że ściska w ręku pistolet. Bez słowa wyjaśnienia schowała go za pazuchę.

Sławek postanowił ratować sytuację. Z uroczym uśmiechem przedstawił się gospodyni.

– Nazywam się Tomala.

„I znowu mam kłopoty...”, skonstatował, widząc wyraz twarzy narzeczonej Sorensena, która zmierzyła wzrokiem najpierw Dagny, a potem jego.

– Silke Riehm – powiedziała, a uścisk jej dłoni był równie stalowy, jak błysk w niebieskich oczach. – Zapraszam – dodała tonem, który zabrzmiałby absolutnie szczerze i serdecznie, gdyby Sławek nie miał dużego doświadczenia w rozpoznawaniu takich pań: powierzchownie otwartych i sympatycznych, ale tak naprawdę asertywnych aż do bólu.

– Ja znikam, szef czeka. – Olsson pomachała kokieteryjnie i tyle ją widzieli.

Idąc po schodach, Tomala nie mógł się powstrzymać i otaksował wzrokiem sylwetkę Silke, drobnej blondynki z idealnie równo przyciętymi włosami do ramion, w obcisłym sweterku, dżinsach i butach na obcasie.

Sorensen otworzył drzwi mieszkania, a wtedy dziewczyna z okrzykiem: „Uważaj, ucieknie!” rzuciła się efektownym susem do wnętrza.

– Pssiiiiik! – zasyczała groźnie, a po chwili zawołała. – Szybko, wchodźcie!

Sławek w podobnych sytuacjach najpierw robił, co mu kazano, a pytał później – co najmniej raz uratowało mu to życie.

Kiedy już znaleźli się w środku, Silke starając się ukryć irytację pod pozorami uprzejmości, wyjaśniła: – Moja kotka ma ruję. Martin miał ją zawieźć na zastrzyk, ale jakoś nie zdążył. – Mordercze spojrzenie tym razem celowało w narzeczonego. – I teraz Lukrecja wyje po nocach, dom zabarykadowany, a zalotnicy spadają na ludzi z gzymsów. Życ, nie umierać.

W przedpokoju powitała ich szczuplutka kotka z demonicznym pyszczkiem, w połowie czarnym, w połowie rudym.

– Merrreeeu! – powiedziała Lukrecja i otarła się zalotnie o ubłoconą

nogawkę Sławka.



Tomala w wersji po prysznicu i w świeżych ciuchach prezentował się nieco bardziej strawnie na tle wypielęgowanego przez Silke mieszkanka. Tańczącego kościotrupa zastąpił koszulką z mniej oryginalnym pentagramem. Bez pytania zapalił skręta, biorąc sobie tylko spodeczek jako popielniczkę. Po pokoju rozszedł się zapach marihuany. Silke nie skomentowała. Pomagała Martinowi przygotować kolację, nie odzywając się do niego ani słowem.

– Merrreu, merrreu, merrrrhhhhhheu... – rozdarła się z francuska kocica.

– Biedactwo, tak się starasz, tak uwodzicielsko śpiewasz i nic z tego. – Sławek pogłaskał zwierzaka ze współczuciem, a gospodyni posłała mu cieplejsze spojrzenie.

– Męczy się teraz, przez głupie niedopatrzenie – mruknęła pod nosem, niby do siebie.

Lukrecja konsekwentnie podrywała Tomalę przez cały wieczór, a on dla odmiany podrywał Silke. Oczywiście można by powiedzieć, że po prostu chciał zrobić dobre wrażenie, ale Martin wiedział swoje. A Silke wyglądała na wniebowziętą. Jednak ku satysfakcji Sorensena Sławek też się doigrał. Rozmawiali właśnie o wykładach Mikołajczaka, na które żadne z nich nie zdołało dotrzeć, a Lukrecja łąsiła się do gościa.

– Merrreeuuu...

– Ciekawe, czy te GMO Czarne Kotki też tak mają? – rzucił entuzjastycznie Tomala.

– Nie sędzę – odparła lodowato Silke i na tym się jej zachwyty nad Sławkiem skończyły.



O siódmej rano zza okna dobiegł sygnał klaksonu. Sorensen zastanawiał się właśnie, czy będzie miał w ogóle do czego wracać, jeżeli wyjdzie pobiegać przed śniadaniem i zostawi narzeczoną z gościem chrapiącym w pokoju obok.

Silke wyjrzała przez okno pierwsza. Znacząco odchrząknęła i odwracając się do Martina, zastukała palcem w szybę.

Pod kamienicą czekała Dagny. Na swojej masywnej, błyszczącej chromem czarnej hondzie wydawała się jeszcze bardziej filigranowa. Zamachała do Sorensena, pokazując, żeby zszedł na dół.

Dziś Olsson ubrała się bardziej stosownie do jazdy na motorze – w sztruksy i wojskowe buty – ale Silke i tak zmierzyła ją zdegustowanym spojrzeniem.

– Chodziłem z Dagny do jednej klasy... – Sorensen urwał w pół zdania, uświadamiając sobie, jak idiotycznie to brzmi. Zwłaszcza, że przecież nie miał na sumieniu nic, z czego tak głupio musiałby się tłumaczyć. Odwrócił się więc na pięcie i wyszedł przed dom.

– Wskakuj. – Szwedka wręczyła mu kask.

– Moment! Tomala jeszcze śpi, ja się muszę ogarnąć...

– Niech śpi, do niczego nie jest potrzebny. Za to ty się pośpiesz.

– Ale jak to niech śpi?...

– Normalnie. Matti, nie komplikuj. Wsiadaj!

Sorensen zawahał się, lecz po błyskawicznym namyśle wrócił tylko na górę zabrać plecak. Zalecił Silke, żeby poszła do pracy, zostawiając gościa samemu sobie. Narzeczona nie odpowiedziała; minęła Martina w przedpokoju, jakby w ogóle nie istniał.

Wtedy wkurzył się już naprawdę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Mrrrreeeu!! – strzeliła focha Lukrecja.



Dagny podrzuciła Sorensena do DKFZ i pojechała załatwiać swoje sprawy, uprzedzając, żeby był pod telefonem, bo transport może dotrzeć nawet dziś. Zdobycie odczynników stało się więc dla Martina zadaniem priorytetowym, ale kiedy tylko zjawił się w laboratorium, zawołała go techniczna – Andrea.

– Słyszałeś już o profesorze?

Minę miała taką, że Duńczyk poczuł się nagle wyjątkowo nieprzyjemnie.

„Chyba że utopicie mojego promotora w Neckarze”. Cha, cha...

– Co się stało? – spytał, o wiele bardziej nerwowo niż miał zamiar.

– Poszedł wreszcie do tego lekarza. No i się okazało, że dużo za późno. Ech, szewc bez butów chodzi – skrzywiła się. – Położyli go u nas w klinice, w przyszłym tygodniu będzie miał operację, no, a potem, sam wiesz. To potrwa co najmniej parę miesięcy.

Martin uświadomił sobie, że wyraz ulgi na jego twarzy jest co najmniej niestosowny, więc przykrył go współczuciem i z troską, które zresztą w innych okolicznościach przysłyby mu naturalnie. A potem dotarło do niego coś jeszcze.

– Parę miesięcy? – powtórzył machinalnie.

– Ano właśnie. – Andrea była chyba znacznie bardziej pragmatyczna niż Sorensen. – To kiedy ci się kończy to finansowanie? Bo stypendium...

Martin tylko machnął ręką, nie chcąc wdawać się w roztrząsanie swojej fatalnej sytuacji zawodowej, i zwiął pod pretekstem pilnej roboty. Kiedy techniczna przestała się nim interesować, znalazł to, czego zabrakło mu w garażowym labie Dagny. Spakował odczynniki do plecaka i wyszedł na korytarz. I tak nie miał dziś głowy do pracy.

Choroba promotora zasadniczo stanowiła katastrofę. Klasyczną ilustrację tezy, że pewnych rzeczy nie powinno się zostawiać na ostatnią chwilę. Jednak z drugiej strony, czyż nie stawiała w takim razie propozycji Lundeberga w zupełnie innym świetle?

Tylko że Sorensen cały czas pamiętał ten zimny skurcz w żołądku, który poczuł, myśląc, że nieszczęście profesora mogło... mieć coś wspólnego z nim. Z jego głupimi żartami. I z ludźmi, wśród których zaczął się nagle obracać.

Oczywiście to tylko jego wyobraźnia.

„Co, tchórzysz?”, usiłował obrócić wszystko w żart, lecz najwyraźniej nie wszystkie obawy umiał zgłuszyć luzacką nonszalancją.

Bo może tym razem nieco się zagalopował w urojonych strachach, jednak współpraca z taką organizacją – spójrzmy prawdzie w oczy: organizacją, a nie jakąś zbieraniną kumpli traktujących sprawę półhobbystycznie – współpraca z nimi, to coś zupełnie innego kalibru niż bywanie na imprezach Patricka, na których ktoś czasem częstował używkami ciekawszymi niż dopuszcza prawo.

Tym razem przyczyna choroby promotora okazała się naturalna, ale...

Martin wzdrygnął się i poprawił na ramieniu plecak z odczynnikiemami, który nagle zaczął go jakby uwierać.

– Proszę pana! – męski głos wyrwał go z ponurych rozważań. Mówił po angielsku. – Proszę się zatrzymać.

Sorensen rozejrzył się, nieproporcjonalnie spięty. Przez hall szedł w jego kierunku młody ciemnowłosy mężczyzna. Martin przez chwilę miał silne wrażenie *déjà vu*, aż wreszcie wspomnienia wskoczyły na swoje miejsce: słowiański akcent, jakieś żarty na temat porodówki – widział już tego faceta, przed wykładem Mikołajczaka.

– Co pan niesie w plecaku?

Pytanie było bezczelne, lecz zostało wypowiedziane takim tonem, że Sorensen odruchowo odpowiedział.

– Odczynniki.

– Proszę otworzyć plecak, powoli.

Absurdalne polecenie. Wydający je mężczyzna nie miał ku temu żadnych uprawnień, nie raczył się nawet powachlować legitymacją policyjną czy czymś w tym rodzaju.

„Pracownik DKFZ nie będzie miał kłopotów tylko z tego powodu, że nosi odczynniki po terenie instytutu”, pomyślał Sorensen, rozpinając torbę, a potem otwierając wyłożone styropianem pudełko i pokazując szklaną butelkę z wzorcem.

Bo z jakiejś przyczyny wydało mu się, że rozkaz wykonać musi – w głosie chłopaka było coś, co nie dopuszczało jakiegokolwiek dyskusji.

– Odczynniki – powtórzył Martin.

„Nie bomba ani nie pistolet”, pomyślał.

– Przyniesiono mi tę paczkę przez pomyłkę i... – miał powiedzieć: „Idę ją oddać koledze w innym budynku”, ale poczuł się jak student na egzaminie, który z wyrazu twarzy profesora odczytał, że zmierza w fatalnym kierunku. Badawcze spojrzenie młodego człowieka zaniepokoiło Martina i nie brnął dalej w kłamstwo. Chłopak jednak rzucił: „Dziękuję, może pan iść” i sam

odszedł, oglądając się jeszcze tylko przez ramię.

Sorensen ruszył przed siebie, starając się, żeby wyglądało to naturalnie. A kiedy był już na ulicy, nagle przypomniał sobie równocześnie kilka rzeczy.

Poruszające się wyraźnie płatki nosa chłopaka, który bardziej węszył, niż się Martinowi przyglądał. Tamto oczekiwanie na wykład – „Praktyki na porodówce?”, „Na oddziale ratunkowym”, „To wiele wyjaśnia. Mieliście takie zajęcia...” i przerwa w rozmowie, wzrok młodego mężczyzny podążający za poruszeniem w tłumie. Czujny wzrok ochroniarza.

Niepodlegający dyskusji rozkaz, którego nie da się nie wykonać. I wyłowienie spośród kręcących się w hallu osób tej jednej, która – silnie wzburzona – niesie trefny pakunek.

„O cholera, ale numer!”. Sorensen uśmiechnął się szeroko. Właśnie otarł się o Wielką Naukę w akcji.

Jednak na dłuższą metę mu to humoru nie poprawiło.



W domu powitała go cisza. Błoga i niezakłócona.

„Silke zabrała Lukrecję do weterynarza”, pomyślał, nawet z pewnym ukłuciem wyrzutów sumienia.

A potem wszedł do kuchni i zobaczył, że nie ma kocich misek. I puszki na herbatę z obrazkiem przedstawiającym japońską damę. I cukiernicy ze srebrną łyżeczką.

Sorensen zrobił w tył zwrot, wracając do przedpokoju. Gdzie odnotował brak zimowych kozaków na wysokim obcasie oraz domowych miękkich pantofli. A w dużym pokoju, będącym salonem i sypialnią, brak stacji

dokującej do laptopa, wzorzystej poduszki...

Kiedy rozsuwał drzwi szafy, z połączonego bezpośrednio z sypialną gabinetu rozległ się beznamiętny głos: – Wyprowadziła się. Pakowała się pół dnia, ledwo zdążyła.

Martin prawie podskoczył. Odwrócił się do Tomali, który ciągnął: – Zostawiła dla ciebie list.

Na stole leżała kartka, zgięta i zszyta zszywaczem w taki sposób, żeby ciekawski współlokator nie mógł przeczytać treści bez naruszenia „plomby”.

Sorensen rozdarł papier wokół zszywek i przeczytał równe, wyważone literki pisma Silke: „Przeziąłeś. Jeżeli chcesz się bawić w mafię, rób to beze mnie”.

– Coś ty jej, kurwa, nagadał?! – ryknął na Tomalę.

– Ja? Nic.

„Taaa, już ci wierzę”, ocenił Martin.

Sławek leżał w ubraniu na byle jak zgarniętej pościeli, palił skręta, a słodki zapaszek dymu unosił się w całym mieszkaniu. Tomala nie wyglądał na przejętego rodzinnym tornadem, w którego centrum się znalazł. „Jak śnięta ryba pływająca z prądem brzuchem do góry”, skrzywił się Sorensen. „Nic go nie rusza”.

– A co napisała?

Martin nie umiał stwierdzić, czy to zgrywa, czy pytanie serio. Patrząc, jak Sorensen siada ciężko na kanapie, Sławek zaciągnął się i uśmiechnął, niby beztrosko, ale z niepokojącym błyskiem w oku... Tomala wyglądał jak zły duch – w półmroku zacienionego roletami gabinetu, rozwalony na swoim barłogu, w welonie dymu.

– Propozycja Lundeberga... – zaczął Martin i zaciął się na chwilę. Potem nabrał powietrza i odezwał się znowu. – To jest propozycja nie do odrzucenia, tak?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Spokój Tomali wydawał się być bezbrzeżny. – Spytaj Dagny. Ja tylko zapewniam elitarne rozrywki...

– ...wąskiej grupie klientów – dokończył za niego Sorensen i usiadł wygodnie, zaplatając ręce na piersi, zakładając nogę na nogę i nie przestając przyglądać się Sławkowi ze sceptycznym wyrazem twarzy.

„I co ja mam z tobą zrobić? Wywalić cię na zbity pysk, bać się ciebie czy iść z tobą na piwo, co jak wiadomo, leczy wszelkie sercowe smutki?”.

Z rozterki wybawił go telefon Olsson.

– Przyjeżdżajcie, niedługo tu będą.

Rozłączając rozmowę, Martin pomyślał, że nie lubi, kiedy ktoś go usiłuje do czegokolwiek zmuszać i choćby z czystej przekory nie zdecyduje się na dłuższą współpracę. Ale oczywiście wykona zlecenie, którego się podjął, mimo że jego wewnętrzny, najwyraźniej nadal praworządny GPS popiskiwał cichutko: „Jeżeli możesz, zawróć”.



– Ten twój cały Heidelberg to jest jakieś miasto zboczeńców! – poinformowała Sorensena Dagny, kiedy tylko zjawili się ze Sławkim w wynajmowanym przez nią domu.

– Eeee, że co proszę?

– Dziś to w sumie duperela, jakiś oblech się do mnie przystawiał w hotelu, ale to tutaj kiedyś widziałam obrazek po prostu nie do przebicia: na leśnej drodze spotkałam utlenionego na blond faceta, który nago uprawiał jogging. Wierz mi – zgromiła wzrokiem Tomalę, który już miał na końcu języka jakiś komentarz – to był wyjątkowo mało apetyczny widok.

– Moment, moment... – wciął się Martin. – Nago, jogging? Dagny, a co ty robiłaś w Heidelbergu już w lecie?

– Zbierałam, złotko, wywiad środowiskowy o tobie. To było poprzednie lato – dodała bez mrugnięcia okiem.

– Ahaaa – chwilowo tylko na tyle było Sorensena stać. Czuł się opleciony solidną, profesjonalnie zarzuconą siecią.

Przechodzili właśnie przez garaż, w którym oprócz motocykla stały teraz dwie furgonetki, obie z unijnymi tablicami rejestracyjnymi: mniejsza – z niemieckimi, a większa, w zasadzie już półciężarówka – z białoruskimi. Na drzwiach tej drugiej widniało kolorowe logo i nazwa firmy. Hurtowni farmaceutycznej, jak Martinowi zdążył wcześniej wyjaśnić Sławek.

– A ten koleś co tu jeszcze robi? – spytał teraz Tomala, wskazując na białoruski samochód.

– Siedzi na górze i ogląda gołe dupy w telewizji, czekając na wyniki badań Mattiego. Przecież mu nie zapłacę w ślepo.

Olsson otworzyła tylne drzwi półciężarówki. Wnętrze samochodu prawie pod dach było załadowane kartonami, tylko na samym brzegu zostawiono kawałek wolnego miejsca, gdzie stało jedno pudło, identyczne z pozostałymi, jednak wcześniej wyciągnięte ze środka i rozpieczętowane. Dagny wyjęła z niego pojedyncze opakowanie z lekami, a z opakowania – trzy listki tabletek. Przyjrzała im się uważnie i oddała Tomali: – Sprawdź jeszcze po mnie. Numer seryjny się zgadza?

– Yhy – potwierdził.

Potem tabletki wylądowały w rękach Sorensena. Sądząc ze składu opisanego na pudełku, powinno to być lekarstwo na nadciśnienie. Choć najwyraźniej nie było.

– Jedna sztuka. – Olsson uniosła palec, przypominając o umowie. – Nie stać nas na zniszczenie większej ilości.

– Jedna wystarczy – skinął głową Martin i ruszył w kierunku laboratorium.

Zanim zdążył rozłożyć się na dobre z robotą, obecność świadków już mu zaczęła przeszkadzać.

– Przepraszam, Dagny, ale czy ty naprawdę musisz mi tak patrzeć na ręce?

– Tak – stwierdziła radośnie, sztachając się nafaszerowanym nikotyną e-papierosem. – Strasznie lubię się przyglądać, jak faceci robią coś, na czym się dobrze znają. Wiesz, jesteście wtedy tacy mrrr. – Zmrużyła oczy, a widząc minę Sorensena, parsknęła śmiechem. – Chodź, Tomala, Matti się wkurzył. A taka z niego ładna blond nagroda wojowniczkii.

– Cha, cha – zaśmiał się wisielczo Sławek i wyszedł za szefową, salutując Sorensenowi.

Ze schodów prowadzących do mieszkalnej części domu dobiegły jeszcze ich głosy: – Przerzuciłaś się na jasnych blondynów?

– Nic nie poradzę: słabość do Skandynawów mam w genach, po mamusi. I po jej mamusi, i jej mamusi...

– Pote przylatuje – wszedł jej w słowo Tomala, a Martin w laboratorium uśmiechnął się pod nosem, wyczuwając w tonie Sławka mściwą satysfakcję.

– Och, nie tak zaraz... Ja przecież muszę jeszcze pojechać do Polski, pomóc się tam Mattiemu zadomowić...

„Niedoczekanie twoje!”, pomyślał Sorensen. Z niejakim żalem.



Martin wyszedł wreszcie z piwnicy do zajmującego prawie cały parter willi salonu, w którym jednak stała teraz tylko zniszczona kanapa. Na ścianie

wisiał telewizor, stary jak świat i dożywający tu swoich dni. Wbrew zapowiedziom Olsson nie wyświetlał żadnych gołych dup, tylko film z dużą ilością wybuchów. Pracownicy międzynarodowej korporacji pana Lundeberga jedli pizzę.

– A mnie to nie zaprosili! – zachnął się Sorensen, ale zaraz spoważniał. – Dagny, te wasze dragi są zanieczyszczone jak jasna cholera. Kompletny syf, kto to w ogóle produkuje?! Już tamte poprzednie mogły być lepsze!

Białorusin zaklął i odłożył swój kawałek pizzy na oparcie kanapy.

– No, nic tu po tobie – stwierdziła mało gościnnie Olsson. – Bierz ciężarówkę, w końcu wasza, i zmykaj.

– A pieniądze?

– Zwariowałaś?

Oczy kuriera zwężyły się niebezpiecznie, lecz po chwili skinął powoli głową: – OK. Ale oddaj mi tabletki. Te, które zostały. Jeżeli wrócę bez towaru i bez kasy...

– Gówno mnie obchodzi, co wtedy będzie.

Sorensen pomyślał stoicko, że Dagny nigdy nie grzeszyła cierpliwością, nawet w liceum. Teraz po prostu wyjęła pistolet.

– Zmykaj, mówię. Do twojego szefa to my sobie i tak zadzwonimy, więc nikt ci krzywdy nie zrobi. Chyba że zdenerwujesz mnie jeszcze bardziej.

Facet dał za wygraną i pozwolił się odprowadzić do garażu, skąd wyjechał ponaglany przez Dagny, która machała niedbale bronią, wskazując mu kierunki, kiedy zawracał na podjeździe.

– Po co ci te gówniane prochy? – spytał Sorensen, gdy ciężarówka zniknęła już za bramą. – To przecież trucizna.

– No, właśnie – uśmiechnęła się promiennie. – Wypadki chodzą po ludziach.

– Taaaa... – Martin nie podzielał bynajmniej jej entuzjazmu. – No, ale

skoro trucizna też ci się przyda, to czemu nie zapłaciłaś?

– Następny mądry! – prychnęła. – Ciesz się, że nie kazałam mu ich wypróbować na sobie, tylko organizowałam tę całą pieprzoną ekspertyzę!

– Po to ściągnęłaś tu drugi samochód? – wtrącił się beztrosko Sławek. – Żeby mieć czym wywieźć zwłoki?

– Nie, chcę was zabrać do jakiegoś klubu w Mannheim. Mam już dość tej uniwersyteckiej wiochy, trzeba mi czegoś z większym rozmachem. Matti, oczywiście jedziesz z nami? Czy wracasz ratować swoje życie osobiste, pewnie już zrujnowane przez Tomalę?

– Moje życie osobiste spakowało kota w transporterek i się wyprowadziło. Sławek w sumie niewiele miał z tym wspólnego. Ot, gwóźdź do trumny. – Martin zdążył w międzyczasie przemyśleć parę kwestii.



Jechali autostradą przez noc. Dagny za kierownicą, bo to ona wystraszyła skądś tę furgonetkę. Martin i Tomala obok, na przednich fotelach. Sławek nie omieszkał przy okazji poinformować nowego kumpla, że nie ma prawa jazdy. I bardzo zadowolony, że na pewno nikt, na żadnym etapie nocy, nie zażąda od niego prowadzenia samochodu, wyciągnął z kieszeni puszkę piwa.

– Zamówiłem do pizzy – wyjaśnił, łowiąc zniesmaczone spojrzenie Sorensena. – Nie noszę alkoholu przy sobie, masz mnie za jakiegoś menela? – oburzył się.

Dagny nieumiejętnie zamaskowała kaszlem rechocik. Potem zmieniła temat na bezpieczniejszy: – Martin, tam w Polsce będziesz kierował hurtownią farmaceutyczną. To znaczy formalnie zostaniesz jej właścicielem,

załatwimy wszystkie papiery. Widziałeś już mniej więcej, jak to działa: jeżdżą sobie legalne transporty, interes się kręci, a co któryś samochód wiezie przez granicę coś naszego. Dodatkowo będziesz przeprowadzał kontrolę jakości, już dawno powinna być robiona rutynowo. Zapewnimy ci pełne bezpieczeństwo. Fizyczne i prawne.

– Ho, ho – Sławek wyraził znad piwa swój podziw. Olsson zgromiła go wzrokiem.

– To dobra oferta – powiedziała. – Opłaci ci się.

– Nie chcę wyjeżdżać z Heidelbergu – zaprotestował Sorensen, mając nadzieję, że wszystkowiedząca Dagny od wywiadów środowiskowych nie zna jeszcze najnowszych wiadomości o jego promotorze.

– I ile tu zarobisz? Albo na tej kamienicy po mamie, co ją wynajmujesz w Kopenhadze? A tak: kupisz sobie wreszcie tę łódkę, czy co to miało być?

– Platforma wiertnicza... – Martin poczuł, że jeszcze chwila, a się zarumieni. Wywlekanie młodzieńczych marzeń, czegoż innego należało się spodziewać po koleżance z klasy.

– Że co?! Platforma wiertnicza?! – Tomala mało nie zakrztusił się piwem. – Chcesz zostać petromilionerem?

– Neee. – Sorensen jednak się zaczerwienił. Dobrze, że w samochodzie było ciemno. – Jakaś stara platforma. Już nieużywana.

– Można je przerabiać na luksusowe domy. A Martin lubi żagle. – Dagny posłała Sorensenowi krótkie, kontrolne spojrzenie. Skinął głową.

– Ano lubię. Ale nie chcę być właścicielem hurtowni farmaceutycznej. To nudne. – Sam się zdziwił, że użył akurat takiego argumentu, jednak ogólnie im bardziej mu się propozycja Lundeberga podobała, tym bardziej się buntował. Nie zachwycał go fakt, że była do tego stopnia skrojona pod jego gust.

– Wolałbyś coś ciekawszego? – Olsson zaczęła się śmiać. – Oj, Matti, ja

cię po prostu nie poznaję! Aleś się rozszalał w tym DKFZ, normalnie zgroza.

– A w łeb chcesz?

– Wiecie co – wtrącił Sławek. – Zanim przejdziecie do sado-maso, mogłabyś się zatrzymać na najbliższej stacji benzynowej? Skończyły mi się papierosy.



Najbliższy zjazd z autostrady nie prowadził do stacji benzynowej tylko do porządnie wyglądającego motelu. Dagny zajęła z fasonem na duży parking i zatrzymała zdezelowaną furgonetkę daleko od głównego wejścia do budynku.

– A tam co się dzieje? – spytała, z wahaniem wyłączając silnik. – Wycieczka?

Sorensen dopiero teraz zwrócił uwagę, że bliżej oświetlonych bocznymi lampkami schodów do recepcji zatrzymał się pomalowany na krzykliwe kolory autokar. Nie wyglądał jednak na wycieczkowy – pokrywały go nie reklamy biura podróży, ale awangardowe graffiti, wariacja na temat dżungli z papugami, lampartami i mnóstwem innych szczegółów, które trudno było z daleka po ciemku dostrzec. Choć wysypujący się z autokaru pasażerowie prezentowali chyba wszystkie możliwe style ubioru – od długowłosego kolesia w glanach do panny w zwiewnej, wyszywanej koralikami szacie – to też żadne z nich nie wyglądało na klasycznie rozumianego turystę.

– Na koncert jadą? – wykazał się znajomością obyczajów Tomala.

– Nieważne – machnęła ręką Dagny, uznając najwyraźniej, że sprawa ich nie dotyczy. – Idź po te szlugi, tylko się pośpiesz.

Sławek wysiadł, a Martin za nim – ku zaskoczeniu Olsson.

– Może kupię sobie jakiś napój energetyzujący? – wyjaśnił.

– Mam coś, co cię postawi na nogi! – podchwycił natychmiast Tomala. Zatrzaśnięciem drzwi furgonetki uciął chichot Dagny i ciągnął z zapalem. – Bardzo przyjemna substancja, daje powera, a równocześnie cudownie odrywa od codzienności! Pełen relaks, po prostu „nie ma zła”.

– Testowaliście, czy nie jest zanieczyszczona? – podciął mu skrzydła Sorensen.

– Oj, nie bądź już taki drobiazgowy – obruszył się Sławek. – Czasem trzeba trochę ryzyka, dla smaku.

Mijali właśnie barwnie ubranych młodych ludzi i ci zmierzyli ich nieufnymi spojrzeniami. Sławek powitał wszystkich wesołym: „Cześć!”, ale natrafił na zaskakującą barierę dystansu. Undergroundowe towarzystwo zajęte było nieśpiesznym wypakowywaniem bagaży z autokaru, czekając na coś w dziwnie poważnym nastroju.

„Może przeheulali prawie całą kasę i wysłali kogoś, żeby sprawdził, czy w ogóle ich na ten motel stać?”, pomyślał Martin.

W hallu rozstali się: Sławek poszedł kupić papierosy w kiosku przy recepcji, a Sorensen wypatrzył automat z napojami w ciemnym kącie na końcu korytarza. Zauważył go tylko dlatego, że padała tam przez szklane drzwi smuga światła z latarni na tarasie.

Martin walczył przez chwilę z zacinającym się mechanizmem, który wypluwał wrzucane przez niego pieniądze. Kiedy wreszcie udało mu się wepchnąć monetę w głąb trzewi maszyny i dostać w zamian puszkę z napojem, odwrócił się w stronę do recepcji. I zamarł.

Ze schodów na przeciwnym krańcu hallu zbiegał miękki, lekkimi skokami co kilka stopni ciemnowłosy młody człowiek. Sorensen odruchowo cofnął się, sięgając do drzwi na taras. Ku jego zdziwieniu i uldze ustąpiły.

Martin znalazł się na zewnątrz, zanim Kot choćby spojrzał w jego kierunku.

Motel za miastem, z dala od dziennikarzy i wszędobylskich studentów, przed którymi nic się nie ukryje. Idealne warunki dla kogoś, kto z jednej strony musi występować publicznie, a z drugiej – też niejako z obowiązku powinien pozostawać w cieniu. Wykłady profesora Mikołajczaka obstawiała z całym zadęciem lokalna policja, jednak mieszkać mógł tutaj, pod opieką swojego wychowanka i ewentualnie jeszcze jednej czy dwóch osób.

Martin zdążył już zejść z pustego o tej porze roku tarasu i zorientować się, że najkrótszą drogę na parking zastawia mu dyskretnie osłonięty ogrodzeniem śmietnik. Musiał więc okrążyć budynek alejką biegnącą wzdłuż trawnika i błotnistych rabatek. Niby nie miał nic na sumieniu, lecz jakoś nie chciał pchać się w oczy Kotu, spotkanemu w DKFZ w nie do końca legalnych okolicznościach.

Wyszedł zza rogu i zatrzymał się, klnąc pod nosem. Przed wejściem do motelu trwała... demonstracja. Bagażami wyciąganymi z autokaru okazały się transparenty. „Radykalni Zieloni”, pomyślał Martin. Uzbrojeni w pomidory, jajka i inne ekologiczne argumenty, walczący o bioróżnorodność, nieingerowanie w naturalny przebieg ewolucji i co tam jeszcze. *MIKOŁAJCZAK = FRANKENSTEIN!*, głosił napis na jednej z tablic. Akurat w chwili, kiedy przed motelem pojawił się ciemnowłosy chłopak, nocne powietrze rozdarł przeraźliwy dźwięk używanych przez demonstrantów gwizdków. Z głośników na dachu autokaru zadudnił głębokimi basami podkład.

„*Katzenmusik*”, zarechotał w duszy Sorensen.

Zwiewna panna w szacie wyszywanej koralikami plunęła w mikrofon ognistą litanią przemowy. Martin tylko skrajem świadomości rejestrował hasła: Unia, konstytucja, prawo do godności, eugenika, Hitler, kara Boża, Babilon... Sorensena bardziej w tej chwili interesował ciemnowłosy Kot,

który przyglądał się zamieszaniu, stojąc u szczytu schodów.

Grupa wokół autokaru zwarła się bojowo, skandując jakieś hasło, a dziewczyna wspięła się na dach pojazdu i zaczęła tańczyć.

– Trzeba wypalić zło! – krzyknęła. – Zniszczyć demona!

Kot zawracał już w stronę wejścia do motelu, ale zawahał się w pół kroku. Martin zafascynowany wpatrywał się w obrazek szaleństwa.

– *Fire...* – śpiewał ktoś na nagraniu.

– *Feuer!* – zawyła wirująca między głośnikami panna.

– *Fire! Fire!* – skandowali ludzie z transparentami.

– Demon! Wypalić zło!

Rozległ się huk, Kot nieludzkim susem odskoczył w stronę budynku. Przypadł do posadzki tarasu. Martinowi zabrakło refleksu, po prostu zamarł na chwilę.

Ale to tylko strzeliły w niebo fajerwerki. Ciemnowłosy chłopak zerwał się na równe nogi i nawet z tej odległości Sorensen widział, że miarka się przebrała, wkurzyli go. Zniknął za szklanymi drzwiami hallu.

Muzyka dudniła, w oknach motelu zaczęły pokazywać się twarze. Sorensen odruchowo spojrzał w górę. Trzy z okien na piętrze były puste. Ciemne.

„Ciekawe, w którym z nich...”, zdążył pomyśleć Martin.

– *Fire! Fire!*

– Wypalić Babilon! *Feuer!* – wrzasnęła dziewczyna.

I w stronę budynku poleciała petarda. Jedna, druga, trzecia... Huk i rozbłysk, jednocześnie.

Martin rzucił się z powrotem za róg, za osłonę muru.

„Oż kurwa... Trafiliśmy w sam środek kotła”.

Biegąc alejką na tyły motelu, Martin nagle zwolnił.

„Moment, moment. Jakie my?”.

W środku, w recepcji, był Sławek. Długowłosy, w bojówkach, trampkach, drelichowej kurtce i wczorajszej koszulce z pentagramem. No cóż, ma chłopak pecha. Zresztą na takiego właśnie wygląda – takiego, co zawsze ma pecha. Ale Martin?...

Właśnie dostrzegł furtkę między śmietnikiem a jakąś szopą, uchyloną furtkę, którą można było wyjść na boczną drogę i wrócić na parking. Albo i nie.

Sorensen zatrzymał się, z ręką na klamce furty. Nie musiał iść na parking. Nawet zakładając, że Dagny jest tam nadal i z włączonym silnikiem czeka na dwóch idiotów, którzy wpakowali się w coś, co ich zupełnie nie dotyczy, nawet wtedy – czy Martin aby na pewno powinien biec akurat na parking? A może właśnie w dokładnie przeciwnym kierunku?

Nie musi też wracać do Heidelbergu, do wynajętego mieszkania. Nic nie musi. Ma karty w kieszeni, przed sobą cały kontynent. Jeżeli powie, że zgubił paszport, i wyrobi sobie nowy – to cały świat. Międzynarodowa korporacja pana Lundeberga nigdy go nie znajdzie.

Dudnienie basów ucichło jak ucięte nożem. Kolejna eksplozja rąbnęła, aż poszło echo. Gdzieś daleko, od strony Mannheim, na granicy słyszalności wyły syreny.

Sławek, który w przeciwieństwie do Sorensena, nie wiedział kompletnie, co jest grane z tą dziwną demonstracją, i pewnie dopóki nie zaczęły wybuchać petardy, gapił się z recepcji przez okno, teraz dopiero znalazł się na tarasie. Martin widział, że Polak skręca dokładnie tak, jak on wcześniej: najpierw w ślepy zaułek za śmietnikiem, potem alejką między rabatkami. Czyli prosto w kocioł.

„Zatrzymają go na przesłuchanie. Jeżeli Dagny na nas czeka – ją także. Zyskam na czasie”.

Nawet nie miał nadziei, że ktoś domyśli się trucizny w niewinnych lekach

na nadciśnienie w kieszeni Olsson.

„Cholera, przecież Kot mnie kojarzy, wie, że mam coś na sumieniu. Jeżeli mnie też zgarną, będą tak maglować, aż zeznam wszystko, choćby że planuję wysadzić DKFZ w powietrze”.

Ale już biegł – i to bynajmniej nie w kierunku kuszącej spokojem, bezpiecznie pustej i ciemnej bocznej drogi.

– Tomala! Tomala, do cholery!

Kolejne wybuchy, wyjące alarmy zaparkowanych pod motelem samochodów, wrzaski demonstrantów – nie pomagało mu to wszystko, w żaden sposób.

Jednak jakimś cudem udało mu się dopaść Sławka, zanim ten stanął przed wyborem: albo ucieczka przez wysokie ogrodzenie, albo zadyma przed głównym wejściem.

Kiedy biegli potem do Dagny, która zdążyła staranować barierkę i przebić się na równoległą do autostrady szosę, Martin obejrzał się jeszcze. Był wysportowany i znacznie wyprzedził Tomalę. Wskakując na schodki furgonetki i przytrzymując kumpłowi drzwi, widział na tle rozbłyskującego wybuchami nieba, jak po dachu budynku przemyka drobna postać. Wydało mu się, że rozpoznaje dziewczynę, którą zapamiętał z tłumu pod aulą w DKFZ.

– Koteczka – szepnął, widząc jej sposób poruszania się, kiedy przyczajona poza zasięgiem latarni rozglądała się po otoczeniu motelu.

– Jedź! – wrzasnął Sławek, Dagny ruszyła, gwałtownie skręcając. Trzasnęły drzwi.

– Co to, do kurwy nędzy, było?! – warknęła Olsson, wściekła, jakby to Tomala z Martinem osobiście odpowiadali za wszystko, ze szczególnym uwzględnieniem petard. – Tomala, daj mi papierosa. Swojego, prawdziwego, po prostu mi go zapal i daj!

Sławek wykonał polecenie, a Sorensen powoli, porządnie zapiął pasy, oparł się o zagłówek i z ogromnym zaskoczeniem odnotował fakt, że wcale nie jest spanikowany. A takiej reakcji po sobie oczekiwał. Tymczasem czuł raczej pełne emocji podekscytowanie. Nie miał jednak czasu analizować skomplikowanych niuansów własnej psychiki, tylko rzeczowo odpowiedział na retoryczne w zamierzeniu pytanie Dagny: – Zamach. Chociaż to może za dużo powiedziane... Raczej próba maksymalnego uprzykrzenia życia Mikołajczakowi i jego Czarnym Kotom.

– Yyy? – wycedziła Dagny przez zęby, w których miała papierosa, bo właśnie jechała na przełaj, usiłując przebić się na kolejną z bocznych dróg, więc wolała trzymać kierownicę obiema rękami.

– Czarne Koty – powtórzył Martin.

– GMO agenci! – załapał Sławek.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Dagny, kiedy Tomala wyjął jej z ust papierosa, strzepując popiół na i tak już brudną podłogę furgonetki.

– Zebrałem wywiad środowiskowy – nie mógł się powstrzymać Sorensen. Dagny tylko uniosła brew, oglądając się na niego. – Jedziemy do Mannheim? – spytał jakby nigdy nic.

– Nie. Olaf jednak powinien stąd zniknąć. Tak na wszelki wypadek. Jeżeli mamy pecha i tam padną jakieś trupy, to w mieście będzie za duży ruch.

„Policyjny”, skończył za nią w myślach Martin.

Olsson, znów prowadząc jedną ręką, włączyła telefon i rozmawiała z kimś krótko po szwedzku. Sorensen osłuchiwał się z tym językiem w młodości, jednak tylko na tyle, żeby teraz zrozumieć, że tym kimś był Lundeberg.

– My możemy wyjechać trochę później – powiedziała, rozłączwszy rozmowę – ale też wolałabym się tu za długo nie kręcić. O, to już prawie Heidelberg, zaraz zostawimy samochód.

Szukając jakiegoś ciemnego i zapuszczonego parkingu, Dagny zamyśliła

się na moment.

– Czarne Koty, powiadasz? Widziałeś ich?

– Yhm.

– I jak?

– No... Bo ja wiem. Młodzi. Tacy trochę... Specyficzni. Za dużo z nimi do czynienia nie miałem. Robią wrażenie.

– Jak będzie okazja, opowiesz Olafowi. Gdyby był zainteresowany oczywiście.

– Zainteresowany czym?

– Tematem Kotów, Matti. Olaf prowadzi szeroko zakrojone interesy.

– Aha... – mruknął tylko Sorensen.

Dagny zatrzymała furgonetkę pod zamkniętym na głucho sklepem spożywczym. Zegar na wystawie wyświetlał trzecią dwadzieścia pięć.

– Dokąd teraz? – spytał Martin, kiedy wysiedli.

– Do Polski.

Sorensen zawahał się, ale tylko przez chwilę.

„Właściwie? A co mi tam...”.

I ruszył za kumplami w stronę pogrążonego w śnie miasta.

DROGA W ŚNIEGU

G orące, lekkie powietrze odbierało chęć do jakiegokolwiek działania. Dagny Olsson czuła, że powoli zaczyna mieć dość.

– Potraktujmy to jako... przyjacielskie ostrzeżenie – powiedział Olaf Lundeberg, zakładając nogę na nogę.

Ubrany w jasne spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami, siedział na przyniesionym do piwnicy krześle w tak nonszalanckiej pozie, jakby znajdowali się kilkadziesiąt metrów dalej i trzy metry wyżej: na prywatnej plaży połączonej z wynajmowanym przez nich bungalowem.

– Przyjaciele nie robią sobie takich rzeczy, jakie ty chciałeś zrobić nam – stwierdził z żalem Lundeberg, spoglądając na mężczyznę, który klęczał przed nim na betonowej podłodze. Ręce miał wykręcone do tyłu i skute kajdankami, a jego rozchełstaną kolorową koszulę pokrywały ciemniejące plamy krwi. Twarz niepokornego podwładnego pana Lundeberga wyglądała bardziej niż paskudnie.

„Chyba mu jednak złamałam ten nos”, pomyślała bez emocji Dagny, obserwując powiększającą się opuchliznę. Dłonie pociły jej się w gumowych rękawiczkach, na razie wołała ich jednak nie zdejmować – może szef będzie miał jeszcze jakieś życzenia?

Olsson chciała już stąd wyjść. Usiąść w spokoju w klimatyzowanym barze, napić się czegoś. Soku. Pomarańczowego, tak, zdecydowanie pomarańczowego.

Myśli Dagny, przez chwilę dryfujące gdzieś daleko, wróciły

błyskawicznie do ciemnej, oświetlonej tylko małą żarówką piwnicy. Mężczyzna na podłodze – wysoki Niemiec, świński blondyn z fryzurą nastroszoną żelem – mamrotał nieskładne wyjaśnienia. Olaf słuchał ich z niewzruszonym wyrazem twarzy, przyprószone siwizną włosy nadawały mu pozory dobroduszości.

– Łączy nas wiele wspomnień – powiedział wreszcie, a Dagny przetłumaczyła sobie: „Mamy na ciebie tyle haków, że nawet nie będziesz próbował podskakiwać”. – Wydaje mi się, że już nigdy nie popełnisz podobnego błędu, prawda?

Niemiec gwałtownie pokiwał głową, próbując równocześnie zaprzeczać i potwierdzać.

– Chyba doszliśmy do porozumienia – uznał Lundeberg, z filozoficzną zadumą wpatrzony w „przyjaciela”. Powiedział to w zasadzie bardziej do Dagny niż do niego, bo zaraz też wstał, kierując się do drzwi, w których czekali już chłopcy z ochrony osobistej.

Niemiec także próbował podnieść się z podłogi, ale przeszkadzały mu w tym skute ręce. Oczy jego i Olsson spotkały się nagle.

– *Du Hure...* – zmełł w ustach obelgę. Splunął, a krwawa smużka śliny wylądowała na betonie podejrzanie blisko sportowych czerwonych sandałków Dagny.

Odwinęła się błyskawicznie, jednym płynnym ruchem: krok do przodu i uderzenie. Tym razem nie bawiła się w subtelności, facet stracił przytomność, a nos miał już bez wątpienia przestawiony.

Lundeberg odwrócił się, zaskakująco zwinnie i czujnie jak na spokojnego biznesmena w średnim wieku, na którego zawsze umiejętnie pozował.

– Olsson, co ty wyczyniasz? – syknął.

Przesłuchiwany, mimo wszystkich swoich wad i niechęci do ujawniania części dochodów, był z tych wyżej postawionych. A w końcu dano mu drugą

szansę.

– Naucz się niemieckiego, Olaf – wycedziła zimno Dagny, z ulgą zdejmując zakrwawione gumowe rękawiczki. Rzuciła je na podłogę koło nieprzytomnego mężczyzny i wyszła z piwnicy.

Na dworze powietrze było mniej stęchłe, za to jeszcze bardziej gorące. Lazur morza wprost nieprzyzwoicie idealny. Kwiaty spływały z donic na tarasie wielobarwną kaskadą. Dalej, na molo, siedziała cześć ludzi Lundeberga, a między nimi kręciło się kilkoro Tajów z obsługi bungalowu.

W cieniu plażowego parasola spoczywał rozwalony na leżaku Sławek Tomala, oczywiście w bojówkach i czarnej koszulce. Pokiwał w stronę Dagny szklaneczką z drinkiem.

– Skończyliście?

– Nie wiem, jak Olaf, ale ja tak – powiedziała zdecydowanie i zajęła drugi leżak. Skinęła na ładnego kelnera. – Sok pomarańczowy, z lodem.

Kiedy chłopiec odszedł, dodała: – Przywieźli nam jakiegoś kolesia z problemami.

– Hmm – skrzywił się Sławek. – Bardzo poważne te jego problemy?

– Nie bój się, trupa nie ma. Podrzucą go pewnie do domu, a on się już poskłada do kupy we własnym zakresie. Nie mam pojęcia, kto będzie krew sprzątał w piwnicy, na pewno nie ja. A myślę, że nie należy jednak za bardzo pobudzać wyobraźni obsługi.

Dagny nigdy nie używała słowa „służba”. Lundeberg nie podzielał jej lewackich dziwactw.

– Będiesz dziś jeszcze szefowi potrzebna? – upewnił się Tomala.

– Możliwe, że będę. Ale nic mnie to nie obchodzi. Mam dość na dziś. Tu jest za gorąco, za duszno, za wilgotno... Ogólnie „za” – skończyła dobitnie.

Sławek nawet się trochę zdziwił. Z ich dwojga to raczej on był od narzekania.

– Chłopaki będą nurkować. Pytali, czy płyniesz z nimi. W zasadzie to na ciebie czekają.

Dagny wzięła od kelnera szklanę lodowatego soku.

– Bo ja wiem...

Klimatyzowany bungalow. Cisza, spokój, odsypianie różnicy czasów...

– Jesteś na Phuket! – przypomniał odkrywco Tomala. – Powinnaś korzystać z atrakcji.

– Ty też chcesz nurkować? – Dagny mocno się zdziwiła.

– Noo... Ja nie, ale...

– Jasne, ty będziesz sobie leżał pod parasolem, a ja mam się męczyć? – parsknęła śmiechem. Humor zaczynał jej się poprawiać. Przebywanie ze Sławkiem miało swoje dobre strony.

Tomala spojrział na zegarek, wyciągnął jakieś tabletki i starannie wycisnął z blistra dwie, układając je na stoliku obok szklanki. Potem łyknął z namaszczeniem i spytał: – Na odporność. Chcesz?

Postukała się w głowę. Sławek bardzo poważnie podszedł do ostrzeżeń na lotniskach i w materiałach dla turystów – Dagny jakoś nijak nie umiała się przejąć szalejącymi na Dalekim Wschodzie falami wirusowych pandemii. No, ale Tomala zawsze coś łykał. Olsson podejrzewała, że jego bagaż podręczny przypominał aptekę – celnik, który miał w tym wszystkim szukać narkotyków, uciekł z wrzaskiem.

Od strony moło zbliżał się pulchny trzydziestolatek z wyraźnymi początkami oparzenia słonecznego. Za nim dreptała w klapkach ruda lasencja w bikini.

– Dagny! – zawołał grubas. – Chodź, zaraz odpływamy.

Lasencja wyglądała na naburmuszoną, widocznie ona zostawała.

Szwedka wysączyła ostatnie krople soku, smakując przez chwilę trzeźwiący chłód topniejącej w ustach kostki lodu. Potem wstała. Nie żeby

towarzystwo przypieczonego na słońcu księgowego z nadwagą było jej miłsze niż przygryzanie ćpunowi–hipochondrykowi, ale Olsson po prostu już tak miała: trudno jej było usiedzieć dłużej w jednym miejscu.

Marzenie o klimatyzowanym bungalowie odpłynęło. Sławek pomachał Dagny na pożegnanie, proponując rudej lasce zwolnione właśnie miejsce na leżaku.



W nocy upał wcale nie zelżał. Zmrok nie przyniósł żadnej zmiany. Dagny leżała na molo, słuchając szumu fal rozbijających się o podtrzymujące pomost pale. Na tarasie trwała impreza, muzyka z tej odległości wydawała się już na szczęście cichsza. Lundeberg zjawiał się na takich przyjęciach na samym początku, okazywał uprzejme zainteresowanie, pił kilka drinków, zamieniał parę słów z najbliższymi współpracownikami i znikał w swoim apartamencie. Rozumiał, że ludzie potrzebują trochę luzu i rozrywki.

Tyle że dziś Olsson nie była w nastroju. Leżała na molo i smakowała egzotyczne wakacje, ale w zasadzie, to chciało jej się spać. Wstała i powoli ruszyła w stronę bungalowów.

Była ubrana w dżinsowe szorty i czarny stanik od kostiumu kąpielowego. Na lewym bicepsie miała nowy tatuaż, który jednak prawie w całości zasłaniała przerzucona przez ramię cienka kurtka. Wystawiały spod niej tylko dwa splecione, zakończone chwościkami ogony.

Kiedy zbliżała się do budynku, zamachał do niej młody kelner, ten ładniutki chłopiec. Dagny posłała mu całusa. Nie zdążyła nawet dojść do tarasu, kiedy już zmaterializował się tuż obok, z dwoma drinkami i pełnym

uwielbienia wyrazem twarzy.

– Nie dziś, złotko. – Pokręciła głową, wręczając mu napiwek na otarcie łez.

Może jutro, może nigdy, ale na pewno nie dziś. Mimo że „jest na Phuket” i „powinna korzystać z atrakcji”.

Tomala, czujnie śledzący z drugiego końca tarasu manewry kelnera zabaweczki, teraz sam zagadał do Dagny, już wewnątrz budynku.

– Idziesz spać? – zainteresował się.

– To zarzut czy propozycja?

– A co będzie milej widziane? – uśmiechnął się ochoczo.

– Idę spać. Sama.

– A fe, Dagny, jak perwersyjnie! Niegrzeczna dziewczynka.

Pokazała mu język.

– Gapię ci się na biust, nie rozpraszaaj mnie – zganił ją Tomala.

– Miłych snów, mogą być o biuście – odpaliła, jednak chyba było widać, że nie jest w formie, bo Sławek się zatroskał: – Co jest? Znowu Guemes ma do ciebie o coś pretensje?

– Zerwałam z Pote.

– Ze... O szlag. Serio? – Tomala wychodził z siebie, żeby nie okazać entuzjazmu.

– Nie ekscytuj się. Nijak nie czuję się gotowa na poważny związek z Pote Guemesem, ale ciebie to w żaden sposób nie dotyczy. Zwłaszcza dziś.

– Jasne, zwłaszcza dziś. – Tomala, choć na to nie wyglądał, wiedział, kiedy należy przestać naciskać. Za co Dagny była mu nad wyraz wdzięczna. Teraz tylko błysnął zębami, odwrócił się na pięcie i odszedł na taras. Gdzie strzelił sobie takiego niucha białego proszku, że aż mu łzy poszły z oczu. Olsson pomyślała, że przynajmniej Sławek będzie się tej nocy dobrze bawił.

Ona sama czuła się paskudnie. Zdjęła szorty, wciągnęła przez głowę

koszulkę i wczółgała się pod koc. Nagle zrobiło jej się tak okropnie zimno, że nie miała nawet siły wstać do stolika po pilota od klimatyzacji, tylko zwinięta w łóżku czekała, aż przejdzie.

„Jestem zmęczona, ten cholerny jetlag zawsze mi przecież szkodzi...”.

Jednak mimo fatalnego samopoczucia wcale nie zasypiała. Kręciło jej się w głowie, chociaż starała się leżeć bez ruchu. Buntował się żołądek, lecz nie na tyle, żeby warto było ryzykować wyprawę do łazienki, która nagle wydawała się być nieosiągalnie daleko. Po skórze pełgały nieprzyjemne krążeniowe „meszki”, jednak też nie aż takie, żeby rozkopać walizkę w poszukiwaniu termometru. Bo na wysoką gorączkę też to nie wyglądało.

Tyle, że nad ranem Dagny Olsson doszła do wniosku, że chyba umiera. Może wreszcie zaszkodziły jej te wszystkie prochy, które wzięła w życiu i po których nie powinno być już ani śladu w organizmie. A może co innego.

Ale umiera.

Mając do wyboru Lundeberga i Tomalę, zadzwoniła do szefa, a Sławkowi wysłała SMS. Za oknem wstawał boleśnie piękny tropikalny świt.



Tak jak należało się spodziewać, osobą, która podjęła się eskortowania Dagny do szpitala, był Sławek. Nieco wczorajszy i zmięty, lecz zmobilizowany stresem.

Kiedy stanął w drzwiach sypialni Olsson, z przepisową, jak z ulotek rozdawanych na lotnisku, maseczką chirurgiczną na twarzy, Dagny dostała ataku śmiechu.

– Tomala, twój widok uzdrawia chorych.

Prawdę mówiąc, to w ogóle czuła się lepiej. Zaczynało jej się robić głupio, że wywołała taką aferę. Była trochę osłabiona, ale idąc do samochodu zjadła kilka herbatników, żeby nie zemdlilo jej w czasie jazdy, i odzyskała animusz. Jak mawiał jeden z przewijających się przez jej dzieciństwo ukochanych matki: „Jak się powiedziało A, to trzeba też powiedzieć BUEEE”. Jeżeli już zbudziła Olafa telefonem o wschodzie słońca, to teraz wypada zachować pozory i do tego szpitala pojechać. Sięgnęła po papierosa – i schowała go z powrotem.

„Może jednak nie rozpędzajmy się z tym BUEEE. Nie w samochodzie”.

Jechali przez miasto – prowadził któryś z kierowców Lundeberga, Sławek usiadł z przodu i ewidentnie starał się trzymać od Dagny jak najdalej. Olsson pozwoliła sobie jeszcze na chwilę bezmyślnego gapienia się za okno, ciągle nie mogła przyzwycząić się do ruchu lewostronnego. Nie podobało jej się odgrywanie roli transportowanego pakunku, ale nie czuła się na siłach odkręcać tego wszystkiego i wracać do hotelu.

Zaparkowali przed prywatną kliniką: czterdzieści pięter stali, chromu i błękitnych szyb. Chłodny, bezosobowy luksus białych wnętrz. Ostry dyżur oznaczał szereg przeszklonych izolatek. Za Olsson zatrzęsnęły się ciężkie drzwi jednej z nich, a Sławek, ku swojej wyraźnej uldze, został na zewnątrz i zapewne natychmiast zwiął do samochodu.

W sąsiedniej salce, za szybą, leżał tłusty biały mężczyzna w średnim wieku, podpięty pod EKG. Dalej, w zwężającej się perspektywie kolejnych okien, krążyła po swoim pokoiku młoda Tajka z pokrytym wysypką niemowlęciem na rękach.

Dagny usiadła na leżance, kładąc obok siebie plecak. W drzwiach pojawiła się pielęgniarka w sterylnie białym fartuchu, z profesjonalnie uprzejmym uśmiechem.

– Co się pani stało? – spytała.

Szwedka zawahała się.

– W nocy... zasłabłam. – Nie umiała tego bardziej precyzyjnie określić.

– A teraz, jak się pani czuje?

– Lepiej. Brzuch mnie trochę boli. Ale ma prawo boleć – uściśliła.

Pielęgniarka skinęła głową.

– To zaczniemy może od EKG i pobierzemy krew do badania. Proszę się położyć...

Dagny posłusznie zsunęła sandały i rozciągnęła się na leżance. Za szybą, w salce grubego turysty nagle zaroilo się od personelu.



Sławek szedł za pielęgniarką, mijając kolejne szklane drzwi. Na ostatnich wypisano nazwę oddziału – fikuśnymi znaczkami miejscowego alfabetu oraz po angielsku – a kiedy Tomala ją przeczytał, zdziwił się ogromnie i zrobiło mu się trochę nieswojo. Różne interpretacje przychodziły mu do głowy, a żadna nie wyglądała sympatycznie.

Dagny Olsson póżezała na szpitalnym łóżku, ubrana w kusą nocną koszulkę, która więcej odkrywała, niż zakrywała, i to zarówno od góry, jak i od dołu. Dla zachowania resztek przyzwoitości narzuciła na siebie prześcieradło, lecz i tak wystawiła spod niego zgrabną nóżkę.

Na naklejonym na ścianie monitorze stadko ubranych w obłędnie jaskrawe sari Hindusek wykonywało skomplikowany układ taneczny, bez wyciszonego pilotem tła muzycznego wyglądający nieco abstrakcyjnie.

Siedząca przy łóżku Olsson młodziutka pielęgniarka na widok Sławka urwała w pół słowa zaczęte zdanie. Wyglądały jak kumpelki przyłapane na

plotkowaniu o facetach. Tajka ukloniła się Tomali na powitanie i dyskretnie wyszła, a Olsson w nagłym przypiływie skromności schowała pod prześcieradłem co ciekawsze fragmenty swojego ponętnego ciała.

Tomala musiał mieć jednak mocno niewyraźną i mało zabawową minę, bo Dagny parsknęła: – Nie panikuj, Sławek, tym, co mi jest, na pewno nie mogłeś się zarazić.

Śmiała się, a on nie mógł zrozumieć, co aż tak ją rozbawiło.

– To znaczy? – spytał ostrożnie.

– Te twoje cholerne seledynowe wkłady do papierosa zaburzyły mi działanie implantu.

Nadal nie załapał, co Szwedkę, która nigdy nie była cierpliwa, szybko zirytowało.

– Jeden cykl miałam płodny, debilu!

– Aaaaaaaha – zaciął się Sławek, ale umilkł pod spojrzeniem Dagny.

Olsson przyglądała mu się z czułością uczonego, który odkrył nowy, śliczny gatunek pełzającego robala.

– I co, już ci minęło zakochanie? – Uśmiech miała od ucha do ucha.

Tomala usiadł na krześle i próbował w jednym zdaniu zadać kłam nieco upokarzającemu stwierdzeniu, że jest zakochany, a równocześnie zaprzeczyć, że mu minęło tylko z powodu usłyszanych właśnie rewelacji. Oraz usiłował przetrwać rewelacje. Więc udało mu się powiedzieć: – Eeeee... Czy ja, to znaczy... Czy my... A Pote już wie?

– Ech, ty mój rycerzu na białym koniu – cmoknęła Dagny z niesmakiem. – A po kiego miałabym dzwonić do Pote? Zerwałam z nim, zapomniałeś?

– Czyli...

– Oj, już lepiej nic nie mów, bo serce mi się kraje, jak słucham. Nie bój się, nie będziesz tatusiem.

Twarz Tomali wyrażała coś pośredniego między ulgą a żalem, co było

zapewne po prostu resztkami szoku. Ale wróciła mu mniej więcej zdolność logicznego myślenia i formułowania zdań złożonych.

– Zostałaś parę dni w szpitalu, bo miałaś zabieg?

– Nie.

– Będziesz miała?

– Nie. – Trudno było ocenić, czy Olsson drażni się z rozmówcą, czy nad czymś zastanawia. W końcu dodała: – Robiłam badania. I musiałam odpocząć. Nie mam ochoty uganiać się za niesubordynowanymi dilerami Lundeberga, będąc w zagrożonej ciąży. – Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

– W zagrożonej... O kurwa... – Do Tomali dotarł głębszy sens akurat takiego doboru słów. – Czyli jak wrócimy do domu, też nie chcesz iść na... – I natychmiast uświadomił sobie lawinę konsekwencji tego faktu: – A co na to Lundeberg?

– Zobaczymy – mruknęła, nadrabiając miną. – Jeszcze mu nie powiedziałam, to nie rozmowa na telefon. Będzie sobie musiał znaleźć na półtora roku nowego szefa ochrony.



Po wyjściu Sławka Olsson pogłośniła muzykę i patrząc nieuważnie na pływające Hinduski, wróciła myślami do rozmów z młodą położną, której skrócone na potrzeby Europejczyków imię brzmiało Phim. Znajdująca się pod jej opieką Dagny oprócz konkretnych i bardzo w tej chwili potrzebnych medycznych informacji zdążyła też uzyskać pewne rozeznanie w sytuacji osobistej dziewczyny, jej planach i ogólnym podejściu do życia. W zamian

serwowała Tajce starannie wyselekcjonowane fakty z własnej przeszłości i obserwowała reakcję. Oczywiście była to mocno kontrolowana szczerość, więc też wyniki eksperymentu nie do końca miarodajne.

Propozycja pracy wisiała w powietrzu, ale Olsson, zazwyczaj bardzo racjonalna, a przy tym nieufna, usiłowała powstrzymać swój intuicyjny entuzjazm wobec Phim. Wszystko wskazywało zresztą na to, że szalony pomysł rozbije się o prosty argument: wśród kilkuset milionów mieszkańców Unii naprawdę można znaleźć jakąś inną, równie sensowną położną.

A potrzebowała jej, bo próbowała uporządkować od strony praktycznej sytuację, w której się znalazła. Owszem, brała przez chwilę pod uwagę rozwiązanie, które Tomala uważał za oczywiste, ale powstrzymała ją myśl, że albo teraz, albo nigdy – sama, świadomie, nigdy się nie odważy na tak radykalną życiową decyzję.

Panel wewnętrznej komunikacji mignął ostrzegawczo i na ekranie pojawiła się twarz Phim.

– Panno Olsson, przyszedł... pani chłopak. – Położna zawahała się. – Tak powiedział.

– Ten, co był przed chwilą? – zdziwiła się Szwedka, z niepokojem myśląc, że Sławek Tomala to miły człowiek i właśnie dlatego mogło mu w tych okolicznościach przyjść coś głupiego do głowy.

– Nie.

Problem, jak dyplomatycznie pozbyć się Tomali, nie łamiąc mu ostatecznie serca, nagle wyparował. Dagny usiadła na łóżku, spięta.

– Gdzie jesteście? W dyżurce czy na recepcji?

– Ja w dyżurce, a ten pan...

– Świetnie – odetchnęła z ulgą. To oznaczało, że facet, kimkolwiek jest, nie słyszy ich rozmowy. – Możesz go opisać?

– Proszę poczekać, zaraz przełączę obraz z kamery... Chwila... Widać już?

– Tak, dzięki – odpowiedziała odruchowo Dagny, wpatrzona w ujęcie z kamery nad kontuarem recepcji.

Czekał tam Taj, lat dwadzieścia parę, cudny chłopiec, jak z teledysków dla młodszych nastolatków. Włosy do ramion, podkoloryzowane, w oswojonej i lekkostrawnej wersji subkultury. Do tego chyba kilka kolczyków, czy coś równie milutkiego.

Tyle że jedynym chłopaczkiem, z którym Dagny mogła nawiązać bliską, acz biznesową, znajomość, był kelner w bungalowie. Pominąwszy fakt, że nawet on nie miałby motywacji, żeby odwiedzać ją w szpitalu z nadzieją na dodatkowe bonusy za rzekome uczuciowe zaangażowanie.

– Phim... – powiedziała powoli Dagny, wstając z łóżka i sięgając po telefon. – Phim, a gdzie jest ten mój kolega, ten...

– Który zawsze pozostaje w pobliżu? – Dziewczyna była wcieleniem dyplomacji. Nikt w końcu nie powiedział na głos, że ludzie od Lundeberga, niewpuszczani na stałe na kobiecy oddział, a mimo to przesiadujący na zmianę w ogólnie dostępnej części pietra, są po prostu ochroniarzami. – Nie wiem, nie widzę go teraz.

– Phim, nie wpuszczaj tego faceta, OK? Zdecydowanie go nie wpuszczaj – Dagny powtórzyła z naciskiem.

– Oczywiście, panno Olsson.

Na ekranie znów pojawiły się śniade, wielkookie dziewczęta w sari, tańczące na tle bajkowej architektury.

Dagny wybierała kolejne numery, równocześnie wrzucając jak leci do plecaka zawartość szafki przy łóżku. Telefon aktualnego ochroniarza milczał jak zaklęty, przez co Szwedka poczuła w przełyku lodowatą kulę. Dzwoniąc do swojego zastępcy, zdążyła błyskawicznie włożyć sportową koszulkę i szorty na halkę, w której spała...

– Panno Olsson! – ostry głos zdenerwowanej Phim przerwał wydawane

przez Dagny rozkazy. – On jest na oddziale, idzie do nas! Koleżanka go wpuściła, co powinnam teraz...

– A coś możesz?! – spytała trzeźwo Szwedka.

Kumple już do niej jechali. Przez pół cholernej wyspy. Więc równie dobrze mogli się w ogóle nie fatygować. Była sama.

– Tak! Nie wychodź na korytarz! – odkrzyknęła Phim, tknięta jakąś myślą. I rozłączyła się.

„Szlag, szkoda dziewczyny”, pomyślała jeszcze Dagny i rozejrzała się po sali. Rozbebeszone łóżko było jedynym śladem jej obecności. Gdyby przed chwilą wypisała się ze szpitala, też przecież nie zmieniałaby po sobie pościeli.

„Nie wychodź na korytarz”. Po prostu świetnie.

Założyła plecak i otworzyła okno. Tuż pod nim, poniżej ozdobnego gzymsu, znajdowało się gigantyczne logo kliniki, widoczne z daleka i zasłaniające sporą część fasady. Widocznie pomieszczenia na kilku niższych piętrach nie potrzebowały dostępu do światła słonecznego.

Dagny przełknęła ślinę i stanęła na parapecie, starając się nie patrzeć na rozpościerającą się w dole otchłań, zamkniętą betonową płytą parkingu. Samochody wyglądały stąd jak kieszonkowe zabawki.

Okno pozostało zapraszająco uchylone, więc Olsson musiała jeszcze zejść z widoku. Przyłgnęła do stalowej konstrukcji logo i nawet nie na czworakach, lecz szorując brzuchem po utworzonej przez szyld sztucznej półce, przesunęła się za najbliższą wypukłość muru, oddzielającą sąsiadujące moduły.

Wtedy podciągnęła się z powrotem na gzyms i wcisnęła w kąt między osłoną a miejscem, gdzie powinno znajdować się okno, ale biegła tylko lita ściana. Olsson wiedziała, że to pomieszczenie jest ślepe – zaraz za jej salą był brudownik. Phim, widząc jak Dagny męczy się, zmniejszając skokowo dawki

nikotyny w e–papierosie, opowiedziała jej anegdotkę o pani ordynator przyłapanej kiedyś na paleniu w brudowniku, przy wyłączonych czujnikach przeciwpożarowych. Pozbawione okna pomieszczenie było świetnie wentylowane, a lekarka wpadła tylko dlatego, że znalazły ją tam przypadkiem podwładne.

Olsson otarła się niechcący głową o mur, zrywając sobie z ucha słuchawkę od telefonu. Urządzenie upadło na gzyms i poleciało w dół, w przepaść. Dagny zakręciło się w głowie. Zamknęła oczy, kurczowo wczepiając palce w parapet. Lepki upał utrudniał oddychanie.



Phim biegła cicho i lekko, starając się nie stukać klapkami o płytki, którymi wyłożona była podłoga na korytarzu. Wyminęła zdziwioną koleżankę, stolik z gazetami, jakiegoś odwiedzającego i tuż za zakrętem dogoniła... No właśnie. Sama chciałaby wiedzieć, kim jest ten człowiek. Przez mgnienie oka zawahała się, jednak zaraz pomyślała, że jeżeli ma do czynienia z policjantem, to powinien nawet ją pochwalić za czujną opiekę nad pacjentkami.

– Przepraszam pana!

– Tak? – Mężczyzna odwrócił się. Był niewiele od Phim starszy, uderzająco przystojny, lecz coś w jego oczach sprawiło, że dziewczynie zrobiło się zimno.

– Pan szuka Dagny Olsson, prawda?

Skinął głową.

– Panna Olsson właśnie opuszcza oddział, jest w trakcie odbierania

dokumentów. Proszę za mną.

Wiedziała, że za nią poszedł, więc starała się nie oglądać. Najbardziej bała się właśnie tego, że zdradzi się jakoś ze swoim strachem.

Otworzyła masywne szklane drzwi na klatkę schodową, przykładając wcześniej dłoń do czytnika. Potem, piętro niżej, zrobiła to samo, a kiedy tylko przekroczyła próg, pociągnęła gwałtownie klamkę, zatrzasnąjąc grodzie za sobą.

Uśmiechnęła się przez szybę najbardziej uprzejmym ze służbowych uśmiechów, symulując przy tym zawstydzenie. Dotknęła parę razy ręką ściany tuż przy niewidocznym dla intruza czytniku i udawała, że z całej siły próbuje popchnąć skrzydło drzwi. Potem zagestykulowała dramatycznie, dając do zrozumienia, że nastąpiła jakaś okropna techniczna katastrofa, że najmocniej przeprasza w imieniu kliniki i właśnie biegnie po wsparcie.

Pozostawiła niebieskowłosego mężczyznę w ciasnym przedsionku między zatrzaśniętym wyjściem na klatkę, rzekomo zablokowanymi drzwiami, a szeregiem wind, którymi jednak bez opieki personelu mógł co najwyżej zjechać na parter. Odegrała swoją rolę świetnie, jednak nie dał się nabrać. Zacisnął usta w maskowanej furii, a pod wycofującą się Phim ugięły się nogi.



– Powiedz im, żeby nas wpuścili! Ochrona się, kurwa, teraz obudziła, kiedy jednemu z nich prawie gardło poderzwał! Byłby kolejny trup, gdyśmy nie przyjechali w porę.

Dagny słuchała monologu kolegi, przyciskając do ucha telefon. Modliła się, żeby nie wyslizgnął się z jej spoczonej ręki i nie podzielił losu

bezprzewodowej słuchawki. Po raz kolejny pomyślała, że już dawno powinna była pokonać instynktowną niechęć do wszczepów i zafundować sobie chociaż komunikacyjny. No ale przynajmniej w ciągu najbliższych miesięcy będzie miała pretekst, żeby tego nie robić.

– Nic nikomu nie powiem – wcięła się wreszcie w słowotok rozmówcy. – Nie mam dostępu do wewnętrznej sieci.

– Gdzie jesteś?

– W bezpiecznym miejscu. – Sama się zdziwiła, jak łatwo jej to przeszło przez gardło.

Zdążyła już zaliczyć atak paniki z hiperwentylacją, doprowadzić się do porządku, zanim zrobiło jej się słabo, i zaczynała być bardziej wściekła niż przerażona, czyli osiągnęła stadium normalne dla siebie w takich okolicznościach.

– Karl nie żyje? – spytała rzeczowo.

– Pewnie tak, szukamy go. Szukalibyśmy skuteczniej, gdybyś...

– A ten koleś? Ochrona go zatrzymała?

– Nie słuchasz mnie, Olsson! – huknęło ze słuchawki, a Dagny aż cmoknęła językiem z irytacji. – To myśmy go zgarnęli!

Dagny wzięła głęboki oddech i spojrzała w dół. Jedna z trzech dużych, identycznych terenówek, które zajęchały pod szpital jakiś czas temu, teraz opuszczała parking. Pozostałe trwały tam, gdzie zniknęły kilka minut temu – zbyt blisko budynku, by Olsson mogła się im przyglądać, nie wychylając się poza krawędź półki.

– No dobrze – zawahała się. – Bo widzisz... Ja siedzę na zewnątrz. To znaczy... Na gzymsie, nad tym takim dużym napisem.

– O kurwa. – Chwila ciszy. – Dasz radę wrócić do środka?

– Nie – stwierdziła z rzadką u niej rozbijającą szczerością.

– O kurwa.

W tym momencie Olsson wyobraziła sobie, że spędzi na tym parapecie resztę dnia, czekając aż ktoś tu przyjdzie albo zjedzie na linie, a potem będzie musiała pod kierunkiem tego kogoś wykonywać nad przepaścią jakieś akrobacje. I uznała, że już z dwojga złego woli robić to sama, choćby bez asekuracji.

- Nie, no co ty, żartowałam – postarała się, żeby zabrzmiało to bez troski.
- Tylko powiedzcie Phim, żeby sprawdziła, czy mi nikt okna nie zamknął.



Dagny skończyła właśnie wymiotować podsuniętą przez Sławka gorzką wódką, którą odruchowo wypila na ukojenie nerwów. Ochlapała twarz zimną wodą i wyszła z łazienki.

Czekali w hotelu przy lotnisku na domknięcie wszystkich spraw. Lundeberg przeniósł się tutaj zaraz po tym, jak Olsson zarządziła ewakuację. Od ręki dostał świetny apartament – współwłaściciel tej sieci był jego bliskim znajomym.

Dagny usiadła w fotelu naprzeciwko szefa i wygrzebała z plecaka paczkę szpitalnych ryżowych sucharków.

– Sucharki bezcukrowe na sytuacje kryzysowe, jak mawia Phim – rzuciła z pełnymi ustami.

– Może herbaty? – spytał aksamitnym głosem Olaf.

– Może... – potwierdziła niepewnie. – Gdzie Tomala?

– Teraz próbuje upić tę twoją całą Phim.

– Jej nie powinno zaszkodzić. Wyciągnęliście coś z tego farbowanego kolesia?

– Na przyszłość powinnaś unikać łamania nosów, kiedy ci tego nie zlecam. Potem są tylko kłopoty.

Dagny prychnęła.

– Gorzej – ciągnął, ignorując ją, Lundeberg – że o tym, gdzie jesteś...

– Właśnie! – weszła mu w słowo. – To jest dobre pytanie: kto wiedział, że jestem szpitalu?

– Najbliżsi współpracownicy. Z dziesięć osób.

– Dziesięć... Fantastycznie – skrzywiła się. – Popracuję nad tym. Teraz zostaje sprawa Phim, dziewczyna jest tu w zasadzie spalona.

– Przesadzasz.

– No może – zgodziła się niechętnie. – Ale tylko trochę. Zresztą i tak chciałam, żeby z nami jechała. Rozmawiałam z nią po drodze ze szpitala i...

– Nastraszyłaś ją? Wmówiłaś, że ktoś będzie tu na nią polować?

– Powiedziałam, że to możliwe.

– Szczerze mówiąc, nie nadążam. Kto to w zasadzie jest i dlaczego chce z tobą lecieć na drugi koniec świata?

– Olaf, spójrzmy prawdzie w oczy: dla niej ten układ ma wszystkie zalety małżeństwa z bogatym Europejczykiem, a nie wymaga usług seksualnych. Panna ma głowę na karku, ot co.

– Jeżeli tak stawiasz sprawę – Lundeberg wzruszył ramionami. – Chociaż ona nie ma wizy, a my polecimy może nawet jutro.

– Po prostu to załatw.

– Dobrze, jeżeli ci tak zależy. Ale bez paniki, niech teraz zostanie, spakuje się...

– A ktoś ją zlikwiduje i będzie problem z głowy, tak? Ja się stąd bez niej nie ruszę. – Dagny miała świadomość, że wchodzi na bardzo grząski grunt. – Phim dostanie wizę, choćbym miała w tym celu wziąć z nią ślub w ambasadzie!

Lundeberg milczał przez chwilę, a Olsson zagryzła sucharkiem nerwowy skurcz żołądka. W świetle tego, co powiedziała Olafowi na samym początku rozmowy, jeszcze zanim wkroczył Tomala ze swoją gorzką wódką, groźba, że Dagny nie odleci z szefem z Phuket, przestała być już taka poważna. Być może była mu na rękę.

Po namyśle Lundeberg odezwał się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy: – Myślę, że zmiana stanu cywilnego nie będzie konieczna. Możesz mnie na chwilę zostawić samego? Muszę do kogoś zadzwonić.

Na korytarzu Szwedka wpakowała się prosto na Tomalę.

– Słuchaj, pomyślałem, że skoro teraz nie musisz na lotnisku przechodzić przez skaner, to może zabrałabyś dla mnie taki mały pakuneczek, naprawdę niewinny...

– Sławek – Olsson spojrzała na niego ze szczerą troską. – Czy tobie się już ostatecznie rozumek zabłąkał?

– Tylko pytam!

– Ile wyroków śmierci tutaj za to grozi? Po jednym za każdą tabletkę?

Tomala prychnął obrażony i poszedł sobie – zmięty i z potarganymi włosami, malowniczo odstający w swoich ciuchach z demobilu od dyskretnej elegancji hotelu.

Dagny pomyślała, że przynajmniej ich relacja wróciła do bezpiecznej normy.



Dagny i Phim jechały mostem nad cieśniną Sund. Tajka filmowała telefonem migające na tle bezchmurnego nieba mocowania konstrukcji,

paplając przy tym w swoim języku. Nagle przeszła na angielski.

– Mama pyta, czy wybrałaś już imię.

– Nie, coś ty, nie myślałam jeszcze o tym – pokręciła głową kierująca terenówką Olsson.

Była skupiona na własnym „byciu w ciąży” i dopiero ostatnio zaczęło do niej w pełni docierać, że na koniec – urodzi się dziecko.

– Uwaga, uśmiech! – Phim skierowała kamerę telefonu w jej stronę, a Szwedka posłusznie zaświeciła zębami i pomachała do niewidocznej dla niej rozmówczynie.

W tle leciał niemiecki hip hop, Dagny wtórowała wokalistce przy co bardziej smakowitych kawałkach. Tył samochodu był po brzegi wyładowany zakupami: wyposażeniem do nowego domu na przedmieściach Malmö, zabawkami dla siostrzeńców Phim i torbami z markowych sklepów odzieżowych. Olsson miała lekką rękę, jeżeli chodzi o pieniądze, i przeciągnęła nową przyjaciółkę przez chyba połowę butików w Kopenhadze. Obie nosiły teraz identyczne kaszkiety z czerwonego sztruksu, na konto zbliżającej się powoli jesieni. Dagny kupiła sobie też pierwsze ciążowe ciuchy i mimo że mając regulowaną szerokość w talii wyglądały jeszcze zupełnie normalnie, to i tak czuła się z tym trochę dziwnie.

Phim posłała mamie ostatnie ujęcie szarych fal Bałtyku i rozłączyła rozmowę.

– Bo widzisz – zaczęła nagle Olsson. – Ja mówię, że jestem Szwedką, bo tak jest prościej. To wywołuje jakieś tam konkretne skojarzenia...

– Wikingowie!

– Ooo, aż tak? Myślałam, że akurat dla ciebie to między Europejczykami nie ma dużej różnicy.

– Oglądałam indyjski film, w którym pewien książę Wikingów...

– Nie, nie, nie chcę wiedzieć! To by mogło zrujnować moją tożsamość! A

tak serio: mój ojciec jest Szwedem, matka pochodziła z Finlandii, ale ja jestem w zasadzie stąd, z regionu Oresund. – Dagny machnęła ręką, starając się ogarnąć równocześnie Bornholm, Skanię i wybrzeża Zelandii. – Jakbym miała zdecydować, który język jest najbardziej mój, no to chyba szwedzki...

– Więc chcesz, żeby z dzieckiem w domu rozmawiać po szwedzku? – podchwyciła czujnie Phim. – Nauczę się.

– Żartujesz?

– Nie, dlaczego? To przecież twoje dziecko, masz prawo decydować.

– Rany, Phim... Daj spokój!

Tajka nie ciągnęła tematu, bo minęły właśnie bramki wyjazdowe z mostu i gdy tylko znalazły się po szwedzkiej stronie, pomiędzy zabudowań wyjechał radiowóz. Wyprzedzając terenówkę, zamigał krótko kogutem na dachu, zawył przez moment urwaną w pół sygnału syreną i pomknął w stronę najbliższego zjazdu na parking.

KONTROLA POLICYJNA, AUTORYZOWANE, wyświetlił komputer pokładowy.

– Ożeż... – wycedziła Dagny.

Phim przestraszyła się wyraźnie i skuliła w fotelu.

– Ej, bez nerwów! – rzuciła raźnie Olsson w jej kierunku. – Złapał mnie fotoradar na moście, ciągle zapominam, że tam jest ograniczenie prędkości. Jakby mnie ścigali za co innego, toby woleli w nocy nasłać na dom antyterrorkę.

Roześmiała się, bardzo zadowolona ze swoich słów, nie zwracając uwagi, że Phim już całkiem usiłuje wprasować się w fotel.

Zatrzymały samochód do kontroli i czekały – wyluzowana Dagny z rękami na kierownicy, a pasażerka wyprostowana sztywno, z dłońmi splecionymi tak, żeby też pozostawały widoczne. Policjant zsalutował, schylając się do okna po dokumenty. Rzucił okiem na Olsson, potem dla

pewności na jej prawo jazdy i rozpromienił się.

– Czeeeeść! My się znamy, pamiętasz?

Dagny potwierdziła ucieszona.

– Jasne! Byliśmy razem na roku w szkole policyjnej – wyjaśniła na użytek Phim.

– Przyjęli cię do tych antyterrorystów? Miałaś iść na kurs?

– Oj tam – machnęła lekceważąco ręką. – Jestem w cywilu, od lat.

– Nie mów? Dlaczego?

– To nie praca dla kobiety.

Policjant, zbity z tropu tak niepasującą do Dagny odpowiedzią, oddał jej tylko dokumenty, darując sobie pouczenie, że jeszcze kiedy mknęła nad Sundem, z konta jej samochodu został potrącony mandat.

Kiedy odjechały, Olsson uśmiechnęła się jadownicie i wyjaśniła towarzyszcze: – To zdecydowanie nie jest praca dla kobiety. Za niskie mają pensje – wskazała głową stos markowych ciuchów.

Po chwili jednak pewna myśl zakłóciła jej dobry humor.

– Nie poprosił mnie o numer telefonu, zauważyłaś?

– Bo jest żonaty? – zaryzykowała Phim.

– Eeeee tam... Cholera, myślisz, że aż tak źle wyglądam w tej ciąży?

– Zwariowałaś? – wyrwało się Tajce, która zazwyczaj nie zwracała się w ten sposób do swojej pracodawczyni. – Wyglądasz super! A ciąży to w ogóle jeszcze nie widać, kupiłaś spodnie numer mniejsze niż ja!

– Naprawdę nie widać, że jestem w ciąży? – Oczy Dagny błysnęły podejrzenie entuzjastycznie.



Był późny wieczór. Dagny Olsson w luźnej w talii, lecz głęboko wydekoltowanej bluzeczce, rozpiętej kurtce i bardzo krótkiej spódnicy, siedziała na barowym stołku, kołysząc nogą do rytmu piosenki. Piła bezalkoholowe piwo, a w dłoni trzymała elektronicznego papierosa z wkładem, który służył w tej chwili głównie do roztaczania mentolowego zapachu, bo nikotyny nie zawierał prawie wcale.

Z sąsiedniego stołka czule pochylał się nad Dagny barczysty blondyn z długimi włosami związanymi w koński ogon. Wyglądał na bardzo zainteresowanego zawartością dekoltu oraz opiętym cienką pończoszką kolankiem, które nie wiedzieć kiedy znalazło się w zasięgu jego dłoni.

– Przyjechałeś samochodem? – spytała Olsson, przeczesując swoje postawione na sztorc ciemne włosy. Błysnął niebieski lakier na paznokciach.

– Tak.

– To chodźmy stąd. – Dmuchnęła mu w nos mentolowym dymem, a kiedy się odsunął, zeskoczyła na podłogę.

Wyszli na zewnętrzny parking, kilkanaście pięter nad nocnym Malmö, rozświetlonym neonami oraz sznurami żółtych i czerwonych świateł, płynących z nurtem wielopoziomowych ulic. Horyzont zamykała czerń morza.

Fotele w samochodzie blondyna po rozłożeniu okazały się odpowiednio wygodne, a szyby wystarczyło przyciemnić. Dagny nie miała najmniejszego zamiaru dokądkolwiek odjeżdżać.

– Świetnie ci idzie – zachęciła faceta, podwijając bluzeczkę i czując jego ciepły oddech wędrujący coraz niżej. Zdecydowanie właśnie tego od kilku miesięcy brakowało Olsson najbardziej. Z satysfakcją przyjęła zachwyty mężczyzny wobec faktu, że pod spódniczką, oprócz pończoch, nie ma nic.

Bo Dagny obmyśliła sobie świetny plan. W ciąży nie wolno było łykać silnych środków zwiększających odporność na choroby zakaźne, a

mechanicznym zabezpieczeniom nie ufała za grosz. Wzięła też pod uwagę zalecenia lekarskie, że nie powinna oddawać się zbyt gwałtownym miłosnym ekscesom. Wyobraźnia podsuwała jej już od dawna słodkie pieszczoty i nad wyraz nieprzyzwoite całusy w różne miłe miejsca.

Problem w tym, że Olsson nie raczyła o swoich oczekiwaniach poinformować długowłosego przystojniaka. Więc kiedy chciał przejść do konkretów, zaczęła wic się pod jego ciężarem jak węgorz.

– Ej, nie, ja tak nie chcę! Było fajnie, nie przerywaj, odwdzięczę ci się – zrobiła rozkoszną minkę uległego kociaka.

Mężczyzna nie zwracał jednak uwagi na jej kokieterię, jedną ręką przytrzymując Dagny na fotelu, a drugą rozpinając spodnie.

– Złaż ze mnie! – warknęła już ostro. – Nie chcę tak, nie w ten sposób! Nie przygniataj mnie!

Bezskutecznie próbowała się wywinąć. W innych okolicznościach może nawet uznałaby tę przygodę za na swój sposób zabawną i ekscytującą, ale teraz usiłowała się uwolnić. Blondyn zaśmiał się brzydko, uniemożliwiając szamoczącej się Olsson kopnięcie w klakson.

– O, ty, skurwysynu... – wysyczała wściekle, namacała wreszcie kieszeń swojej kurtki i wyciągnęła z niej pistolet.

Przystawiwszy go mężczyźnie do skroni, szepnęła na przydechu: – Złaż ze mnie, gnoju jeden.

Odskoczył jak oparzony, znalazł się na zewnątrz samochodu szybciej niż Dagny. Wycofała się od auta tyłem, cały czas z bronią w ręku, nie odrywając wzroku od oczu niedoszłego randkowego gwałciciela. Dopiero gdy na jej znak wsiadł za kierownicę i odjechał, na lekko dygoczących nogach ruszyła do swojej czarnej hondy.

Założyła wyciągnięte z bagażnika spodnie, wskoczyła na motocykl i nie oglądając się, odjechała spod klubu zatłoczonymi serpentynami ulicy. Daleko

za miastem zatrzymała się na ciemnym poboczu. Odetchnęła głęboko parę razy, wsłuchana w ciszę. Potem znowu odpaliła silnik.

W domu, mimo późnej pory, czekała na nią Phim. Siedziała w kuchni i oglądała jakąś bollywoodzką superprodukcję. Udając przy tym, że zupełnie, ale to zupełnie nie chce jej się spać.



Na dworze lało. Nieodwołalne, jesienne załamanie pogody. Dagny patrzyła przez okno na idącego od samochodu mężczyznę. Rozmawiała z nim przed chwilą przez domofon w bramie, starając się zachować kamienną twarz i nie pokazać, jak mieszane uczucia wywołał w niej jego widok na monitorze. Pozwoliła mu wjechać na podjazd i teraz szła po schodach, żeby otworzyć drzwi.

I cały czas zastanawiała się, czy aby na pewno powinna to robić. Dawno już przecież podjęła decyzję: uciąć to, zapomnieć, nie odgrzebywać.

Złapała się na tym, że idąc, z każdym krokiem coraz wolniej, trzyma rękę na wyraźnej wypukłości brzucha. No tak, dlatego przyjechał. Teraz wiedzieli już wszyscy, plotka się rozniosła.

Stał pod daszkiem osłaniającym drzwi, lecz i tak mókł od zacinającej z ostrym wiatrem ulewy. Dagny domyślała się, że jest wściekły, bo nie cierpiał moknąć i marznąć, jednak nie dał po sobie poznać. Co policzyła mu na plus.

Wysoki Meksykanin z sięgającymi do ramion prostymi, lśniącymi włosami pół-Indianina. Czarna skórzana kurtka, równie czarne motocyklowe buty, przypominające kowbojki, tylko z niższą cholewką i mniej kiczowate. Bardziej męskie.

A w rękę miał różę, jedną czerwoną różę bez żadnych wstążek, przybrania czy innych dupereli.

Dał ją Olsson, a ona bez słowa wpuściła go do przedpokoju. Udało jej się nie okazać, jakie zrobił na niej wrażenie. Pote Guemes, motyle w brzuchu, skrajne emocje i namiętne burzliwy związek, dzielący się na rozstania i powroty.

„Witaj ponownie, Pote. Może to jest właśnie dobre rozwiązanie?”

– Ładny dom, złotko. Ale klimat nie do zniesienia – rzucił Guemes, zdejmując ociekającą wodą kurtkę.

Siedli w salonie na parterze – daleko od siebie, na fotelach, które rozdzielał stolik. Dagny zaplotła dłonie na brzuchu. Bardzo nie chciała, żeby było widać, że najchętniej po prostu usiadłaby Guemesowi na kolanach i tak została. Najlepiej na najbliższe trzy miesiące i potem jeszcze z parę dni, dopóki nie uzna, że już nieco panuje nad swoim życiem i nie ma wrażenia, że podłoga usuwa jej się spod nóg. Pote emanował spokojną siłą i idealnie nadawał się na męskie ramię, na którym można by się wesprzeć.

„Do czasu!”, otrzeźwiły ją resztki wspomnień.

– Nie wstawisz jej do wazonu? – spytał tymczasem Guemes, wskazując różę.

– Aaaa, tak, jasne... Phim chyba kupowała jakiś wazon. – Dagny zaczęła rozglądać się po szafkach.

– Kto to jest Phim?

– Moja... – Olsson nagle uświadomiła sobie, że nie umie odpowiedzieć na to pytanie. – Mieszka tu, pomaga mi – wyjaśniła w końcu wymijająco. – Teraz pojechała po zakupy.

Udało jej się wreszcie znaleźć wazon. Wyszła po wodę i po chwili wróciła, stawiając różę na stoliku. Pote zdążył w tym czasie już wstać z fotela. Pochylił się nad Dagny, obejmując ją delikatnie za biodra. Bardzo

ostrożnie przesunął dłoń na jej brzuch i lekko pocałował dziewczynę w usta.

– Nie kłóćmy się już, proszę – szepnął.

Pod Olsson zaczęły się uginać nogi.

Cholera, cholera, cholera... Nadal nie czuła się gotowa na stały związek z Pote Guemesem. Nic a nic.

– Nie kłócimy się już? – Meksykanin ostrożnie chwycił Dagny za podbródek, żeby musiała podnieść głowę i spojrzeć mu w oczy.

– Nie kłócimy...

– Moje kochanie. – Objął ją.

Po chwili siedzieli już obok siebie, na kanapie. Normalnie w takich okolicznościach następowała gwałtowna i namiętna scena erotycznych przeprosin, jednak okoliczności... Nie były normalne.

– Za parę dni mam samolot do Mexico City, spakujesz sobie tylko jakieś najpotrzebniejsze drobiazgi. Kupię ci na miejscu wszystko, co tylko będzie potrzebne. Moje mieszkanie jest w niebezpiecznej dzielnicy, ale nie martw się, dopóki się nie przeniesiemy, wynajmę ci ochronę, kierowcę, zajmę się wszystkim. Ty tylko dbaj o siebie i dziecko.

– Nie chcę żadnego kierowcy! – wciąła się wreszcie Dagny, odzyskując resztki trzeźwego myślenia. – Pote, ja...

Guemes uniósł ostrzegawczo dłoń.

– Nie kłóćmy się, złotko. Nie możesz się denerwować. Teraz myśl o przyjemnych rzeczach, ja biorę na siebie resztę.

Miała ochotę go posłuchać, a potem zamknąć oczy i spróbować jakoś twórczo wykorzystać fakt, że Phim była kilkanaście kilometrów stąd w supermarkecie, a Pote tutaj, na miejscu.

„To jest jakaś opcja”, pomyślała. „Mogłabyś wreszcie przestać kalkulować, obliczać ryzyko, spać z pistoletem pod poduszką. Mieć takie życie, jak te wszystkie ich lasencje, ślubne i nieślubne, otoczone spokojnym

dostatkiem, zajęte ciuchami, fryzjerem i wychowaniem dzieci. Mieć takie życie, jak... Phim”.

Wzięła głęboki oddech, zatrzymując dłoń Guemesa, która tak cudnie, tak niewinnie i prowokacyjnie zarazem, sunęła w górę jej osłoniętego ciężowymi dżinsami uda.

– Pote... – powiedziała. – Ja nie chcę. Nie chcę lecieć do Mexico City. I nie chcę do ciebie wracać.

Guemes cofnął się, jak dźgnięty czymś ostrym.

– Zwariowałaś? – Najwyraźniej taka odpowiedź była ostatnią, jakiej się spodziewał. – Zostaniesz sama! Nie poradzisz sobie beze mnie!

– Nie jestem sama! – odwarknęła.

„Ooo, zaczyna się. Już zaczynamy podnosić głos”.

– Właśnie o to chodzi, że ja tutaj nie jestem sama. A tam będę. Pod ochroną ludzi z karabinami. Twoich ludzi. Nie moich, jak tu. Zamknięta na klucz w luksusowym apartamentowcu.

– Chciałem kupić ci dom.

– Czy chciałeś kupić mnie? Za dom? Hmm?

– Dagny, maleńka, nie złość się. Spokojnie... – Guemes położył palec na ustach. – Zaszkodzisz maleństwu. Teraz liczy się przede wszystkim nasz dzidzius.

– Nasz... – Słowo „dzidzius” nie przeszło zszokowanej Olsson przez gardło. – Guemes, czy tobie całkiem odbiło? Przede wszystkim, kto ci w ogóle powiedział, że to twoje dziecko!

Wykrzyczała to w złości. A nie powinna. Uderzenie w twarz zmiotło ją z kanapy, na szczęście na miękkim dywan.

– Ty szmato... – Meksykanin zerwał się przerażająco zwinnie. – Ty jebana suko... Dajesz na lewo i prawo, co?

Zamierzył się drugi raz, a Dagny zwinęła się w kłębek, starając odsunąć

jak najdalej pod ścianę. Uchyliła się i oberwała tylko w ramię. Bała się atakować, skupiona na osłanianiu brzucha.

– Wynoś się stąd – wychrypiała. – Ale już! Bo dzwonię po chłopaków!

Zamarł, widząc, jak Dagny sięga po telefon.

– Mała, żalosna kurewka.

Wyminął ją, a Olsson siłą woli zmusiła się, żeby nie wdać się w bijatykę. Teraz jej nie wolno. Skuje gnojowi mordę przy następnej okazji.

Zewnętrzne drzwi trzasnęły. Dagny siedziała przez chwilę na podłodze, a potem wstała – musiała przecież uruchomić zdalnie bramę. Czekała, aż samochód Guemesa wyjedzie na wąską boczną drogę, przy której stał w szczerym polu jej dom, patrzyła w lustro na korytarzu.

„Podbił mi oko, głupi fiut”.

Nie żeby pierwszy raz. Ale teraz już sobie nie mogła pozwolić na takie sposoby dodawania związkowi pikanterii.



Dochodziła północ, ale impreza dopiero się rozkręcała. Główny pretekst jej zorganizowania, czyli Martin Sorensen – który zjawił się akurat w Malmö i można mu było w związku z tym urządzić powitalną popijawę – odnalazł Dagny w jednym z pokoi jej domu, ogarniętego balangowym szaleństwem.

– Widziałeś tę pannę Tomali, Matti? – parsknęła Olsson na jego widok.

Miała na sobie dżinsy i opiętą granatową bluzkę z długimi rękawami. Na wysokości brzucha koszulka miała nadruk odblaskowo zielonego ufoka z wielkimi czarnymi oczami. Alien pokazywał publiczności środkowy palec.

– Noo, widziałem. Przyjechaliśmy razem.

– I co? Wiesz może, ile ona ma lat? Mam nadzieję, że więcej niż piętnaście?

Dagny przesadzała, dziewczyna Sławka powoli już przestawała nawet wyglądać na nastolatkę. Choć nie ujmowało jej to ani świeżości, ani urody.

– Mówiła coś o maturze – odpowiedział dyplomatycznie Sorensen.

Olsson zakwiczała radośnie.

– Biedny Tomala robi po prostu wszystko, żeby zachować fason. Ale ja i tak widzę, jak się na mnie gapi.

Tupetu i kobiecej pewności siebie nigdy Dagny nie brakowało, a teraz przybywało ich jej wprost proporcjonalnie do rozmiarów brzucha. Co prawda nie mogła już od paru dni nosić pierścionków na lekko podpuchniętych palcach, a i rysy odrobinę jej się pogrubily, lecz za to biust miała – jak nigdy w życiu. A faceci, jak to faceci – tym bardziej wodzili za nią wzrokiem, im bardziej ona uważała, że powinni.

– Słuchaj... – Martin jakoś nie był w nastroju na wygłupy. – Czy moglibyśmy gdzieś w spokoju porozmawiać?

– Tutaj? – Szwedka rozejrzała się tylko z powątpiewaniem po przelewającym się przez dom towarzystwie.

Słyszeli się tylko dlatego, że muzyka na piętrze grała nieco ciszej niż na parterze.

– No dobra, chodźmy na spacer – zarządziła Olsson po chwili namysłu.

Zeszli po schodach i Dagny siadła na szafce z butami. Złapała się za nogawkę dzinsów, podciągając nogę tak, żeby oprzeć kostkę na kolanie drugiej i zasznurować glany. Sorensen roześmiał się, widząc takie akrobacje.

– Faceci to debile! – wściekła się Olsson. – Jak taki jesteś mądry, to mi buty zawiąż, kretynie!

– Do usług – błysnął olśniewającym uśmiechem.

Kłęczał na terakocie, rozpracowując problem odpowiedniego dociśnięcia

sznurówek, a Dagny uznała, że jest absolutnie, niezaprzeczalnie uroczy z tymi swoimi krótkimi blond włosami, jasnymi oczami i wczorajszym zarostem.

Kiedy wyjeżdżała, zostawiając go w Polsce na ciepłej posadce kontrolera jakości przemycanych z Rosji prochów, urządzili sobie pożegnalną dwuosobową imprezkę, która upłynęła pod znakiem głupawki i słownego świntuszenia.

W zasadzie nie tylko słownego, lecz to jakoś umykało we wspomnieniach, bo Olsson zastanawiała się potem, czy choć na moment przestali się w trakcie śmiać. Chyba powinni – ale nie była pewna.

– Dzięki – mruknęła, wstając.

Noc była zaskakująco ciepła jak na tę porę roku. Szwedka szła przez mokre, lepkie liście, narzuciwszy tylko sztruksową wiatrówkę.

– Dagny... – zaczął Martin, zerkając na jej brzuch.

Olsson złapała jego spojrzenie i zatrzymała się w pół kroku.

– To o tym chcesz rozmawiać? Po to mnie na dwór ciągniesz? Odpowiedź jest krótka: nie! Umiesz liczyć?

Problem w tym, że Martin umiał, tylko brakowało mu do tych obliczeń części danych. Ale skoro tak...

– Wcale nie o tym chciałem mówić! – wykręcił się, połowicznie zgodnie z prawdą. – Czeka, na pewno nie zmarzniesz tylko w tej kurtce?

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała zirytowana. – Kontynuuj.

Ruszyła znowu, oddalając się stopniowo od domu. Szli przez wielki i na razie – ku niezadowoleniu Phim – skrajnie zaniedbany ogród.

– To taka moja trasa spacerowa – wyjaśniła jeszcze. – Na tyłach jest furтка, można tamtędy pójść dalej, na pola.

– Mam nadzieję, że nie chodzisz tędy po ciemku sama? – zaniepokoił się Martin.

– Neeee, no skąd. Masz rację, tacy jak ja nie powinni się włączyć na wolności. To zbyt niebezpieczne dla okolicznych mieszkańców.

Martin postanowił udać, że nie zauważa, jak Dagny zaczęła się z nim drażnić. Zwłaszcza, że czekał go dużo mniej przyjemny temat.

– W zasadzie to Sławek spytał, czy mógłbym...

– Wiem! W jego imieniu poprosić mnie o rękę!

– Dagny! – Teraz to Sorensen się wkurzył.

– No dobra, dobra, już nic nie mówię... Po prostu ostatnio oświadczyły zdarzają mi się nieco częściej niż do tej pory i zaczynam mieć z tym mały problem.

Martin zorientował się, że albo będzie mówił wprost, albo ona go w ogóle nie dopuści do głosu.

– Tomala trafił w necie na taką jedną erotyczną symulację...

– Napraaaaawdę? Mam zadzwonić do jego matki w tej sprawie?

– Olsson, dziewczyna z tej symulacji miała... Nie tylko twarz, ona miała twoje ciało. Po prostu twoje. Zeskanowane, nie sklezione z różnych filmów.

– Pierdolisz... – Dagny zatrzymała się, oglądając na Sorensena. Nagle uczepiła się nieistotnego szczegółu. – I Tomala poleciał z tym do ciebie? Porównywaliście wrażenia i wspominki?!

– Dagny, proszę. I ty się dziwisz, że Sławek bał się sam z tobą rozmawiać? On w ogóle nie poruszałby tematu, gdyby nie... No, bo widzisz, powiedział tak: ludzie są cholernie różni i mają różne... upodobania. Nic mu do tego.

– Znaczy, że co? Podejrzewał, że ja do tej symulacji pozowałam, żeby to potem sprzedali na cały świat? Bo to z naszej wytwórni wyszło?

– Tak. Słuchaj, nie interesuje nas, jak spędzasz czas wolny, tak to ujmijmy. Prawda? I jakby to była normalna symulacja, to Sławek tylko by się zdziwił. Ale... Dał mi kody do fragmentów. Może w ten sposób: gdyby to nie

był awatar tylko prawdziwa dziewczyna, to ona mogłaby nie przeżyć. A w każdym razie zostałyby jej ślady do końca życia.

– Tomala się zabawia przy takich rzeczach? – Dagny chyba nawet nie była złośliwa, tylko autentycznie zszokowana.

– Twierdzi, że chciał zobaczyć z ciekawości. I wiesz co? Ja mu wierzę. Facet był czerwony jak szczeniak z gimnazjum, kiedy mi o tym opowiadał. Obawiam się, że zareagował jak najbardziej zdrowo: odechciało mu się i to na długo. Nie rób sobie z niego jaj, temat jest delikatny.

– Wiesz, kurwa, zauważyłam. Przecież to niby mnie gwałcono, ćwiartowano, czy co tam jeszcze.

– Ale nie wyzywaj się na Sławku, to nie jego wina.

Dagny machnęła ręką.

– Pieprzyć Sławka. – Zreflektowała się. – No może niekoniecznie od razu my. Może na przykład ta jego maturzystka.

A potem z wisielczą miną wyciągnęła telefon i pokazała Martinowi zapisany w archiwum mail.

– Od Guemesa.

„To miał być twój zaręczynowy pierścionek”. I zdjęcie oprawionego w złoto sporego brylantu na zakrwawionym, odciętym palcu.

– To mój palec – zaznaczyła. – Widzisz tę małą bliznę? Zacięłam się w dzieciństwie puszką po tuńczyku.

Sama nie wiedziała, dlaczego właściwie zachowała sobie ten mail: czy żeby mieć ewentualny dowód przeciwko Pote, gdyby wkurzył ją za bardzo, czy też, żeby pamiętać. Żeby znowu kiedyś nie zapomnieć, dlaczego nie chce wyjeżdżać do Mexico City.

– Guemes ma cię zeskanowaną? Wiedziałaś o tym?

– Tak – przyznała niechętnie. – Ja zostawałam tu, on wracał do siebie. Byliśmy zakochani... Wtedy wydawało mi się to strasznie słodkie, kiedy

mnie poprosił... Miał profesjonalny sprzęt. On umie to wszystko obsługiwać jak zawodowiec, od tego zaczynał, sam wszystko zgrywał i zestawiał. Dopiero teraz, kiedy interes się rozkręcił, wynajmuje techników do pracy z żywymi dziewczynami.

– Ekhm, pracy?

– Matti, wydoróślej. Słyszysz hasło „branża porno” i od razu się podniecasz. Wyluzuj. Akurat skanowanie dziewczyn to żadne halo, nic specjalnego. Zabawne to są dopiero reżyserowane symulacje. Albo i one nie są za grosz zabawne – dodała ponuro.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Raczej nic. Poszło w świat, nie wróci. Ludzie handlują między sobą, wymieniają się. Nie da się zrobić cenzury.

– Z Guemesem. Może powinnaś pójść do Lundeberga?

– A coś ty. Pote zachowuje się jak dzieciak, który nie dostał cukierka. Zrobi kilka scen i da sobie spokój. Właśnie na tym polegał mój błąd, że ja się zawsze przy którejś kolejnej scenie łamałam i do niego wracałam. Teraz muszę przeczekać.

– Skoro tak mówisz – mruknął Sorensen nieprzekonany.

Na pierwszym piętrze domu otworzyły się drzwi balkonowe, w ciemny ogród popłynęła dyskotekowa sieczka. Ktoś rzygał, przechylony przez barierkę. Olsson wywróciła oczami.

– Phim się wścieknie.

Nagle syknęła z bólu, zakłęła i zgięła się w pół.

– Dagny, co się dzieje?!

– Nic – mruknęła. – Jakby tobie ktoś nagle przejechał głową po miednicy, kość po kości, też byś kurwami rzucał. Mogłobyś łaskawie przestać? – warknęła w kierunku brzucha i po chwili się wyprostowała. – A w ogóle... Mieliśmy iść na spacer, a stoimy. Zmarzłam, daj mi swój polar.

– Ale ja... No dobra.

Sorensen ściągnął niebieski polar i zostawił w samej flanelowej koszuli, lekko dygocząc, patrzył, jak Dagny się ubiera.

– Pewnie teraz będziesz chciał wrócić do środka? – spytała z rezygnacją.

– No chyba jednak...

– Szkoda. Imprezy rzeczywiście są cholernie nudne, kiedy się jest na nich jedyną trzeźwą osobą.

– Phim też jest trzeźwa. Moment, moment, ja też jestem trzeźwy!

– Chuchnij. Eeee tam. Nie liczy się.

W domu powitała ich Phim, która smętnie siedziała na szafce pod lustrem i jadła ciasto.

– Gdzie Tomala? – spytała Olsson. – Kojarzysz, ten z długimi włosami, co wygląda, jakby był wiecznie na kacu, przyleciał z nami z Phuket.

– Kotłuje się z osiemnastolatką w twojej łazience na piętrze – odpowiedziała zaskakująco dobrze zorientowana w sytuacji pulchna Tajka. Ciasto jej się skończyło, więc przestawiła się na babeczki z kajmakiem, mając przy tym minę jak ktoś, kto zalewa się z determinacją w trupa.

– Sto pięćdziesiąt kalorii – wzniosła toast ciastkiem. – Chcecie?

Martin się poczęstował, Dagny prychnęła coś o szpinaku i produktach mlecznych.

– Ale dlaczego akurat w mojej łazience? – spytała potem Olsson, rzucając spojrzenie zranionej sarny.

– Pewnie im się śpieszyło – wzruszyła ramionami Phim. – Moja jest na poddaszu – wyjaśniła Sorensenowi.

– Wiecie co... – Dagny rozejrzała się po otaczającym ją pandemonium. – Ja nie znam połowy tych ludzi...

– Mówiłaś, że z nimi pracujesz? – Tajka się zaniepokoiła.

– Z częścią tak. Ale ich nie znam. Niech się wynoszą! Ja idę spać.

Powiedzcie im, że mają się wynosić.

Ruszyła na schody.

Pierwszy oprzytomniał Duńczyk.

– Dagny, oddaj mi polar!

– W samochodzie nie zmarzniesz. A mnie się podoba. Ze swoich już wyrosłam, a tu wystarczy rękawy podwinąć.

I tyle ją widzieli.

– Co robimy? – spytał Martin, pośpiesznie kończąc drugą babeczkę, którą podsunęła mu Tajka.

– Słyszałeś. To ona tu rządzi.

– OK, pomogę ci posprzątać.

– Nie trzeba, dzięki, jutro przyjedzie ekipa i doprowadzi dom do normy.

– I ogród.

– Ach... I ogród.

– Ale gości ci pomogę posprzątać!

– Dzięki. – Uśmiechnęła się ciepło.

Strzelili sobie jeszcze po małym ptysiu, przepili gorzką kawą i wyruszyli jak dwa anioły zagłady: Martin do salonu, a Phim na piętro. Z jadowitą miną zgasiła światło w zamkniętej łazience, a słysząc ze środka głośnie protesty, załomotała w drzwi i krzyknęła: – Koniec balu, zamykamy lokal!



Dwa dni po imprezie, kiedy już nie pozostał ślad ani po gościach, ani po ekipie sprzątającej, a Dagny odespała wrażenia, siedziały obie w salonie, oglądając film. Olsson jadła obiad, postawiwszy sobie talerz na brzuchu.

Między jednym kęsem a drugim rzuciła: – Chyba pora urządzić mu pokój, prawda? Przełałam ci pieniądze, wybierzesz co tam trzeba. Najlepiej wszystko od razu, meble, śpiochy i tak dalej.

– Skoro chcesz karmić, to na początek i tak będzie pewnie spało w twoim łóżku.

– W moim... Eee, myślisz?

– Miejsce oseska jest przy piersi. Dziecko ssie, mleko płynie, taka jest fizjologia i dłuższe rozstania żadnej ze stron nie wychodzą na dobre.

– Taaaak. A co później?

– Czyli?

– Nooo... Ty mi powiedz. Widzisz, Phim, jesteś tutaj, bo szukałam matki dla swojego dziecka. Ja będę co najwyżej – machnęła widelcem i uśmiechnęła się szeroko – takim tatusiem Wikingiem, co wypływa w morze i od czasu do czasu wraca, podrzucić łupy.

Tajka parsknęła.

– Myślę, że jako mama Wiking też sobie poradzisz. Ja będę po prostu Phim. Jakoś to sobie ułożymy.

Stojący na brzuchu Dagny talerz podskoczył nagle.

– Ranyyyyy! Phim, widziałaś to, widziałaś?!

– Tak! Ale super!

Roześmiana Tajka uklękła koło fotela Dagny, która czym prędzej odstawiła talerz na stolik. Dziecko wierciło się nadal, a przez cienką bluzkę Olsson było doskonale widać przesuwające się wybrzuszenia.

– Mogę? – spytała Phim, wyciągając dłoń.

– Jasne! – Szwedka złapała jej rękę i położyła w miejscu, w którym spodziewała się kolejnych atrakcji.

Siedziały tak, polując na rozbrykanego aliena. Kiedy się uspokoił, przez chwilę nadal trzymały się za ręce.

– Phim... Myślisz, że naprawdę możemy rodzić tutaj?

– Nie ma żadnych medycznych przeciwwskazań. Ja na wszelki wypadek będę miała online najbliższy szpital i jeżeli coś pójdzie nie tak, najwyżej po ciebie przylecą. Bo jak to się rozwinie... Mówią, że końca porodu i wojny nie sposób przewidzieć – uśmiechnęła się, ale wtedy jej dłoń osunęła się na kieszeń polaru Dagny. Wyczuwając twardy metal broni, Tajka drgnęła, lecz zaraz przywołała się do porządku, wiedząc, że Olsson czujnie śledzi jej słowa.

– Jeżeli chcesz, ja nie mam zastrzeżeń.

– Przygoda! – parsknęła Dagny, nieco pewniejszym tonem.

– A żebyś wiedziała!



Jak wszystkie ciężarne, Dagny Olsson myślała, że to niemożliwe, żeby jej obwód w pasie stał się jeszcze większy. I jak one – oczywiście myliła się. Leżała teraz na boku, a brzuch obok, zajęty swoimi sprawami. Obejmowała go w taki sposób, żeby wyłapywać jak najwięcej ruchów, których poranną minimalną normę i tak zaliczyli już dziś z naddatkiem.

Olsson czytała jeden z ostatnich kryminałów Anny Rueckner. Autorka, jak na osobę podobno mocno leciwą, wykazywała się niepokojąco dobrą znajomością mechanizmów funkcjonowania rynku narkotykowego w Niemczech.

Kończąc rozdział, Dagny pomyślała, że to jednak niemożliwe, żeby jej dziecko od kwadransa ćwiczyło wymachy ręką w jeden konkretny sposób, bo i dorosły mógłby się tym zmęczyć. Doznała olśnienia – zamieszkujący kulę

nieszczęśnik miał czkawkę.

Z nadzieją, że zmiana pozycji coś na to pomoże, wyłączyła książkę, zwinęła monitor w rulon i podeszła do okna. Za szybą trwał śnieżny krajobraz, nieskazitelny aż po horyzont. Dagny otworzyła okno, pozwalając, żeby mróz wlał się do pokoju, stopniowo, najpierw przy samej podłodze, potem wypełniając pomieszczenie kolejnymi falami. Zapatrzyła się na cudowne, roziskrzane w słońcu kryształki zamrożonej mgły, zawieszona nieruchomo w powietrzu.

„Cholera, fajny dzień. To byłby naprawdę fajny dzień, wiesz?”, powiedziała w myślach, kalkulując przy tym, czy to jednak nie za wcześnie i lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Od strony głównej szosy jechał w ich kierunku samochód firmy kurierskiej. Dagny śledziła go wzrokiem, kiedy zbliżał się, zatrzymał na chwilę przy skrzynce pod ich bramą, a potem zawrócił, o mały włos nie zakopując się w zaspie na poboczu, i ruszył w dalszą trasę.

Instynkt wicia gniazda, którego wyraźne objawy wykazywała Phim – działanie unoszących się w domu feromonów Dagny, czy ki diabeł? – wymagał ciągle to nowych, absolutnie niezbędnych zakupów. Olsson tylko autoryzowała kolejne transakcje, wychodząc z założenia, że zawodowiec wie lepiej, co jest naprawdę potrzebne.

Nie chciało jej się biegać po piętrach, więc sięgnęła po telefon.

– Phim? Paczka przyszła.

– Tak? – zdziwiła się Tajka. – Już dzisiaj? Zaraz po nią pójde.

Szwedka po namyśle uznała, że to w sumie i tak dobra pora na spacer, więc zeszła ze schodów, ostrożnie stawiając stopy w antypoślizgowych skarpetkach. Siadła na sosnowym parapecie na ostatnim podeście i wyglądając przez okno, zawiązywała glany.

Phim zdążyła się już ubrać i właśnie zamknęły się za nią drzwi. Po chwili

pojawiła się na podjeździe – nieduża, okrągła jak kulka w puchowej kurtce Dagny – którą wzięła, bo widocznie była bardziej pod ręką – i w naciśniętym głęboko na uszy kaszkiecie z czerwonego sztruksu.

Zamiast od razu iść do skrzynki, zabrała się za odśnieżanie.

„No, fantastycznie”, zniecierpliwiła się Olsson. „Będę tu teraz na nią czekać?”.

Szanse na dopięcie się w kurtce Tajki miała zerowe.

Usiadła wygodniej na parapecie i wróciła do czytania powieści – z ekranu w telefonie. Błysnął przychodzący mail, więc otworzyła go, skoro i tak nie miała chwilowo nic lepszego do roboty.

Zdjęcie ładowało się powoli, jednak w miarę jak zagęszczała się generowana z coraz lepszą rozdzielczością ostrość, Olsson czuła, że przechodzi przez nią zimny dreszcz. Siadła nagle wyprostowana, spięta jak do skoku.

Fotografia przedstawiała tatuaż, który Pote Guemes kazał sobie zrobić na ramieniu: portret Dagny. Tylko że teraz nie był to już śliczny, wyidealizowany wizerunek, ale obrazek jak z taniego sieciowego horroru, takiego z pseudonaturalistyczną, kiczowatą animacją. Całą twarz dziewczyny pokrywały rany, nieduże, lecz głębokie, spływające krwią. Olsson miała niczym nieuzasadnioną, przerażającą pewność, że to nie zdjęcie poddano obróbce. To tatuaż został zmieniony.

„Tym razem nie uciekłaś, złotko”, brzmiał podpis.

Wyrwała się z trwającego kilka sekund stuporu i szarpnęła klamkę okna.

– Phim! – wrzasnęła. – Phiiiiim! Nie ruszaj się!

Tajka, która właśnie otwierała furtkę, żeby wyjść do skrzynki przeznaczonej na paczki, zamarła w pół ruchu.

– Uciekaj, Phim! Wracaj, tu, do domu! – krzyczała Dagny, skanując wzrokiem otoczenie. Równocześnie wybierała, nawet nie patrząc, awaryjną

sekwencję klawiszy na telefonie. Pierwszy komunikat uzbroił system ochrony posesji, na razie z wyłączeniem głównych drzwi domu, drugi poszedł do firmy ochroniarskiej należącej do organizacji.

„Skurwiel się pośpieszył”, przemknęło Olsson przez głowę. „Paluchy go świerzbiły, wysłał maila o sekundę za wcześniej”.

W paczce była bomba, taka, co raczej nie zabije, ale ciężko pokieruszuje. Dagny za długo siedziała w tym fachu, żeby teraz oszukiwać się choćby moment dłużej. Już nie mogła sobie wmawiać, że „on taki nie jest” i ignorować natrętnie przypominające się nauki ze szkoły policyjnej, że im bardziej konkretne są groźby, którymi nęka prześladowca, tym poważniej należy je traktować.

Nagle rąbnęło ją olśnienie. „Tym razem nie uciekłaś”. „Tym razem”.

Kiedy na Phuket wylądowała w szpitalu, Lundeberg rozmawiał na ten temat z kilkoma osobami. Przycisnęła szefa do muru i wydusiła z niego informację o każdej wymianie zdań, choćby zupełnie ogólnikowej. Olaf nie wiedział, że zerwała z Guemesem. Nie mówiła mu, bo i po co, a plotka nie rozeszła się widać wystarczająco szybko. Więc Guemesowi wspomniał także, w czasie luźnego powitania przed biznesową telekonferencją. Afera z niesubordynowanym Niemcem też pewnie zdążyła już wtedy zatoczyć szerokie kręgi. Pote miał wystarczająco dużo kontaktów, żeby po prostu rzucić jakąś niewinną z pozoru uwagę – u siebie w Meksyku nad piwem, przez telefon, w mailu pisanym w interesach. Tak żeby doszło do odpowiednich uszu, nawet jeżeli Dagny nie była w stanie odtworzyć dokładnego przebiegu tej komunikacji.

Tyle że jeżeli nawet wtedy o tym pomyślała, odrzuciła taką hipotezę na wstępie. Jako absurdalną.

Chciał ją zabić, bo go rzuciła, potem mu na chwilę przeszło, kiedy wczuł się w rolę odpowiedzialnego ojca rodziny, teraz wróciło z nawiązką.

Olśnienie było jak przebłysk, paskudne, lodowate zestawienie faktów, kiedy Phim biegła oczyszczoną z grubsza ze śniegu ścieżką, a Dagny stała w oknie, rozglądając się czujnie po okolicy.

W kępie zarośli na granicy ogrodu, na tle rozświetlonego słońcem śniegu, mignęła ludzka sylwetka. Guemes. Olsson poznała go po długich włosach i sposobie poruszania się.

Włączony w nocny tryb system ochrony posesji ryknął przeraźliwie komunikatem: – Znajdujesz się na terenie prywatnym! Dotknięcie ogrodzenia spowoduje porażenie prądem. Natychmiast odejdź!

Meksykanin zawahał się przez mgnienie oka, ale chwycił ogrodzenie dłońmi w grubych, skórzanych rękawicach i zaczął się wspinać. Uderzenie ładunku zabolowało go, lecz nie na tyle, żeby uniemożliwić ten krótki moment kontaktu z metalowym płotem, potrzebny do przerzucenia ciężaru ciała na drugą stronę. Pote doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ryzykuje życia – tu, w Unii, Lundeberg nie pozwoliłby Olsson na zainstalowanie zabezpieczeń, które byłyby niezgodne z prawem.

– Phim, szybciej! – wrzasnęła Dagny.

Tajka była już na ganku, Guemes pozbierał się ze śniegu, zrobił jeden, długi krok przez zaspę i sięgnął za kurtkę, podnosząc wzrok. Był zbyt daleko, żeby Olsson widziała, czy patrzy na Phim, czy na nią.

Pote chciał, żeby przeczytała tego maila dopiero za kilka godzin, poraniona, w szpitalu, i dopiero wtedy miała się zacząć naprawdę bać. Mógłby się tym strachem trochę nacieszyć, chwilę go pocelebrować. Ale skoro został zdemaskowany, nie pozostało mu nic innego, jak rozwiązać problem radykalnie.

Widząc pistolet w dłoni Meksykanina, Dagny zadziałała odruchowo. Przyklękła obok niskiego parapetu, żeby podeprzeć łokcie przy celowaniu. Huknął strzał. Z kępy drzew zerwało się stado wielkich, czarnych gawronów,

a Phim zaczęła wrzeszczeć.

Potem zapadła cisza. Olsson może kiedyś była policjantką, ale przez następne lata zdążyła sobie wyrobić mało humanitarne odruchy. W sytuacji zagrożenia życia nie strzelała w powietrze, w nogi, ani na żadne inne nieskuteczne sposoby.

Starając się nie potknąć, skoczyła do drzwi i w progu wpadły na siebie z Phim, obejmując się tak mocno, jak tylko na to pozwalał ogromny brzuch Szwedki.

– Panno Olsson – jęknęła Phim, przytomniejąc i patrząc przez ramię. – Może byśmy go tak... Zabrały z widoku?

Wyszły w mróz, z trudem brnąc przez pokryty śniegiem trawnik. Dagny pochyliła się nad ciałem Guemesa i zaczęła mocować się z jego kurtką.

– Co robisz?!

– Chcę zobaczyć tatuaż... Przytrzymaj, o właśnie, moment...

Wizerunek na ramieniu Meksykanina naprawdę miał ślady po odłamkach. A do tego podejrzięte gardło. Dagny zaczęła dygotać od mrozu.

– Niech gnije – wysyczała.

– Weźmy go, szybciej – zakomenderowała Phim. – Musisz mi trochę pomóc, duży jest.

Powlekły ciało za skrzynię z piaskiem i narzędziami ogrodniczymi, żeby nie rzucało się w oczy z ulicy. Krwawy ślad zdeptały i przysypały świeżym śniegiem.

– Ja jestem, kurwa, w zagrożonej ciąży! – oświadczyła Dagny, kiedy schowały się w ciepłym domu. Zęby jej szczękały. – Mnie nie wolno dźwigać ani się denerwować. A ty mi każesz nosić trupy w kopnym śniegu!

Siadła na schodach, a chichocząca histerycznie Phim zaczęła zdejmować kurtkę.

– Ożeż... – Olsson złapała się nagle za brzuch.

– Co się dzieje?

– Nie wiem. Nagle się zaczęło strasznie miotać. O cholera...

Phim pomyślała, że dziecko może sobie oplątać szyję pępowiną, ale nie powiedziała tego głośno. Olsson odetchnęła głęboko kilka razy, a potem sięgnęła po telefon.

– To ja. No a kto inny mógłby dzwonić z tego numeru, mój morderca? – warknęła w słuchawkę. – Co mnie obchodzi, że jada?! W dupę ich sobie wsadź, na chuj mi teraz potrzebni! Znaczący nie, wróć, niech tu będą jak najszybciej, trzeba coś utopić w Bałtyku. Że co? No pewnie, że aż tak! Tak, jest problem, jak kurwa mać jest problem. Tak właśnie zapewniliście bezpieczeństwo mnie i mojej rodzinie!

Dagny skrzywiła się, kuląc się na chwilę.

– Znowu się rzuca? – spytała niespokojnym szeptem Phim.

Olsson pokręciła przecząco głową i zasłaniając mikrofon, powiedziała prawie bezgłośnie: – Boli. – A potem znów do telefonu. – Widocznie miałam powód, nie ty mnie tu będziesz z powodów rozliczał, kolego. Pogadam sobie na ten temat, ale nie z tobą, tylko z Olafem.

Phim zdążyła się już zorientować, że grono osób mówiących do pana Lundeberga po imieniu jest bardzo wąskie.

Olsson rozłączyła rozmowę.

– O... Cholera... *Sorry*. Moment – mruknęła i zamknęła się w łazience.

Wyszła jakiś czas później, kiedy Phim – nie chcąc odchodzić poza zasięg głosu, a nie wiedząc, co ze sobą zrobić – zajęła się gotowaniem wody na herbatę.

– Wiesz co, Phim – Dagny zatrzymała się w progu. – Ja w sumie nie jestem pewna. Wydaje mi się – przerwała na chwilę, zagryzając wargę i kładąc rękę na brzuchu.

– Pakować torbę do bagażnika? – Położna skojarzyła fakty.

– Nie wiem. Zresztą miałyśmy przecież... Ale chyba coś poszło nie tak, prawda?

Olsson przez moment wydała się Tajce taka bezradna. Tylko przez moment.

– Ubierz się ciepło – zarządziła Phim. – Ja wezmę rzeczy.

Pod bramę zajechała na sygnale furgonetka firmy ochroniarskiej.

– A kto im, debilom, kazał robić taki cyrk! Bardziej na siebie uwagi zwrócić nie mogli?! – Szwedka otrząsnęła się z chwilowej słabości.

Kiedy Phim zeszła z torbą, Olsson zdążyła już wyładować część stresu na podwładnych i wsiąść do samochodu na miejsce pasażera. Szyba z jej strony była opuszczona, a przy drzwiach stał Sławek Tomala. Widząc zaskoczoną minę przyjaciółki, Dagny wyjaśniła: – Ten to się zawsze wkręci w sam środek gówna. Akurat przypadkiem był u chłopaków, jak dostali wezwanie. Bo Tomala, rozumiesz, dziwnym zbiegiem okoliczności zimuje w Malmö, jakby w całej pieprzonej Unii lepszego miejsca nie mógł sobie znaleźć – rzuciła mu takie spojrzenie, że aż się skulił.

– Nie ma to jak wkurzyć ciężarną – stwierdziła ponuro Phim, zatraskując bagażnik i odprowadzając wzrokiem młodych mężczyzn w mundurach ochroniarzy, którzy mocowali się z czymś za skrzynią na narzędzia ogrodnicze.

Dagny uśmiechnęła się, patrząc na nią z uznaniem.

– Prawdziwa żona mafii – oceniła, a Sławek przytaknął z podziwem. – Lepiej trafić nie mogłam.

– Muszę mieć mocne nerwy, w końcu jestem położną – wzruszyła ramionami Phim i siadła za kierownicą.

Dagny nagle syknęła z bólu i przymknęła oczy.

– Co z nią?! – przestraszył się Sławek.

– Nic, skurcz – wyjaśniła Phim.

Po jednej czy dwóch minutach Olsson wróciła do rzeczywistości, zapięła pas bezpieczeństwa i wyjęła ze schowka paczkę ryżowych sucharków.

– No, jedziemy – zarządziła, nadgryzając jeden z nich i oddając Tomali swoją kartę. – Dom zamknięty, musicie tylko uzbroić bramę.

Terenówka zabuksowała kołami w śniegu i ruszyła w stronę miasta.



Była już noc, kiedy Phim, układając rzeczy w szafkach szpitalnego pokoju, trafiła na telefon Dagny i zobaczyła na wyświetlaczu dziewięć nieodebranych połączeń od Sławka Tomali. Ulitowała się nad nim i wyszła na korytarz, żeby oddzwonić ze swojego aparatu.

– Urodził się zdrowy chłopaczek. Trzy trzysta czterdzieści! – pochwaliła się dumnie, nie biorąc pod uwagę, że Sławkowi nie mówi to kompletnie nic, a prędzej skojarzy mu się z jakimś szyfrem niż wagą noworodka.

– Ale co z Dagny? Jak ona się czuje?

– Świetnie. Teraz odpoczywa.

– Powiedz jej...

– Że dzwoniłeś?

– A myślisz, że się wkurzy?

– Dziewięć połączeń... To nie był najlepszy pomysł. Powiem jej, jak będzie w dobrym humorze.

– Dzięki, Phim.

– Spoko.

– Dzięki tak... ogólnie. Znaczy... Nieważne. To cześć.

Phim uśmiechnęła się szeroko do rozłączonego już telefonu.

Wróciła do sali. Dagny spała, ubrana w czarną nocną koszulkę bez rękawów, obejmując owiniętego w kolorowy rożek noworodka. Dwa nagie sukkuby o nietoperzych skrzydłach, wytatuowane na ramieniu Olsson, tuliły się do siebie, splecione ogonami.

Phim podeszła na palcach. Przykryła Dagny i jej śpiące zawiniątko niebieskim polarem. Zapatrzyła się na cudne resztki płodowego meszku na policzkach i uszkach dziecka. Chłopczyk miał czarne włoski i jak wszystkie noworodki rasy białej – niebieskie oczy. Ale położna wiedziała, że to nic nie znaczy. Pierwsze włosy się wytrą, a kolor oczu może się zmienić.

Usiadła w fotelu i sięgnęła po książkę, włączając od razu wersję dwujęzyczną. Zaczęła tłumaczenie od tytułu: *ALLA VI BARN I BULLERBYN*.

NOCĄ WSZYSTKIE KOTY SĄ CZARNE

Jak zawsze wzbudzili nieufność. Nikt im jej nie okazał, ale przecież właśnie po to byli – żeby wyczuć takie rzeczy, z nieświadomych gestów, drgnień mięśni twarzy. Szli we troje przez lądowisko zalane obezwładniającym, cudownie jaskrawym blaskiem śródziemnomorskiego słońca. Pomiedzy mundurowymi wyróżniali się wszystkim: cywilnymi ciuchami, jasną, nieopaloną skórą, kolorem włosów – Sanja ruda, a Peter i Majka pięknie, archetypicznie jasnowłosi, jak ucieleśnienie bezpiecznej północy na trwającym w gotowości bojowej unijnym południu.

Grecy, Włosi i – zwłaszcza – Hiszpanie zazwyczaj byli przekonani, że z Londynu czy Berlina sprawy wyglądają znacznie bardziej niewinnie. Nieco egzaltowana patriotycznie Maja Szymczyk, nie bez powodu zwana przez kumpli „Lwie Serce”, powiedziała kiedyś, że Ateny od zielonych sztandarów Kalifatu Rijadzkiego dzieli tylko kawałek usianego kamienistymi wysepkami morza i dwa największe lotniskowce świata – twierdza Kreta i twierdza Cypr. Sanja Popović, choć mniej skłonna do propagandowo malowniczych porównań, zgadzała się z drugą Kotką co do meritum.

O ile większości wojskowych trójka młodych cywili wydawała się tylko podejrzanymi turystami (znowu jakieś szwedzkie książątko na wizycie szkoleniowej?), o tyle prowadzący ich przez teren jednostki kapitan Dimitris Katranidis prezentował klasyczny zestaw reakcji na Koty: niepokój, próba nadmiernego panowania nad swoim zachowaniem – żeby się „czegoś” niepotrzebnie o nim nie dowiedzieli, ciekawość oraz irytacja, że wplątawszy

się w sprawę takiej rangi, musi teraz bawić jakichś genetycznie modyfikowanych agentów, po których nie wiadomo, czego się spodziewać. Bo na ten temat krążyły najdziwsze plotki, mało kto zresztą widział ich na własne oczy. A jak już Dimitris ich zobaczył, mógł powiedzieć tylko, że co innego sobie wyobrażał. Choć, dopytywany, nie umiałby powiedzieć, co mianowicie.

„Najlepsze jeszcze przed nami”, pomyślała wisielczo Sanja. „Jak zaczniemy obwąchiwać trupy, wtedy dopiero gospodarze zapalają do nas ciepłym uczuciem”.

Zatrzymała się przed wejściem do budynku i omiotła spojrzeniem ciągnącą się za murami jednostki dzielnicę Cholargos. Zbudowana wysoko na wzgórzach, była ponoć luksusowo chłodna jak na ateńskie warunki. Powietrze pachniało rozgrzanym betonem, smarem samochodowym i bezpiecznie – ludźmi. Gdzieś zza ogrodzenia płynęła kwiatowo–cytrusowa nuta, zmieszana z kwaśnym smrodkiem najbliższego śmietnika, który jednak nie był dla Kotki obrzydliwy. Stanowił konkretną informację: co tam gniło, od jak dawna i co z tego jeszcze można by ewentualnie zjeść, gdyby życiowe okoliczności przymusiły. Co nie zmieniało faktu, że Sanja liczyła raczej na tatziki i smażone kalmary w jakimś przyjemniejszym miejscu.

No, najpierw jednak te trupy. Za to im płacili ofiarni europejscy podatnicy, zatrwożeni o los demokracji, praw człowieka oraz pełni troski o zachodni model cywilizacji. Sanja zastanawiała się czasem, jak jej własne istnienie miało się do praw człowieka.

„Lwie Serce” Szymczyk przeżegnała się po katolicku, kiedy mijali białą kopułę przyszpitalnej cerkiewki. Dla niej każda wizyta na południu oznaczała kolejny krok przygotowań do wyprawy tam – za skrawek ciemnego morza. Maja byłaby świetnym krzyżowcem, tylko niestety nie miała już czego odbijać z rąk innowierców. Nawet jeżeli założyć, że w multikulturowej

Europie ktokolwiek zawracałby sobie głowę walką o kawałek ziemi, mający znaczenie wyłącznie symboliczne. Kanał Sueski – on prędzej byłby czymś wartym burzenia pozornej, zimnowojennej stabilizacji, która powstała, kiedy Kalifat połączył w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie wszystko, co tylko dało się połączyć, a potem Arabia oraz Unia przyczały się i nawiązały stosunki dyplomatyczne, reorganizując się i zbrojąc na potęgę.

Popović wiedziała, że już zbyt długo gapi się na zakryte kolorowymi markizami balkony bloków na Cholargosie. Katranidis może i z pozoru wyglądał na faceta flegmatycznego, wiecznie trochę sennego – to przez te opadające powieki – ale w rzeczywistości był bardzo niecierpliwy.

Nagle Kotka spojrzała w górę, łowiąc daleki dźwięk wirnika. Grecki kapitan podążył za jej wzrokiem, z trudem rozpoznając majaczącą na tle głębokiego błękitu czarną plamkę.

– Szef leci do pracy – wyjaśnił. – Codzienne o tej samej porze. Ma dom na wyspie.

Popović skinęła głową. Szkoda, że jej tata musiał robić karierę akurat w Polsce, pomyślała z przekąsem. O ileż milej byłoby być córką greckiego generała.

– Słyszysz helikopter? – Katranidis wreszcie odważył się przejść do fazy jawnych pytań. – To znaczy – spojrzał przelotnie na Majkę i Petera Ruecknera – wy wszyscy słyszycie?

– Yhm. – Sanja poczuwała się do wzięcia na siebie roli interfejsu Kotyświat.

– No, teraz to chyba nawet pan słyszy – rzuciła beztrąsko Szymczyk, jak zwykle bez świadomości, jak lekceważąco to zabrzmiało.

– Eeee... Tak jakby – zawahał się Dimitris.

„Gównie słyszy, ale się nie przyzna. A już na pewno nie babie”, podsumowała Popović na własny użytek. Odwróciła się na pięcie i weszła w

śmierdzący środkami dezynfekcyjnymi chłód szpitala.



Trupy były trzy, świeżutkie. Płci męskiej, w wieku od dwudziestu trzech do około czterdziestu pięciu lat. Dwa miały imiona i nazwiska, a nawet po kilka imion i nazwisk, z czego niektóre przewijały się już od jakiegoś czasu w bazach unijnych wywiadów. Zwłoki najstarszego z mężczyzn stanowiły zagadkę.

Sanja przeszła tylko najbardziej podstawowe szkolenie medyczne, ale Rueckner potwierdził później jej ocenę sytuacji: jeden oberwał w tętnicę i błyskawicznie się wykrwawił, drugi utonął, trzeci zabił się sam, bo jednak należało założyć, że nikt nie strzelałby z bliskiej odległości prosto w twarz potencjalnemu źródłu informacji.

Kotce kręciło się w głowie od zapachu krwi. Od dziecka prowadzana do szpitali i kostnic, teoretycznie uodporniona na kontakt z ludzkim bólem, umiała opanować instynktowny wstręt i chęć ucieczki. Kontrolowała nawet wyraz twarzy, zachowując pozory profesjonalnej koncentracji. Pozostałej dwójce wychodziło to lepiej – Peter jako ratownik miał więcej doświadczenia, a Majka po prostu z natury była twarda.

Popović wzięła się w garść i zrobiła, co do niej należało. Kiedy udało jej się przestać zwracać uwagę na gryzącą, alarmującą woń krwi i strachu, Kotka wyczuwała niepowtarzalną nutę zapachu każdego z mężczyzn. Jeszcze uchwytłą i pozwalającą na identyfikację.

Schylona tuż nad ciałem węszyła, próbując odnaleźć jakieś podobieństwo. Potem drugi raz. I trzeci. Wreszcie stanęła z boku, po przeciwnej stronie

pomieszczenia niż Grecy, patrząc na dwa pozostałe Koty, powtarzając procedurę. Kiedy skończyli, złowiła ich spojrzenia i powiedziała na głos: – Żaden z nich.

– Ale co konkretnie żaden? – Katranidis maskował irytacją nawet nie tyle lęk – on nie z tych podatnych na zabobonne lęki – ile głębokie uczucie obcości, które narastało w obserwatorach.

– Nie jest spokrewniony z dawcą wzorca – uściśliła Popović.

„Czy moglibyśmy już stąd wyjść, do jasnej cholery?”. Może i ludziom nie przeszkadza towarzystwo trzech ofiar bolesnej śmierci, ale Sanja była Kotką i wbrew pozorom – jej przeszkadzało jak diabli.

– Szkoda. – Zwalisty, kwadratowy eks-komandos odwrócił się zaskakująco zwinnie i skinął na gości, żeby poszli za nim.

Popović myślała, że ciąg dalszy rozmowy odbędzie się w którymś z połączonych podziemnymi korytarzami budynków jednostki, ale zostali znów wyprowadzeni na powietrze i wsadzeni do cywilnego samochodu.

– Zorganizowałem dla was bezpieczne mieszkanie. – Katranidis machnął ręką w stronę wzgórz. – Na Cholargosie. Jeżeli nic się nie zmieni, pewnie jutro będziecie mogli wrócić do Warszawy. Chociaż oczywiście mam nadzieję, że uda nam się dostarczyć inny... materiał do analizy.

– Może tym razem dla odmiany żywy? – palnęła Sanja, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Dimitris rzucił jej długie spojrzenie.

– Oby. Nie ja kierowałem tamtą akcją i nie ja ją spieprzyłem. Moi szanowni koledzy mieli złapać przemytników. Złapać, a nie wystrzelać i potopić.

Greki prychnął, wzruszył ramionami i odpalił silnik.

– Teraz mam robotę, ale może wyjdziemy gdzieś wieczorem? – Pytanie skierowane było gdzieś pomiędzy siedzącą z przodu Sanję a jasnowłosą Maję

na tylnym fotelu, z pominięciem Petera. Wyłącznie dlatego, że do niego Katranidis musiałby się odwrócić o pełne sto osiemdziesiąt stopni. Na pewno była to jedyna przyczyna. Popović uśmiechnęła się pod nosem.

– Pokażę wam miasto. W amfiteatrze pod Akropolem jest dziś koncert, jakaś gwiazda pop. Możemy się przejść w okolicy, posłuchać.

– Nie lubimy koncertów. Są za głośne. – Majka użyła liczby mnogiej i Sanja zastanawiała się, czy odruchowo, czy jednak świadomie i prowokacyjnie. Stawianie spraw na zasadzie: „Bo my, Koty...” często ludzi peszyło.

– To pójdziemy po prostu pić! – Dimitrisa trudno było zbić z pantałyku.



Motorówka kołysała się na falach, w zapadającym zmierzchu po wodzie pełgały już tylko ostatnie błyski różowej łuny znad zachodniego horyzontu. Jednak było jeszcze o wiele za wcześnie. Czekali.

Kiedy noc zapadnie na dobre, pomkną na północ, klucząc znanym od lat szlakiem. Ktoś został przekupiony, kto inny wychłapał się nieopatrznie o awarii patrolowego drona, a jeszcze ktoś umiejętnie wtopił się w szeregi wrogów, by w momencie takim jak ten pomóc swoim. Pozostawało tylko wierzyć, że – jeżeli Bóg pozwoli – czujne ślepia satelitów będą dzisiejszej nocy skierowane gdzie indziej.



– Moi drodzy – oświadczył Katranidis, wskazując szerokim gestem knajpiany ogródek i zwisające z pergoli pędy winorośli – mamy tu właśnie sympozjon. Bo sympozjon to znaczy wspólne picie!

– I rozmowy na poważne tematy – uściśliła Sanja, która uparła się zrozumieć chociaż część powodów, dla których wyrwano ich nad ranem z łóżek i w trybie pilnym przywieziono wojskowym samolotem do Aten.

Grecki kapitan ewidentnie nie lubił rozstawać się z informacjami, co świadczyło bardzo dobrze o jego profesjonalizmie, ale Kotkę tylko prowokowało.

– Więc aresztowali czcigodnego, leciwego szejka, on umarł w czasie przesłuchania i teraz szukacie jego rodziny, produkując kolejne zwłoki. Bo facet prowadził ekstremistyczny blog...

Nawet nie musiała kończyć. Raczej nie chodziło tylko o to, że jakiegoś szacownego emeryta nakryto na anonimowym głoszeniu poglądów, iż Kalifat jest rządzony łagodną, ojcowską ręką, Unia dąży ku zatraceniu w swej duchowej pustce, a ortodoksyjnie rozumiany szariat jest lekiem na wszystkie niepokoje polityczne, ekonomiczne i osobiste. Oczywiście, że za coś takiego można było pójść siedzieć, ale najwyraźniej na naukach szejka cała ta historia się nie kończyła.

– Z rozmów z informatorami wynika – Grek lekko się zjeżył – że przyjazd kogoś z jego rodziny organizują jako bardzo poważną operację. Widocznie jest po temu powód. I nie sugeruj mi tutaj, że ktoś brutalnie przesłuchiwał słabego staruszka. On umarł w trakcie rozmowy, tak po prostu.

– Na wylew – zgodziła się Sanja.

– Miał osiemdziesiąt jeden lat. Nikt go nie tknął palcem! Tak po prawdzie, to nie zdążyli go o nic porządniej wypytać, sam czytałem tłumaczenie przesłuchania.

Katranidis był arogancki tym rodzajem inteligentnej pewności siebie,

która w oczach kobiet wydaje się czasem dość urocza.

– Yhm. – Popović z filozoficznym wyrazem twarzy zanurzyła złocisty krążek kalmara w sosie, doprawiła oliwką i popiła winem. Maja dołała jej kolejną szklanekę, a Peter pozwolił skubnąć kawałek ryby ze swojego talerza.

Dimitris miał całkowitą rację – szejka, konsekwentnie niewymieniany przez niego z nazwiska, które w wersji europejskiej brzmiało Mufid al-Kamali, zmarł na wylew. Potwierdzili to patolodzy podczas sekcji. Nikt go nawet nie zdążył zastraszyć, a samo aresztowanie o dziwo wcale nie wywołało u dziadka szoku. Był lodowato spokojny i Sanja mogłaby to potwierdzić przed każdym sądem. Nie było jej tam, na wyciągnięcie ręki, i nie czuła zapachu potu starego szejka, ale widziała film z rozmowy i chwili jego śmierci. Bo Kotka w przeciwieństwie do Katranidisa mówiła płynnie po arabsku. Al-Kamali od lat mieszkał w fińskim Turku i znał świetnie angielski, mimo to rozmawiający z nim agent, śniady, czarnowłosa, wybrał język, którego obaj używali w domach.

Tylko że wiele się nie dowiedział, bo szejka zaczął w pewnej chwili zachowywać się dziwnie. To nawet nie był jakiś atak – po prostu zaczął szybko i rytmicznie oddychać, w bardzo nienaturalny sposób. Nagle przestał, nie reagując jednak na pytania. I znowu. Za trzecim razem, uśmiechnął się jeszcze tylko triumfalnie i drwiąco – i zasłabł, ze skutkiem tragicznym.

Popović potwierdziła podejrzenia: również jej zdaniem al-Kamali popełnił samobójstwo. Jeżeli rzeczywiście, jak uważali anonimowi dla niej eksperci, można uruchomić w ten sposób wszczepionego nanobota, aby uwolnił substancję, która rozpuści właścicielowi tętnicę w mózgu – to owszem, jak najbardziej, zachowanie aresztowanego można interpretować jako nadawanie oddechowym kodem wiadomości dla ukrytego we własnej głowie zabójcy. Kotka wiedziała tyle, że facet robił to świadomie, celowo i na zimno.

– Kto to ma być, ten ktoś spokrewniony? – Maja w końcu nie wytrzymała, choć początkowo siedziała cicho, czekając aż Popović podprowadzi im Katranidisa pod jakieś sprytne pytanie. – Źródło zmodyfikowanej genetycznie zarazy, żywa bomba? – prychnęła.

Dimitris parsknął: – Tak, jasne. A takie Czarne Koty to oni tam już po prostu po garażach robią!

– No, Kotka akurat można zrobić w garażu – skomentował niewinnie Rueckner znad szklanki.

– Oj, ale generałowej Popović tobym jednak nie podejrzewała. – Sanja pokręciła głową z demonstracyjnym powątpiewaniem. Fakt, trudno było wyobrazić sobie jej oschłą i konwencjonalną matkę w tak niestosownej dla damy sytuacji.

Katranidis nieco się zacukał, czując, że towarzystwo się z niego w najlepsze nabija.

– Znaczy, że...?

– Nikt nas nie składał w laboratorium, nukleotydy po nukleotydy – zlitował się nad nim Peter. – Jak dobierali naszych rodziców, to nawet brali pod uwagę, żeby właśnie nie było problemu z normalnym zajściem w ciążę. Modyfikowali dopiero układ nerwowy embrionów. Dodatkowe geny, farmakoterapia i tak dalej.

– A jej tata – Grek wskazał oskarżycielsko na Sanję – jest generałem?

Popović zasymulowała strzelanie sobie z palca w skroń.

– Tak, wiem, już w liceum miałam z tego powodu przechłapane.

– Wojskowym?

– No a jak?

Dimitris jeszcze przez chwilę trawił wyciągnięte z Kotów plotki.

– Wszyscy macie rodziców w armii?

– Co najmniej jedno.

– Hmm, a dużo was jest? Tak mniej więcej?

Ale Czarne Koty też nie lubiły rozstawać się z informacjami, zwłaszcza tymi, które od zawsze wbijano im w głowy jako absolutne *top secret* na skalę Unii. Teraz uśmiechnęli się do Katranidisa bardzo uprzejmie, wszyscy troje, jak na zawołanie.

– Dobra, ja tylko tak... towarzysko pytałem. W końcu skoro można nawet w garażu...

Sanja, czując jego lekko kpiące spojrzenie, nagle bardzo zainteresowała się tym, że dzbanek jest pusty i trzeba poprosić o więcej wina. Oczywiście, że facet jej się podobał. Był co prawda jej wzrostu, ale to raczej ona była wysoka jak na dziewczynę. Za to pewnie mógłby ją sobie bez wysiłku przerzucić przez ramię, gdyby miał ochotę na takie ekscesy. Oliwkowa cera, czarne włosy, wymiętoszona jasna koszula z podwiniętymi rękawami. Obiektywnie interesujący, starszy od Sanji pewnie o jakieś dziesięć lat. Dla niej do tego najważniejsze było, że pachniał tak, jak ci mężczyźni, za którymi zdarzało jej się czasem oglądać na ulicy. Pominąwszy tytoń, dezodorant, który o tej porze już prawie całkiem wywietrzał, oraz wino, pachniał przede wszystkim sobą. Ładnie. Bardzo ładnie.

Koty oczywiście się zorientowały. Rueckner, od lat szczęśliwy mąż i adopcyjny ojciec, zatroszczył się o Sanję i oświadczył nagle: – Strasznie mi się chce spać.

Katranidis był jedyną osobą, która nie wiedziała, że Peter po prostu ordynarnie kłamie.

– Fajnie było, ale *sorry*, muszę się położyć – kontynuował Kot.

Rzucił Mai ponagląjące spojrzenie, a ta wlepiała w niego na chwilę kompletnie nierozumiejący wzrok. Wreszcie załapała. Popović przewróciła oczami. No, podoba jej się ten Grek, ale na Boga – co z tego?

Dimitris, trochę rozkojarzony, w ogóle nie zauważył błyskawicznej

wymiany gestów. Ucieszył się, kiedy zostali sami. Przysunął krzesło bliżej Sanji. Kotka pomyślała, że dobrze, niech im wszystkim będzie. Przynajmniej sprawdzi, czy w mniejszym gronie Katranidis nie stanie się bardziej rozmowny.

– A jeszcze wracając do szejka. – Udawała, że nie widzi, jak Grek prawie się skrzywił. – Jakiego stopnia pokrewieństwa się spodziewacie? Dla nas to ważne.

Trochę bredziła, bo niby jak miałyby to Kotom pomóc w identyfikacji, nie byli przecież maszynami. Za to otrzymała kolejny element do układanki.

– Nie wiem. Być może wnuka albo jakiegoś kuzyna. Szejk miał trzech synów. Najstarszy zginął jeszcze w latach trzydziestych. Przypadkiem, od zabłąkanej rakiety w czasie rewolucji w Libanie. Najmłodszy długo po wojnie, w wypadku samochodowym. Myśleliśmy, że trzeci, jedyny, który nadal żyje, przyjedzie po ciało, ale podobno ciężko choruje, jest w szpitalu. I w końcu nikt z całej rodziny nie przyjechał! Pochowali go ludzie z tego środowiska, w którym obracał się tutaj. Bo on mieszkał w Unii od lat, z pozoru całkowicie zasymilowany, poza blogiem wyznawał raczej liberalne poglądy, sugerował między wierszami, że nie może wrócić do Kalifatu z przyczyn politycznych.

Dimitris, chociaż już na rauszu, mówił sensownie i składnie, jednak wzrok mu się ślizgał na wysokości koszuli Sanji, lekko rozpiętej u góry. Rozszerzone źrenice ciemnych oczu, pod opadającymi powiekami.

Kotka trochę sobie Katranidisa obwąchiwała. Miło jej było od tego i coraz bardziej słodko, ale starała się, żeby nie zauważył. Normalne dziewczyny – chyba? – nie zachowywały się przecież w taki sposób.

Kiedy jednak Dimitris położył Sanji rękę na kolanie i nachylił się do pocałunku, to mimo że pachniał tak przyjemnie, bardziej winem niż papierosami, Kotka wywinęła się i wstała. Dostyc tych rozrywek.

– To do jutra! – pożegnała się różnie.

– A tak w ogóle – rzucił za nią niespodziewanie trzeźwo Katranidis – to dostałem z laboratorium potwierdzenie po badaniu DNA, żaden z tych koleś nie był krewnym szejka. Dobrze wywęszyliście.

„No co ty nie powiesz”.

Popović wróciła do bezpiecznego mieszkania na piechotę, szybkim, Kocim krokiem, ulicą wysadzaną drzewkami pomarańczowymi. Dochodziła północ, życie na osiedlu toczyło się w najlepsze, ale Sanji kleiły się już oczy. Koty potrzebowały znacznie więcej snu niż normalni ludzie, a nawet sjesta nie wynagrodziła im pobudki przed świtem. Wysychające na chodniku pomarańcze i igły pinii pachniały obłądnie.

Popović zobaczyła, że okno na piętrze jest otwarte, więc wspięła się po gałęzi sosny – i trafiła na lufy dwóch pistoletów.

– To ja! Co wy, kurwa, nosów nie macie?! – fuknęła na Majkę i Petera, włączając na parapet.

Opuściła zewnętrzną żaluzję, żeby poranne słońce nie nagrzało sypialni, i zwinęła się na podwójnym łóżku. Zasnęła natychmiast, potem jeszcze tylko ocknęła się na kilka sekund, kiedy przyszła Maja. Po Kociemu wtuliła się w Sanję, więc ta rano obudziła się spocona i przygnieciona ramieniem grzejącej jak piecyk kumpelki.

– Jezu, Lwie Serce... – jęknęła, ale Maja tylko odwróciła się na drugi bok, kładąc się w poprzek łóżka.

Rueckner spał na kanapie. Popović wyjęła mu z rąk włączonego laptopa z wygaszonym monitorem. Peter najwyraźniej próbował ignorować swój wrodzony brak predyspozycji do czytania po nocach.



Jedli późne śniadanie w barze kanapkowym po drugiej stronie ulicy, kiedy zajechał z fasonem Dimitris – niedużym, upiornie zakurzonym terenowym suzuki.

– Hej, dziewczyny, wy się nie wstydzicie z nim siedzieć? – zagaił radośnie, zapalając papierosa.

Peter podniósł wzrok, ku żalowi Greka życzliwie zainteresowany, a nie sprowokowany jego zaczepką.

– Prawdziwy mężczyzna – kontynuował Katranidis – zaczyna dzień od ouzo, kawy i papierosa, a nie od herbaty. W dodatku nie mrożonej, tylko gorącej – dodał ze zgrozą.

Rueckner odpowiedział ujmującym uśmiechem. Był kompletnie impregnowany na machismo.

Popović pomyślała, że Dimitris mógłby sobie darować dmuchanie im dymem prosto w nosy – założyć, że Kotom będzie przeszkadzał, albo chociaż spytać. Ewidentnie nie robił tego na złość, tylko z bezmyślności. Zresztą sam zapach papierosów nie stanowił problemu, przypominał raczej zakłócenia. Jakby ktoś położył na stoliku odtwarzacz, włączył muzykę i dalsza rozmowa polegałaby na przekrzykiwaniu się nad głośnikiem. Tak właśnie Popović teraz, przez ścianę drażniącej, lekko pobudzającej nikotyny, usiłowała odczytywać emocje Greka.

– Zostajecie – oświadczył w końcu Katranidis, widząc, że nikt nie daje się wciągnąć w beztroskie pogaduszki. – W nocy przerzucili kolejną osobę. Na pełnym morzu ktoś przesiadł się z przemytniczej motorówki na turystyczny jacht, który potem zawrócił na Cyklady. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby chcieli wysadzić pasażera na Santorini. Wcale nam się to nie podobało, bo tam jest przecież międzynarodowe lotnisko. Ale popłynęli dalej, na Ios. Rano zahaczyli na chwilę o małą przystań, Manganari, i zostawili jednego człowieka. Tam czekał kierowca w wynajętym samochodzie, pojechał z nim

do hotelu i dokładnie jak mówił nasz informator – przyczaili się, na coś czekają. Myślę, że mamy te dwie doby, na które jest zarezerwowany pokój.

– A jeżeli nie? – Sanja po prostu spytała, ale Grek najwyraźniej uznał to za krytykę.

– Nie ma ludzkiej mocy, żeby wydostał się z wyspy bez naszej wiedzy. Na Ios raz dziennie pływa prom i kilka prywatnych jachtów na krzyż. Dziewczyno, mamy w tamtym rejonie fregatę raketową i bazę myśliwców na Santorini. Myślę, że starczy na jednego cholernego Araba bez wizy.

„A potem będziemy musieli obwąchać topielca z torpedą w tyłku”. Popović tym razem już nic nie powiedziała na głos, tylko grzecznie dała się zapakować razem z Majką na tylne siedzenie odkrytej terenówki.



Port w Pireusie został za nimi. Gigantyczne ciężarówki pełne arbuźów, promy kilkakrotnie większe niż bloki na nabrzeżu, zgiełk ładujących się do nich ludzi i samochodów, las białych masztów mariny i – przykuwające uwagę w tym chaosie – nieruchome okręty wojenne w oddali.

Katranidis kłął na wiatr, bo przy dużej fali ich wodolot nie mógł unieść się w powietrze i płynęli wolniej, jak zwykłą łodzią motorową. Majka Szymczyk, przyklejona do szyby, wpatrywała się w wyspę na horyzoncie.

– Gdyby dwa i pół tysiąca lat temu bitwa pod Salaminą przebiegła inaczej, pewnie nie byłoby współczesnej demokratycznej Europy – uznała za stosowne poinformować resztę. Oczy jej błyszcząły.

Popović uśmiechnęła się w duchu. Lwie Serce zapewne wyobrażała sobie właśnie, że jest Temistoklesem płynącym na czele helleńskiej floty –

jakkolwiek miało się to do historycznych realiów. Sanja za plecami koleżanki mrugnęła do Petera i powiedziała, po angielsku, ze względu na obecność Katranidisa: – Steven, żeby wkurzyć Maję, tak wywróciłby teraz perskiego kota ogonem, że wyszłoby, iż to jego przodkowie usiłowali zaprowadzić ład i praworządność w warcholskiej, anarchistycznej Grecji.

Lwie Serce prychnęła, a Dimitris najwyraźniej nie lubił choćby przez moment nie wiedzieć, o czym mowa: – Steven?

– Nasz kumpel. Kot. – Sanja naprawdę nie miała siły tłumaczyć, to było cholernie skomplikowane. Ograniczyła się do wiadomości najważniejszej w tym kontekście. – Jego pradiadkowie emigrowali z Iranu, jeszcze w dwudziestym wieku.

– A, no widzisz, z Iranu, w dodatku dawno temu. To inna sytuacja – ożywił się nagle Grek. Popović w pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiała, o co mu chodzi, kontynuował jednak: – Ale taki szejk miał całą rodzinę w Kalifacie. Niby nie jeździł w odwiedziny, niby nie mógł wrócić, więcej – oficjalnie wcale nie chciał, skoro wyrwał się do wolnego świata. Tylko że jak przyszło co do czego... No i kto mi powie, że obsadzanie takimi ludźmi ważnych stanowisk, dawanie im dostępu do... To po prostu proszenie się o kłopoty!

Zanim Sanja zdążyła zareagować, Szymczyk oderwała się od swoich starożytnych mrzonek i warknęła zjeżona jak młody ryś: – Mnóstwo ludzi ma rodzinę w Kalifacie!

Popović zerknęła jeszcze na Petera, który chyba myślał to, co ona: że Mai tak naprawdę nadal chodzi o Stevena. Dimitris wdepnął na minę, łącząc w jednej wypowiedzi irańskiego Kota i arabskiego ekstremistę, Lwie Serce nie lubiła takich porównań. Była przede wszystkim członkiem formacji, krzyżowcem dopiero w drugiej kolejności.

– Emigrują, bo chcą swobód obywatelskich, spokoju, mają dość państwa

policyjnego i zamordyzmu – odezwał się nagle Rueckner, najwyraźniej uznając, że pora interweniować. – I ja ich doskonale rozumiem. A z religią niewiele ma to wszystko wspólnego.

Peter mówił rzeczowo i łagodnie, ale właśnie dlatego zazwyczaj nikt nie palił się do wchodzenia z nim w otwartą konfrontację. Dimitris, który już–już miał na końcu języka jakąś ostrą ripostę, cmoknął tylko niecierpliwie, odpuścił i zajął się sterowaniem.

Szymczyk demonstracyjnie założyła słuchawki oraz okulary, na rękach przypięła czujniki ruchu, a potem odpłynęła w kolejny poziom gry. Trwał ważny turniej i nie zamierzała rezygnować z podium.

Katranidisowi wreszcie udało się unieść wodolot nad fale, dziób łodzi powędrował w górę i pomknęli. Jakiś czas później Rueckner westchnął rozczarowany: – O, znowu wyspa... I tam też wyspa.

Sanja parsknęła.

– Zabrać takiego na Cyklady!

– Oj, no myślałem, że będzie pełne morze, a tutaj ciągle jakieś kamienie.

Dimitris zarechotał.

– Wyspy, wysepki, puste przystanie, ciągły ruch na wodzie. Właśnie dlatego tu jesteśmy. W końcu ja się zawodowo zajmuję przemysłem, no nie? – Mrugnął do Sanji.

Potem wyciągnął półtoralitrową butelkę z zamrożoną wodą mineralną i dolanym do lodu czerwonym winem. Majka, nie przerywając gry, wyciągnęła rękę w odpowiednim kierunku, biorąc swoją kolejkę.

– Nie zaszkodzi jej? – Katranidis wbrew pozorom wcale nie powiedział tego złośliwie. – Gierka na oczach, wysoka fala i alkohol?

Lwie Serce prychnęła pogardliwie.

– Jestem Kotką.



Przechwycony jacht stał w marinie na Naksos. Popović mogła tylko pokładać zaufanie w Dimitrisie i jego współpracownikach, że tajemniczy pasażer, pozostawiony na sąsiedniej wyspie, nie miał pojęcia, co tutaj się stało.

Wchodząc na łódź, Sanja spięła się instynktownie, oczekując pozostałości po akcji podobnej do tej, której ofiary pokazano im w szpitalnej kostnicy. Jednak cokolwiek tym razem Grecy zrobili z załogą, odbyło się to na lądzie. Wnętrze jachtu wyglądało i pachniało najzupełniej normalnie. Nikt tu nawet nie wchodził, nie zatarli śladów.

Koty węszyły długo. Dwa tropy były oczywiste – mężczyźni, którzy spędzili na łodzi wystarczająco dużo czasu, żeby spać w małych kabinach na dziobie i rufie. Zawsze najłatwiej rozpoznać człowieka po zapachu jego pościeli czy śpiwora.

W końcu Sanja zawołała:

– Mam, mam! Znalazłam go!

Ktoś z rodziny szejka spędził dość dużo czasu na pokrytej materiałową tapicerką rozkładanej ławie w mesie, przy stoliku.

– Tu też – powiedział chwilę później Peter z przeciwnej strony kabiny, ale zaraz się zawahał. – A nie, nieprawda. To ktoś inny.

– Czyli w końcu jak? – dopytywał się z góry Dimitris, siedzący w kucki nad prowadzącymi pod pokład schodkami.

– W sumie czterech, z czego dwaj to załoga, a dwaj – pasażerowie. Jeden z pasażerów jest spokrewniony z szejkiem.

– Jesteście pewni?

– Na bank – stwierdziła dobitnie Majka.

– OK. To teraz płyniemy na Ios.



Kiedy znaleźli się w Manganari, było popołudnie. Upiorne, pomarańczowe słońce świeciło jeszcze zza wysokich gór osłaniających zatokę.

Koty bezradnie przeszły się kilka razy wzdłuż pomostu. Wiatr porywał z plaży w stronę morza chmury piasku, rzucał białymi plastikowymi krzeselkami po tarasie prawie pustej tawerny.

– Katranidis – odezwała się wreszcie Sanja. – My ci tu nic nie wytropimy, w tej burzy piaskowej.

Dimitrisa to określenie bardzo rozbawiło. Szybko spowaźniał.

– Przecież macie już ślad. Ten konkretny, z jachtu. Facet był tutaj. – Grek machnął ręką w stronę urywającej się przy plaży szosy. – Na pewno nic nie czujecie?

– Moment, moment... – wciął się nagle w rozmowę Rueckner. – Ale w czym w zasadzie jest problem? Widzieliście go z satelity, tak? Teraz siedzi w hotelu i nie może się z niego ruszyć bez waszej wiedzy.

– Nooo – Katranidis jakby na chwilę stracił rezon, teraz już wszystkie Koty patrzyły na niego. – Z satelity też – nagle zdecydował się wyjaśnić. – Poza tym był tu z nim mój informator. Wymienili się na jachcie, mój człowiek wsiadł, tamten wysiadł.

Petera nagle olśniło:

– Zamienili się ciuchami! Dlatego w pierwszej chwili pomyliłem drugiego pasażera z krewnym szejka! A to był twój człowiek?

Sanja miała wrażenie, że Dimitrisowi zaświeciły się oczy – spodobało mu się, że Rueckner znalazł coś nieoczywistego.

– Tak – potwierdził Katranidis. – Przyjechali we dwóch, informator i ktoś od niego ważniejszy, poprzedniego dnia do głównego portu. – Wskazał za góry. – Wynajęli pokoje w hotelu, ale tak, żeby mój człowiek nie rzucał się nikomu za bardzo w oczy. Wczesnym rankiem przyjechali tutaj, niby robić po drodze zdjęcia wschodu słońca. Wrócili w innym składzie.

– A informator? – zainteresowała się Sanja.

– Chwilowo mamy go na oku. Przemycnicy z jachtu siedzą w areszcie i jego też wolimy potrzymać w zamknięciu.

– Czyli w hotelu jest teraz kuzyn szejka i „ktoś ważniejszy”?

– Tak. Ale że to kuzyn, to tylko od was wiemy. Jesteście pewni?

– Na bank – powtórzyły jednocześnie Maja i Sanja.

Jednak Popović dodała:

– Czyli tak naprawdę to co my w zasadzie tutaj – zakreśliła gestem krąg wokół Manganari – mieliśmy zrobić?

– Sprawdzić, czy jesteście w stanie cokolwiek wyczuć na świeżym powietrzu po upływie kilkunastu godzin – przyznał Dimitris z rozbijającą szczerością, która świadczyła o jego inteligencji; najwyraźniej wyjaśniono mu, że kłamanie Kotom jest bezcelowe.

– O ja piernicę... – Szymczyk wywróciła oczami.

– Nie wkurzajcie się – Grek zaczął się gwałtownie tłumaczyć. – To nie był mój pomysł, dostałem polecenie i tyle.

– I po to przyjeżdżaliśmy?

– No dobra, a po co jest was tu aż troje? – Katranidis bezczelnie odbił piłeczkę.

– Bo chcemy was poznać. – Sanja uśmiechnęła się niewinnie.

Lwie Serce, mając w głębokim poważaniu współpracę wywiadów, wbiła

ręce w kieszenie i zaczęła brodzić po kostki w cudownie niebieskiej, ciepłej wodzie. Peter został na pomoście, ale nic już nie mówił.

– Obejrzeliśmy na własne oczy kolejny kawałek Europy, rozmawiamy z tobą, z twoimi kolegami – Popović dalej dzielnie pełniła funkcję rzecznika. – Uczymy się, jak tu wszystko działa. Chyba w naszej pracy nie chodzi o to, żeby siedzieć kołkiem w domu, no nie?

– Ja nic do was nie mam – zastrzegł się Dimitris. – Zresztą wydaje mi się, że to ktoś z Polski chce dostać raport.

– Wydawało mi się, że takie numery przestali nam robić już dobrych kilka lat temu – skrzywiła się Sanja. – Teraz wysyłają nas już do konkretnej, praktycznej roboty.

– To poważna operacja. – Katranidis ewidentnie nie chciał, żeby choćby przez moment myśleli, że jest inaczej. – A że przy okazji zbierają o was dane... No wiecie, pewnie już zawsze będą zbierać. Wrzucą do jakiejś potężnej SI, ona sobie to pomieści, pomieści i jak jej wyjdzie kiepski wynik, dostaniecie po kulce.

Greki zarechotał.

„Kulka w łeb może niekoniecznie, ale w psychiatryku to już raz prawie nas zamknęli”. Sanja była ciekawa, jaką minę zrobiłby na to Dimitris.

Jednak chciała po prostu zamknąć temat.

– Chodźmy już stąd. Bo inaczej my z Mają zaraz pójdziemy pływać i choćbyś się wściekł, nie uda ci się nas odłowić.

– Kotki nie boją się wody? – Bardzo było Katranidisowi do twarzy z tym łobuzerskim mrugnięciem.

– Nie mamy futerka. Aż tyle – palnęła Popović, zanim zdążyła dokładniej przemyśleć swoje słowa.

Wobec wesołości Greka, zarumienionej jak nastolatka Kotce pozostało już tylko błyskawiczne czmychnięcie do wodolotu.



Ios była mała i pusta. Opływali ją od wschodu, mijając strome rude zbocza. Trasa biegnąca lądem z Manganari do głównego miasta i potem w dół do portu musiała być karkołomna.

Po wojnie turystyka w tym rejonie odżyła, ale mimo upływu blisko czterech dekad to nadal nie było to, co kiedyś. Wysepki zamiast porastać kolejnymi hotelami, raczej zdziczały jeszcze bardziej. Przy tym, o ile Hiszpanie, przerażeni wizją powtórki z arabskiej obecności na półwyspie, radykalnie zamknęli szlaki przemysłowe z Afryki Północnej, o tyle na Morzu Egejskim między stęsknionymi do słońca wczasowiczami przewijali się też ludzie skupieni na swoich drobnych, lub całkiem sporych, nielegalnych interesach. Działo się to za częściowym przyzwoleniem odpowiednich służb, tkających swoją sieć wpływów, wędrujących w labiryncie wysepek po nitce do celu, aż na Bliski Wschód.

Wodolot zatoczył szeroki łuk i wpłynęli do nieco większej zatoki. Zachodzące słońce oświetlało skalistą górę nad portem, oblepioną białymi sześciennymi domkami o granatowych okiennicach.

Dimitris pokazał młodemu hotelowy bungalow, tuż nad plażą, w odległości spaceru zakurzoną szosą od przystani.

– Facet siedzi w pokoju, cały czas – dodał. – Chyba ze dwa razy wyszedł na balkon.

Znaleźli sobie dobry punkt widokowy, w tawernie na świeżym powietrzu.

– Promem ktoś ma przy płynąć. To jest kluczowy moment, chcą zgarnąć ich dopiero wszystkich razem.

Noc zapadała stopniowo. W bungalowie zamknięto okiennice i zapalono światło. W końcu do portu zawinął wielki prom, groteskowy w małej zatoce,

jak zabawka z zestawu o zupełnie innej skali niż wyspa. Fala, jaką wywołał, aż chlupnęła o plażę, w ciemności za niskim murkiem.

Na betonowe nabrzeże wyjechał jeden samochód i wyszła grupka podróżnych. Żaden z nich nie ruszył w stronę obserwowanego hotelu, a kilka minut później prom odpłynął.

– Coś się sypnęło...

Dimitris nawet nie maskował napięcia. Zdenerwowany, bawił się breloczkiem z kluczykami do suzuki i nagle podzielił się z Kotami czymś, co powinien powiedzieć na wstępie.

– Ten blog, to oni znaleźli przypadkiem. Jeden zespół trafił do szejka po linii kontaktów z podejrzanymi ludźmi, drugi – zupełnie niezależnie – znalazł go jako autora bloga. Kiedy okazało się, że można dziadka pod tym pretekstem choćby na chwilę aresztować, sprawę przejął w całości kontrwywiad. Bo przede wszystkim chodzi o to, że szejk był niby taki leciwy, ale on normalnie pracował nadal na kontrakcie! Tylko, że jakimś krótkim. Jako ekspert dla przedsiębiorstwa, które na zasadzie outsourcingu współpracowało z producentem sztucznych inteligencji używanych w przemyśle.

– Jakim przemyśle? – pytanie Sanji zabrzmiało raczej wisielczo.

– Producent głównie chwali się zleceniami dla farm wiatrowych na Bałtyku, wiecie, te wielkie wiatraki generujące prąd.

Zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, na telefon Katranidisa przyszła wiadomość. Grek wstał od stolika.

– Zmiana planów. Muszę was tu na jakiś czas zostawić, trzymajcie się w nocy z dala od hotelu.

Popović i Rueckner odprowadzili wzrokiem Dimitrisa, który szedł szybko w kierunku wodolotu.

– Powiedział „w nocy”. Ale chyba wolałby, żeby aresztowali tego gościa

natychmiast.

– Ja też bym wolała.



Większość przyjezdnych zatrzymywała się na Horze, w miasteczku wysoko nad portem, więc tawerna, w której siedziały Koty, wyglądała na taką dla miejscowych – krzesła nie od kompletu, papierowy obrus. Paragon dostali w kieliszku, żeby nie porwał go wiatr, choć w porównaniu z Manganari tutaj panowała ciepła, spokojna cisza.

Kelner z zatkniętym za ucho kwiatem oleandra miał gości w nosie, przekonany, poniekąd słusznie, że nikomu tu nigdzie się nie śpieszy. Rozmawiał z zasuszonym, spalonym słońcem mężczyzną, który – jak zorientowały się Koty z drobnych, w zasadzie nieuchwytnych przesłanek – miał chyba niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Dla nieuważnego obserwatora wyglądał i na dziesięć więcej.

Greki przeniósł wzrok na trójkę młodych ludzi akurat w momencie, kiedy Sanja wyjadała coś Peterowi z talerza, a Szymczyk, oparta o ramię kumpla, piła piwo z jego szklanki. Dziadek zarechotał i zawołał po angielsku, z tutejszym akcentem: – O, a tym wesoło! Jeden chłopak, dwie dziewczynki, zupełnie jak w Kalifacie.

– Przecież to moje siostry! – oświadczył Rueckner z głębokim przekonaniem, mimo że jedyne geny, jakie mieli wspólne, pochodziły od kota.

– W Arabii siedziałybyśmy w czarnych abajach i tylko by nam oczy nad nikabów błyskały. – Lwie Serce pokazała gestami, jak ponuro i groźnie

wyglądałyby wtedy.

Mężczyzna śmiał się do jasnowłosej Kotki, niewinnie, jak do dziecka.

– Oj, nie lubisz ty Kalifatu, co, dziewczynko? Dzisiaj młodzi raczej się polityką nie interesują, tylko, my, stare dziady, rozprawiamy o dawnych bojach.

– Pan walczył? – Sanja podsunęła mu krzesło.

– Toż my tu wszyscy weterani! Jeden własnymi rękami bronił Krety przed arabskim desantem, drugi Cypr Turkom odbijał, a jakby się lepiej rozejrzeć, toby się pewnie znalazło i takich spod Maratonu. – Grekowi najwyraźniej dopisywał świetny humor. – Nie, tak serio, to nie walczyłem. Służyłem na morzu, na unijnym okręcie, wiele się nie nawojowałem.

Nastrój zepsuł mu się nagle, Koty zamarły. Peter szepnął coś do kelnera i ten po chwili postawił przed starym marynarzem kieliszek ouzo.

– Ratowaliśmy cywilów z Palestyny, Żydów, Arabów. No... Wtedy.

Popović wzdrygnęła się. Pod sam koniec wojny, będącej w dużym stopniu serią wewnętrznych rewolucji, wspieranych tylko z Rijadu, w najbardziej zapalnym punkcie regionu zakotłowało się ostatecznie. Unia pośredniczyła w rozmowach pokojowych, ludzie usiłowali uciekać na własną rękę. Gołym okiem było widać, że za chwilę Kalifat zaleje swoją potęgą wszystko, aż do morza, choćby na mocy porozumień oddana miała być tylko – i aż – Jerozolima.

Tyle że izraelski generał, który miał w tym przekazaniu wziąć udział – on uważał się za patriotę. W tamtych czasach naprawdę nie było trudno o fanatycznego generała ani też o dostęp do broni atomowej. Święte Miasto przestało istnieć. Nuklearna Masada.

Na wybrzeżu wybuchła ostateczna panika.

– Ewakuowaliśmy tylu ludzi, ilu tylko się dało. Znaleźliśmy się w strefie skażonych deszczy. Ja jestem zdrowy jak ryba, ale mój syn urodził się z

ciężką wadą. Mówią, że to nie od tego. – Stary wzruszył ramionami. – Wyście tam, na północy Unii, już od iluś pokoleń prawdziwej wojny na oczy nie widzieli.

– No, bez przesady – zachnęła się nagle Sanja. – A chociażby zamach w tunelu pod kanałem La Manche?

– Ale to chyba przed waszym urodzeniem?

Skinęła głową. Niewątpliwie przed, w związku przyczynowo–skutkowym. Kiedy w czterdziestym szóstym w tunelu pod kanałem terroryści rozpylili fosgen, klimat polityczny osiągnął ten punkt, w którym zostało zmienione prawo. A w związku z tym mógł ruszyć projekt, od strony naukowej gotowy już od dłuższego czasu. Dwa i pół roku później urodził się Steven Griffin, pierwszy Kot, a kilka tygodni po nim – Sanja. Potem cała reszta, partiami po pięcioro.

Gdyby nie zamach, byłaby zupełnie innym... kimś. Normalnym człowiekiem. Pewnie i tak wstąpiłaby do armii, starsza z córek swojego ojca, traktowana zawsze raczej jak chłopak. Może latałaby myśliwcem, jak stary Popović, może służyła w wywiadzie jak Katranidis, no i w sumie jak ona sama teraz. Ale wszystko byłoby inaczej.

Greki, widząc wyraz twarzy Kotki, uciął temat: – Jesteście młodzi, dość gadania o takich rzeczach! Powinniście iść na Hore, pić całą noc, tańczyć, spać na szosie!



Z zaleceń weterana skorzystali tylko o tyle, że rozłożyli się na ciepłym piasku plaży, z zamiarem złapania kilku godzin cennego dla nich snu. Za

ulicą i żywopłotem z hibiskusów kelner gasił światła na tarasie tawerny.

Rueckner już przysypiał. Lwie Serce zwinęła się przy nim, przeżegnała się i z półprzymkniętymi powiekami modliła się, przesuwając palcem po różańcowym pierścionku.

Sanja siedziała jeszcze chwilę, patrząc na czarną wodę zatoki. Twarz muskał jej upalny wiatr, pachnący solą, wiejący od Kalifatu. Popović pomyślała nagle o Stevenie. Na pewno nie można było o nim powiedzieć, żeby był praktykującym muzułmaninem, zwłaszcza, że byłoby to po prostu niewykonalne przy trybie życia Kota. Jadł, co mu dawano, w wolnym czasie chodził z wszystkimi na imprezy i pił na nich, choć nigdy nie upijał się tak naprawdę. Oczywiście nie modlił się pięć ani nawet trzy razy dziennie, ale Sanja widziała go kilka razy przy modlitwie. Znała słowa, uczona arabskiego od dziecka.

Pomyślała, że to właśnie byłby jeden z takich momentów, kiedy Steven, jak Maja, mógłby chcieć porozmawiać z Bogiem. Stąd Mekka wydawała się być dużo bliższa.

„Boże, chwała Tobie, Ty jesteś Światłem niebios i ziemi”, przypominały się Sanji śpiewne słowa.

„Święć się imię Twoje”, bezgłośnie szeptała Lwie Serce.

„Ty jesteś prawdą. Obietnica Twa jest prawdą. Słowo Twoje jest prawdą”.

„Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”.

„Spotkanie z Tobą jest prawdą. Ogrody Raju są prawdą i Ogień jest prawdą”.

Sanja położyła się z drugiej strony, obok Petera. Powieki już jej się zamykały, ale wciąż patrzyła na płonącą nad nimi, tak jasną tutaj Mleczną Drogę.

„Tobie wszelka chwała za to, co stworzyłeś i czym nas obdarzyłeś”.

Morze bełkotało w ciemności drobnymi falami.



Obudziła się w zgrozie. Czuła ten zapach, koszmarną woń zgniłych jabłek i świeżo skoszonej trawy. Tę, którą tak dawno nauczyła się rozpoznawać, wdrukowaną jako śmiertelne zagrożenie. Zapach fosgeny.

Dopiero po chwili zrozumiała, że tylko jej się śnił. Mruknęła uspokajająco do Kotów, które oczywiście zdążyła zbudzić swoim strachem. Zdjęła tenisówki i weszła do wody, w koszuli z krótkimi rękawami i rybaczkach, tak głęboko, żeby stracić pod stopami kamienisty grunt. Zrobiła w chłodnej wodzie przewrót, głową w przód, chwyciła się za kolana i bujała się tak przez chwilę, aż zabrakło jej powietrza. Wyprysnęła na powierzchnię, cicha i ostrożna.

Wyszła na plażę, między poszarpane, zniszczone przez wiatr parasole z liści. Całe jej ubranie było uszyte z tkaniny, której włókna zmieniały swoją mikrostrukturę: w wodzie stawały się hydrofobowe, a na powietrzu oddychały jak bawełna. Teraz Sanja otrząsnęła się, bardziej przypominając w tym ruchu psa niż Kotkę.

Położyła się brzuchem na piasku i czekała, wpatrzona w ciemne okna bungalowu. Spędziła tak półtorej godziny. Cykady darły się jak opętane, gdzieś od Hory wiatr niósł pogłos muzyki.

Zegarek Petera pisnął krótko, ostrzegawczo, pojedynczym sygnałem. Patrzyli już wszyscy troje, jak od strony przeciwnej niż port i miasto, zza wzgórza, na którego zboczach stał hotel, wypływają dwie czarne wojskowe amfibie. Płaskie, kosmiczne, opancerzone i ciche.

Po chwili na dachu i tarasie bungalowu zamajaczyły sylwetki w hełmach, z bronią długą. Koty przechodziły różne szkolenia, ale nikt ich do zajmowania budynków nie używał. Byłoby to jak wbijanie gwoździ laptopem – niby można, ale kosztowne to i niezbyt skuteczne.

Nawet jeden strzał nie przerwał ciszy nad zatoką, tylko Koty słyszały krzyki. A potem amfibie odjechały. Zanurzyły się w ciemnym morzu za wzgórzem, tak niepostrzeżenie, jak się z niego wyłoniły.

Dimitris wrócił dopiero, kiedy zaczynało świtać.



– Rozmawialiście z nim bez nas. – Popović szła sprężyćcie długim korytarzem ateńskiej jednostki. Katranidis, ku swojemu zaskoczeniu, miał problem z dotrzymaniem jej kroku. Ale Sanja nie była w nastroju na rozważanie, czy go w ten sposób nie urazi. – Rozmawialiście z nim bez nas.

– Słyszałem. Już to przed chwilą mówiłaś. Poza tym dwa razy na morzu i raz w samochodzie.

„Może po to, żebyś odpowiedział?”.

Kotka naprawdę nie wiedziała, jak mogłaby jaśniej dać do zrozumienia, co myśli o takim postępowaniu.

Zatrzymała się gwałtownie pod zablokowanymi drzwiami, a za nią pozostałe Koty i Dimitris.

– Znaleźliśmy przy nim bardzo ładnie zrobiony fałszywy paszport Kalifatu z unijnymi drukami wjazdowymi – zaczął Grek. – Oczywiście na inne nazwisko, ale to jest Salim al-Kamali, wnuk starszego brata naszego szejka. W sieci było kiedyś jego zdjęcie z czasów, gdy miał trzynaście,

piętnaście lat, kiepskie, bo z daleka i w większej grupie.

– Ile lat ma teraz?

– Trzydzieści jeden. Ale system daje dziewięćdziesiąt cztery procent zgodności kluczowych cech w obrębie głowy. Oczywiście, kiedy pacjent raczył się ogolić.

Sanji wcale się nie spodobały sugestie, które zdawały się płynąć z szerokiego uśmiechu Katranidisa.

– Na co czekamy? – spytała, widząc, że Grek nie sięga do czytnika linii papilarnych.

– Na tłumacza.

– Nie, no daj spokój! – prychnęła i musiała być tym razem bardzo przekonująca, bo Dimitris, mimo zaskoczenia, wpuścił ich do środka.

Salim al-Kamali siedział przykuty do metalowego krzesła, którego nogi na stałe zamocowano w betonowej podłodze. Słyszając szcęknięcie drzwi, gwałtownie poderwał głowę. Był drobny, niewysportowany i cholernie się bał. Cuchnął bólem, mimo że na jego ciele nie widać było żadnych śladów walki. Sanja nawet nie mrugnęła, ale poziom jej wkurzenia tylko wzrósł. Kumple Katranidisa na pewno umieliby wyjąć z pokoju hotelowego tego nawykłego do siedzenia za biurkiem facecika bez kopania go przy okazji po nerkach.

Cały efekt pierwszego wrażenia przy przesłuchaniu już dawno diabli wzięli.

Na widok Kotek Salim drgnął, a oczy rozszerzyły mu się w czymś, co w zasadzie najłatwiej było nazwać dezorientacją. Zdziwienie to za dużo, złość, lęk, niesmak – za dużo. Po prostu chwila rozkojarzenia. Wystarczyło, żeby Lwie Serce już spięła się cała jak do skoku. Popović rzuciła jej błyskawiczne spojrzenie i Szymczyk zastygła bez ruchu przy zamykających się już drzwiach – jeszcze tylko wkurwu Mai tu brakuje.

– Z kim miałeś się spotkać na Ios? – spytała Sanja po arabsku, podchodząc o pół kroku.

Al-Kamali odruchowo się uchylił – zamarł w pół gestu, kto inny może by nie zauważył, ale Kotka zorientowała się od razu. Jeżeli jakaś kobieta wchodzi tu i zadaje pytania, to mimo cywilnego ubrania znaczy, że służy w armii. A przecież powszechnie wiadomo, że europejskie żołnierki są jeszcze bardziej okrutne od swoich kolegów. W końcu to, że w ogóle zajmują się takimi rzeczami, jest nienaturalne i coś musi być mocno nie tak z ich psychiką.

„Jasne, zaraz cię skatuję, strzelę sobie fotkę z twoimi zwłokami i wrzucę na portal społecznościowy”.

– Człowieku, mówię do ciebie. Z kim miałeś się spotkać na Ios?

Salim uciekał wzrokiem, jednak udało jej się uchwycić spojrzenie mężczyzny, wzmocnić pytanie Kocią sugestią, przewagą. Lekko, nie chciała go łamać.

– Nie wiem.

– Po co tu przyjechałeś?

– Nie wiem.

Sanja słuchała go uważnie: nie treści, tylko brzmienia słów, intonacji. Płatki jej nosa poruszały się, węszyła. I czuła, że jest w martwym punkcie.

– Po co tu przyjechałeś? – spytał nagle zza ramienia Kotki Peter. Podszedł teraz bardzo blisko. Nawet gdyby al-Kamali stał wyprostowany, Rueckner przewyższałby go o głowę. – Po co...

– Nie wiem! – Kocia dominacja sprawiła, że facet przechybnął się o ten milimetr za daleko w stronę hysterii i na ich oczach rozsypał się kompletnie. – Nie wiem! – wrzasnął raz jeszcze. – Zabiliście mojego wuja, to teraz po prostu zabijcie mnie! Kazali mi tu przyjechać, ale ja nic nie wiem!

– Kto kazał? – podchwyciła Sanja, starając się brzmieć możliwie łagodnie

i kucając z twarzą na wysokości głowy Salima, w akceptowalnej dla niego odległości. Peter cofnął się do Mai i nierozumiejącego ani słowa Dimitrisa.

– Rodzina.

– Po co?

– Nie mam pojęcia!

Facet trząśł się cały, a po policzkach zaczynały mu płynąć łzy. Popović wstała gwałtownie i wyszła, prawie wpadając na korytarzu na zdyszanego tłumacza.



– Co to niby miało być? – warknął Katranidis.

Koty stały wokół niego na korytarzu, Maja nadal zła, Rueckner speszony.

– Sanja, przepraszam, ja... – powiedział Peter, ignorując Greka.

– Nie szkodzi. – Popović przetarła dłońmi twarz. – On naprawdę...

– Ale o co, do cholery, chodzi?! – ryknął Dimitris.

– Facet powiedział, że nic nie wie – zlitowała się nad nim Szymczyk.

Tyle nawet jej udało się wyłapać z rozmowy, mimo że zazwyczaj miała kłopoty z potocznym czy slangowym arabskim, zwłaszcza jeżeli ktoś mówił niewyraźnie i szybko – próba wyszkolenia Mai na subtelne narzędzie wywiadu zasadniczo skończyła się tak, że Lwie Serce świetnie umiała dawać w mordę i wysadzać duże budowle.

Katranidis wybuchnął śmiechem, odreagowując napięcie.

– I uwierzyliście mu na słowo? Jesteście rozkoszni!

– Przepytałyście go pod urzędzeniem do obrazowania pracy mózgu? Nie?

– Popović sama sobie odpowiedziała, czytając z twarzy Dimitrisa, a jego

tylko bardziej to zirytowało. – To przepytajcie. On nie kłamie, naprawdę nic nie wie.

– Nie ma pojęcia, po co go tu przywieźli, i do tego jest z dalekiej rodziny – powiedział cicho Rueckner. – Nie pasuje mi to...

– Matka Salima też jest kuzynką szejka, jakby przyjrzeć się uważniej... – Grek był zaskakująco obeznany w temacie, podetknął Kotom monitor z zagmatwanym drzewem genealogicznym klanu. – Oni mają całkiem sporo wspólnych genów. I owszem, zrobimy mu przesłuchanie pod skanerem mózgu, ale poza tym, jak się go odpowiednio przyciśnie...

– To wam ze strachu nabredzi takich bzdur, że do przyszłego roku tej sprawy nie rozwiążecie! – Tym razem udało się już Dimitrisowi rozzłościć nawet Petera.



Upał ciężył, mimo zasuniętych antywłamaniowych żaluzji przeciekał do bezpiecznego mieszkania jak lepka maź. Jednak z dwojga złego Koty wolały gorąco niż śmierdzącą dla nich klimatyzację. Zarwana noc jak zwykle rozregulowała im układ nerwowy i teraz usiłowali przebić się przez swoje rozkojarzenie.

– Potrzebują kogoś do odblokowania zabezpieczenia opartego na zgodności DNA. – Sanja próbowała podsumować swoje podejrzenia. – Tak odległe pokrewieństwo wystarczy?

– Myślę, że tak. – Rueckner skinął głową. – Są teraz w produkcji przenośne urządzenia, które w ciągu dwóch, trzech godzin są w stanie zanalizować próbkę, najczęściej krwi. Im dalsze pokrewieństwo, tym takie

zabezpieczenie jest po prostu mniej dokładne. Przecież i tak widać, że nie jest ustawione na konkretną osobę, tylko na zgodność części genów. Oni pewnie wiedzą, na kogo z rodziny.

– Widziałeś kiedyś taką maszynę do analizy?

Peter interesował się medycyną znacznie bardziej, niż wynikało to z jego bezpośrednich obowiązków. – Nie. Tak na chłopski rozum: musiałyby mieć w środku termoblok do PCR, razem z całym układem grzejąco–chłodzącym... – nieco się rozpędził. – Oj, no, takie spore, zaskakująco ciężkie pudło. Ale da się przenieść w rękach.

– A pobieranie próbki?

– Małe ostrze, które wbijałoby się w opuszkę i wysysało krew. Najmniejszy problem w tym wszystkim.

– No i łączność *via* satelita, skoro ma być przenośne.

Sanja przeszła do aneksu kuchennego i sięgnęła do szafki po szklanę. Zamarła na mgnienie oka, czując, że szkło jest cieplejsze niż jej ręka. Logiczne, upał dochodził do czterdziestu stopni. Nalała sobie zimnej wody.

Telefon Popović brzdęknął dźwiękiem przychodzącej wiadomości. Przeczytała i parsknęła, wywracając oczami.

– To Dimitris. Chce się spotkać... – zawahała się. – Ale sądząc po tym, jak pisze, to chyba chodzi po prostu o podryw.

– Daj się poderwać. – Rueckner pstryknął palcami. – Porozmawiaj z nim, dowiedz się czegoś więcej.



Mknęli z Katranidisem zatłoczonymi ulicami centrum. Od ciemnego nieba

odcinały się podświetlone ciepłym blaskiem kolumny Akropolu, wysoko na skalnej półce wyrastającej pośród współczesnego miasta. Sanja wreszcie oderwała od nich wzrok.

– A ty nie powinienes być przypadkiem bardzo zajęty?

– Niech się inni męczą. Ja znam ludzi, którzy zajmują się przemytem: mieli kogoś przetrzucić – przetrzucili, a ja go złapałem. Teraz się z tym mądrzejsi bawią, ja mam wolne.

Zaparkowali suzuki w wąskiej, zaśmieconej uliczce i poszli na kolację do jednej z mnóstwa knajp. W prześwitach przecznic czasem migał Sanji bajkowy Akropol, a czasem spiczasta, trójkątna góra Likavitos, którą zapamiętała już wcześniej jako punkt orientacyjny.

Dimitris spytany wprost o urządzenie do analizy DNA nie próbował już udawać głupiego.

– Jasne, że ukradli. Przecież nie chodzi im o więzy krwi w sensie mistycznym. Kiedy po śmierci szejka zaczęła się cała afera, wyszło, że w tej jego mniejszej firmie zginęła taka właśnie maszynka. W Europie robi je głównie Nokia, zaczęli szukać zdalnie po numerze seryjnym i okazało się, że sprzęt zniknął, zapadł się pod ziemię i to już jakiś dobry czas temu.

– Wywieźli go z Unii?! – Sanję zmroziło.

– Nie da rady. To znaczy oczywiście można, nie eksploduje przecież, ale nie będzie spełniać swojego głównego zadania – kiedy zostanie zlokalizowane geograficznie poza granicami, nie będzie mogło połączyć się z siecią. Taka blokada, na wszelki wypadek. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, nie musimy eksportować akurat takich rzeczy.

– No, a skoro ściągnęli krewniaka tutaj, to znaczy, że urządzenie jest po prostu odłączone od netu, ujawni się w chwili użycia. Odzyskaliście je?

– Dziewczyno, mówiłem ci już: to nie moja działka. Tym zajmuje się ktoś inny. Nie wiem, jak im idzie, w zasadzie nawet nie powinienem wiedzieć.

Dimitris pociągnął ze szklanki.

– W akcji lepiej mieć Koty niż laboratorium na kółkach – rzucił w końcu.
– Wszystko, co nam mówiliście, zostało potem potwierdzone, ale wy byliście nieporównanie szybsi. Napisałem to w raporcie.

Sanja uśmiechnęła się uprzejmie, jednak sztucznie i sztywno, a spojrzenie miała mętne. Moment później zaklęła po polsku i zasłoniła sobie twarz dłońmi.

– Rany, co się dzieje? – zaniepokoił się Grek.

– Przyszła do mnie pieprzona gwiazda betlejemska... W środku sierpnia.
„Jak błysk nuklearny nad Betlejem”.

– Że co?!

– Mam zwidy. Pieprzone zwiastuny pieprzonej migreny – jęknęła Kotka.

Mimo zamkniętych oczu widziała jaskrawobiały płomień pod prawą powieką. Krótco, tylko przez chwilę, lecz już nie mogła się oszukiwać, że nie zauważyła innych nieprzyjemnych, mniej efektownych sygnałów zapowiadających.

– No trudno, Dimitris, nie popiję dziś z tobą. – Odsunęła dzbanek z winem, nalała sobie wody i łyknęła lekarstwo wyjęte z wewnętrznej kieszeni plecaka. – Po tym paskudztwie i tak będę miała jazdę lepszą niż po wódce, więc zdecydowanie nie powinnam mieszać.

Grek słuchał tych wyjaśnień dość przestraszony.

– Jak powiedziałaś? Zwidy? Halucynacje? Od bólu głowy?

– Przed. Jak dobrze pójdzie, to mnie teraz nawet nie rozboli, skoro właśnie się naćpałam.

– A ty... – zająknął się. – Robiłaś sobie może badania, no wiesz, żeby sprawdzić...

– Dimitris, ja jestem Kotką – mam rezonans mózgu co pół roku. Przecież oni nie mają zielonego pojęcia, co tak naprawdę wyhodowali! No, nie patrz

tak na mnie, nie umieram. Na razie nic mi złego w głowie nie wyrosło, ale cholera wie, może wyrośnie. Nikt nie wie tak naprawdę, czy my nie mamy jakiejś daty ważności, jestem z najstarszej partii.

– Partii czego?

– Kotów.

– Aha...

Sanja pomyślała, że Katranidis, nawet po tych rewelacjach, nie patrzy na nią jak na kuriozum, które uciekło z laboratorium, tylko z odrobiną podziwu. Ona tak gapiła się na członków ekspedycji marsjańskiej, minąwszy się z nimi na korytarzu siedziby pewnej głowy państwa.

To było miłe. Zwłaszcza, że cały ten szacunek nie przeszkodził Dimitrisowi już dziesięć minut i dwie szklanki wina później zacząć się do Kotki obcesowo i radośnie dobierać.



Jakkolwiek nie brzmiałoby to dziwnie, dwudziestosześcioletnia Sanja znalazła się ostatecznie w kawalerce Dimitrisa głównie dlatego, że była ciekawa.

Greki chciał jej przychylić nieba: – Jak lubisz najbardziej? – spytał, rozpinając płócienną koszulę Kotki.

– N–normalnie – spłoszyła się.

Przy jej znikomej skali porównawczej już sam fakt, że Katranidis był prawdziwy, a nie wyobrażony, czynił go szalenie atrakcyjnym. Mimo to speszyła się okropnie, kiedy zaczął ją sobie zbyt natarczywie i szczegółowo oglądać. Wstydziała się, że pewnie wszystko robi nie tak, niezgrabnie i

dziwnie – bo przecież inne kobiety nie węszą, prawda? I bardziej nad sobą panują? Ale zamknęła oczy i przestała się przejmować.

Dimitris postawił sobie za punkt honoru sprawienie dziewczynie przyjemności, trwało to wszystko trochę za długo i nie do końca mieściło się w Sanjowej definicji słowa „normalnie”. Wreszcie szepnęła mu na ucho, że nic z tego nie będzie i żeby lepiej potem podotykał ją w sposób, do którego sama zdążyła się przyzwyczać. Chciała tak bardzo, więc nawet nie zrobiło jej się głupio, że prosi. Grek nadal się starał, uważny i delikatny – i było tak strasznie fajnie.

– Podobało się? – dopytywał później, jakby już nie dość kompromitująco mu to okazała.

– Yhm – podbudowała ego Katranidisa i zawinięta w prześcieradło wycofała się do łazienki.

Z odrobiną żalu zmyła z siebie ciepłą wodą zapach – wszystkie słodkie zapachy, które zdemaskowałyby ją bezwstydnie przed Kotami. Ubierała się, trochę oszołomiona. Przygoda zrobiła na niej bardzo duże wrażenie, pod każdym względem.

Otrzeźwienie przyszło prozaicznie. Na półeczce koło umywalki Sanja zobaczyła obrączkę z ciemnego złota. W sumie mogła się tego spodziewać. Dimitris nie miał na palcu śladu w postaci braku opalenizny, bo pewnie z racji zawodu częściej obrączkę zdejmował niż nosił.

„Co mnie to obchodzi, to jego życie”. Przeczesała włosy dłońmi i związała znów w koński ogon.

Kiedy wyszła z łazienki, grecki kapitan nadal leżał wyciągnięty w łóżku na wznak, częściowo już ubrany, ale rozleniwiony. Popowić, jak od początku planowała, rzuciła: – To ja pójdę, cześć.

Sięgnęła po swój plecak i odwróciła się do drzwi wyjściowych. Katranidis roześmiał się: – Jak ja lubię zdecydowane dziewczyny, takie, co wiedzą,

czego ode mnie chcą!

Obiektywnie rzecz biorąc, nie powiedział nic złego, niejedna kobieta potraktowałaby to wręcz jako komplement – że to ona jest tu stroną, która decyduje i bierze. Ale nie Sanja. Sanja usłyszała w tym drwinę. Odwróciła się na pięcie, prychnęła: – Twoja żona też taka jest? Hmm?

I związała. Zbiegła po schodach, skacząc po kilka stopni.

„Czyli lubisz łatwe dziewczyny? Łatwą kicię, która na pewno nie wróci i nie narobi kłopotów”.

Próbowała po prostu grzecznie wyjść – nawet nie przyszło jej do głowy, że Katranidis mógłby chcieć wpakować się w jakiś bardziej skomplikowany układ z pokręconą i zakompleksioną mutantką. Wystarczyło z jego strony minimum dobrego wychowania.

„Co za buc”. Dopiero teraz zaczynało jej być naprawdę, paskudnie wstyd.

To było właśnie to, czego Rueckner nie rozumiał – jakie miał cholerne szczęście.

Ulicą przelewał się radosny, głównie turystyczny tłum. Czasem jakiś samochód torował sobie drogę klaksonem, ale ludzie, bardziej niż ustępowaniem mu, zajęci byli rozmowami i oglądaniem towarów na pchlim targu.

Lekarstwo Sanji właśnie teraz miało szczyt działania skutków ubocznych. Kotce kręciło się w głowie od kolorowych świateł, całego obłądnego kiermaszu składającego się ze starych sprzętów domowych, zabytkowych lub po prostu zepsutych, z niekompletnie poubieranych w odlotowe stroje manekinów, z amatorskich obrazów, ustawionych w rzędy szarych monitorów kineskopowych, pocztówek i całego mnóstwa innych przedmiotów, które w oczach zmęczonej Sanji zlewały się tylko w barwną masę.

Gdzieś grała muzyka, południowo jazgotliwa i skoczna. Migrenowa aura

jeszcze nie ustąpiła, więc Popović, przewrażliwionej bardziej niż zwykle, zrobiło się mdło od nadmiaru bodźców, zapachu każdego z przechodniów z osobna, urywków ich rozmów, tętniącego szumu tła.

Wycofała się w ciemniejszą, spokojniejszą uliczkę, gdzie nie było już rozłożonych wprost na chodniku prowizorycznych straganów, a tłum znacznie się przerzedził. Kotka oparła się o odrapaną ścianę kamienicy i na chwilę zamknęła oczy. Było jej niedobrze, od leku trochę ją bujało, jak w wodolocie, a z całej wściekłości miała tylko taki efekt, że nad prawym okiem zaczynał kiełkować ból. Upiorny, zogniskowany, punktowy jak przyżeganie rozgrzanym w ogniu gwoździem, neurologiczny ból.

„Spokojnie. Jeszcze pół godziny”, powiedziała sobie. „Magiczna tabletka zacznie działać i po prostu mi przejdzie”.

Kilka razy odetchnęła głęboko, rozluźniając napięte ze złości mięśnie.

Wydało jej się, że znowu ma halucynacje. To czasem się zdarzało, w ogóle Kotom zdarzały się czasem dziwne rzeczy i w sumie już zdążyli się do tego przyzwyczaić, wiedzieli, jak ich unikać. Tym razem Sanję zawiódł nie wzrok, tylko węch, ostatnio widocznie za często katowany śladem zapachowym Mufida al-Kamalego. Złapała coś jakby tę nutę, z daleka, przywianą gorącym wiatrem, prawie na granicy percepcji. Tylko że...

Odruchowo spięła się jak do skoku i otworzyła oczy. Kamienica naprzeciwko mieściła arabską herbaciarnię. Kotka z daleka widziała szyld – rozumiała tylko tę jego część, która dla większości turystów stanowiła ładny ornament, drugiego napisu, tego po grecku, już nie.

Przed lokalem zaparkował właśnie czarny, nienagannie błyszczący volkswagen typu SUV, luksusowe auto terenowe, używane pewnie głównie do jazdy po mieście i autostradach. Tylnymi drzwiami wysiadała kobieta i Kotka, zapominając o swoim fatalnym samopoczuciu, zmobilizowana zastrzykiem emocji, przemknęła teraz kilka kroków między przechodniami,

żeby znaleźć się bliżej niej.

Dużo niższa od Sanji, ubrana jak zamożna europejska muzułmanka, w luźną tunikę i spodnie, w chuście zasłaniającej włosy. Popović zupełnie nie interesowała się ciuchami, ale z jej czysto zawodowej wiedzy wynikało, że torebka pasażerki volkswagena jest bardzo droga.

Wmieszana w tłum, udająca beztroskie zwiedzanie, Popović podeszła już na tyle blisko, żeby widzieć zmarszczki na pulchnej twarzy kobiety. Była w średnim wieku, jej włosy pod hidżabem musiały już siwieć.

Z tej odległości zapach stał się dla Kotki jednoznaczny. Spokrewniona z dawcą wzorca. Jak diabli spokrewniona.

To trwało mgnienie – jeden z towarzyszących Arabce mężczyzn zamknął drzwi samochodu, drugi wysiadł zza kierownicy.

– Szejka... – Wskazał wejście do herbaciarni.

Kobieta odwróciła się, przez ułamek sekundy omiatając wzrokiem Sanję, nie poświęcając jej choćby odrobiny uwagi. Przytrzymując swoją modną, dużą torbę, a drugą ręką poprawiając chustę, ruszyła w stronę kamienicy. Była zdenerwowana, ale nie roztrzęsiona. W jej życiu działo się coś bardzo ważnego.

Popović, tknięta nagłą myślą, obejrzała się w stronę pchłego targu. U wylotu uliczki, w linii prostej, nad głowami handlarzy i kupujących, zobaczyła okno garsoniery Katranidisa. Błąd – wcale nie garsoniery i wcale nie jego. Okno należące do wywiadu bezpiecznego mieszkania, z którego kiedyś obserwowano herbaciarnię i które stało puste, bo widocznie wszystkie związane z nią sprawy były zawieszony lub zamknięte.

Owszem, w kawalerce walało się sporo rzeczy Dimitrisa, ale widocznie spędzał tam służbowo dużo czasu. Albo pokłócił się z żoną i nie miał gdzie mieszkać, więc szef przymykał oko na jego obecność tutaj. Albo cokolwiek innego – zupełnie to teraz Sanji nie interesowało.

Wycofała się za róg, nie tracąc jednak SUV-a szejki z oczu, i zadzwoniła do Greka. Minął jeden, drugi, trzeci sygnał. W oknie wciąż paliło się łagodne boczne światło.

„Noż kurwa, wyłaż spod tego prysznicza, wkładaj gacie i odbierz”.

– Taaak?! – Katranidis ryknął wreszcie w słuchawkę, mało subtelnie i po grecku. Najwyraźniej dopiero potem spojrzał na wyświetlacz, bo tylko się zakrztusił i przeszedł na angielski, niepewnym tonem: – Sanja? No cześć...?

Po wysłuchaniu raportu jęknął: – *Christe mou...* To musi być Latifa. Umm Hassan. – I rozłączył się.



Dłuższą chwilę później oddzwonił. Popović włąziła już wtedy po balkonach na dach kamienicy w uliczce sąsiadującej z herbaciarnią z drugiej strony – zapuszczonej i omijanej przez turystów. Pokryte sprejowymi napisami ściany obłaziły z tynku, niektóre okna straszyły wybitymi szybami, markizy były brudne i postrzępione. Wszystko to dawało nadzieję, że w przeznaczonym do remontu lub rozbiórki domu nikt nie przyłapie Sanji na nadgorliwym szukaniu dobrego punktu widokowego.

Nie miała wszczepów komunikacyjnych. Koty za często musiały się badać, za dużo podróżowały i za bardzo nie powinny rzucać się w oczy wszelkim skanerom. Telefon satelitarny, bezpiecznie schowany teraz w plecaku, złapał dźwięk głosu Popović po prostu dzięki płaskiej naklejce z czujnikami na jej skroni. Mnóstwo ludzi takie nosiło, produkowane w setkach wzorów i kolorów. Klienci wcale nie palili się do neurozabiegów tak bardzo, jak życzyliby sobie tego producenci sprzętu.

– Jadę po ciebie – w małej słuchawce, wczepionej mikropazurkami w przewód słuchowy Kotki, brzęknął głos Dimitrisa. – Przebijam się naokoło, od Keramikos. Znaczący, od zachodu.

– Kto to jest Latifa? – przerwała mu.

– Córka szejka. Ma pięćdziesiąt sześć lat, wyszła za męża za kuzyna swojej matki, urodziła pięcioro dzieci, najstarszy ma na imię Hassan. Wnuków nie liczyłem. Nie braliśmy jej pod uwagę.

– Ożeż...

– Na początku lat czterdziestych studiowała w Dubaju. – Popović nie była pewna, czy to zakłócenie transmisji, czy Katranidis rzeczywiście zaciął się odrobinę. – Inżynierię oprogramowania.

– Ja pierdolę!

„Matka Hassana! Nie wzięli jej pod uwagę – bo wyszła za męża. O, wy, sokoły antyfundamentalistycznego wywiadu...”.

Z wrażenia ręce ześlizgnęły się Sanji z metalowej barierki i wylądowała na uświnionym miejskim, lepkiem kurzem materiale, który zatrzeszczał ostrzegawczo pod jej ciężarem. Sapnęła nerwowo w aż do przesady czujny mikrofon.

– Sanja, co się tam dzieje?!

– Nic. Tylko komuś mało nie urwałam markizy – mruknęła, balansując zgrabnie dwa piętra nad uliczką.

– Gdzie jesteś?! Nie widzę cię.

Musieli mieć nad Atenami drona, a Dimitris pruł teraz przez zakorkowane, pełne kręcących się bezładnie pieszych uliczki, z taktycznymi soczewkami na oczach, skupiony pewnie bardziej na obrazie z latającej kamery niż realnym otoczeniu. Choć trudno, żeby Sanję widział, skoro nie miała znacznika.

– Jak będę na dachu, to ci pomacham.

– Gdzie ty się pchasz, na jaki dach?! Mam cię odwieźć na Cholargos.

– Jak tu ma być za chwilę strzelanina, to chcę przynajmniej widzieć, w którą stronę uciekać.

– Mam odwieźć Czarną Kotkę na Cholargos. Taki dostałem rozkaz.

– Yhm.

– Sanja!

– No przecież rozumiem. Jak przyjedziesz, to zejść.

„Zajmij ty się lepiej Umm Hassan, panie szpieg”.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi herbaciarni i do stojącego tam samochodu wsiadły trzy osoby. Szejka ze swoją ciężką kosztowną torbą, jej kierowca i obok, na przednie siedzenie, jej ochroniarz.

Auto, wymalowane w reklamy lokalu, przybrudzone i stare, ruszyło uliczką. Zaparkowano je tak, żeby kierowca nie musiał zawracać, więc jechało teraz – nieprzypadkowo – w stronę Sanji.

Popović przyłgnęła do stalowej kolumnienki przytrzymującej markizę, jak linoskoczek stawiając w miejscu próbne, drobne kroki na wąskiej barierce balkonu. Z wysokości trzeciego piętra rozglądała się, usiłując wypatrzyć białe suzuki Dimitrisa. Nie widziała stąd gór, a to z jednostki zapewne nadciąga właśnie odsiecz. Wytężyła słuch, ale nie słyszała jeszcze, żeby ponad zgiełk miasta przebił się jakikolwiek niepokojący dźwięk. Była na takiej adrenalinie, że kompletnie zapomniała o migrenie, która zepchnięta gdzieś poza świadomość prawie nie dezorganizowała teraz jej działania.

I kiedy samochód szejki znalazł się tuż pod balkonem – wybiła się daleko w przód i skoczyła.



Wylądowała kiepsko, boleśnie. Mało nie straciła równowagi i nie zleciała z dachu auta. Jednak nadal miała przewagę nad ochroniarzem – szybszy Koci refleks, instynkt, lepsze szkolenie. Boczna szyba rozprysnęła się, kiedy Sanja strzeliła mężczyźnie w głowę. Samochód skręcił gwałtownie i za drugim razem Kotka chybiła – kierowca dostał w ramię.

Auto zawirowało, Sanja wczepiona kurczowo w dach wisiła głową w dół, zaglądając do środka. Na tylnej kanapie siedziała Umm Hassan, blada, skamieniała. Poruszała bezgłośnie ustami, ale Popović nie była w stanie później sobie przypomnieć, czy rozpoznała choćby parę słów. Może to była modlitwa, a może imiona dzieci, wnuków, męża. Tego Sanja nie umiała odtworzyć.

Na kolanach szejki stało urządzenie, sporo większe od laptopa, wypakowane z torby i podłączone kablem do zasilania w aucie. Uszy Kotki świdrował głośny dźwięk wiatraczka chłodzącego. Na jednym z palców Umm Hassan założono plasterek, jak po skaleczeniu.

Kiedy – kluczowe pytanie. Czy próbka została pobrana dosłownie przed chwilą, w herbaciarni, gdy Popović wydzwaniała do Dimitrisa, co znaczy, że jest masa czasu, czy może urządzenie analizuje krew już od dawna, dostarczone do rąk szejki w porcie, a nawet jeszcze na morzu. Bo wtedy czasu nie ma w ogóle.

Sanja nie wiedziała, co jeszcze trzeba było zrobić, oprócz zidentyfikowania się jako członek najbliższej rodziny al-Kamalego. Pracowicie zmieniać coś godzinami, wpisać pojedynczą komendę, a może po prostu zadziała to wszystko automatycznie – kiedy krew z krwi szejka, fragmenty jego genów w nowym ciele, uruchomią, jak zza grobu, dzieło jego życia.

Kotka z akrobatyczną, nieludzką zwinnością zanurkowała do wnętrza samochodu. Siłą rozpędu wyrwała urządzenie z zasilania, otwierając drugie

drzwi – ale wypadły przez nie obie, Popović i Umm Hassan, która wczepiła się w nią z morderczą determinacją.

„Internet. Odciąć dostęp do sieci, żeby nie mogło się połączyć, kiedy już zaakceptuje próbkę”. To była jedyna myśl, na której skupiła się Popović.

Rąbnęły o asfalt, przetoczyły się po jezdni, Sanję zamroczyło na ułamek sekundy. Maszyna upadła daleko, poza jej zasięgiem. Kotka zerwała się na kolana. Mglisto dotarło do niej, że szejka nie żyje. Szarpiąca się z furją tygrysicy kobieta w momencie upadku zwiotczała Sanji w rękach. Uderzenie w głowę. Nie ma człowieka.

„Spotkanie z Tobą jest prawdą. Ogrody Raju są prawdą i Ogień jest prawdą”.

Popović dopadła urządzenia, które nadal szumiało chłodzącym wiatraczkiem, na rezerwowym zasilaniu.

„Internet”.

Zatrząsk baterii wgiął się tak, że nie dało jej się szybko wyjąć. Sanja wyszarpnęła z kieszeni na udzie nóż sprężynowy i metodycznie zmasakrowała delikatne plastikowe klapki, spod których wydłubała chipy pozwalające na dostęp do sieci. Były trzy, nie miała pojęcia, który aktywny. Dopiero potem podważyła baterię. Szczęknęło. Szum wiatraczka umilkł.

Kotka, choć skoncentrowana na tym, co ważne, wiedziała, że samochód zatrzymał się wreszcie, dość daleko od nich, wpadając na słup ze znakiem drogowym. Ranny kierowca wrzucił wsteczny bieg, zawrócił i dodał gazu. Wiedziała, że jest coraz bliżej.

Ale miała zadanie. Teraz, kiedy je wykonała – mogła odskoczyć. Pięknym, Kocim susem na prawie pięć metrów z lekkiego wybicia.

Dopiero podnosiła głowę znad urządzenia, oceniając odległość od zbliżającego się samochodu, kiedy rozległ się terkot serii z karabinku maszynowego. W fontannie szkła, krwi i odłamków strzaskanego plastiku

osobówka sunęła dalej na pełnej prędkości, już tylko o centymetry od ciała Umm Hassan, prosto na Sanję. Która skoczyła. W bok, poza zasięg pozbawionego kierowcy auta.

Tylko że strzelec z pędzącej przecznicą terenówki, nie zdawał sobie sprawy ani z refleksu, ani z kurczliwości mięśni Kotki. Dla niego wybór był prosty – trzeba zepchnąć samochód szejki z toru. Wpakował się więc z całą siłą w jego boczne drzwi, swoim małym odkrytym suzuki.

– Jezu, Dimitris!

Kiedy dopadła do niego, żył, oddychał. Leżał nieprzytomny i zakrwawiony na kierownicy, a Sanja, czując, że z żadnego z aut nie wypływa nic, co mogłoby się zapalić, nie miała odwagi nawet poruszyć głową Katranidisa, żeby nie zrobić mu krzywdy. Skoro można poczekać na karetkę.

Zdążyła tylko ocenić, że nie jest potrzebna reanimacja, kiedy zwała się na nią odsiecz, z narastającym, trudnym dla Kotki do zniesienia łoskotem dwóch wojskowych helikopterów, szorujących prawie brzuchami po dachach kamienic.

Wsparcie w postaci antyterrorystów wdeptało Sanję w asfalt, skuło i wrzuciło jak pakunek do pierwszego wozu, któremu udało się przebić przez korki. W międzyczasie słyszała strzały po drugiej stronie herbaciarni, a kiedy odjeżdżali, daleki sygnał karetki.



Popović z reguły nie traciła orientacji w terenie, nawet jeżeli wieziono ją w pozbawionej okien części furgonetki, klucząc w plątaniu miejskich ulic. Kiedy wreszcie, po długim czekaniu, dwóch przesłuchaniach i kolejnym,

jeszcze dłuższym czekaniu, dostała z powrotem swój plecak z telefonem i zegarek, nawet nie sprawdziła na nich GPS-a. Była w jednostce na Cholargosie, zresztą gdzie niby indziej miałyby być? Na okręcie podwodnym?

Zamek w drzwiach odblokowano i mogła sobie iść, dokąd chciała. Jeżeli wolała posiedzieć na jednym z dwóch stojących w pomieszczeniu krzeseł, między pustym stołem a lustrem weneckim, to też mogła. Grecy pożegnali się z nią uprzejmie i pognali do pilniejszych obowiązków.

Sanja z trudem wstała. Dopiero teraz, kiedy emocje opadły, okazywało się, co zdążyła sobie pouszkadzać. Kulejąc, dowlokła się do umywalki, żeby zmyć z dłoni krew Katranidisa. Jakoś wtedy nie umiała się ograniczyć do obwąchania go, musiała dotknąć i efekt był taki, że upaćkała sobie też nogawki rybaczek, odruchowo wycierając w nie ręce. Krew nie wsiąkła, ale też nie spłynęła, łuszczyła się teraz z wodoodpornego materiału płatek po płatku.

Popović, myjąc twarz zimną wodą, odnotowała, że rozwaliła sobie łokieć i zrobiła coś w nadgarstek. Usiadła z powrotem na krześle, walcząc z mdłościami. Dziwka migrena. Przyczaiła się, ale teraz jakby coś drapało czoło Sanji od środka stalowymi pazurami.

Kotka zastanawiała się właśnie, co powinna dalej ze sobą zrobić, kiedy z głębi korytarza dobiegły echa grecko-angielskiej awantury, przetykanej bluzgami w damskim wykonaniu. Znajomy męski głos usiłował po polsku łagodzić sytuację. Chwilę potem drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Maja Szymczyk.

Długim susem dopadła Sanji i zaczęła ją obwąchiwać, cała spięta. Rueckner, który wszedł za Majką, szybciej rozpoznał źródło najbardziej niepokojącego zapachu, czyli pochodzenie rdzawych zacieków na nogawkach Popović.

– Co się stało z Katranidisem? – spytał.

– Wstrząśnienie mózgu, wybite zęby, złamany nos i rany na nogach. Jest w szpitalu.

Peter spojrzał czujnie.

– Chcesz do niego pojechać?

– Nie – zawahała się. – Raczej nie. Nie róbmy tłumu. Zadzwoń z Warszawy, żeby podziękować.

– Ale co jest z tobą? – wcięła się Lwie Serce. Siedziała w kucki przy Sanji, oparta o jej kolano, i dalej węszyła niespokojnie.

– Nic poważnego, potłukłam się tylko. I chyba mam skręconą kostkę.

Maja skrzywiła się nieufnie. Coś jej nie grało i Popović wiedziała co – za bardzo pachniała kumpelce bólem.

– To głowa. Leki nie zadziałały. – Trudno, żeby miały szansę zadziałać, zważywszy na okoliczności. – I tak mi już dziś nie wolno więcej łyknąć.

Wzruszyła ramionami, zbyt energicznie, bo aż syknęła. Rueckner tymczasem przysiadł na stole i schylił się nad twarzą Sanji. Umm Hassan przeorała jej paznokciami policzek i skroń, zostawiając krwawe szramy. Peter najchętniej potraktowałby je wodą utlenioną, której na szczęście nie miał.

Popović poruszyła głową, delikatnie uwalniając się od zabiegów niewyżytego ratownika.

– Słuchajcie, być może wcale nie chodziło o farmy wiatrowe na Bałtyku. Był tu szef Katranidisa. – Niski, chudy facet po pięćdziesiątce, śmierzący nadtrawioną kawą i tabletkami na żołądek. – Powiedział, że jedna ze sztucznych inteligencji, przy których pracował kiedyś al-Kamali, obsługuje chłodzenie reaktora elektrowni atomowej na wyspie Olkiluoto u wybrzeży...

– Finlandii. – Majka zerwała się na nogi. – O jasna cholera.

– Znaleźliście? To urządzenie, które miało identyfikować DNA? – spytał

niepewnie Rueckner.

– Rozwaliłam je.

Popović uświadomiła sobie nagle, że jeżeli zmobilizuje się i wróci do mieszkania, to będzie mogła się przebrać i przestanie czuć na sobie zapach szejki. Oraz rannego Dimitrisa. Wstała i zatoczyła się lekko, źle stąpawszy. Peter umiejętnie ją podtrzymał, a potem ruszyli całkiem sprawnie do wyjścia. Rueckner pachniał słodko, bezpieczeństwem.

– W Nokii sprawdzają drugi raz, czy na pewno zginęło tylko jedno urządzenie.

– No i?

– Jeszcze liczą – mruknęła Sanja ponuro.

Stali na parkingu przed jednostką. Pod nimi, za murem i drutem kolczastym, między czarnymi zboczami stromych gór a morzem, w nocnym upale, kurzu, duszącej woni spalin i suchych pinii, zasypiały Ateny.

UŚMIECH KOTA BEZ KOTA

Ogień buchnął nagle w oślepiającej eksplozji. Jedyne, co ostrzegło Petera Ruecknera, to Koci węch – i lata doświadczenia.

– Lou, na dół! – wrzasnął. – Na dół!

Ale francuska Kotka zawahała się, wpatrzona szklistym wzrokiem w rosnącą przed nimi ścianę płomieni, wyplutą z niebytu, z porośniętej rzadką, suchą trawą ziemi poligonu.

– Louise! – ryknął Peter i nie czekając na reakcję dziewczyny, zanurkował w jej kierunku. Pociągnął Lou za sobą do okopu, czując upiorny podmuch kolejnego wybuchu. Dłoń zapiekła go potwornie, aż krzyknął.

Kiedy jednak udało mu się wepchnąć zszokowaną Kotkę do podziemnego bunkra, a drzwi z pancernego szkła zasunęły się na nimi, skupił się przede wszystkim na dziewczynie.

– Coś ci się stało? – Mówił z trudem, zdekoncentrowany przez ból.

Louise pokręciła głową, półprzytomnie wlepiając w niego zielone oczy. Płatki nosa poruszały się w widoczny sposób, węszyła jak przerażone zwierzątko. Z przystrzyżonymi krótko włosami wyglądała jak chłopiec – bardzo, bardzo młody.

– Prze–przepraszam, p–panie poruczniku. – Zęby jej dzwoniły.

– Gott... – jęknął Rueckner.

Będzie musiał porozmawiać z Mikołajczakiem. Louise naprawdę się starała, ale po prostu, mimo wszystkich swoich Kocich i nie–Kocich zdolności, nie nadawała się na żołnierza. Jeszcze bardziej niż Peter nie

nadawał się na dowódcę.

Tyle dobrego, że przynajmniej fizycznie wyszła z wypadku bez szwanku.

Pozostawała kwestia przyczyny wydarzeń. Tłąca się gdzieś z tyłu głowy Ruecknera furia zapłonęła wreszcie jak fajerwerki za szklanymi drzwiami bunkra. Przyćmiła ból ręki i troskę o karierę wojskową pozbawionej refleksu Francuzki.

Peter kilkoma długimi, Kocimi susami wbiegł do małego centrum dowodzenia. Zza panelu kontrolnego zerwał się – „Dopiero teraz!” – rówieśnik Louise, Marek Zegadłowicz.

– Panie poruczniku! – rzucił, stając na baczność. – Nie wiem, jak to się mogło stać. Chyba źle wyliczyliśmy czas, tak? Nic nie zmieniałem w procedurze.

„Pewny siebie jak zawsze”, ocenił Rueckner. „Bezczelny smarkacz”.

Szkolenie aroganckiego Marka i zahukanej Lou stanowiło wyzwanie, ten osobliwy duet dorobił się już niejednej anegdotki krążącej po jednostce. Starszych Kotów nie omijała wątpliwa przyjemność pracy pedagogicznej, bo niektórych rzeczy po prostu łatwiej było się uczyć od „swoich”.

Peter omiótł wzrokiem salkę dowodzenia i nadal wyprężonego na baczność, ale irytująco mało przestraszonego Zegadłowicza.

„Jak ja nie cierpię brawurowych gówniarzy”, pomyślał Rueckner, dbając jednak, żeby nie pokazać po sobie emocji.

W tym momencie przez drzwi wsunęła się Lou, po Kociemu prawie bezgłośnie stąpająca w ciężkich butach od munduru polowego. Zamarła przy framudze, chcąc chyba wyglądać, jakby w ogóle jej tam nie było. Marek spojrzął przelotnie na koleżankę, przez jego twarz przebiegło coś w rodzaju rozbawienia.

O ile jeszcze chwilę wcześniej Peter sam miał zamiar raczej rozśmieszać Louise niż krytykować, o tyle mina Zegadłowicza stała się kroplą

przepelniającą czarę. Rueckner podchodził do życia stoicko i rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi. Ale jeżeli już do tego doszło, następował dzień apokalipsy.

Najpierw Peter zajął się swoją poparzoną ręką, a potem wszystkie, formalne i nieformalne, konsekwencje jego gniewu ponieśli oboje – i Marek, i Lou. W końcu razem rozkładali te ładunki i pisali procedurę.



Tomek Lewicki otworzył puszkę piwa, pociągnął długi łyk, jednak po chwili przypomniał sobie o obowiązkach.

– Dobra, Adaś, teraz przerwa – rzucił w kierunku sześciolatniego chłopca, z którym od dłuższego czasu budował z klocków kosmodrom. Na razie udało im się skompletować czubek rakiety z satelitą telekomunikacyjnym w środku, pół silnika nośnego oraz większą część rampy lądowiska. – Mama powiedziała, żeby przed obiadem poćwiczyć.

– Ale wuuuujku...

Lewicki uniósł palec, ucinając protest w zarodku.

– Wskakuj na diabelską maszynę. – Tomo łyknął jeszcze z puszki i wstał, żeby pomóc dzieciakowi przypiąć stopy w urządzeniu rehabilitacyjnym.

Adaś od swojej biologicznej matki dostał tylko porażenie dziecięce po traumatycznym porodzie poza szpitalem, w pełni zresztą przez nią zawinionym. Ruecknerowie adoptowali go dopiero, kiedy miał dwa lata, a do sposobu, w jaki leczono dziecko wcześniej, mieli całą masę zastrzeżeń i mnóstwo żalu. Ale teraz Weronika – a jeżeli był w mieście, Peter także – walczyła o sprawność ruchową syna z żelazną konsekwencją. Nadal miał

słabszą jedną połowę ciała, i rękę, i nogę, poprawa była jednak bezdyskusyjna.

Lewicki sprawdził ustawienia programu treningowego. Niedawno razem z Peterem kupili nowy model maszyny, która miała nauczyć Adasia chodzenia bez pomocy egzoszkieletovej obudowy na nogę oraz wyrobić koordynację ruchów ręki.

– Dajesz, młody – zarządził Tomek. – Wio!

Zawieszona w powietrzu strzemiona urządzenia zaczęły poruszać się miarowo, w rytmie kroków. Uchwyty oplatające ramiona chłopca podchwyciły tempo.

– Nudzi mi się – sapnął mały.

– Ciii – przerwał mu Tomo, nasłuchując. – Tata idzie! Hmm, wcześniej.

– Skąd wiesz?

– Słyszę, że idzie od windy. – Podłoga na korytarzu apartamentowca była wyłożona kafelkami, dla Kota dźwięk niosło, że ho, ho, zwłaszcza o tej porze dnia, kiedy w budynku było dość cicho.

– Ale skąd wiesz, że to tata?

– Rany, no wiem. Petera miałbym nie poznać? – Lewicki spojrzał na Adasia z tak bezbrzeżnym zgorszeniem, że chłopiec aż parsknął. – Czekał, zaraz przyjdę. Hej, Ted, co tak wcześniej dzisiaj? – zagadnął Tomo raźnie, wychodząc do przedpokoju.



Weronika Rueckner na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych wychyliła się z kuchni.

– Chłopcy, chcecie zupę? – rzuciła w przestrzeń i od razu, słysząc z przeciwnej strony mieszkania pisk protestu, uściśliła: – Adaś, ciebie pytanie nie dotyczy. Dla ciebie zupa jest obowiązkowa.

– Ja wolę coś pod piwo, zapowiadałaś pieczone mięsko? – Lewicki uśmiechnął się przymilnie do gospodyni.

Od drzwi rozległo się prychnięcie i Weronika dopiero wtedy zarejestrowała, że z Peterem nie wszystko jest w porządku. Ubrany jak zwykle poza jednostką w cywilne ciuchy – w mundurze widziała go kilka razy w życiu – rozwiązywał właśnie lewą ręką sportowe buty. Na prawej miał żelowy opatrunek.

– O rany, co ci się stało? – spytała dość nerwowo. Niby przyzwyczajona do sportowych kontuzji, nie umiała jednak opanować niepokoju wynikającego z zawodu męża.

– Nic poważnego.

– To tylko draśnięcie – zarechotał Tomek od progu pokoju dziecięcego. – Super–Ted jak zawsze twardy. Piecze go jak cholera – wyjaśnił na potrzeby pani domu, lekko wężąc i lustrując kumpla wzrokiem. – Poparzył się. Nie chciał żadnych prochów, to chłodzący opatrunek i sam w sobie pomaga.

Zmartwiona Weronika aż cmoknęła językiem, lecz darowała sobie komentarz o wypadkach na poligonie.

– Powstrzymaj swój słowotok, Tomo. – Rueckner skończył szarpać się ze sznurówkami. – I nie nazywaj mnie Ted.

Lewicki parsknął radośnie.

– Ale dlaczego? Wszyscy tak na ciebie mówią.

– Bo ty zacząłeś. I teraz przestań, to szczeniacki dowcip, z każdym rokiem coraz mniej śmieszny.

– Ojoj, jaki się poważny zrobił, strach się bać. Weroniczko kochana, jest szansa na ten pieczony karczek?

Syknęła kolejna otwierana przez Tomka puszka.

– Wuujku, zdejmij mnie! Chcę do taty! Tadoo, chooóó!

– Zaraz, młody, już idę. Tata nie w humorze.

– Odsuń się, Lewicki, do cholery. Jesteś narąbany jak stodoła, ręce przy sobie, nie ruszaj dzieciaka. Ręce precz od maszyny, przecież powiedziałem!

Weronika w aneksie kuchennym salonu podlewała pieczeń sosem, jednak Peter mówił tak głośno, że słyszała go z pokoju Adasia doskonale.

– Jaki narąbany, weź ty się lecz, Ted! Wszędzie widzisz problemy!

Tomek absolutnie nie wydawał się Weronice pijany. Nie pozwoliłaby mu przecież ćwiczyć z Adasiem. No, ale to Peter był Kotem.

Wyłączyła piekarnik i podeszła do drzwi dziecięcego pokoju.

– Ja mam się leczyć? A niby na co? – W głosie Ruecknera zabrzmiała groźba. – Tu chyba kto inny powinien się nad sobą zastanowić.

– Zejdź ze mnie, humorek masz jak Popović przed okresem.

– Nie przy...

– Co, kuźwa, nie przy dziecku? Ja się do ciebie nie przypieprzam bez powodu na dzień dobry! – Tomo jednym haustem dopił końcówkę puszki.

Adaś siedział pod urządzeniem do rehabilitacji, cichutki i przerażony, wodząc tylko szarymi ślepkami od ojca do Lewickiego.

„Jak Kociątko”, pomyślała Weronika. „Instynktownie wyczuwa skalę awantury”.

Przypomniała sobie, jak teściowa częściowo w żartach, a częściowo bardzo serio opowiadała jej, że nawet nie mogła się solidnie z mężem pokłócić, choćby za zamkniętymi drzwiami – bo zaraz mieli w pokoju Petera dwa ciche, wtulone w siebie i nasłuchujące w zgrozie Kocięta. Dwa, ponieważ Tomek spędził większość dzieciństwa u Ruecknerów, zostawiany przez mamę na popołudnia – trudno było młode Kotki rozdzielić.

Normalnie mały Tomek skakał Ruecknerom – prawie dosłownie – po

żyrandolach, ale w sytuacjach konfliktowych oba Kotki zamierały w czujnej trwodze. Jak Adaś teraz.

– Peter, daj mu spokój – wkroczyła Weronika.

Wytarła ręce w fartuch, jednak więcej było w niej teraz wojowniczki z czarnym pasem niż ciepłej mamuśki od zupy pomidorowej i karczku z frytkami. Lewicki nadal nie wydawał jej się pijany, on i na trzeźwo miewał nieliczne wyskoki. Mrugnęła pokrzepiająco do Adasia, uśmiechając się raczej sztucznie.

– Jesteś narąbany, Tomo – powtórzył Peter, a jego żonie aż ciarki przeszły po plecach od tego cichego głosu. – Na dzisiaj mam dość bezczelnych gówniarzy.

Adaś skulił się jeszcze bardziej i tylko jego szare ślepka błyskały spod opadających na czoło półdługich włosów. Weronika otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz zamknęła je z powrotem.

– A... – zająknął się Lewicki. – A, pierdołę!

Cisnął na podłogę pogiętą puszkę po piwie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Fantastycznie! – nie mogła się już powstrzymać Weronika. – Po prostu świetnie!

– Nic nie mów – warknął Peter.

Poszedł do kuchni i zaczął nalewać sobie zupę.

– Przyszedł, bo chciał ze mną porozmawiać! – rozkręcała się Weronika. – Coś się nie dogadują z Iwoną i chciał się poradzić.

– To niech idzie do psychologa. Albo do pastora czy innego kapelana.

– Uch – parsknęła przez zęby Weronika. – Chyba lepiej do rodziny?

– No jasne, do świętej Weroniki, co po główce pogłaszcze, obiadem nakarmi i powie, że to nie jego wina, że chleje, rwie laski na lewo i prawo i że głupia Iwona pewnie się czepia?

– Jakie laski? – zdziwiła się.

Peter wywrócił oczami, znacząco wskazał wzrokiem Adasia, nadal skulonego pod ścianą, i z kubkiem zupy w garści ruszył po schodach na antresolę.

– No, zakładaj to – zreflektowała się matka, wskazując chłopcu egzozoskieletowy sprzęt ortopedyczny.

– Ale mammo...

– Nie ma mowy! Jesteś już chłop jak dąb i musisz umieć sam się ubrać – dodała machinalnie, wyglądając przez okno.

Kilkanaście pięter niżej wściekły Lewicki sadył długimi krokami przez parking w kierunku czerwonego sportowego samochodu. Wyciągnął przed siebie dłoń z pilotem, auto mignęło światłami i rozsunęło dach. Kot z rozpędu wskoczył do kabrioletu bez otwierania drzwi, zawrócił ostro z piskiem opon i odjechał.

– I widzisz, co narobiłeś! – krzyknęła Weronika w stronę antresoli, ufna w wyczulony słuch męża. – Przez ciebie sam kieruje! Ja bym go namówiła na taksówkę. Mnie Tomek słucha, jak już mu czasem coś mówię, to słucha.

Jakiś czas temu włączyła jej się ostrzegawcza lampka: „Znowu zrzędzisz”, jednak nie umiała sobie odmówić choćby tej możliwości odreagowania.

– Uch! – prychnęła jeszcze raz dla podkreślenia swojej irytacji.

– Mammo, mogę pozjeżdżać?

Spojrzała na dziecko nierozumiejącym wzrokiem. Adaś stał u stóp kręconych schodów, wzdłuż których biegła wąska zjeżdżalnia. Każdy sposób namówienia chłopca na wchodzenie po stopniach – lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga – był dobry.

– Nie, nie, nie idź na górę, nie przeszkadzaj... A w zasadzie... Jasne, możesz. Tylko potem chodź na zupę.

Jeżeli ktoś miał szanse wywabić wściekłego Petera z jego nory, to tylko młody.



Wysoka na kilka kondygnacji sala bankietowa tonęła w ciemnej zieleni i złotym świetle. Zza szmaragdowych szyb pogrążająca się w zmroku Warszawa wyglądała jak miasto na dnie oceanu, migoczące tysiącami światełek. Neosecesyjne motywy na przedzielających szyby wąskich wzmocnieniach pięły się między prawdziwymi roślinami.

Oparty o barierkę balkonu, Tomek Lewicki patrzył na dolne piętro sali. Pośród tłumu gości lśniła złotem instalacja – kula ziemską, wirująca w dostojnym tempie zgodnym z czasem rzeczywistym. Z jednej strony oświetlona mocniej tak, żeby wyraźnie zaznaczyła się na niej linia terminatora. Nawiązanie do logo i nazwy korporacji, do której należał ten imponujący gmach. Zhao Yang – Wschód Słońca.

„Woschod”, pomyślał po rosyjsku Lewicki. Też brzmiałoby dobrze, jak ukłon w stronę kosmicznej tradycji kraju, w którym mieściła się główna siedziba korporacji.

Nad kulą ziemską umieszczono na niewidocznych stąd linkach czy podpórkach należącą do Zhao Yang badawczo–turystyczną stację orbitalną.

Tomek upewnił się, że profesor Mikołajczak pozostaje w zasięgu wzroku, i pogrążył się z powrotem w przyjemnej bankietowej atmosferze. Nie przyszedł tu jako ochroniarz, nikt nie potrzebował obstawy w tym luksusowym miejscu. Mikołajczak po prostu lubił mieć znajome towarzystwo na nudnych spędach konferencyjnych, a Tomo nigdy nie gardził zaproszeniem na imprezę. Choćby bardzo oficjalną.

Identyfikator Kota głosił dumnie: *DR TOMASZ WOCH, WAM*. Kiedy Lewicki pierwszy raz go dostał, spłoszył się nieco, że kiedy tylko ktoś spróbuje rozmawiać z nim jak z rzeczywistym współpracownikiem

Mikołajczaka, maskarada wyda się przy pierwszym fachowym temacie. Został uspokojony zapewnieniem, że na bankietach nie porusza się kwestii naukowych. Z kolei na własny użytek Tomo stwierdził, że najwyżej spragnionego konsultacji uczonego dobitnie i po Kociemu namówi na przyjazny small talk o pitych właśnie alkoholach.

Teraz jednak stał samotnie nad tłumem, wbrew pozorom wcale nie znudzony, tylko radośnie podekscytowany. Lubił przebywać wśród ludzi, wśród wrzawy głosów, intrygujących zapachów, całego tego kłębowiska drobnych emocji i towarzyskich niuansów. Miał właśnie zamiar z powrotem do nich zbiec po wyłożonych dywanem schodach o giętej poręczy w kształcie łądygi kwiatu – a pilnował się bardzo, żeby nie chodzić zbyt sprężyście. Chciał znaleźć się znów w tłumie, żeby Kocie zmysły mogły zanurzyć się całkowicie w płynący od niego uczuciowy szum.

Ale wtedy coś ukłuło go ostrzeżeniem. Napięcie między rozmawiającą tuż pod balkonem grupką ludzi wydało mu się zaskakująco duże. Zdawkowa wymiana kilku słów, których nie dosłyszał, i coś nerwowego w ruchach.

Już wcześniej rzucili się Tomkowi w oczy, trudno zresztą, żeby nie. Młodziutki, szczupły chłopak na wózku inwalidzkim. Ortopedyczne buty na jego nogach nie dość, że pełniły swoją podstawową funkcję, to zgodnie z ostatnią modą miały wymalowane na sięgających powyżej kostek cholewkach jaskrawe wzory, zabawnie wyglądające teraz przy garniturze chłopaka.

Mimo że tak prowokacyjnie subkulturowe, ich kształt nastroił Lewickiego ponuro.

„Tak mogłyby wyglądać stopy sióstr Kopciuszka, gdyby panny za bardzo starały się dopasować je do zbyt ciasnego pantofelka”, pomyślał wisielczo.

Przyczyną nerwowego napięcia chłopca była stojąca przy nim Chinka w czerwonej garsonce. Dama koło pięćdziesiątki, a wtedy bardzo bogate

kobiety po prostu przestają mieć wiek, konserwując się w tym stanie na następnych parę dekad.

Nazywała się Chen Xiaobo i to ona pełniła na tym przyjęciu honory domu. Konferencja miała służyć głównie do zabłyśnięcia przed światem najnowszym osiągnięciem zespołu badawczego profesor Chen – metodą modyfikacji błędnika w taki sposób, żeby poddany jej człowiek nie cierpiał na chorobę kosmiczną. Zhao Yang coraz śmielej sięgało ku gwiazdom.

Lewicki przystanął w połowie schodów, ale dystyngowana Chinka – nadal pociągająca, mimo daleko posuniętej mumifikacji przy użyciu wyrafinowanych kosmetyków – minęła już chłopca na wózku i popłynęła dalej na swoich niebotycznych szpilkach. A za nią milczący skośnooki ni to asystent, ni ochroniarz.

Chłopaczek został sam. Zgrabnie, prawie w miejscu wykręcił wózkiem i ruszył w stronę stołu z przekąskami, tak się złożyło, że trasą prowadzącą akurat koło schodów. Tomek odnotował z szacunkiem, że wózek nie był elektryczny, ale leciutki i zwrotny – sportowy. Dla kogoś, kto był na swój sposób szalenie sprawny fizycznie, tylko po prostu nie mógł chodzić.

Lewicki przypomniał sobie stację korporacji Zhao Yang, pędzącą nieustannie po orbicie gdzieś hen nad ich głowami. Tam chłopiec nie potrzebowałby ani wózka, ani swoich ekstrawaganckich butów.

Tomek zbliżył się do niego niezobowiązująco i rzucił okiem na identyfikator. *ALEKSANDER KURBATOW, STAŻYSTA, ZHAO YANG.* Jasnowłosa i jasnooki, dzieciak nie miał w sobie ani kropli chińskiej krwi.

– Jestem Sasza. – Kot poczuł na sobie spojrzenie chłopca.

Uścisnął wyciągniętą na powitanie dłoń, spoconą i chłodną. Sasza się bał. Kogo? Nadal profesor Chen? Jeżeli tak, musiała być wyjątkowo wredną szefową. Na co zresztą wskazywały również inne poszlaki.

– Chcesz zostać kosmonautą? – Lewicki jak zwykle pojechał po bandzie.

Na uzasadnienie bezczelnego pytania wskazał w stronę złocistej instalacji w kształcie planety.

– Oczywiście. – Kurbatow uśmiechnął się. – Tutaj – pokazał w dół na ziemię, kilkadziesiąt pięter pod nimi – nie mam za bardzo czego szukać. Chyba że przylecę na urlop. Jako bohater – rzucił kpiąco, jednak miał rację. To nadal tak działało. Chociaż tylu ludzi latało zawodowo czy turystycznie, kosmos nadal oznaczał pewną magię.

– Chcę pracować na orbicie, ale nie ziemskiej. W laboratorium nad Marsem.

– Chyba unijnym? – zdziwił się Tomek, lecz zaraz się poprawił: – Albo chińskim?

– My też budujemy tam stację.

– Rosja? – Zaskoczenie Lewickiego wzrosło.

– Nie, my. Zhao Yang. Akurat za jakieś dziesięć lat, kiedy skończą, będą gotowy.

– Gratuluję przemyślanych planów na przyszłość – powiedział Lewicki, wcale nie tak żartobliwie, jak mogłoby to zabrzmieć. Dwudziestoletni na oko Sasza za dziesięć lat będzie nieco starszy niż Tomo teraz. Lewicki nigdy nie sięgał tak daleko ambicjami awansu.

Co jednak niepokoiło Kota w tej pogawędce, to narastający stres Kurbatowa.

„Jest aż tak onieśmielony?”. Sposób prowadzenia rozmowy na to nie wskazywał. Również kwestie językowe nie powinny chłopaka peszyć, mówił po angielsku dość sztywno i czasem robił błędy, ale sprawiał wrażenie raczej pewnego siebie.

– Przyszedł tu pan w towarzystwie profesora Mikołajczaka, doktorze Woch – stwierdził nagle Sasza, a Lewicki zaczął się niepokoić, że oto zaraz będzie trzeba młodego Rosjanina zmusić Kocią sugestią do zmiany tematu na

mniej ryzykowny.

– Jestem jego współpracownikiem – powiedział jednak.

Chłopiec był coraz bardziej zdenerwowany, a Tomo razem z nim. Węszył dyskretnie, nie rozumiejąc sytuacji.

– Mam dla niego wiadomość – wyrzucił z siebie nagle Kurbatow, przyciszonym głosem. – Dla profesora Mikołajczaka – powtórzył dobitnie. – On zrozumie.

– Oczywiście. – Lewicki, nareszcie w swoim żywiole, błyskawicznie przestawił się na zupełnie nierozrywkowe śledzenie otoczenia. Patrzył uważnie w oczy Saszy, równocześnie upewniając się, że pozostają w odpowiedniej odległości od reszty gości.

– Na forum Petersburskiego Towarzystwa Modelarskiego, użytkownik: leonow. Hasło do awatara: pięć, duże zet, hengyan, cztery. W środku jest informacja dla Mikołajczaka, on zrozumie.

– Modelarze z Pitra, leonow, hasło 5Zhengyan4, zet duże.

– Hasło do awatara – poprawił Sasza.

– Tak jest, hasło do awatara – powtórzył Tomek, zakładając, że myśleć będzie później.

– Do widzenia, panie doktorze.

Kurbatow znów wywinął efektowny piruet wózkiem i wmieszał się w tłum, byle dalej od Lewickiego, tak szybko, jak tylko mógł to zrobić, nie zwracając niczyjej uwagi. Tomek rozejrzał się za profesor Chen, ale jej czerwona garsonka mignęła mu szczęśliwie po przeciwnej stronie gigantycznej sali.



– Nie mam nic wspólnego z żadnymi modelarzami – oświadczył Mikołajczak, kiedy Tomek odwoził go swoim kabrioletem po imprezie do domu.

W sumie tego właśnie należało się spodziewać, jednak Lewicki wolał spytać, żeby nie okazało się, że uruchomił maszynę szpiegową, podczas gdy Sasza i profesor mają po prostu wspólne hobby. Przed pójściem spać obejrzał sobie jeszcze modelarskie forum. Użytkownik leonow w kilku wpisach paplał lakonicznie, lecz rozkosznie na tematy, które na pewno zainteresowałyby Adasia Ruecknera, a Tomka ani trochę. Jego awatar przedstawiał czarno-białą ilustrację do oryginalnego wydania *Alicji w Krainie Czarów*: szeroko uśmiechniętego Kota z Cheshire.

– Jakbym ciebie widziała, Tomo – oceniła Sanja Popović, przyglądając się obrazkowi, kiedy znalazła dla Lewickiego czas następnego dnia koło południa.

Tomo sam próbował przepuścić awatar przez pierwszą komercyjną aplikację szyfrującą, jaka przyszła mu do głowy. Nic z tego nie wyszło, więc zgłosił się do zawodowca od łączności.

– Trochę to bezczelne: ten kot w komunikacie do Mikołajczaka – ciągnęła Popović, zniesmaczona.

– Wszystkim wam ostatnio poczucie humoru szwankuje. – Lewicki zrobił minę męczennika.

– Hmm?

– Ted się czepia.

– Czego się czepia? – spytała Popović, zawsze czujna.

– Oj, takich tam. – Tomek machnął tylko ręką.

Właśnie jej niepokój utwierdził go w przekonaniu, że jeszcze tylko Sanjeczki w tej chryi brakuje.

Schylił się lekko nad siedzącą przy komputerze Popović. Zza okna płynęły

ze słabym wietrzykiem fale dusznego czerwcowego upału, rozleniwiającego i klejącego ubranie do ciała. Kotka w związku z tym pachniała bajecznie, a Tomkowi zupełnie nie przeszkadzał ani jej zaostrzony od gorąca trądzik, ani ciuchy, w których wyglądała na sporo większą, niż była.

– Daruj sobie, co? – mruknęła, słodka jak zawsze. – Narzeczoną idź obwąchiwać.

„Iwonka przy takiej pogodzie zdążyła już pewnie ze trzy prysznicze wziąć i sześć razy się uperfumować”, pomyślał zjadliwie Lewicki.

– Czekaj... – Sanja była już myślami przy poważniejszym temacie. – Chyba coś mam, z kilku różnych wystąpień awatara. To jest tekst. Ale i tak nic nie rozumiem.

– Bo on jest dla Mikołajczaka. – Tomkowi zaświeciły się oczy, kiedy patrzył na monitor nad ramieniem Kotki.

Jeżeli ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby przesłać strzępy informacji naukowych jednemu z najwybitniejszych neurologów na świecie, to raczej nie były to przypadkowe śmieci.

– Jedź po niego. – Popović skinęła głową.



Kiedy Lewicki wrócił z profesorem, czekali już na nich wszyscy – Koty i Mykicioniuk. Tomka aż zemdlilo od zapachu środków przeciwbólowych, którymi naćpał się dziś dowódca, żeby być w stanie w miarę normalnie funkcjonować i przed nie-Kocią częścią personelu udawać pełnię zdrowia. Pułkownik niestety należał do ludzi, którzy tym bardziej robią coś, im bardziej lekarze tego czegoś zakazują. Radykalne ograniczenie aktywności

fizycznej zalecone mu po wypadku samochodowym nie wchodziło oczywiście w grę, więc uraz kręgosłupa odnawiał się co jakiś czas, z coraz mniej przyjemnymi konsekwencjami.

– No, dawajcie ten chiński rebus. – Mikołajczak wkroczył dziarsko do pomieszczenia, w przeciwieństwie do pokiereszowanego dowódcy tryskając energią.

– Rosyjski – poprawiła Sanja. – Pisany łacińskim alfabetem.

Profesor tylko spojrzął na tekst ukryty w wyszczerzonych awatach Saszy-leonowa.

– O cholera!

– To znaczy? – spytali równocześnie Mykicioniuk i Maja Szymczyk.

– O cholera jasna! – uściślił neurolog. – Ten dzieciak jest stażystą u Chen Xiaobo?

– Nie wiem, czy u niej dosłownie. – Tomek rozłożył ręce. – Rozmawiała z nim. Myślałem, że go za coś opieprzyła, ale pewnie przestraszył się, że go prawie nakryła na kontakcie ze mną.

– Jeżeli ktoś taki jak Chen w ogóle zauważa, że ma stażystę, to on musi robić w firmie coś konkretnego – oświadczył Mikołajczak. – Na co czekacie, gadamy z nim!

– O czym w zasadzie? – osadził go Mykicioniuk, cicho, lecz dobitnie, cierpkim tonem.

„Jest obolały i szwankuje mu cierpliwość”, uświadomił sobie Lewicki.

– Jeżeli to jest to, o czym myślę, to to jest bomba – wyjaśnił profesor. – Nie dosłownie oczywiście – zreflektował się, widząc miny słuchaczy. – Naukowa bomba. Zhao Yang modyfikuje te swoje błędniaki, prawda? Ale rzecz w tym, jak je modyfikuje! Przypadkiem chyba wymyślili technikę, która może nam się bardzo przydać. Mniej podatną na błędy. – I zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, podkreślił: – Jeszcze mniej podatną niż ta,

całkiem dobra, której używamy teraz.

Poprzednia metoda, zastosowana przy dwóch pierwszych partiach Kotów, przypominała raczej ruletkę. Rosyjską, *nomen omen*. Wyszło to na jaw dopiero po latach. Ale powszechnie wiadano, że Mikołajczak nie życzy sobie poruszać tego tematu, a już zwłaszcza w rozmowach z członkami formacji.

– I Kurbatow przyszedł z tym do pana... – zawahał się dowódca. – Dlaczego?

– Spytajmy go.

Mykicioniuk skinął przyzwalająco, a Sanja wstała od komputera.

– Ja po rosyjsku zgrabnie i wieloznacznie nie pogadam, ani o modelach samolotów, ani o genach. Tomo, Maja?

Lewicki tylko czekał, żeby zająć jej miejsce.

„Ile z tego możesz nam dać i czego oczekujesz”, zakodował. Popović zdążyła mu już przygotować małą rzucający się w oczy awatar i teraz zaczepili leonowa pytaniem o szacunkowy koszt modelarskiego hobby, z nadzieją, że Sasza wpadnie na to, żeby przetestować obrazek nowego użytkownika tą samą metodą, którą sam zaproponował.

Rueckner spojrzał na zegarek i dodał w myślach różnicę stref czasowych.

– Pewnie sobie teraz poczekamy, jest przecież w pracy.

Ale już po kilku minutach pojawiła się odpowiedź – i zasłona dymna roztaczana na publicznym forum, i prawdziwa, wpleciona w bity awatara: „Wszystko, co ważne. Zabierzcie mnie stąd”.

– Jeszcze lepiej. – Kąśliwy nastrój Mykicioniuka tylko się pogłębił.

– Warto – stwierdził krótko profesor.

Wstał i podekscytowany przeszedł się po pokoju, stając w końcu przy oknie, zasłoniętym teraz szczelnie antywłamaniową żaluzją. Koty nie lubiły klimatyzacji, wszyscy jednak zgadzali się, że strzeżonego Pan Bóg strzeże i

nie prowadzi się takich rozmów przy pootwieranych na oścież oknach.

– Píše z Petersburga, z nowej dzielnicy nad południowym brzegiem zatoki – powiedziała tymczasem Popović. – Najprawdopodobniej po prostu z biurowca Zhao Yang.

„Jesteś na stażu w jakim dziale?”, wklepał Lewicki na polecenie Mikołajczaka.

Tym razem oczekiwanie trwało odrobinę krócej.

„Programista symulacji dla genetyków”.

– Bingo. To tłumaczy, czemu nie jest teraz w laboratorium. Zresztą ja go w labie nie bardzo widzę... Musieliby mu specjalnie dostosować stanowisko, a w sumie po co tym sobie zawracać głowę. – Mikołajczak wzruszył ramionami.

– A nie mógłby pracować w egzozkielecie? – spytał nagle Rueckner i profesor chyba przez mgnienie oka pożałował swojego lekceważącego tonu, ale zauważyły to tylko Koty.

– Egzozkielet, jakiego potrzebowałby Kurbatow, na dłuższą metę byłby uciążliwy.

– No ba – prychnął Mykicioniuk, weteran oddziałów urazowych. – Peter, to nie ta skala problemu co u twojego dzieciaka.

– A w laboratorium... To jest stojąca, w pewnym sensie fizyczna praca. – Neurolog jednak poczuwał się do wyjaśnień, a to zdarzało się rzadko.

Na forum pojawiły się tymczasem kolejne uśmiechnięte kotki, jeden pod drugim.

„Zabierzcie mnie stąd. Jestem GMO”.

– O w mordę... – szepnęło któreś z młodych.

„Jak GM?”, Mikołajczak stał nad Lewickim, chłodny i skupiony.

„Miałem mieć przeciwstawne kciuki u stóp”.

I dalej, po czasie, którego wymagały kolejne zmiany awatara: „Przydatne

w stanie nieważkości. Ale żeby dało się chodzić”.

„Tylko że się nie da. Schrzanili to”.

Zhao Yang sięga ku gwiazdom. Lewickiemu zrobiło się trochę niedobrze i to wcale nie od opiatów przenikających do potu udręczonego dowódcy.

– Przywieźcie mi go – zażądał Mikołajczak z ogniem w oczach.

– Ta modyfikacja... – Mykicioniuk zawahał się. – Jest możliwe, że to tak przebiegło?

– Oczywiście.

– Prawdopodobne?

– Jasne. Dajcie mi chłopaka i wszystkie materiały, jakie uda mu się uzyskać.

Lewicki, tknięty nagłą myślą, wpisał w szyfrującą aplikację nieuzgodnione z przełożonymi pytanie.

„Chciałeś polecieć na Marsa”.

„Wyślijcie mnie na unijną stację”.

Skonsternowany Kot obejrzał się na profesora. Nie zamierzał Kurbatowa zniechęcić ani spłoszyć, ale trudno tu było odpisać coś sensownego.

– Jak zasłuży – prychnął Mikołajczak. – To kto wie. Hodowali go od dziecka na kosmonautę.

Popović skrzywiła się, ale lekarz na nią nie patrzył.

Hodowali. To się Sanjeczce nie mogło spodobać. Tomo nie był taki przewrażliwiony.

„Będziemy w kontakcie. Ktoś przyjedzie”, odpisał dyplomatycznie, zastanawiając się przy tym, na jak długą rozmowę z Saszą starczy mu pytań modelarskich do leonowa.

„Nie ktoś. Dr Tomasz Woch”.

I potem, jako wyjaśnienie:

„Jego rozpoznam. Pilnują mnie”.

– Ja chętnie pojadę, ale Woch jest niby naukowcem i przecież...

– Chce Wocha, będzie miał Wocha. Coś się wymyśli. A do towarzystwa weźmiesz sobie...

– Dowódco, mogę ja? – odezwał się Rueckner. – Przyda się oprócz Tomka ktoś z przygotowaniem medycznym. Poza tym Maja w razie czego nie poniesie chłopaka na grzbiecie.

Wysoki Peter rzeczywiście mógłby Saszę wziąć na plecy.

– Dobrze – zgodził się Mykicioniuk, przyglądając się jednak Kotu uważnie. – Pojadą Lewicki i Rueckner.

„Tomo i Ted”, pomyślał Tomek z przekąsem. „Jak za dawnych dobrych czasów, kiedy Ted jeszcze ze mną rozmawiał”.



U boku petersburskiego drapacza chmur należącego do Zhao Yang powstawał kolejny – jeszcze bardziej efektowny. Hale zakładów lotniczych i kosmicznych wyrastały rozsiane wokół wielkich miast, ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby biura i część laboratoriów ulokować w bardziej prestiżowym miejscu.

Budowa była od dawna pod unijną obserwacją, więc umieszczenie na niej Kotów nie stanowiło dużego problemu. Tomek kołysał się teraz lekko na podwieszanej na linach ławeczce wysoko nad placikiem oddzielającym od siebie wieżowce. Montowali z Peterem urządzenia mające odpędzać od budynku mewy i gołębie. Zajęcie akurat dla zatrudnionych na kilka dni alpinistów.

Na horyzoncie migotała Zatoka Fińska, ograniczona ciągnącą się przez

całą jej szerokość zaporą przeciwpowodziową jak białą kreską. Ranek przetaczał się w jaskrawym słońcu w przedpołudnie. Wyświetlacz temperatury na starym biurowcu wskazywał już ponad trzydzieści stopni. W pewnej odległości od Lewickiego na bliźniaczej ławeczce bujał się Rueckner, konfigurujący właśnie kolejny odstrasający nadajnik.

Sasza twierdził, że jedyną nadzieję na wymknięcie się jakoś swojej obstawie ma tutaj, w pracy, a rezydenci niechętnie musieli przyznać, że zamieszanie związane z budową na pewno utrudnia pracę ochroniarzom z Zhao Yang. Mimo to Mykicioniuk, który zastąpił Tomka nad klawiaturą, w pierwszej chwili usiłował odwieść Kurbatowa od takiego scenariusza kontrolowanego porwania. Jednak w miejscu zamieszkania pilnowano go podobno bardzo starannie – rzecz jasna, dla jego własnego bezpieczeństwa – i na „nieco wolności” mógł liczyć tylko w obrębie zamkniętego korporacyjnego terytorium.

„A może uczelnia?”, zasugerował niezadowolony dowódca.

„Nie potrzebuję studiów. Chyba że to ja miałbym uczyć wykładowców”.

– No, teraz to przebił w skromności Lewickiego z Zegadłowiczem razem wziętych! – Nawet obolały Mykicioniuk wyglądał na ubawionego. Tylko Tomo się zachnął, dla porządku. Arogancja bardzo mu pasowała do tego Saszy, który lawirował brawurowo wózkiem między gośćmi na bankiecie i roztaczał przed Kotem plany swojej kariery na dekadę w przód.

Czekali więc teraz na szansę – okoliczności, które pozwolą Kurbatowowi urwać się na moment spod czujnych spojrzeń kolegów i przełożonych.

Lewicki przyjrzał się przez chwilę, jak dwie luksusowe limuzyny z przyciemnianymi szybami, eskortowane przez kilka wozów obstawy, przemknęły przez zewnętrzny parking i nawet nie zwalniając, zanurkowały podjazdem w dół, w podziemne trzewia biurowca. Wyglądało na to, że główną siedzibę firmy odwiedził któryś z chińskich wielkich szefów. Jednak

Tomo uznał, że nie powinien być to powód do niepokoju – paru ochroniarzy z bronią maszynową w tę czy w tamtą stronę nie robiło już raczej różnicy.

Warszawa milczała, a to znaczyło, że leonow na forum też milczał. Kot jeszcze raz spojrział tęsknie na morze, a potem bardziej na wschód, w stronę starej części miasta. „I widzisz – pojedziesz do tego swojego wymarzonego Pitra!”, śmiała się do Tomka Popović. Tylko że co z tego, nawet Newy nie widział, wieziony z lotniska obwodnicami.

Westchnął i machnięciem ręki dał znak Peterowi, że pora zjechać na przerwę.



Bar w starym biurowcu opatrzony był korporacyjną Ziemią o wschodzie słońca oraz informacją, że działa dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nocny bar śniadaniowy? – zdziwiony Lewicki, zamówiwszy kawę, nie mógł się powstrzymać i zagadnął stojącą za kontuarem dziewczynę. Miała długie niebieskie włosy, asymetrycznie podcieniowane, i – uroczo retro – ćwiek w dolnej wardze.

– Później zmieniamy menu na obiadowe. – Skinęła w stronę samoobsługowej lady, przy której właśnie stał Peter, a nieco dalej jedyny poza nimi gość lokalu. – A po dziesiątej wieczorem zwijamy bufet i zaczyna się impreza.

– Słucham?

Dziewczyna parsknęła wesoło.

– Dla tych tam. – Wskazała na sufit. – Jak już bardzo muszą zaszaleć, to lepiej, żeby robili to pod skrzydłami matuszki korporacji, nie? Akurat wtedy

kończy druga zmiana, a jak ktoś chce pracować dłużej i muzyka przeszkadza, to jego problem. Zresztą sala jest dobrze izolowana.

Tomek dopiero teraz zauważył, że barmanka ma na przedramieniu tatuaż z Kościejem Nieśmiertelnym w stylizyce postapo – z kreskówki, którą pamiętał z młodości. Wskazał go i zaczął się śmiać: – O, ty też to oglądałaś?

– Puszczę ci coś. – Dziewczyna mrugnęła.

Z głośników popłynął ostry remiks tytułowej piosenki serialu. Lewicki, zachwycony, że nareszcie spotkał kogoś, kto nie dość, że kojarzy modną kilkanaście lat temu na rosyjskich portalach kreskówkę, to jeszcze lubi tę samą co on drugoplanową postać, wdał się z niebieskowłosą barmanką w ożywioną dyskusję.

Obaj z Peterem nosili robocze uniformy, więc rozmowa nieuchronnie zdryfowała na temat trudnych prac wysokościowych.

– Zarabiamy na wyprawę na Ural.

– Ale fajnie!

Dziewczyna zamachała do Ruecknera, który jadł swoje późne drugie śniadanie z taką miną, że Tomo na miejscu kucharza obraziłby się natychmiast.

– On nie mówi po rosyjsku, to mój kolega z Unii. – Lewicki czym prędzej sprzedał barmance ostatnią cegiełkę ich legendy. Pasującą do wersji, w której wymyśleni rodzice Tomka, czyli rzekomego Siergieja, wyemigrowali z Rosji dawno temu, zabierając nieletniego syna ze sobą.

Peter uśmiechnął się uprzejmie do barmanki, ale poziom wkurzenia, który drugi Kot czytał z każdego jego gestu, był taki, że Lewicki z żalem naprowadził fankę Kościeja na zakończenie rozmowy: – Kawa?...

– Aj, tak, jasne. – I po chwili postawiła przed nim filiżankę.

Kiedy Tomo podszedł do stolika, Rueckner mruknął tylko: – Drugi Reade, pożał się Boże...

– Ale jakie jest pytanie? – warknął Lewicki swoim ulubionym, nieco bezsensownym zwrotem, oznaczającym, że nie rozumie, czego właściwie od niego chcą.

– Po co mówisz rzeczy, których nie musisz? Rozmawiałeś z nią na ryzykowne tematy, a łatwo się wsypać na drobiazgach.

– To miał być dla mnie ryzykowny temat? Kpisz, czy o drogę pytasz?

Nikt nigdy nie twierdził, że Koty wychowywano normalnie. Tomek miał uczyć się rosyjskiego w sposób jak najbardziej naturalny, więc ojciec mówił do niego w tym języku, mimo że oboje z żoną byli Polakami. Dla chłopaka była to więc mowa dzieciństwa: kreskówek, książek, rozmów z ojcem, przez sieć albo kiedy zjawiał się w domu na urlopy. Kiedy kapitan Lewicki zaginął w sześćdziesiątym pierwszym gdzieś w Pakistanie (nigdy nie odnaleziono ciała), dla Tomka dzieciństwo się skończyło. Ale i tak w gimnazjum entuzjasmował się głównie rosyjską sceną muzyczną – takie miał w końcu rozkazy.

A Peter przecież doskonale o tym wszystkim wiedział. Młodszy Kot czuł, że jeszcze chwila, a wybuchnie tak, że już naprawdę nie będzie czego zbierać, więc zmienił temat, rzucając niewinnie okiem na jedzone właśnie przez Ruecknera ciasto jabłkowe.

– Wyczytałem gdzieś w necie, że zapach szarlotki działa na mężczyznę podniecająco.

– Że jak? – Niemiec aż podniósł wzrok znad talerza.

– Też uważam, że normalni ludzie są czasem trochę dziwni. Ja tam wolę co innego.

I prawie się z tym nie kryjąc, obejrzał się za barmanką. Wyszła zza kontuaru, żeby sprzątnąć naczynia po wygodnickim kliencie, któremu nie chciało się samemu odnieść ich do okienka. Lewicki zagapił się na jej zgrabne stopy. Paznokcie dziewczyny opalizowały lakierem w kolorze

macicy perłowej.

– O tym właśnie mówiłem – stwierdził szeptem Rueckner, a Tomo pomyślał, że kumpel minął się z powołaniem: powinien być zostać ponurym purytańskim pastorem. – Myślałby kto, drugi Reade. Brawura, lekkomyślność i wyrywanie wszystkiego, co się rusza i nie ucieka na drzewo.

– Ona bynajmniej nie uciekała – wyszczerzył się zaczepiany.

– Za dwa miesiące się żenisz.

– Właśnie... – Lewicki nagle spoważniał. Od dawna już miał ochotę porozmawiać o tym z Peterem, no i z Weroniką, ale okoliczności nie sprzyjały, zwłaszcza, odkąd opuścił ich dom w stylu rodem z telenoweli. – Tak myślę... Ten ślub. Czy to był dobry pomysł.

– Tego to ja ci nie powiem.

– Mieszkamy razem i... myślałem, że jakoś łatwiej się dogadamy. Moje siostry przecież też wcierały w siebie te wszystkie straszne substancje, oblewały się pachnidłami i co tam jeszcze, ale mimo to dało się wejść do łazienki i nie paść trupem.

– Czekaj. – Peter był zde gustowany. – Wcześniej ci nie przeszkadzało, jak ona pachnie?

– Nie ona, tylko łazienka. Może i ona też, nie wiem, pewnie kiedy spotykaliśmy się poza domem, to zdążyła jakoś wywietrzeć?

Rueckner prychnął i zaczął powoli zbierać się od stołu.

– Zresztą nawet nie o to chodzi, ogólnie, myślałem, że jak już zamieszkamy razem, to wszystko się jakoś tak samo...

– Tomo, a czy ty bardzo i koniecznie musisz brać ten ślub teraz?

Lewickiego wbiło w ziemię.

– No wiesz co! W życiu nie przypuszczałbym, że akurat ty będziesz mnie zniechęcał do małżeństwa!

Złapał swoją tacę, odstawił w okienku i wyszedł, nawet nie uśmiechając

się na pożegnanie do barmanki. Peter dogonił go chwilę później.

– Ja nie zniechęcam, tylko namawiam do poważnego namysłu. W sumie dlaczego pobieracie się tak szybko?

W przypadku Kota to pytanie traciło swoje podstępnie złośliwe drugie dno. Ale Tomek i tak był już wkurzony.

– Ludzie w końcu biorą śluby. Zawsze mi się wydawało, że taki jest zwyczaj.

Przypiął się do ławeczki, włączył wyciągarkę i pofrunął miarowo w górę.

Warszawa nadal milczała.



Koty pracowały. Sunęli na swoich ławeczkach stopniowo coraz niżej, omiatając przy okazji wzrokiem kolejne piętra sąsiedniego budynku. Ciemnogrnatowe szyby odbijały wszystko jak lustro, poprzedzielane pionami jasnoblękitnych, bardziej przejrzystych halli z windami.

Minęło pierwsze obiadowe natężenie ruchu na korytarzach i w barze, potem minął też czas pracy pierwszej zmiany i na parkingu zaroilo się od samochodów, a na placu od szeregowych pracowników – najpierw tych nowych, napływających od stacji metra, nieco później – tych wychodzących.

Rueckner przyduszał się w upale. Wzrok mącił mu się od refleksów tańczących na otaczających go gładkich powierzchniach, w nos wwiercał się zapach nagrzanego betonu, plastiku i lin asekuracyjnych.

Z Warszawy przyszła wreszcie, rychło w czas, jak uznał z przekazem Peter, informacja od Saszy, że dziś jednak będzie w pracy dopiero po pierwszej. W planach nic to nie zmieniało, pominąwszy tylko, że Koty będą

się smażyć o kilka godzin dłużej.

Tomek, obrażony śmiertelnie, udawał chyba, że Petera nie zna, a w każdym razie nie wdawał się z nim w żadne rozmowy, pilnie dłubiąc przy swoich odstraszacach. Zdjął koszulkę i prezentował laborantkom oraz urzędniczkom z Zhao Yang swoją figurę młodego Adonisa. Rueckner miał na końcu języka kolejny zjadliwy komentarz, ale nie było mu go dane wygłosić, bo zabrakło okazji do zaczepki.

A potem uwagi na temat sposobu bycia Lewickiego wywietrzały mu z głowy.

– Ksz, ksz... – Usłyszał szept Kota.

Odwrócił się w stronę Tomka, a potem błyskawicznie podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. W hallu na najniższym piętrze mignął przy bladobłękitnej szybie wózek Kurbatowa.

Jednak chłopak w był w towarzystwie kilku osób.

– Szlag... – mruknął Tomo, a Peter tylko skinął głową, żeby pokazać, że też to widzi: Sasza jechał do barku nie tylko z kolegami, ale i z szefową.

Kolejny szczyt przerw obiadowo–papierosowych nadszedł i przeszedł, a im pozostawała cierpliwość. „Później”, kodował Sasza na forum. „Po pracy”, niósł w bitach kolejny uśmiechnięty kot.

Peter z ulgą wylądował na placu. Napił się wody i przemył nią twarz. Nadszedł już wieczór, magiczna jasna pora, która miała tu trwać do północy, lecz nadal było bardzo ciepło, a zmiana Kurbatowa jeszcze nie szykowała się do wyjścia.

Rueckner, starający się porządnie symulować pracę, podszedł do zostawionego przez innych robotników rusztowania, z którego najłatwiej byłoby zamontować urządzenia pod sięgającą piątego piętra kolumnadą ozdabiającą front budynku. Srebrzyste walce kolumn lśniły chłodno w poświacie zachodu słońca.

Kot wspiął się zgrabnie do połowy wysokości i wtedy poczuł, jak jeden z metalowych szczebli usuwa mu się spod stóp. Mokre od potu dłonie też straciły oparcie i Peter poleciał w dół, prawie wybijając sobie przednie zęby o podest rusztowania.

Zanim zdążył pomyśleć, co robi, odbił się kopniakiem od podstępnej konstrukcji, zwinął w salcie i przetoczył po wyłożonym granitową kostką placu.

A potem zamarł – nie wiedząc, czy wstać czym prędzej, udając, że nic się nie stało, czy też odwrotnie: demonstracyjnie masować rzekomo poobijane części ciała i głośno komentować, jakie to szczęście, że nic sobie nie złamał.

„Cholera jasna”, zdążył tylko pomyśleć, zanim zjawił się przy nim Lewicki.

– No to żeś się popisał, Ted – syknął, schylając się nad Peterem, który jednak wybrał wariant z powolnym i niepewnym zbieraniem się z ziemi. – Nie ma to jak nie rzucać się w oczy.

– Rusztowanie było do dupy, jakby tam wszedł ktoś normalny, skrzyłby kark.

– Cała ta budowa to jeden kryminał. – Tomek wzruszył ramionami. – Co jakiś czas pewnie zlatują. Nie poczułeś, że szczebel niepewny?

– Łeb mi pęka, gorąco jest. – Rueckner stał już na nogach, jakby nigdy nic.

– Gorąco? No co ty? Chłodek. – Lewicki postanowił jednak włożyć koszulkę i posłał kumplowi szeroki, wredny uśmiech.

„I będzie się teraz napawał moim błędem, zamiast myśleć, na ile był niebezpieczny”.

– Myślisz, że ktoś mógł widzieć?

– Cały budynek. – Tomo pociągnął colę z gwinta.

– Ale czy ktoś patrzył?

– Na budowlańców? Po co? A te, co patrzyły, to na mnie, kochany, zdecydowanie na mnie.

– Kurrwa... – Szepnięte na przydechu zabrzmiało to nawet mało agresywnie. – No dobra, zakładamy, że nikt nie będzie oglądał w kółko zapisu monitoringu, skoro nic mi się nie stało, nie jedzie karetka i nie chcę odszkodowania? Prawda?...

– Tak zakładamy. – Tomo spoważniał. – Musielibyśmy mieć naprawdę niezłego pecha, żeby było inaczej.

Peter niby spojrział w rozświetlone obłądną łuną niebo, a tak naprawdę omiótł wzrokiem te kamery monitoringu, które udało mu się rozpoznać.

– Ten model nie raportuje zdarzeń niezgodnych z typowym wzorcem zachowań w obiekcie, prawda?

– Pojęcia nie mam, Peter.

– Ja też. Griffin by wiedział. Na pewno.

– Yhm – potwierdził Tomek, a Rueckner poczuł, jak Kotu najpierw udziela się jego ponury nastrój, a chwilę później, że Lewicki jakby strząsa go z siebie, w lekkim dreszczu.

„Cholera, Tomo jest przesądny”. Peter za późno ugryzł się w język.

– Spytam Sanję o te kamery – powiedział na głos.

– Żartujesz? Przez swoją głupotę już lecisz wypłakać się dowódcy w rękaw?

– No, popisałem się prawie jak Louise. – Rueckner postanowił mieć jednak wieczór dobroci dla Lewickiego, dla podwyższenia morale zespołu.

– Oj, nieeee... Ona by po prostu spadła – zarechotał Tomo, porządkując narzędzia. Potem podniósł wzrok na rozmówcę. – Wiesz, ja nie mam nic przeciwko Lou. To sympatyczna i niegłupia Kociczka, ale taka trochę niepełnosprytka.

Peter parsknął, a Lewicki wytłumaczył: – Jakby była prawdziwym kotem i

ktoś trzymałby ją na kolanach, a potem nagle wstał, to ona zamiast zeskoczyć, spirzyłaby się na podłogę i tylko patrzyła z wyrzutem. Powiedz tylko, że nie mam racji!

Ale Rueckner pisał już do Warszawy. Mykicioniuk, zgodnie z jego przypuszczeniami, kazał kontynuować. A chwilę potem dodał: „Kontakt na imprezie – ?”.

Znak zapytania oznaczał pewnie, że dowódcę ta „impreza” co najmniej zdziwiła. Kotów – trzeba przyznać, że dzięki pogaduszkom Lewickiego – już nie.

„Potwierdzam, rozumiem”, odpowiedział Peter.



Bar w wersji klubowej okazał się większy niż w dzień – rozsunięta ściana otworzyła go na sąsiednie pomieszczenie. Druga, przeszklona i wychodząca na plac, teraz musiała zostać przyciemniona, żeby padające z zewnątrz światło nie psuło efektów: fioletowego tła, na którym wędrowały po suficie kosmiczne mgławice. Stroboskopowy pulsar dezorientował wchodzących.

Tomek zdziwił się w pierwszej chwili, widząc w środku mnóstwo ludzi. Ci pracownicy Zhao Yang, którzy chodzili do pracy w garniturach, nosili je nadal, ale wielu miało na sobie mniej oficjalne ubrania. W zmieniających się światłach migąły raz na białą, raz na niebiesko kołnierze nieskazitelnych koszul poważnych chińskich menadżerów i odblaskowe malunki na głanach młodych laborantów. Muzyka, na zewnątrz ledwo słyszalna, tu rozwaliała Kotom bębni.

Kurbatow na swoim wózku od razu rzucał się w oczy. Mijał tańczących

szybkim, precyzyjnym slalomem, oddalając się od grupy Rosjan, z którymi przyszedł. Zbliżał się do drzwi prowadzących z powrotem do hallu z windami. Przy nich byli z Saszą umówieni.

Nie przypuszczali, że przebrawszy się z roboczych strojów w normalne ciuchy, tak szybko wtopią się w tłum, jak w zwykłym klubie. Ludzie z Zhao Yang chyba naprawdę mieli co odreagowywać po pracy. Lewicki czuł od większości zapach alkoholu, choć nikt nie wyglądał jeszcze na pijanego. Kilka osób wniosło też chyba na imprezę własne, mniej niewinne, używki.

Saszka mijał właśnie niebieskowłosą dziewczynę, która szła z tacą do stojących w rogu stolików. Przywitała chłopaka wesoło; musiała go dobrze znać i chyba lubić. Kot ich nie słyszał, sami pewnie też nie słyszeli się nawzajem, ale tym łatwiej było mu czytać ich rozmowę z tych kilku gestów, które zdążyli wymienić. Potem Kurbatow sięgnął po jedną ze stojących na tacy butelek piwa, pociągnął długi łyk i stał tak przez chwilę między tańczącymi, kiedy barmanka poszła już w swoją stronę.

„Zbiera się na odwagę”, pomyślał Tomek. Rozglądał się czujnie wokół, chciał mieć to już za sobą. „Rusz się, chłopie, do cholery”.

Sasza, jakby słysząc myśli Lewickiego, odstawił niedopitą butelkę na podłogę, mając najwyraźniej wysokie mniemanie o przytomności umysłu swoich kolegów – albo zakładając, że jeżeli któryś na nią nadeptnie, będzie to jego problem.

Peter otworzył niepełnosprawnemu Rosjaninowi drzwi do hallu i po chwili wszyscy trzej znaleźli się w windzie sunącej majestatycznie na najniższy poziom garaży. Gdy z niej wysiedli, Tomo wyciągnął rękę w stronę Saszy.

– Daj mi to teraz – powiedział i nie mogąc się powstrzymać, dodał: – Bilet do kontroli proszę.

Chłopak uśmiechnął się nerwowo. Chwilę później niepozorny czarny

pendrive zmienił właściciela.



W Warszawie był dopiero kwadrans po ósmej wieczorem, ale padało i na dworze kolory zaczynały już szarzeć w zapadającym zmroku. W biurze Mykicioniuka paliło się światło. Dowódca Kotów miał gościa.

Po ostatnich wyborach nastąpiły przetasowania w rządzie i Paweł Zwierzchowski, czyli młody–zdolny–ambitny Chłopiec Samo Zło, wrócił na stanowisko doradcy w MON.

Siedział teraz naprzeciwko Mykicioniuka, ulizany i elegancki, ze swoimi związanymi w kucyk włosami. Uprzejmy jak żmija maczana w miodzie.

Jednak tym razem ewidentnie poirytowany.

– Nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek zadrażnienia w stosunkach z Chinami. Jakiegokolwiek – powtórzył. – Obecność unijnego lotniskowca na Oceanie Indyjskim może teraz zostać odczytana jako...

– Nie wysyłałem Kotów do Chin.

– Proszę nie żartować, panie pułkowniku. Obaj wiemy, że obsesja profesora na punkcie tego... tego zmodyfikowanego chłopaka jest nieco przesadzona, a może wyrządzić wiele szkód.

– Nie mnie oceniać. – „Panie Pawle”, dodał w myślach Mykicioniuk, jednak nie powiedział tego głośno, bo to już nie był tamten, nieopierzony Chłopiec Samo Zło co sześć lat temu, a i on nie był Mikołajczakiem. – Misja została zaakceptowana przez mojego przełożonego.

– Ale pan ma obowiązek czuwać nad jej przebiegiem. W dodatku teraz, w zmienionej sytuacji...

Wczesnym rankiem, kiedy Koty zaczynały pracę na budowie w Petersburgu, tysiące kilometrów dalej, w Nowosybirsku, doszło do zamachu na chiński konsul. Kruchy pokój między azjatyckimi mocarstwami, oparty na ekonomicznej i demograficznej ekspansji tego silniejszego, zachwiał się niezauważalnie.

– Moi ludzie wrócą do kraju niezależnie od zaostrzenia kontroli.

– Jak?

– Bezpiecznie – uciął bezczelność Mykicioniuk.

Jeszcze tego brakowało, żeby miał Zwierzchowskiemu szczegółowo opowiadać o skomplikowanej pajęczynie unijnych agentów oplatającej petersburski port.

– Jest pan pewien, że również w piątek, kiedy...

– Do piątku dawno będą już wszyscy w Unii, razem z Kurbatowem. – Mykicioniuk zaczął żałować, że nie wziął ze sobą na tę rozmowę którejś z Kotek. Maja może powiedziałaaby wymuskanemu cywilowi coś niestosownego, co poprawiłoby dowódcy humor, a Sanja pewnie umiałaby ocenić, na ile Zwierzchowski naprawdę tak niepokoił się tą akcją, a na ile po prostu chciał podkreślić, że nie podoba mu się wspieranie badań Mikołajczaka.

– Oby miał pan rację – rzucił Chłopiec Samo Zło, który lubił mieć ostatnie słowo.

Na piątek zapowiedziano nadzwyczajne rozmowy w związku z incydem – na pewno nie były to okoliczności do przemycania kogokolwiek przez granicę.

O ile dało się ocenić po krótkich szyfrowanych wiadomościach, Sasza był przerażony wizją ucieczki polegającej na tym, że po prostu wyjdzie z pracy i ślad po nim zaginie. Jako pełnoletni teoretycznie mógł sam pojechać na lotnisko i przylecieć do Unii. Ale na teorii to się kończyło. Jedynym

sposobem na wywiezienie go spod skrzydeł wszechwładnego Zhao Yang było założenie, że szeregowi przedstawiciele rosyjskich służb państwowych też nie powinni się o tej podróży dowiedzieć. A Kurbatow był niestety zbyt charakterystyczny, żeby po prostu sprawić mu nowy, unijny paszport na inne nazwisko.

– Jest takie trafne przysłowie – dodał jeszcze Zwierzchowski wstając. – Nie pchaj palca między drzwi. Pozostaje mieć nadzieję, że rosyjsko–chińskie zawiasy nie przytrzasną pańskim Kotom ogonów.



Sasza potrafił poruszać się zaskakująco szybko, jednak gdy przecinali podziemny parking, Peter wolał sam pchać wózek Kurbatowa. Zmienili się z Lewickim przy chłopaku prawie natychmiast, kiedy tylko Rosjanin rozpoznał Tomka – teraz Rueckner miał gwarantować Saszy bezpieczeństwo, a młodszy Kot odpowiadał za to, żeby wydostali się z kompleksu biurowców bez niespodzianek. Nawet nie rozmawiali o podziale zadań, był dla nich oczywisty.

Peter widział plecy Tomka, który szedł kilka kroków przed nimi, lekko, sprężysto, nasłuchując i węsząc. Odwrócił się na chwilę, rzucając Ruecknerowi spojrzenie: „Jest OK” i mrugając łobuzersko do przestraszonego Saszy. Mimo że chłopak starał się zachowywać naturalnie, Koty wyczuwały jego ogromny stres.

Szli szerokim przejściem, które łączyło podziemia starego i nowego budynku. Zostało oddane do użytku wcześniej niż reszta powstającego biurowca, bo bardzo korzystnie wychodziło wprost na ulicę, przy której

znajdowała się stacja metra. Zanim je otwarto, pracownicy albo nadkładali drogi naokoło, albo – częściej – próbowali przemykać nielegalnie przez rzadko w dzień zamykane bramy na teren budowy.

Jednak o tak późnej porze, prawie wpół do jedenastej, kto skończył drugą zmianę, ten albo pojechał od razu do domu, albo balował na imprezie. Tunel dla pieszych był pusty, tylko gdzieś daleko między stanowiskami parkingowymi błysnęły światła samochodu.

Mieli za sobą już większość drogi, którą musieli pokonać na piechotę. Kiedy wjadą na poziom gruntu, nie będą podążać dalej standardową trasą wychodzących pracowników, tylko – korzystając ze swoich kart uprawniających do poruszania się skrótami – korytarzami nowego budynku wydobiją się na boczny parking koło kontenerowego miasteczka budowlańców. Tam czekała już półciężarówka ze sprzętem do pracy na wysokościach. Jej zamknięta bagażowa część została przygotowana do zapewnienia Saszy przyzwoitych warunków przejazdu.

Przynajmniej tu mogli o niego zadbać – podróży do Estonii w ładowni małego rybackiego kutra chłopak na pewno nie będzie wspominał z rozrzewnieniem. Z drugiej strony, jeżeli miał zamiar latać w kosmos, to chyba powinien mieć w sobie choć odrobinę żądz przygód.

Peter zatrzymał wózek Kurbatowa i czekając na wezwaną przez Tomka windę, spojrzał z góry na Saszę. Ten w najmniejszym stopniu nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo ryzykowna sytuacja bawi. Kiedy tylko się zatrzymali, palce lewej ręki zacisnął na nieruchomym teraz kole wózka, a prawą skubał nerwowo zapięcie kieszeni bojówek.

Rueckner w uspokajającym geście położył dłoń na ramieniu Rosjanina. Zazwyczaj miał dobre podejście do pacjentów czy postronnych osób zaangażowanych w akcje Kotów, ale tym razem Kurbatow prawie wzdrygnął się pod nagłym dotknięciem. Peter mruknął jakiś przeprasający banał, z

odruchowej grzeczności nawet po rosyjsku, i czym prędzej cofnął rękę.

„Ależ idiota ze mnie”, zreflektował się.

Po pierwsze Peter nie ma prawa zapominać, że Kurbatow nie jest Kotem. Może sobie nie życzyć, żeby obmacywał go obcy facet, w ogóle jakakolwiek obca osoba. Po drugie akurat Sasza może mieć głęboki uraz do protekcyjnych gestów, podkreślających jego pełną zależność.

Rueckner oparł obie dłonie o uchwyty wózka i patrzył na wyświetlacz windy, który wreszcie zaczął wskazywać ujemne wartości. Tomo trwał przy jej drzwiach. Gdyby ktoś przyjrzał mu się równie dokładnie jak Peter, może zauważyłby, że Kot zamarł w nienaturalnym, trudnym do utrzymania przez człowieka bezruchu, czujny jak polujący drapieżnik.

Jednak nawet Tomo przeniósł na chwilę uwagę z pustego korytarza i odległego szumu zbliżającej się windy na napiętego jak struna Saszę. Peter widział, że Lewicki skrzywił się lekko, raczej zmartwiony niż zirytowany.

Właśnie w momencie, kiedy Tomek znów odwracał wzrok w kierunku otchłani parkingu za ich plecami, a Kurbatow w narastającej panice machinalnie odpinał i zapinał zatrzask kieszeni, w Peterze górę nad dobrym wychowaniem i zdrowym rozsądkiem wzięły odruchy szkolenia.

– Przepraszam cię bardzo, Sasza – powiedział nagle po angielsku, bo rosyjski znał za słabo. – Pozwolisz, że...

Błyskawicznym ruchem lewej ręki unieruchomił chłopaka na wózku, obejmując go od tyłu, a prawą sięgnął do kieszeni bojówek. Lata szkolenia, w zasadzie tresury, nawyk automatycznego wychwytywania pewnych drobnych, z pozoru nieistotnych gestów...

Sasza nie zaprotestował, zamarł, zachłystując się histerycznie wciągany powietrzem.

Peter wyjął z jego kieszeni plastikowy przedmiot. To nie była broń, jakiegokolwiek rodzaju – tylko mała maska oddechowa, z filtrem albo

dozownikiem leku.

– Masz astmę? – spytał ostro Tomek, od razu orientując się w sytuacji. – Gwałtowne reakcje alergiczne na coś?

Rueckner puścił chłopaka i odwrócił wózek w taki sposób, żeby obaj z Lewickim mogli widzieć twarz Saszy.

– Odpowiedz – ponaglił dobitnie, po Kociemu.

– N–nie... – wykrztusił Kurbatow, ulegając woli Petera.

Wymiana szybkich spojrzeń między Ruecknerem a Tomkiem – nie kłamie. Czyli...

Peter szarpnął maskę, odrywając fragment zewnętrznej osłonki.

– Filtr. Nie wiem, tu chyba nie ma leku, sam filtr.

Winda zatrzymała się z cichym „ding”, drzwi rozsunęły się. Lewicki bardzo powoli odwrócił się w stronę kabiny, a potem miękkim, ledwo uchwytnym dla Saszy, lecz widocznym dla drugiego Kota ruchem usunął się poza zasięg fotokomórki, za osłonę ściany. Rueckner szarpnął wózek w bok.

Ale winda była pusta, jaskrawo oświetlona, iskrząca się lustrami i chromem.

– Pieprzona pancerna klatka... – wycedził Tomek po angielsku, a Sasza, wczepiony kurczowo dłońmi w siedzisko wózka, najwyraźniej świetnie go zrozumiał. – Pancerna klatka na Kotki, co? – Lewicki przeszedł płynnie na rosyjski, a Peter nie był pewien, czy do końca świadomie.

Po długiej chwili, pachnącej strachem Saszy i narastającą wściekłością Lewickiego, winda zamknęła się z powrotem.

– Mieli nas otruć? – spytał Peter. „Dlatego chłopak tak się bał, że nie zdąży założyć maski”. – Czy raczej uśpić?

– Zabić mogli dużo łatwiej – prychnął Tomek.

„Nas! Chodzi im o nas obu!”, dopiero teraz uświadomił sobie Rueckner. Tamo wadliwe rusztowanie, zostawione specjalnie dla ekipy wysokościowej.

To jednak nie mógł być przypadek, tylko test – dla niego. Bo najwyraźniej Kocie geny Lewickiego były dla Zhao Yang oczywistością.

– Uśpić... – Głos się Saszy łamał, ale chłopak rozpaczliwie próbował odzyskać resztki kontroli.

Koty nasłuchiwały – nic, cisza, parking jak był pusty, prawie wymarły, tak trwał nadal w swoim niczym niezakłóconym spokoju.

– Chłopaki, może się dogadamy... – Kurbatow strzelał oczami od jednego Kota do drugiego, przekonany, że od tego, co uda mu się teraz powiedzieć, zależy jego życie. – Panie Woch, widzieliśmy, jak pan się zachowywał, rozmawiał z ludźmi na budowie... Mówi pan po rosyjsku jak nasi, chińskiego się pan nauczy. – Sasza zaśmiał się krótko, histerycznie. – Jakoś się dogadamy, jeżeli chodzi o warunki...

Lewicki parsknął i skinął szybko ręką na Petera. Rueckner wyciągnął Saszę z wózka i zarzucił sobie na plecy, a ten był zbyt zaskoczony, żeby protestować. Koty zanurkowały w wąską boczną klatkę schodową, na którą wpuściły ich bezcenne karty pracowników budowy.

– Sezamie, otwórz się – szepnął Lewicki po polsku przy kolejnej przeszkodzie i po chwili biegli już w górę tak szybko, jak tylko Peter mógł. – Pomóc ci, Ted?

– Na razie nie trzeba.

– Słuchaj, Saszka. – Lewicki sadził po kilka stopni, utrzymując stałą odległość od pnącego się miarowym truchtem po schodach, pochylonego pod ciężarem Ruecknera. – Nie pierdol mi tu o współpracy i może jeszcze o kasie. Wywieźlibyście nas do jakiegoś ośrodka, zakopali żywcem ileś pięter pod ziemią na całe miesiące, żeby sobie satelity choćby i do usranej śmierci mogły szukać. Pranie mózgu, testowanie możliwości, *full service*.

– Dziecko, czy ty myślisz, że myśmy wojskowego labu od środka nie widzieli? – sapnął Peter, wzmacniając żelazny uchwyt na ramieniu Saszy i

poprawiając go sobie na grzbiecie tak delikatnie, jakby Kurbatow był workiem kartofli. – To lepiej ty mocno pomyśl, czy nie wolisz grzecznie współpracować i polecieć z naszymi na Marsa.

– Bo jednak nasze laby są chyba fajniejsze niż te za Uralem, hmm?

Byli już prawie na poziomie gruntu, a Sasza dygotał, spocony ze strachu jak mysz. Nie odezwał się ani słowem, wpatrzony w Tomka, który nie odrywał od niego oczu. Lewicki mówił cicho, powoli, Peter rozumiał pojedyncze słowa: – Jesteś rosyjski czy chiński, kto ma tę technologię? Kto cię skrzywdził, Saszeńka?

Rueckner czuł, jak dzieciak powoli zaczyna odpływać pod Kocim spojrzeniem.

– *Niet...* – szepnął tuż przy uchu Petera.

– Kto? Kto ma technologię? Profesor Chen?

– *Da, Chen...*

– Grzeczna myszka. Zabierzemy cię stąd, Saszeńka.

Kurbatow, który nie próbował się bronić, ale opierał się Peterowi samym bezwładnym instynktem, teraz zmiękł, poddał się, jak zasypiające na rękach dziecko.

„On mi go tu, kurwa, zaraz zahipnotyzuje, czy jak?”. Koty normalnie takich rzeczy nie umiały. Sasza widocznie przekroczył już taki punkt stresu, w którym dodatkowa Kocia perswazja kompletnie go rozstroiła.

– Zabierzemy cię, Saszeńka – mruknął jeszcze machinalnie Lewicki i wyrwał efektownym susem do przodu, na górny podest, do drzwi.



Kiedy Mykicioniuk wrócił do pomieszczenia, z którego obserwowano rozwój akcji w Petersburgu, obie Kotki milczały – z ich punktu widzenia nie działo się nic i to było chyba najbardziej frustrujące.

– Nadal są w budynku – powiedziała znad monitorów Sanja.

Maja Szymczyk siedziała na parapecie, wysoko, półtora metra nad podłogą. Okno w tym pokoju służyło raczej do wpuszczania powietrza i dziennego światła, niż do tego, żeby przez nie wyglądać. Teraz zresztą i tak było zasłonięte. Mykicioniuk zastanawiał się, czy Kotka słyszy przez pancerną szybę bębnienie deszczu o antywłamaniową żaluzję. Dla dowódcy pomieszczenie pogrążone było w ciszy, w prawie bezgłośnym pomruku klimatyzacji i komputerów.

– To za długo trwa – zniecierpliwiła się Majka, nerwowo bawiąc się swoim srebrnym krzyżykiem.

– Lwie Serce, walerianki?

Spojrzenie, które mu rzuciła, było pełne wyrzutu. Zawierało też sugestię, co odpowiedziałaby Szymczyk, gdyby to nie dowódca pozwolił sobie na taką zaczepkę.

– Popović, masz coś jeszcze? – zwrócił się do drugiej Kotki.

– Wszystko w normie. Kilka osób wychodziło ze starego biurowca, ktoś się jeszcze płacze po budowie, ale ogólnie pusto.

Mykicioniuk skinął głową.



Karty nie działały. Ani ta Lewickiego, ani druga, którą wyciągnął z kieszeni Ruecknera. Prowadzące do głównego hallu drzwi nie zareagowały

nawet na kolorową bransoletkę Saszy, którego nadgarstek Peter bezceremonialnie przystawił do czytnika. Klatka schodowa zamieniła się w... klatkę właśnie. Wysoką na kilkadziesiąt pięter i wąską.

Na szczęście niewykończoną, a przez to szalenie nieszczelną. Tomo rzucił się biegiem w górę, na pierwsze piętro, a Rueckner z Saszą za nim.

Oglądali zdjęcia z budowy, przemycone dla nich przez unijnego agenta, poza tym sami zdążyli się zorientować nieco w sytuacji. To skrzydło wielomodułowego wieżowca pozostawało w stanie półsurowym, zamknięte, ale nawet bez porządnie wydzielonych pomieszczeń – pomiędzy ścianami nośnymi ziały tam czeluście pustych hal o wysokich stropach i betonowej podłodze. Nie funkcjonowały tu też jeszcze elektroniczne zabezpieczenia w drzwiach, tak po prawdzie to i samych drzwi prawie nie było.

Biegli przez półmrok rozpraszany tylko światłem padającym przez odległe okna. Dopadli wreszcie ściany zewnętrznej, prostopadłej do tej z kolumnadą. Biurowiec miał przechodzący na wylot budynku hall i dwa symetryczne główne wejścia – jedno od strony swojego starszego bliźniaka i drugie od ulicy – oraz kilka bocznych w odgałęzionych segmentach. Peter pamiętał, że właśnie tutaj, w wąskiej przestrzeni wymuszonej przez pobliską granicę należącej do Zhao Yang działki, jakby doklejono do budynku na wysokości pierwszego pietra niewielki taras i prowadzące do niego dość szerokie, białe schody. Widocznie miało tu się mieścić jakieś biuro, nastawione na wizyty klientów.

Rozsuwane drzwi na taras oczywiście nie zareagowały na sygnał z fotokomórki, ale też i na próbę ręcznego uruchomienia – przy pomocy kart i bransoletki. Za to okno, ruchoma tafla w przeszklonej ścianie, dało się po prostu od środka otworzyć ręcznie. Gdyby budynek był wykończony, już dawno wyłby alarm z czujników ruchu w pomieszczeniu. Ale przecież teraz nawet ich jeszcze nie zamontowano.

Okno jednak nie wychodziło na taras, lecz nieco dalej w stronę w głównej ulicy: znajdowało się nad środkowym podestem schodów, co dawało mniej więcej wysoki parter. Dla Kotów żaden problem, ale pozostawał Sasza.

Tomek skoczył pierwszy i przemknął dalej, przyczajony pod kamienną balustradą, badając trasę, którą pomiędzy kontenerami budowlańców dało się przejść na parking, gdzie czekała półciężarówka. Peter posadził Kurbatowa na parapecie, nadal unieruchamiając jego rękę. Był Kotem i mógł mu wydać krótkie, proste rozkazy, pozwalające im obu na w miarę sprawne zejście na podest. Sasza, oszołomiony i bierny, poddałby się im bez dyskusji – to zawsze stanowiło przewagę Kota nad ludźmi.

Jednak Rueckner, przechodząc na drugą stronę parapetu i pomagając chwiejącemu się bez podparcia rąk Saszy w zrobieniu tego samego, chciał wykorzystać tę krótką chwilę, kiedy patrzył na chłopaka, żeby wyjaśnić mu kluczową rzecz.

– Sasza, nie chcemy ci zrobić krzywdy. Jeżeli będziesz współpracował, możesz wyjść na tym lepiej niż na uwiązaniu do Zhao Yang.

„Nie żeby go ktokolwiek planował puścić luzem na ulicę”, uściślił w myślach. „Teraz już na pewno nie. Gdyby od początku szedł z nami z własnej woli, wtedy prędzej”.

Wszyscy mieli jako takie pojęcie o tym, jak wyglądały tego typu eksperymenty na wschód od unijnej żelaznej kurtyny. Z pozoru bardzo ładnie i cywilizowanie, tylko że Kotu aż włoski na karku jeżyły się na myśl o tym, dokąd zabrano by go z tamtej windy.

Lewicki machnął do nich krótko, przyzywająco, i ruszył znów kilka kroków w przód, za kolejny kontener.

– Zabieramy cię, ale ty nadal możesz na tym dużo zyskać – powtórzył Peter, nie tyle nakazując chłopakowi akceptację przekazanej treści (bo tego nie umiał), ile zmuszając go do uważnego słuchania i starając się okazać

maksimum dobrych intencji. Co zresztą wcale nie wymagało od niego kłamstwa.

Kurbatow nie miał już tego błędnego, nieprzytomnego wzroku, już nie sprawiał wrażenia, że za chwilę zemdleje ze strachu. Rozumiał, co do niego mówią, a przez jego twarz przebiegała mieszanina skrajnych emocji.

– Przytrzymaj się tutaj, o tak. Potem opuść się jak najwolniej, ja cię złapię – instruował szybko Peter, a Sasza bez oporu wykonywał Kocie polecenia.

Rueckner odwrócił się na moment, żeby zeskoczyć na podest. Może to był właśnie jego błąd – że nie patrzył chłopakowi cały czas w oczy, gdy ten zdawał się być wciąż pod kontrolą jego słów. Narastająca determinacja, którą Peter wziął za dobry objaw, zogniskowała się nagle w samobójczą odwagę. Kot zdążył się w ostatniej chwili uchylić i tylko dlatego ciężkie, podkute buty ortopedyczne Kurbatowa nie trafiły go w skroń, a w bark. Mimo to stracił równowagę i poleciał z parapetu w dół.



Lewicki oberwał nagle prosto w nos gwałtownym podmuchem ciepłego wiatru. W pobliżu wieżowców tworzyły się dziwne prądy powietrzne, wichury, zawirowania. I właśnie teraz jeden z takich lokalnych miniaturowych huraganów niósł od strony parkingu zapach ludzi. Wielu, bojowo spiętych, zapewne uzbrojonych ludzi.

Telefon w wewnętrznej kieszeni kurtki Tomka wibrował nadchodzącą szyfrowaną wiadomością, pewnie ostrzeżeniem przed tym, co sam już doskonale czuł. A za jego plecami nagle rozległ się krzyk, histeryczny, skrzekliwy, lecz artykułowany wrzask przerażonego, jednak zdecydowanego

walczyć człowieka. To Sasza, na całe gardło, po chińsku wzywał swoich. Żeby to zrozumieć, nie trzeba było znać słów.

Tomo spojrzął za siebie i zobaczył Kurbatowa, jak ze zręcznością akrobaty balansował, szedł na rękach, biegł na nich właściwie, po zewnętrznym parapecie w stronę Petera, który usiłował podciągnąć się z powrotem na okno.

Sasza z całej siły kopnął palce Ruecknera, masywną podeszwą miażdżąc mu dłoń, spychając ją z powrotem w dół. Sam odbił się wtedy rękami i cyrkowym saltem poleciał w tył, w bezpieczną ciemność budynku. Uwolniwszy się od porywacza, chciał odgrodzić się od niego ścianą, w nadziei że Kot, ratując własną skórę, nie wróci już po nieporęczny, desperacko broniący się sześćdziesięciokilogramowy żywy plecak.

Peter odruchowo przycisnął ranną rękę do żeber. Drugą już trzymał się okna i ułamek sekundy później stał na parapecie – kiedy Sasza był w trakcie salta.

Tyle że Tomek nie czekał na rozstrzygnięcie sytuacji. Kiedy tylko usłyszał krzyk, wyciągnął pistolet i teraz władował w Kurbatowa cały magazynek. I trafił oczywiście. Można by powiedzieć, że miał wyjątkowe szczęście, ale też i przez ostatnie ponad dziesięć lat Lewicki spędzał czas wolny głównie na strzelnicy – waląc w nieruchome i ruchome tarcze z wszelkich rodzajów broni palnej, jakimi tylko pozwolono mu się bawić.

Sasza spadł za krawędź okna, do wnętrza budynku. Rueckner, któremu Tomek szybkim ruchem nakazał odwrót, wbiegł na taras i zeskoczył z całej jego wysokości po przeciwnej stronie – kierując się do starego biurowca.



– Nie żyje? – spytał Tomek, doganiając Petera w kilku susach.

– Prawie.

Podmuchy wokółwieżowcowego wiatru uwalniały Ruecknera od woni śmierci i krwi, męczarni konania. Nawet Lewicki nie zdołał tak celnie strzelić, żeby zabić Saszę na miejscu.

Pytanie o dłoń Petera nie padło, odpowiedź była oczywista dla ratownika i Kota – połamane palce, pewnie też część kości śródrečza, ból i niesprawna ręka.

Dopadli pędem wejścia do korporacyjnego baru. Wbiegli w ciemność i szalejący stroboskop sztucznego pulsara. Przepychali się między ludźmi, w oparach nadtrawionego alkoholu i pachnącego narkotykami potu. Jakieś dziewczyny chciały z nimi tańczyć. Ktoś popchnął Ruecknera, mimo jego błyskawicznego uniku trafiając prosto w okaleczoną dłoń, aż Kota zemdliło od tego uderzenia.

Zabawa trwała niezakłócona, przez muzyczny łomot nie przebiły się krzyki i ciche, wygłuszone tłumikiem strzały, a zza przyciemnionych szyb nie było widać ochroniarzy, którzy na pewno już kłębili się na placu. Nikt nie zarządzał tu ewakuacji ani nie wprowadzał uzbrojonych ludzi na salę, może dla ograniczenia plotek, a może wychodząc z założenia, że panika tylko utrudni pościg.

Tomek odnalazł wreszcie swoją barmankę. Peter widział, jak pochyła się nad nią delikatnie, niby w piieszczocie, ale takiej graniczącej co najmniej z bezczelnością. Dziewczyna poddała się Kocie dominacji, pozwalała się popychać w stronę przejścia dla personelu, miękła pod dotykiem Lewickiego, w błyskach świateł Rueckner widział jej kokieterijny uśmiech.

Otworzyła przez nimi drzwi, jedno, a potem, kiedy minęli wąski korytarzyk zastawiony sięgającymi sufitu wózkami na tace z naczyniami do mycia – drugie, już te prowadzące za parking dla samochodów dostawczych.

W oczy uderzyło ich nienormalnie jasne, prawie dzienne światło, świeży powiew zastąpił zaduch dyskotekowego dymu i nikotyny z e–papierosów.

Niebieskowłosa barmanka jakby oprzytomniała, dopiero teraz sobie uświadamiając, że nie jest z przystojnym alpinistą w dyskretnym sam na sam, ale że towarzyszy im jeszcze jego kolega – i że właściwie co ona robi w tym dość obskurnym zakątku między kontenerem na śmieci a drzwiami.

Zanim zaczęła krzyczeć, Lewicki zacisnął dłonie na jej szyi. Puścił dziewczynę prawie natychmiast, kiedy tylko osunęła się nieprzytomna na chodnik.

Pomknęli z Peterem bardzo szybko, po Kociemu, naokoło przez park, w odurzającym zapachu świeżo skoszonych trawników i amoku ucieczki – w białą noc, byle do ludzi, żeby wmieszać się w tłum mimo późnej pory przelewający się w metrze.

Potem było już łatwiej. Mignęły im tylko obłądnie barokowe kolumny na stacji Awtowo, przesiedli się kilka razy i wydostali na powierzchnię w centrum – gdzie było mnóstwo turystów. Tomek przez satelitarne bezpieczne łącze zorganizował transport prywatnym samochodem i nie ominął ich rejs do Estonii. O ile przestał istnieć problem, jak zmylić skorumpowanego celnika na lotnisku, żeby nie utrudnił wyjazdu Saszy, o tyle teraz Zhao Yang czyniło zapewne wszelkie możliwe starania, by ułatwić władzom ujęcie sprawców zbrojnej napaści – mając Koty uziemione na terenie Rosji, mogliby się jakoś do nich dostać, swoimi sposobami.

Zanim jednak Peter i Tomek wylądowali w śmierdzącej smarami ładowni kutra, Lewicki miał okazję, żeby jeszcze zobaczyć w centrum na własne oczy tę swoją wyczekaną stalową, groźną Newę.



– No, proszę, a Rueckner znowu z łapą na temblaku – stwierdził z pozoru niewinnie pułkownik Andriej Mykicioniuk, stając w drzwiach.

W zasadzie nie musiał nawet nic mówić. Współpraca z Kotami miała tę zaletę, że czasem wystarczyło się po prostu nie maskować ze swoim nastawieniem, a delikwent już we własnym zakresie potrafił odczytać i zinterpretować pełne politowania rozbawienie dowódcy.

I teraz właśnie wyższy od Mykicioniuka o głowę, w pełni wyszkolony agent z elitarnej jednostki, mąż żonie i ojciec dziecku, wbił wzrok w podłogę i chrząknął speszony. Bo co niby mógł odpowiedzieć.

– Lewicki, a ta twoja podduszona barmanka? Przeżyła w ogóle?

– Noo, chyba tak... Dowódco, miałem popełnić taki sam błąd jak przy Kurbatowie?

Mykicioniuk oparł się o jedno z biurek, bo na myśl o tym, że będzie musiał z fotela wstać, odechciało mu się siadania.

– A gdyby nie przeżyła – wzruszyła ramionami Lwie Serce. – To co za problem, to chyba przecież Rosjanka?

Nacjonalizm Majki nawet Koty potrafił czasem ściąć z nóg.

Sanja Popović nie wdawała się w dyskusje z dowódcą. Siedziała w kącie, z monitorem rozłożonym na kolanach.

– Oooo... – powiedziała nagle. – Na stronie Zhao Yang jest oficjalny nekrolog Saszy. Strasznie długi, skoro był tylko stażystą.

– Bo nie był stażystą! – Tomek czytał cyrylicę dużo szybciej niż Sanja. – To znaczy nie tylko.

Korporacja żegnała w bólu Aleksandra Kurbatowa, syna dwojga zasłużonych pracowników, świetnie zapowiadającego się młodego naukowca, przyszłego kosmonautę, który zginął tragicznie w rabunkowym napadzie, kiedy wracał z pracy.

Dalej następowały zaskakująco obszerne wspomnienia o zmarłym,

połączone z historią jego choroby. Matka Saszy była we wczesnej ciąży ekspozowana na broń chemiczną w czasie pierwszej wojny chińskiej i chłopiec urodził się z ciężką wadą wrodzoną stóp. Objęty opieką medyczną Zhao Yang został poddany fachowej rehabilitacji, a kiedy wykazał się nieprzeciętnymi zdolnościami, zapewniono mu kierunkową edukację, nastawioną na podjęcie pracy na stacji orbitalnej.

– Słuchajcie – odezwała się Sanja znad monitora. – Oni to piszą do nas, prawda?

– Być może – zgodził się Mykicioniuk.

Tomek pokręcił głową.

– Dobrze, bardzo ładna przykrywka: rodzice dzieciaka są pracownikami korpo, nie przypomina wam to czegoś?

Sanja prychnęła.

– Myślisz, że to jednak nieudany eksperyment genetyczny? Uważasz, że napisali taki egzaltowany nekrolog tylko z potrzeby serca? Bo mnie się wydaje, że on nie został opublikowany bez przyczyny.

– Tylko po co?

– Bo ja wiem? Jako prztyczek w nos dla nas? Że się nabraliśmy? Taka sama złośliwość jak ten znikający kot z awatara?

– No – zaznaczył Lewicki. – Koty to akurat zniknęły, ale nie w ten sposób, w który oni chcieli. Uśmiech został niewątpliwie, tylko raczej mój niż Chen Xiaobo.

Mykicioniuk postanowił się wtrącić: – Nabraliśmy się idiotycznie. OK, wy poszliście jak dzieci na hasło „nieudany GMO”, was rozumiem. Że mnie się nie zapaliła ostrzegawcza lampka, to wstyd.

Koty milczały przez moment, aż Tomek, idąc tropem myśli, co kogo do tej misji nakłoniło, przypomniał sobie o pendrive, którego dostał od Saszy.

– A te dane? Tam w ogóle coś było? Czy gołe baby albo pocztówki z

Petersburga?

– Było, dane naukowe. Na wypadek, gdyby któryś z was chciał to na miejscu sprawdzić. Ale profesor mówi, że jak się temu bliżej przyjrzeć, to jest tylko bełkot, bzdury.

Rueckner zastanawiał się nad czymś już od dłuższego czasu i w końcu się odezwał: – To wszystko ma sens. – Koty podniosły na niego wzrok. – Jeżeli chłopak nie był efektem spieprzonego eksperymentu, tylko ofiarą wojny, a przy tym dzieckiem z zamożnej, wysoko postawionej rodziny, to i nie dziwota, że zareagował paniką, kiedy chcieliśmy go naprawdę porwać i wywieźć za granicę. I w takim układzie już rozumiem, dlaczego wolał zaryzykować życie, byle tylko spróbować się uwolnić.

– Czyli to – Sanja wskazała monitor – można roboczo przyjąć za prawdę. Ciekawe, czy profesor się ucieszy, czy zmartwi, że Zhao Yang nie robiło takich eksperymentów.

– Błąd – zirytował się Mykicioniuk. – Nie wiemy, czy robiło. Nie oznacza to jednak, że wiemy, że nie robiło.

– Noo, tak jest, oczywiście – potwierdziła Popović. – Słuchaj, Tomo, tej barmance chyba nie stało się nic poważnego. Myślę, że jeżeli o Kurbatowie jest taki długi tekst, to o niej wspomnieliby choćby w jednym zdaniu, żeby podkreślić, jak bestialski był to napad.

Lewicki się skrzywił.

Dowódca uznał, że już starczy tej rozmowy. Ruszył w stronę wyjścia i skinął tylko na Petera i Tomka. Mimo bólu szedł szybko, ale Koty wychwytywały spowodowaną lekkim niedowładem asymetrię jego kroków, prawie niezauważalne zaczepianie stopą o podłogę.

Zatrzymał się pod swoim gabinetem i odwrócił do podwładnych.

– Oprócz Bastera miałem kiedyś sukę, też owczarka alzackiego – zaczął, bardzo spokojnie. – Kiedy się oszczeniła, dwa młode zostawiliśmy sobie

trochę dłużej. Prawie identyczne, tylko jeden był bardziej czarny, a drugi bardziej siwy. Czarny przy każdej próbie wykąpania wyrywał się i potem latał po ogrodzie cały w pianie. Siwego można by chyba było prać w pralce. Jak podrosły, to je w końcu też sprzedaliśmy. Jeden miał pilnować fermy kurzej, drugi czyjejs posesji. Czarny wydusił kury. Siwego ukradli.

Na tym kończąc, Mykicioniuk odwrócił się na pięcie i zamknął Kotom drzwi przed nosem.

KOSZT WSPÓŁPRACY TRANSGRANICZNEJ

Martin Sorensen stał w garażu swojego podlubelskiego domu i w osłupieniu wpatrywał się to w stos pudeł z lekami, prawie wysypujący się z półciężarówki, to w kuriera.

– Oszalałeś? – wykrztusił w końcu.

– Nie no, musimy przejrzeć wszystkie. Widzisz inne wyjście?

Chemik oklapł nieco, a i ogarniający go święty gniew przygasł. Fakt, trudno było o lepsze rozwiązanie. Dzwonienie do kogokolwiek z awanturą, że numer seryjny na listku z tabletkami nijak nie zgadza się z zapowiadany, raczej nie wchodziło w grę. Aferę i pretensje zaczną rozdmuchiwać, jeżeli w całej ciężarówce nie znajdzie się trefny blister.

– Jakby tak podliczyć te duże pudełka... I przemnożyć przez mniejsze – zaczął z rezygnacją Sorensen. – I przez liczbę pigułek w listku... Wiesz, że to wyjdzie jakoś jeden na milion?

– Prędzej dziesięć, jeżeli już – odmruknął kurier, zaciągając wschodnim akcentem.

– Eee? A fakt, dziesięć. Ale i tak, niech ich ciężka cholera strzeli.

Chcąc nie chcąc, sięgnął po nóż do rozcinania taśmy klejącej i też zaczął rozbebeszać kolejne pudła. Właśnie przepadały jego naiwne nadzieje, że po sprawdzeniu podrzuconych mu do ekspertyzy substancji i wyprawieniu transportu w dalszą drogę będzie miał tego wieczora jeszcze czas na cokolwiek.



Dagny Olsson póżeła na fotelu w salonie tatuazu. Niebieskawe światło sącyło się ze ścian, chromowane lustra odbijały roziskrzone kryształki żyrandoli. Całość wyglądała jak skrzyżowanie burdelu z laboratorium na orbicie. Wrażenie to potęgowała chirurgiczna lampa na wysięgniku skierowana na lewą dłoń Szwedki, nad którą pochylała się pracownica zakładu – z maseczką na twarzy i długą, bardzo cienką igłą w ręku.

– Robisz sobie tatuaz we wnętrzu dłoni? – Sławek Tomala rzucił Dagny przelotne spojrzenie mówiące: „Czy tylko mnie się wydaje, że ci odbiło?” i czym prędzej wrócił do wodzenia wzrokiem za kręcącymi się po salonie dziewczynami. Zakładały klientom kolczyki, modelowały ekscentryczne, jaskrawe fryzury, wszystko nieśpiesznie, z rozkosznym rozleniwieniem znudzonych drapieżników.

– Nie tatuaz, tylko trochę nanobotów pod naskórkiem – mruknęła Olsson.
– I nie robię, tylko już od dawna mam.

– Coś teraz poprawiacie? – Sławek uśmiechnął się przymilnie do kędzierzawej dziewczyny, której twarz co prawda zasłaniała maseczka, ale za to bluzka odkrywała sporo interesujących fragmentów ciała. A potem zreflektował się, że ostatnie, co teraz będzie skłonna tolerować Dagny, to rozpraszenie wykonującej zabieg.

– Naskórek się ściera, to jest fatalne miejsce – wyjaśniła kędzierzawa. – Napis może się trochę rozłazić, nawet jeżeli teoretycznie boty powinny automatycznie wracać na zaprogramowane pozycje. Część się za wcześniej wchłania. Kiedy to pani tatuowała, pewnie ze dwa lata temu?

– Trzy.

– O, fachowo zrobione.

– Trzy? – zdziwił się Sławek. – Jakim cudem? Nic nie widziałem! W ogóle nawet wczoraj nie widziałem, żebyś miała coś na dłoni.

Olsson parsknęła, krzywiąc się zaraz, kiedy igła trafiła w gorzej znieczulony obszar.

– Te boty nie są po to, żebyś ty je oglądał.

Sławek lekko się odął.

– Już dobrze, dobrze. Po prostu nikt ich nie zobaczy poza konkretnymi warunkami.

– U nas w Polsce modna jest ostatnio nazwa tatuaż słoneczny – wyjaśniła dziewczyna, zdejmując maseczkę i wrzucając narzędzia do pojemnika na skażone odpady. – Obrazek albo napis widać tylko przy silnym świetle o określonej długości fali, taki bajer.

„Słońce”, pomyślała Dagny i uśmiechnęła się lekko. Rozświetlone iskierki zawieszonych w mroźnym powietrzu okruchów lodu. I śnieżny horyzont za oknem. Jakoś udawało jej się bez najmniejszych problemów ignorować wspomnienia z dalszego ciągu tamtego poranka – dopóki poranek nie stał się nocą. Tamtą nocą, trochę ponad trzy lata temu.

Tomala zerknął na zegarek.

– Śpieszysz się dokądś? – spytała Dagny, wstając z fotela. Zapłaciła i zaczęła się ubierać. Dłoń trochę bolała, a opatrunek nieprzyjemnie ślizgał się we wnętrzu ocieplanej rękawicy.

– Idę do Iwanuszki.

– Czy do jego żony? – Olsson aż prychnęła. – A poza tym nie mów tak na niego, wkurwi się kiedyś i pożałujesz.

– Ale wszyscy tak na niego mówią! Nawet żona.

– Chyba jak on nie słyszy?

– No a ba!

We fryzjerskiej części zakładu nagle zrobiło się małe zamieszanie.

Wpadła w odwiedziny jedna z pracownic, teraz na urlopie, taszcząc samochodowy fotelik z zapakowanym w kombinezon niemowlakiem. Dziewczyny zbiły się w cmokające i kłaskające w zachwycie stadko.

– Kiedy jej przekłujesz uszy? – spytała ze śmiechem jedna z nich.

– Z miesiąc chyba jeszcze poczekam... – zawahała się młoda matka.

Sławek wpatrywał się w nią przez chwilę z pomieszaniem zachwytu i grozy. Nie chodziło mu nawet o ilość żelastwa, które miała wbite w różne widoczne miejsca, ile o tatuaże – malunek pokrywający całą twarz skośnookiej ślicznotki i nadający jej wygląd dzikiego zwierzątka.

Dagny popchnęła ciężkie witrażowe drzwi i wyszła w noc. Zasy pod ścianami budynków tężały w narastającym mrozie.

– Podrzucić cię, casanovo? Jadę w tamtą stronę.

Słodki uśmiech Tomali musiał jej wystarczyć za podziękowanie.



Żona Iwanuszki lulała dziecko. Z sypialni na piętrze dobiegało hipnotyczne, monotonne nucenie bez słów, ale Sławek Tomala od razu rozpoznał po melodii kołysankę o dwóch kotkach, która rozbrzmiewała też w jego najwcześniejszych wspomnieniach. Przeciągnął się błogo na gigantycznej, przeraźliwie kiczowatej kanapie z białej skóry, stanowiącej wątpliwą ozdobę salonu gangstera. Dolał sobie czerwonego wina i wrócił do szkicowania na tablecie.

Kołysanka brzmiała coraz ciszej i ciszej, aż wreszcie z ogarniającego wielki hall mroku weszła w krąg ciepłego światła w salonie Maria Urocza Długowarkocza. Żona Iwanuszki była Polką, a włosy miała nie

pszenicznazłote, lecz czarne, ale Sławkowi i tak kojarzyła się z carewnami z bajek.

Stała tak, z pustą butelką po mleku w ręce, cudna i młodziutka, z sięgającymi aż do pupy warkoczami, w niewinnej białej bluzeczce, krótkiej spódnicy i obszytych sztucznym futerkiem botkach, w których chodziła po domu.

Sławek aż westchnął, co zostało przyjęte z wyrozumiałą aprobatą. Nie żeby był w Marysi zakochany, choć na pewno aktualnie uważał ją za ucieleśnienie ideału.

– Jak ci się podoba? – powiedział, pokazując jej tablet.

Podeszła bliżej i przyjrzała się szkicowi.

– Hmm... Taak. Wygląda zachęcająco. Ale ja chyba mam jednak mniejszy biust?

– Serio? Nie wydaje mi się, będziemy musieli sprawdzić. – Sławek machnął ręką w stronę obrazka, dodając poważnym tonem profesjonalisty: – W tej pozycji będę się mógł dobrze przyjrzeć.

Marysia odstawiła na stolik butelkę po mleku, sięgnęła po tę z winem i pociągnąwszy z gwinta solidny łyk, dodała z powątpiewaniem: – Ty też jakiś taki... Za ładny.

– No wiesz co! – prychnął Sławek.

– O, taki elf z długimi włosami – zachichotała, a Tomala urażony wyłączył tablet i wrzucił do podróznego worka.

– Przecież mam długie włosy.

Nie raczyła odpowiedzieć, tylko sięgnęła po pilota i ściana odgradzająca salon od schodów zasunęła się bezgłośnie. *MIKROFON WŁĄCZONY*, mignęło na wyświetlaczu, kiedy dziewczyna odkładała urządzenie między kieliszki a butelkę ze smoczkiem.

– Co to jest? – spytał Sławek nieufnie, chwilowo zapominając o swojej

artystycznej dumie i nadszarpniętej próżności. – Jaki znowu mikrofon?

– Elektroniczna niania – dziewczyna wzruszyła ramionami, znów popijając z gwinta. – Żebyś usłyszała, jeżeli zaczniesz płakać. Skoro zamknęłam drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie działa w obie strony?

– Ooo, ja też mam nadzieję. Nie planuję zachowywać się cicho.

Maria Moriewna, piękna carewna, usiadła Sławkowi na kolanach i zaczęła zdejmować białą bluzeczkę. Czarne warkocze spłynęły na drelichową kurtkę Tomali. Zupełnie jak na obrazku.



Martin uchylił zewnętrzne drzwi, starając się nie wpuszczać do wiatrołapu za dużo zimnego powietrza.

– Jesteś pewien, że nie będę przeszkadzał? – Sławek Tomala był mistrzem w zadawaniu takich obłudnie niewinnych pytań.

– Oczywiście, że będziesz – wzruszył ramionami marznący coraz bardziej Sorensen.

– Dobra, to *sorry*, to ja... – Tomala obejrzał się nerwowo w stronę taksówki, która zawracała na podjeździe i zaraz miała zniknąć w otaczającym dom ciemnym lesie.

– Właż wreszcie, do cholery! – ryknął Martin, a Sławek aż podskoczył, lecz czym prędzej usłuchał. – Jasne, że będziesz mi przeszkadzał. Ale to nie znaczy, że cię nie przenocuję. Jakbym nie chciał, żebyś przyjechał, tobym ci powiedział przez telefon. Chociaż skąd ty właściwie dzwoniłeś? Z podjazdu?!

– Nieee, jak skręciliśmy na leśną drogę i...

– Nie nanoś mi śniegu!

Sławek potulnie zdjął buty i ruszył za gospodarzem.

– Myślałem, że dziś będę spał gdzie indziej, tylko...

– Mąż wrócił z delegacji? – zarechotał Martin, szalenie zadowolony z dowcipu.

– Z imprezy – uściślił Tomala ponuro. – Miał chłać z kumplami, ale się rozmyślił. Przysłał SMS-a, że jedzie. Zachodzę w głowę, czy dlatego, że jest naiwnie zakochany, czy po prostu nie lubi niezręcznych zaskoczeń. Tak by mnie musiał zastrzelić i po co mu to.

Sorensen gapił się na Sławka z niesmakiem.

– Jesteś głupszy niż myślałem.

– Zawsze do usług. Masz coś do jedzenia?

– Proszę bardzo: makaron w szafce, sos w słoiku. Garnki tutaj. Mnie też możesz zrobić.

– Eeee... Ale ja... Jesteś pewien, że chcesz jeść coś, co ja ugotuję? Znaczą podgrzeję?

– Tak, całkowicie pewien! – odkrzyknął Sorensen z pokoju, budząc laptopa z hibernacji. – Dasz radę, wierzę w ciebie.



Martin i Sławek mieli chyba odmienne poglądy na temat tego, jak powinno smakować spaghetti z sosem pomidorowym, jednak Sorensen, wcielenie wdzięku i dobrego wychowania, darował sobie wygłaszanie opinii na głos. Zjadł, wypił wino, które Tomala dziwnym trafem zlokalizował bez

jakichkolwiek wskazówek z jego strony, i wrócił do swoich faktur.

– Powiedz mi, Martin – zaczął Sławek, obracając kieliszek w dłoni i ignorując ciężkie spojrzenie przyjaciela. – Jaki ma sens próba rozwijania biznesu, który i tak będzie się kręcił, niezależnie od tego, co z nim zrobisz?

– Bo to jest teraz mój biznes.

– Nie bardzo. To jest firma pana Lundeberga. – W tonie głosu Tomali zabrzmiało ostrzeżenie.

Sorensen oderwał się na chwilę od monitora i rzucił Sławkowi spojrzenie mające upewnić go, że Duńczyk zachował resztki instynktu samozachowawczego.

– Ale to jest moja mała firemka w dużej firmie pana Lundeberga. Tak może być, no nie? Właściciele nocnych klubów dobierają panienki i wystrój wnętrza według swojego uznania, a ja sprzedaję legalną część transportów według swojego. To już nie mogę mieć hobby?!

– Ja nic nie mówię – wycofał się demonstracyjnie Tomala. – Ja się tylko dziwię. Jest dużo ciekawszych zajęć.

– Tak, jasne. Na przykład balowanie z twoimi znajomymi, dziękuję, postoję. Spróbowałem i mi wystarczy.

Próbowanie trwało dobrych kilkanaście miesięcy i zostawiło Sorensena w przekonaniu, że towarzystwo artystów jest na pewno bardzo ciekawe, ale ci konkretni artyści raczej długo nie pożyją, jeżeli nie zmienią stylu rozrywek. Albo dilera.

Sławek błyskawicznie zwęszył okazję do uzyskania smakowitych plotek z pierwszej ręki.

– Twoje rozstanie z Julką to już takie na amen? – I nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać: – Tym razem?

– Tak, tym razem – podłapał kpiący ton Sorensen – ostateczne i na amen. Tomala, daj spokój, mam swój próg wytrzymałości. Te okresy, kiedy ona tu

mieszkała, to był jeden porąbany rollercoaster, nie znałem dnia ani godziny. Czego się tu naoglądałem, ludzkie słowa nie opiszą.

– Oj, Matti... – Sławek skrzywił się w uśmiešku wypisz wymaluj ukradzionym Dagny Olsson, z poprawką na to, że ona była zawsze porządnie umalowaną atrakcyjną brunetką, a on zarośniętym i zmiętoszonym polskim blondynem. – Julia ma swoje problemy, kto ich nie ma. Może rzeczywiście trochę zbyt efektowne na twoje mieszczańskie gusta.

Sorensen nie zdzierzył i zatrzaskał laptopa.

– Słuchaj, kolego – warknął, choć nadal w ramach kumpelskiej przepychanki. – Nasza piękna Julia jest totalnie uzależniona, o czym pewnie doskonale wiedziałeś w momencie, kiedy się poznawaliśmy, prawda?

Tomala tylko rozłożył ręce, co Sorensen zignorował, dla dobra ich przyjaźni.

– Więc jest uzależniona. Ale to jest tylko skutek, a przyczyna jest taka, że Julia ma kompletnie nie po kolei w głowie! Co z pozoru wydaje się fascynujące, ale na dłuższą metę skończyłbym jak ona, lecząc szajbę całą zawartością swojego pieprzonego magazynu prochów! – Nabrał powietrze, wypuścił je z płuc i dodał już spokojniej: – Co mi przypomina...

Wstał i ruszył do piwnicy, nie czekając na odpowiedź Sławka – bardzo słusznie, bo Sławek tylko uśmiechał się filozoficznie zza spowijających go esów–floresów dymu.

W piwnicy Martin miał schowek, a w schowku zamykaną na szyfr skrzynkę ogniotrwałą. Kod znali on i Dagny. I pewnie jeszcze jacyś inni ludzie, których nawet na oczy nie widział, a którzy też mieli klucze do jego domu. Czego niezbyt przyjemną świadomość starał się zazwyczaj ignorować.

– To dla ciebie, dzisiaj przyjechało – powiedział, wróciwszy na górę. – Olsson kazała ci dać.

Tomala przyjął kilka opakowań. Cześć z nich zawierała po trzy listki

niedużych białych tabletek, a reszta – jeden listek przezroczystych kapsułek z płynem w środku.

– Już przetestowane? – bardziej stwierdził niż spytał, widząc, że niektóre blistry są naruszone.

– Oczywiście.

Sławek uniósł kieliszek z winem: – Za piękne wariatki i powabne carewne!

Sorensen chciał wymownie narysować kółko w powietrzu przy swojej skroni, lecz zanim zdążył to zrobić, Tomala wyłuskał z opakowania jedną z kapsułek z przezroczystym płynem i połknął, popijając zawartością kieliszka.

– O matko... – jęknął Martin.

Przez następny kwadrans rozmowy wpatrywał się w Sławka, jakby temu miały nagle wyrosnąć zielone czułki, jednak nic takiego się nie stało. W końcu Tomala uznał, że idzie spać. Ku dużej uldze Sorensena.



Skowyt był rozdzierający. Czysta, mrożąca krew w żyłach panika ubrana w nieartykułowany, zwierzęcy wrzask. Ku zgrozie półprzytomnego, wyrwanego z głębokiego snu Martina, ten upiorny, lecz jakby znajomy dźwięk dobiegał nie z wnętrza domu, ale z za okna.

Sorensen rzucił się po schodach do małej sypialni na poddaszu, w której ulokował gościa. Bez bawienia się w ceregiele złapał za klamkę i popchnął drzwi, które na szczęście ustąpiły. Z wnętrza pokoiku dmuchnęło lodowatym przeciągiem.

Martin sięgnął do wyłącznika światła, lecz zdążył je zapalić tylko na

moment, bo oślepiiony blaskiem żarówek Tomala zawył znowu, jeszcze bardziej rozpaczliwie. Sorensen natychmiast zgasił lampę – i jak wbiegł do pokoju z całym impetem, tak teraz prawie zamarł, starając się iść jak najwolniej i nie wykonywać żadnych zbędnych ruchów.

Bo Sławek siedział na parapecie otwartego okna. Z amokiem w oczach, w koszulce z krótkimi rękawami i bojówkach, bosy, makabrycznie rozczochrany i przerażony do granic obłądu.

„To tylko drugie piętro”, pomyślał Sorensen. „Ale jeżeli ten debil zanurkuje na główkę, to wystarczy aż nadto...”.

– Sławek? – zaczął łagodnie. – To ja, Martin, poznajesz mnie?

Tomala tylko zacharczał, rozpaczliwie łapiąc powietrze. A potem nagle cofnął się w stronę futryny, niebezpiecznie balansując. Jedną ręką podparł się o zaśnieżony zewnętrzny parapet, a drugą wskazał coś na przeciwległej ścianie. Zerkał niepewnie to w dół, na oświetlony pełnią księżyca ogród, to na upostaciowaną grozę, przed którą tak chciał uciec.

Sorensen podążył wzrokiem za roztrzęsioną ręką Sławka. Plakat. Na ścianie wisiał ładnie oprawiony plakat filmowy. Martinowi ewidentnie zabrakło chorej wyobraźni – nijak nie mógł zrozumieć, co potwornego Tomala mógł wyhalucynować akurat z takiej wizualnej pożywki.

– Sławek... – Duńczyk był już w połowie pokoju, wchodził powoli w prostokąt księżycowego blasku. – To ci się tylko wydaje. – Sorensen nieskończenie powoli sięgał tak, żeby złapać kumpla za koszulkę, jakby łapał psiaka za skórę na karku. – Przyjrzyj się, przecież na tym plakacie jest po prostu drzewo. Duże, ale zwykłe drze... Kurwa mać!!

W ręku Tomali błysnął nóż. Martin zdążył się odruchowo osłonić, z takim efektem, że oberwał głębokie cięcie w lewe przedramię, a kiedy ostrze ześlizgnęło się niżej – drugie, niewiele słabsze, w prawe, tuż nad nadgarstkiem.

– Ty pojebany ćpunie! – wrzasnął Sorensen, odskakując do tyłu. Wystarczył moment, żeby zakrwawił sobie cały przód koszulki.

Mimo napędzanej bólem furii, nadal myślał głównie o tym, żeby Sławek nie zleciał, a nie żeby go nie zaszlachtował. Ale już chwilę potem dotarli do Martina możliwe scenariusze tej konfrontacji.

Zanim jednak zrobił cokolwiek, Tomala spojrzął na nóż, zaskrzeczał histerycznie – miał już całkiem zdarte gardło – i cisnął sprężynowiec jak najdalej od siebie. Sorensen odruchowo się skulił, mimo że nie był na linii rzutu.

– Wwwwważ... – Sławek cały dygotał, wycierając rękę o spodnie. – Wwwwwije się ttam...

Zsunął się z parapetu i zrobił duży krok na środek pokoju. Martin właśnie na to czekał. Skoczył na chłopaka, zwałił się na niego całym swoim ciężarem wysportowanego, wysokiego faceta i na deser, bluźniąc parszywie, przyłożył Tomali pięścią w łeb.

Ćpun zwiotczał mu w rękach, tracąc przytomność, i Sorensen przestraszył się, uświadamiając sobie, że mógł mu zrobić poważną krzywdę. Na razie jednak nie zastanawiał się nad tym, tylko pognął do piwnicy.

Stojąc bosymi stopami na lodowatej betonowej podłodze i zostawiając krwawe ślady na tekturowych pudłach i foliowych opakowaniach, przekopywał się przez całe składowisko, aż znalazł to, czego szukał – nienapoczętą rolkę szerokiej taśmy klejącej.

Wróciwszy do gościnnej sypialni, skrępował nadgarstki i kostki kumpla. Potem ułożył go w pozycji maksymalnie zbliżonej do bocznej bezpiecznej, z dala od zwalonej na podłogę pościeli i pięknego, jasnego dywanika przed łóżkiem.

– Wyc mi tu do księżycy będzie, wilkołak jeden...

Nie mogąc się zdecydować, czy dla czystej satysfakcji dać mu w łeb raz

jeszcze, czy wzywać pogotowie, upewnił się, że Tomala oddycha, i zostawił go w cholerę.

Sprawa ostatecznie dojrzała do tego, żeby Martin zajął się sobą. Telepało nim od dreszczy, dłonie lepiły się od krwi, której mdlący zapaszek sprawiał, że coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

Resztką mobilizacji włożył na siebie coś cieplejszego niż sama koszulka i szorty, a potem, paćkając już ostatecznie wszystko na czerwono, rozsypał na stół w kuchni całą zawartość apteczki. Znalazł bioopatrunki i przypominając sobie, czego uczono go na szkoleniu wojskowym, zaczął je naklejać.

Tyle tylko że się ślizgały po mokrej skórze, a rany wcale nie miały zamiaru przestać krwawić. Martin uznał, że w zasadzie to on pierdoli.

I zadzwonił po wsparcie.



– Fantastycznie – mruknęła Dagny Olsson, omiatając wzrokiem kataklizm w kuchni, Sorensena, który wyglądał jak ofiara nieudanego świniobicia, i Sławka, którego właśnie wspólnymi siłami wytargali po niebezpiecznych, pozbawionych poręczy schodach na sam dół. Tomala wił się i bredził coś, bardzo intensywnie wpatrując się w punkt pół metra nad głową Dagny.

– Jedziemy do Lublina, do szpitala – zarządziła. – Ciebie trzeba zszyć, jego oddać na przechowanie.

– Mocno go walnąłem – martwił się Sorensen. – Myślisz, że coś mu się mogło stać?

– Tak, na pewno – warknęła Olsson. – Uważaj, bo mu jeszcze będę współczuła! Ściągaj te ciuchy, nie z niego, z siebie, rany, zaraz mnie szlag

trafi... Przebierz się, nie będę cię wiozła przez miasto całego zakrwawionego!

– Ale Tomala też...

– Ma czarną koszulkę! Poza tym jest związany taśmą klejącą i ma delirkę! Ty powinieneś wyglądać normalnie – wycedziła Dagny. – Odpowiedzialnie. Trzeźwo. Zrozumiano?

Martin tylko skinął głową i poszedł się przebrać. A w zasadzie pozwolił się przebrać, bo kiepsko założone nowe opatrunki nadal przepuszczały trochę krwi i utrudniały poruszanie rękami.

Kiedy ponownie znaleźli się przed drzwiami do wiatrołapu, spojrzenie leżącego na terakocie Sławka zogniskowało się podejrzanie przytomnie na twarzy Olsson.

– Cześć...? – zagaił niepewnie.

– Naćpałeś się, pochlastałeś Mattiego nożem, takie tam. Jedziemy do szpitala.

– Ojej... – odchrząknął.

Dagny, oceniwszy raz jeszcze stan Tomali, przecięła taśmę na jego nogach.

– Wstawaj, złotko. Ja cię dalej taszczyć nie będę. Wio, do samochodu. Ale już!

Wepchnęła kłopotliwego pasażera na tylne siedzenie, a Martin usiadł z przodu, wciąż nieufnie zerkając w stronę Sławka.

– No i widzisz, Matti – zaczęła Dagny, odpalając silnik, a jej ton wskazywał, że po prostu musi na kimś odreagować wyrwanie z łóżka nad ranem. – Proszę, co jest warte takie weekendowe wojsko. Jeździłeś na te poligony, dalej byś jeździł co jakiś czas, gdyby ci Olaf nie załatwił zmiany kategorii. I co? Nawet się nie dałeś rady obronić. Czego was tam w ogóle uczyli!

– Byłem w wojskach chemicznych – mruknął Sorensen. – Nie w

komandosach. A poza tym umiem strzelać. Z karabinu mam wyniki jak zawodowiec.

– Świetnie! Firma załatwi ci karabin, będziesz go trzymał w domu i następnym razem Tomalę zastrzelisz! Genialny plan.

– Dajcie mu pistolet, będzie bezpieczniejszy – odezwał się Sławek z tylnego siedzenia i zupełnie się nie przejął, kiedy Martin z Dagny obejrzeli się równocześnie, wbijając go wzrokiem w fotel. – Nie tylko mnie odbija, po ulicach chodzi mnóstwo świrów.

„A niedługo będzie ich więcej, zważywszy, że w torbie Tomali zostało jeszcze kilkanaście takich kapsułek”, pomyślał Sorensen.

– Z pistoletu nie ma wyników jak zawodowiec, to po co pistolet? – Dagny weszła w fazę bycia uroczą, trudno jej się zresztą dziwić. – A ty to się w ogóle nie wypowiadaj, panie cywil.

– Hmm? – zainteresował się Martin, widząc szeroki uśmiech Sławka.

– Tomala jest zwolniony z wojska od zawsze, nawet zaraz po maturze go nie wzięli.

– Mam żółte papiery – oświadczył dumnie Sławek, łypiąc spod potarganych włosów.

Jakoś to Sorensena nie zdziwiło. Nic a nic.



Jako że żaden z chłopaków nie kwalifikował się do szybkiego umierania, obaj dostali duże zielone naklejki do umieszczenia na ubraniu – żeby personel na pierwszy rzut oka mógł ich odróżnić od pacjentów z pozostałych, bardziej pilnych kategorii – i wylądowali w poczekalni.

Spędzili tam dłuższy czas, Tomala wodząc błędnie spojrzeniem, a od czasu do czasu uśmiechając się głupkowato, a Martin nudząc się jak mops, kontemplując obolałe ręce i układając w myślach różne scenariusze zamordowania Sławka. Dagny od razu dała wszystkim do zrozumienia, że nie ma najmniejszego zamiaru służyć za obiekt towarzyskiej konwersacji, usiadła na krześle, wyciągając przed siebie długie nogi w wielkich glanach, i planowała spać.

Z tego zamiaru nie wybił jej nawet mocno napity pan, również z zieloną naklejką, który w pewnym momencie postanowił zrobić karczemną awanturę przechodzącej przez poczekalnię lekarce. Niewątpliwie ośmielił go fakt, że pani doktor sięgała mu mniej więcej do ramienia i jakby oceniać z samego wyglądu, to można by jej dać góra szesnaście lat.

– Godzinę czekam! – ryknął, zataczając się i wspierając o kontuar rejestracji, a przyczyną utraty równowagi chyba jednak nie była rzekomo skręcona kostka. – Wzięłabyś się do roboty, szmato jedna!

Urodziwa buzia pani doktor rozpromieniła się w uśmiechu, jakby na magiczne zaklęcie.

– Pani Kasiu – zwróciła się do pielęgniarki, a jej głos ociekał słodyczą – dzwoniemy na policję.

Dagny Olsson otworzyła jedno oko i zarechotała z satysfakcją.

– Obrazić lekarza na dyżurze to jak skurwić psa na służbie – wyjaśniła swoim spłoszonym towarzyszom. – Ścigane z urzędu.

– Ale Dagny... – zaczął niepewnie Martin, pochylając się do jej ucha. – Czy my tu na pewno powinniśmy być, kiedy przyjedzie policja?

Szwedka wzruszyła tylko ramionami i znowu zapadła w półsen.

Lekarka zerknęła do notatek, wrzuciła do kieszeni fartucha złożony na cztery części monitor i rozejrzała się po oczekujących.

– Pan Sorensen? Proszę do zabiegowego.

Szpitalne opatrunki wyglądały kosmicznie, a przed nałożeniem pielęgniarka poddała je jeszcze tajemniczemu procesowi, którego szczegółów Martin jednak nie mógł śledzić, zbyt spięty rozmową z panią doktor.

– Naprawdę nie mam mu za złe – wyjaśniał, starając się przy tym nie gestykulować obolałymi rękami, zwłaszcza kiedy aplikowano mu znieczulenie miejscowe. – Zdarza się, przecież nie wiedział, co robi.

– Na pewno nie chce pan zgłosić tego policji? – upewniła się lekarka. – Uwaga, teraz proszę się nie ruszać, może trochę łaskotać – ostrzegła, biorąc cieniutką, półprzezroczystą błonę opatrunku.

– Nie, nie, naprawdę, proszę sobie nie robić kłopotu – powtórzył Martin, a opatrunek wgryzał się delikatnie w jego skórę, ściągając brzegi rany.

– To nie kwestia kłopotu – powiedziała chłodno pani doktor. – Po prostu takie jest prawo: gdyby uszczerbek na zdrowiu wymagał leczenia dłuższego niż tydzień, musielibyśmy wezwać policję i spisać zeznania. Proszę się nie ruszać! Druga ręka, trochę wyżej, dziękuję... Ale myślę, że te nowe opatrunki powinny załatwić sprawę szybciej. Więc decyzja jest pańska.

Lekarka miała na głowie ważniejsze problemy niż przekonywanie Sorensena do czegokolwiek. Rzuciła jeszcze okiem na efekt swojej pracy i dodała: – Proszę ich nie moczyć przez jakieś pół godziny, nie tarosić, ogólnie delikatnie, dopóki się nie ustabilizują. Potem można zupełnie normalnie traktować, brać prysznic, cokolwiek. Tyle że znieczulenie niedługo przestanie działać.

– Kiedy mam pójść do kontroli?

– Tylko jakby zaczęło się sączyć czy puchnąć, ale to się naprawdę bardzo rzadko zdarza, zresztą głównie jak ktoś próbuje nakładać przedatowane opatrunki. Za parę dni część się wchłonie, część złuszczy.

Gdzieś z daleka dobiegł przytłumiony jeszcze sygnał karetki. Lekarka zdjęła rękawiczki i myjąc ręce, zarządziła: – Pan Sorensen już jest wolny.

Pana Tomalę zatrzymamy na obserwację.

– Do sali z panem Władziem? – Uśmiech pielęgniarki mówił wiele.

– Ależ oczywiście.

Karetka podjeżdżała już pod wiatę, więc wyszły szybko, a Martin chwilę później, kiedy pozbierał swoje ubrania i plecak. Zdążył jeszcze pomachać na pożegnanie Sławkowi, który został zaopatrzony w małe plastikowe wiaderko i zaokrętowany na oddział.

– Ale ja się świetnie czuję – zaprotestował Tomala, wciskając pielęgniarcie pojemnik z powrotem do ręki. – Przecież wam tu nie będę rzygał!

Zmierzyła go tylko od stóp do głów lodowatym spojrzeniem i – wraz z wiaderkiem – poprowadziła w głąb korytarza. Sorensen zszedł z przejścia ratownikom wiozącym na noszach mężczyznę z czerwoną naklejką na rozpiętej bluzie.



Zbliżali się już do Opoła, kiedy słuchawka telefonu zaczepiona na uchu Dagny zaczęła sygnalizować połączenie.

– O szlag, to Phim – przestraszyła się Olsson. – Powinnam była do niej wczoraj zadzwonić, ale nie miałam czasu, a potem było za późno. Phim, coś się dzieje? – odebrała rozmowę.

Zaniepokojony Martin wywnioskował z wyrazu twarzy Dagny, że jednak nic się nie stało. A w każdym razie nic, o czym nie wiedziałyby wcześniej. Słuchała cierpliwie, aż wreszcie wtrąciła: – Rany, jasne... – Odwróciła się do Sorensena. – Mikkel choruje i Phim się zaraziła. Przecież jest niania, to czemu nie masz chwili spokoju? Chce być cały czas z tobą, taak... No to wam

przynajmniej ma kto kleik podawać – podsumowała raźnie.

Phim najwyraźniej ta odpowiedź nie wystarczyła, bo Dagny zamilkła znowu, wsłuchana w głos po drugiej stronie bezprzewodowego łącza.

– Ciii, nie panikuj, przecież wszystko jest na dobrej drodze – usiłowała w końcu zareagować. – Widzisz, nie było żadnych kroplówek. Za parę dni będziecie zdrowi, a potem pojedziecie do Olafa w góry... Nie spałaś trzy noce? Dzisiaj odeśpisz. – I widząc znaki dawane przez Martina dodała, żeby zmienić temat: – Sorensen cię pozdrawia. Phim ciebie też. – Machnęła ręką znad kierownicy. – Szósta, a co? U nas jest ta sama godzina, co w Szwecji, już nie jestem na Ukrainie. Aaaa! – Dagny roześmiała się ubawiona. – Niestety, rozczaruję cię, jesteśmy bardzo grzeczni i prowadzimy się nienagannie. Spędzam poranek z Sorensenem, bo go wiozłam do szpitala... Nie panikuj, nic mu nie jest poważnego! Phim, skoro Mikkel akurat śpi, to ty chyba też powinnaś? No pa.

Dagny rozłączyła rozmowę i uśmiech zniknął z jej twarzy. Martin udawał, że patrzy na uginające się pod śniegiem drzewa, które majaczyły za oknem w pierwszej szarówce przedświt.

– Naprawdę bardzo jej współczuję – powiedziała w końcu Dagny. – Ale co ja dziewczynie poradzę? Ona jest tam, ja jestem tu, nie teleportuję się przecież.

Sorensen nie miał nic mądrego do powiedzenia, nie znał się na wychowywaniu dzieci.

– Pan Lundeberg zabiera Phim i małego w góry? – zdziwił się.

– A dlaczego nie? – zachnęła się Olsson. – Nie zbiednieje.

Martin zrobił wielkie oczy, coś mu się tu kompletnie nie zgadzało. Zaczął mieć nawet dziwne podejrzenia.

– Hmm, może tak... Dlaczego pan Lundeberg bierze twojego – podkreślił to słowo niezbyt dyplomatycznie – syna na wakacje?

Dagny spojrzała na niego z całkowitym brakiem zrozumienia. Aż w końcu dotarł do niej sens pytania.

– Olaf jest moim wujkiem! A coś ty sobie pomyślał?

– Wujkiem?

– Mniej więcej. Bratem męża mojej matki, prowadzili razem interesy. Pamiętasz, był na pogrzebie. Widzieliście się.

Martin pokręcił niepewnie głową.

– Możliwe. Nie przypominam sobie.

Kilka miesięcy przed maturą Dagny jej matka i ojczym zginęli w wypadku, a Sorensen był oczywiście na pogrzebie.

Tyle tylko, że Olsson ani wtedy, ani teraz nie raczyła mu uświadomić, że wypadek spowodowała bomba podłożona pod samochód.

– Byłam już pełnoletnia, mieszkałam sama, ale Olaf mi pomagał. Jesteśmy przecież tak jakby rodziną. Co w tym dziwnego, że wysyłam czasem dziecko do któregoś z jego domów? To są naprawdę duże posiadłości, zmieści się cała załoga, obstawa, co im będą przeszkadzać Phim z Mikkelem i jakąś dodatkowo wynajętą nianią?

– Nie, no oczywiście... W takim układzie wszystko jasne. – Martin był nadal mocno zdziwiony.

Samochód wyjeżdżał już na polanę, na której stał dom Sorensena. Robiło się coraz jaśniej.



Martin próbował ogarnąć pobojuwisko w kuchni, a Dagny udało się znaleźć potrawę spełniającą jej definicję idealnego śniadania i zadowolona

rozsiadła się na kanapie w salonie z sałatką śledziową, kawą i pilotem od komputera.

– ...od nowego roku dowodzenie jednostką – rozległo się z głośników – przejęła kapitan Sanja Popović, która sama jest genetycznie modyfikowaną Czarną Kotką.

– Sorensen! – zawołała Dagny. – Chodź tu, poznajesz ją? To ta, co ją widziałeś w Heidelbergu?

– Nie wiem, zaraz... Później, teraz muszę zmyć ten syf. Ale kogo czy widziałem?

– Kotkę, Matti. Czarną Kotkę, żołnierkę GMO.

– Aaaa. No tak, taka blondynka.

– Ta jest ruda, mogła się przefarbować. Chodź zobacz! To się może Olafowi przydać.

– Później! – warknął Sorensen.

Dagny postanowiła go jednak nie drażnić i chwilowo przełączyła na inne wiadomości. Nagle ją zmroziło.

– ...w godzinach porannych aresztowano Iwana D., właściciela sieci siłowni i klubów fitness. Jest oskarżony o handel niedozwolonymi anabolikami i innymi środkami medycznymi.

– Jasna cholera!! Aresztowali Iwanuszkę!

– Nie mów tak na niego, bo kiedyś się wkurwi... Że co?! – Martin, z namydloną gąbką w dłoni, stanął w wejściu do salonu. – Szlag by to trafił.

Na zajmującym pół ściany ekranie ubrani na czarno antyterroryści celowali z broni długiej w leżącego na podłodze mężczyznę. Dagny, obserwując pokaźny, opięty elastycznymi gaciami zad i włochate uda Iwanuszki, odegnała czym prędzej myśl, że jej własna zgrabna pupa wystająca spod podkaszanej przy szarpaninie halki prezentowałaby się niewątpliwie bardziej interesująco.

Olsson dojadła trzema szybkimi kęsami swoje śledzie, dopiła kawę i ruszyła do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Ratować, cholera, sytuację.

– Wyciągniesz go jakoś?

– Iwanuszkę? Wątpię – mruknęła i wyszła, zostawiając Mattiego w odpowiednim dla niego stanie permanentnego niedoinformowania.



Maria Uroczą Długowarkocza siedziała na dywanie, usiłując pilnować dziecka raczkującego między zabawkami a wybebeszoną na podłogę zawartością szafek. Mimo że minęło południe, próba choćby symbolicznego ogarnięcia mieszkania po rajdzie policji żonę Iwanuszki całkowicie przerosła. Wezwano już wsparcie psychologiczne w postaci mamy, jednak przejechanie połowy Polski zajmuje trochę czasu.

Dzieciak usiadł i wpakował sobie do buzi kukurydzianą chrupkę. Bartek, brat Marysi, machinalnie podał mu kolejną. Nagle podniósł wzrok znad ekranu.

– Maryśka, gadaj, kto był u ciebie wczoraj wieczorem.

Słodka carewna usiłowała wymigać się od pytania, robiąc odpowiednio bezradny wyraz twarzy. Obraz z monitoringu pokazywał przygarbioną postać w skórzanej kurtce i czarnej włóczkowej czapce naciągniętej na uszy.

– Znajomy Iwana – powiedziała w końcu Marysia. – Mówił, że ma coś dla niego, ale skoro go nie zastał, to poszedł.

Bartek znał swoją siostrę jak nikogo na świecie i wiedział jedno: za

cholere nie umiała kłamać. Nawet nie chciało mu się sprawdzać, od której niby ten koleś czekał na jego szwagra.

– Masz ty choćby jakąś atrapę rozumu?! – warknął, a dziewczyna rozplakała się, rozmazując sobie na buzi teoretycznie wodoodporną maskarę i strasząc niemowlaka, który zaraz jej zawtórował.

Bartek westchnął, rzucił jednak okiem na kilka poprzednich kadrów z monitoringu i zablokował komputer. Policjantom, którzy mieli już kopie wszystkich tych danych, takie ujęcia raczej niewiele powiedzą. Za to koledzy, koledzy kolegów... Można by się rozpytać.

– No już, ciiiicho – mruknął, zapychając chlipiącego siostrzeńca bezglutenowym ciastkiem i wabiąc grającą zabawką tak, żeby na chwilę opuścił swoją szanowną mamusię. Marysia odstawiła przedstawienie dość przekonująco, ale Bartek wiedział swoje.

– Dałabyś spokój – zasugerował i w ramach bonusu wręczył jej chusteczki. Były to co prawda nawilżane chusteczki niemowlęce o zupełnie innym zastosowaniu, lecz okazało się, że świetnie zmywają maskarę. – Znaczy, ty coś kręcisz z tym wymoczkim w czarnej skórze?

– Nie powiesz Iwanowi, prawda? – przerażenie w oczach carewny było szczere i uzasadnione. Iwanuska tylko ksywę miał zabawną. – Nie zdążyłam skasować nagrania, no a rano...

– Brejdaczka, problem w tym, że z Iwanem to ty się być może teraz dobrych parę lat nie zobaczysz! W każdym razie nie w okolicznościach umożliwiających mu porachowanie się z tobą za cokolwiek.

Marysia była o krok od rozplakania się ponownie, tym razem już jak najbardziej szczerze: nad swoim zafajdanym losem gangsterskiej prawie wdowy. Bartek był tu jednak po to, żeby zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa: – Dlatego jeszcze przemyślimy, co to dalej będzie z Iwanem i tobą. Ale to później, teraz jako jego żona, będziesz mogła odmówić zeznań.

Kiwnęła głową, chłonąc słowa brata.

– Marysiu, kochanie – spróbował łagodnie. – Kto to jest ten facet? Podoba ci się?

– Hmm, no tak, tylko... – skrzywiła się lekko, odrzucając na plecy jeden z warkoczy. – Iwan to Iwan, a Sławek...

– Sławek?

– Sławek Tomala – powiedziała wreszcie, ot tak, nawet nie musiał tego z niej za bardzo wyciągać. Marysia chyba zaczynała kalkulować, po swojemu.

– Jeden z tych od Dagny Olsson. Naprawdę bywał wcześniej u Iwana w interesach.

– A ty? Podobasz się jemu?

Carewna zmrużyła kokieteryjnie oczy. Kiedy tak robiła, Bartek modlił się, by nie zdarzyło mu się spłodzić córki. Myśl, że mogłaby odziedziczyć powierzchowność i charakter po cioci mroziła mu krew w żyłach. Wtedy zamiast karabinu maszynowego musiałby chyba trzymać w garażu wyrzutnię rakiet.

– No jasne, że się podobam! Rysuje moje akty.

– O Jezu... – skrzywił się Bartek, aż nagle jego myśli pobiegły w znacznie poważniejszym kierunku niż poirytowanie obyczajami siostrzyczki. – Czeka, czeka. A jak bardzo mu się podobasz? Myślisz, że mógłby z tego powodu wpaść na jakiś głupi pomysł?

– Na przykład? – Marysia nie była przesadnie lotna.

– Wiedział, o której Iwan wróci do domu?

– Taaaak...

– Mimo że miał przecież być z nami?

– Taaaak...

– Kurwa.

Carewna niedowierzająco uniosła brew, bawiąc się końcem warkocza.

– Eee tam, aż taki zakochany to on nie jest. Ani taki sprytny, żeby to zorganizować, a samemu nie wpaść.

– Oby, brejdaczka. Oby. Bo inaczej Dagny Olsson gorzko pożałuje.

Marysia skuliła się pod spojrzeniem brata. Chudy, podobnie jak ona czarnowłosa, wyglądał z pozoru niewinnie, ale to był jeden z tych momentów, gdy się go bała. Jak wtedy, kiedy w klubie na jej oczach zrzucili z Iwanuszką z antresoli faceta, który chciał z nią zatańczyć.

– No, nie martw się. – Bartek był zadowolony, znalazł sobie cel działania na najbliższych kilka godzin. – Mama już jedzie, weź się jakoś w garść, dziecko przewiń, nakarm. Oczy sobie popraw. Przecież matka zawału dostanie na twój widok. A co dalej będzie, to się zobaczy.



Bartek Kowalczyk nie przepadał za swoim szefem. Maksym był flegmatyczny i małomówny, co utrudniało im porozumienie. Poza tym wychodził z założenia, że doskonale poradzi sobie w prowadzeniu interesów bez większości rad podsuwanych przez młodego, narwanego podwładnego – nawet jeżeli ten urodził się i wychował w Lublinie. Bo jednak naprawdę przydatne znajomości to miał tu nie Bartek, a Maksym.

– Tomala? – spytał teraz powoli. – Ten od Olsson?

Kowalczyk skinął głową. Nie wtajemniczył szefa w szczegóły pozamażeńskich ekscesów swojej siostry. W wersji oficjalnej Sławek przyszedł do Iwana w interesach, początkowo go nie zastał, a potem nie mógł już czekać, aż gangster przyjedzie. Ale wiedział, że zrobi to wcześniej niż planował. Dokładnie to usiłowała powiedzieć Bartkowi Marysia, jednak on

był o niebo bardziej przekonujący, kiedy kłamał.

Albo i nie – z wyrazu twarzy Maksyma jak zwykle trudno było cokolwiek odczytać.

– Olsson dzwoniła do mnie rano, chce się spotkać – powiedział w końcu.

– Grozi nam? – najeżył się młody.

– Skąd... Chce omówić problem zminimalizowania strat wobec nagłej sytuacji kryzysowej.

– Oż kurwa. – To był właśnie powód, dla którego Bartek nie lubił rozmawiać przez telefon ze Szwedką albo jej ludźmi. Na żywo wyrażali się mniej paranoicznie.

Maksym najwyraźniej wyczerpał chwilowo swój limit wypowiedzianych na głos słów, bo zapadł się w nieodgadnione myśli, popijając je piwem. Kowalczyk czekał. I czekał.

– Mówisz, że ten Tomala nachodzi twoją siostrę? – Szef odstawił wreszcie szklankę na stół.

Młody nie był pewien, co powinien odpowiedzieć. W końcu zaryzykował: – I potem zgarnęli Iwana akurat dziś rano, kiedy wszyscy byli przekonani, że będzie zupełnie gdzie indziej...

– Aj tam, bzdury – Maksym poirytowany machnął ręką, jakby opędzał się od muchy. – Jaki donos, jaki informator? Bartek, zejdź na ziemię.

Kowalczyka zatkało. Do tej pory wydawało mu się, że szef przyjmuje jego hipotezę z zainteresowaniem i powagą.

– Ale fakt – dodał Ukrainiec – Iwanuszki jakiś czas nie będzie, trzeba się zaopiekować jego rodziną. Wysłałem już ludzi, zawsze ktoś będzie tam czuwał. W dzień, w nocy, nad dzieckiem i nad Marią. Mam sposób, żeby przekazać tę wiadomość Iwanowi. Przecież nie chcemy, żeby jego rodzinie coś się stało, prawda?

Bartka przeszedł dreszcz. To tyle w kwestii planów rozwodowych Marysi.

Od dziś oboje z małym służyli za zakładników, żeby się Iwanuszcze na więziennym wikcie język za bardzo nie rozwiązał. Cóż, bywa... Kowalczyk pomyślał, że Maksym ma przynajmniej klasę i Marysia pewnie nawet nie zrozumie, że to nie ochronę załatwił jej właśnie miły kolega męża.



Dagny wyruszyła na rozmowy z całym fasonem załadowanej do kilku samochodów obstawy. Spotkanie na szczycie. Brakowało tylko wiwatujących tłumów na trasie przejazdu i eskortujących kolumnę policjantów na motocyklach. Choć do tych ostatnich Szwedka jakoś nieprzesadnie tęskniła.

Maksym, jak zwykle obłudnie uprzejmy, witał ją już w drzwiach, podczas gdy ukraińscy ochroniarze udawali, że nie widzą na monitorach całego tego żelastwa, które ludzie Dagny wnoszą na teren posesji, a wszczepy nie wyją im alarmowo przy każdej podchodzącej zbyt blisko osobie.

Olsson zdjęła czapkę uszanke, obszytą białym sztucznym futerkiem, oddała kurtkę pierwszemu z brzegu usłużnemu młodzieńcowi i skinąwszy lekko głową, dała się poprowadzić w głąb domu. Szacowała siły, choć w zasadzie od początku było wiadomo: dla wszystkich będzie lepiej, żeby towarzystwo rozjechało się do domów w miłej, przyjaznej atmosferze. Jednak gdyby tak się nie stało, Dagny była tylko wysportowaną i dobrze przeszkoloną laską z kilkoma gadżetami w kieszeniach. Samodzielną ucieczkę z tego miejsca – w razie gdyby strzelanina przy bramie wypadła na niekorzyść drużyny skandynawsko–polsko–niemieckiej – mogłoby jej zagwarantować co najwyżej technologiczne podrasowanie własnego organizmu. A Olsson nie umiała się przekonać do trwałego ryzykowania

zdrowiem w zamian za superbohaterskie moce. Z dwojga złego wolała już czasem podtruć się czymś z apteki Sorensena.

Maksym zatrzymał się, przepuszczając Szwedkę w przejściu. Wyglądał jak podstarzałe putto z barokowego kościoła – z przerzedzonymi loczkami i pucułowatymi policzkami, których czas świetności minął już dobrych paręnaście lat temu.

– Dagny, pozwól, że ci przedstawię naszego gościa. Nazir Ashraf. Dagny Olsson.

Przez mgnienie oka pożałowała, że nie zaproponowała Maksymowi telekonferencji z Olafem Lundebergiem. Może na tym szczeblu negocjacje powinien z ich strony prowadzić szef. A nie ona, podwładna. Kobieta.

Chciała przyjść tu w bardzo krótkiej spódnicy, tak krótkiej, żeby grubaska Maksyma bardziej wkurzać niż podniecać. Powstrzymały ją jedynie dwadzieścia trzy stopnie na minusie i świadomość, że przez podjazd pod willą też trzeba przejść. Teraz pogratulowała sobie resztek rozsądku. W niebieskich dżinsach, czarnym zakiecie i glanach wyglądała bardziej profesjonalnie. I tak miała przebłysk niepokoju, czy pan Nazir Ashraf w ogóle raczy się do niej odezwać.

Raczył. Uścisnęli sobie ręce, bardzo po zachodniemu. W przeciwieństwie do Olsson mówił nie unijnym, ale brytyjskim angielskim. Ubrany na czarno, w drogie, europejskie ubrania, wyglądałby jak prawnik prosto z londyńskiego City, jednak było coś w jego śniadej twarzy, kościstej, surowej, po czym Dagny wyczuła, że nie tylko jego przodkowie, ale i on sam wychował się gdzieś w górach Hindukuszu.

„Z punktu widzenia swojego kraju facet nie tyle jest przestępcą, co pracuje w handlu zagranicznym”, podsumowała w myślach.

– Za współpracę transgraniczną! – uniósł kieliszek gospodarz, jakby w odpowiedzi.

Z odsuniętego nieco w tył fotela łąpał na głównych aktorów przedstawienia młody czarnowłosy wilczek od Maksyma: Bartek Kowalczyk, szwagier Iwanuszki. Gapił się na Olsson, jakby mu kogoś zamordowała, a on planował w odwecie rzucić się na nią z pazurami. Posłała małolatowi promienny uśmiech, wywołując lekką konsternację ofiary.

Nazir Ashraf podniósł wzrok na Szwedkę, a jego oczy zabłysnęły złotem. Prawie drgnęła.

„Wszczepy... O szlag. W Unii takich nie robią”.

Olsson usiadła. Drzwi za nią dopiero teraz zamknęły się z cichym szcęknięciem. Chłopcy z ochrony pozostali gdzieś daleko w labiryncie willi.

– Mamy tu poważny problem, panie Ashraf – powiedziała Dagny, prześlizgując się tylko spojrzeniem po ukraińskim eks-cherubinku i skupiając na połyskujących lekko wszczepach Afgańczyka. – Nie wiem, jak mam prowadzić interesy z ludźmi, którzy dają się aresztować. To się trochę mija z celem.



Zima dość łagodna w ciągu niepełnej doby zmieniła się w zimę jak diabli, więc pierwsze, co uświadomił sobie Sławek, wychodząc ze szpitala, to, że jest ubrany kompletnie nieodpowiednio do pogody. Nawet odkrycie na wagę złota – znalezione w kieszeniach rękawice – nie rozwiązało problemu.

Szedł więc w swojej skórzanej kurtce, skulony, przez parking pod kliniką i ustalał plan wieczoru. Wypadałoby kupić sobie coś ciepłego do ubrania. I zdecydować, gdzie będzie dziś spał. Trzy adresy odpadały, co ostatecznie psuło mu humor.

Był wymiętoszony po nocy spędzonej z gustującym w płynie do spryskiwaczy stałym bywalcem toksykologii, panem Władziem, i jego regularnie używanym plastikowym wiaderkiem, obolały po bijatyce z Sorensenem, zmarznięty, głodny, a głowa piłowała go tępo. Nie chciał się wypisywać na własne żądanie, bo chwilowo nie miał pieniędzy, żeby to opłacić – polisa nie obejmowała takich ekscesów jak sprzeciwianie się woli lekarzy. Jakoś przetrwał. Służba zdrowia nawet próbowała go czymś nakarmić, ale wiaderko pana Władzia i własne skutki uboczne uniemożliwiły Sławkowi skorzystanie z tej hojnej oferty.

Teraz brnął na skróty przez wąski pas trawnika, pokryty zamarzniętym na trupa śniegiem, i zastanawiał się, co jego wątroba powie na pizzę. Niestety wszystko wskazywało na to, że powie coś bardzo niecenzuralnego.

Tomala zwolnił przy przejściu za szlabanem zamykającym parking. Spod głównych drzwi kliniki ruszała tylko duża terenówka – na tyle daleko, że chłopak nie miał najmniejszego zamiaru czekać, aż podjedzie pod szlaban. Sunęła przez mroźną noc, otoczona chmurą spalin.

Sławek naciągnął mocniej czapkę, wbił ręce w kieszenie i przyśpieszył kroku. Na peronie naziemnej kolejki, w którą w tej dzielnicy zmieniało się metro, grupa pasażerów grzała się przy koksowniku. Dalej majaczyły ciepłym światłem pięknie udekorowane witryny centrum handlowego, od którego dzieliły Tomalę tylko dwie przecznice i niemiłosiernie długi prosty odcinek wzdłuż betonowego, zakończonego drutami pod napięciem ogrodzenia, broniącego dostępu do biurowca gazowej korporacji. Mur wprost prowokował do tego, żeby wymalować na nim solidne graffiti, ale Sławek tym razem sobie darował. Po pierwsze było za zimno. Po drugie inteligentna farba i tak zaraz zje wszystko, co na niej będzie próbował bazgrać. A po trzecie po nocy w szpitalu jakoś nie ciągnęło go do spędzenia drugiej na komisariacie. Nawet jeżeli rozwiązywało to problem zakwaterowania.

Akurat w momencie, kiedy Tomala z ulgą minął narożnik upiornego szarego ogrodzenia i wszedł na normalną, oświetloną latarniami i neonami, podmiejską ulicę, gdzieś za nim zawyła syrena. Obejrzał się odruchowo. Z tunelu pod torami kolejki wypadła karetka. Samochody uciekały przed nią na boki. Duża czarna terenówka wymknęła się z zamieszania, sunąc kilkanaście metrów chodnikiem.

Duża. Czarna. Terenówka. Ta spod kliniki.

Sławek miał naturę szczura. Nawet jeżeli teraz czuł się i wyglądał bardziej jak wypluwka sowy – lekko nadtrawione pazurki, futerko oraz inne resztki po gryzoniu – to jednak szczurze instynkty zadziały bez pudła. Tomala przypadł do ziemi, prawie na czworakach zanurkował między zaparkowane pod sklepami samochody, smyrgnął pod ścianą, w mrok pod stłuczoną latarnią, za śmietniki i wreszcie w kuszącą bezpieczeństwem bramę wielopiętrowego garażu.

Budynek – porośnięty do wysokości ostatniego, siódmego piętra wiecznie zielonym, fosforyzującym w ciemności bluszczem – migotał przy każdym powiewie lodowatego wiatru. Sławkowi zakręciło się w głowie od demonicznej poświaty, najwyraźniej wczorajsze prochy nie zmetabolizowały się jeszcze do końca. Wolał nie patrzeć zbyt długo na efektowny produkt inżynierii genetycznej, żeby przypadkiem nie zobaczyć w nim czegoś, czego projektanci wcale nie zamierzali stworzyć.

Z ulgą wślizgnął się do środka, w chłodne światło jarzeniówek, między wymalowane na betonie pasy wyznaczające stanowiska parkingowe. Wsiadł do windy i oparł się o jej metalową ścianę.

To by było tyle.

Budynek miał tylko jedno wejście. A szczurzy instynkt mówił, że drapieżnik nie dał się tak łatwo zbyć. I będzie krążył do skutku.



Maksym coś wyjaśniał, a Olsson śledziła jego słowa. Siedziała, pewna siebie, z nogą założoną na nogę i półuśmiechem na ustach. Wtedy słuchawka w jej uchu zaszemrała na granicy słyszalności: „SMS od Tomali”.

Oby Sławek pamiętał, co mu grozi za nadużywanie priorytetowych wiadomości. Inna nie przebiłaby się przez filtr, który Dagny ustawiła przed spotkaniem. Tomala pewnie próbował wcześniej dzwonić, ale telefon miał sygnalizować tylko ewentualne połączenie z Lundebergiem.

Olsson, przypominając sobie, dzięki komu tak uroczym rozpoczęła nad ranem ten dzień, miała ochotę udawać, że nic nie słyszy, jednak byłoby to mocno nierozważne. Nie w jej stylu.

Najwyżej założy potem blokadę na awaryjne SMS-y od Tomali oraz wyciągnie adekwatne konsekwencje służbowe.

Uniosła lekko rękę.

– Przepraszam na moment – przerwała Maksymowi, starając się trafić w którąś z przydługich przerw w jego nieśpiesznym monologu.

Dotknęła słuchawki, potwierdzając wiadomość, a kiedy ją odsłuchiwała, skrzywiła się i sięgnęła do kieszeni po telefon. Rozwinęła ekran i nabazgrała na nim piórkiem dwa SMS-y. Potem podniosła wzrok na rozmówców i wycedziła zimno: – Dlaczego za moim człowiekiem ktoś jeździ?

W oczach Bartka błysnęła ewidentna satysfakcja, Maksym uśmiechnął się rozbrawająco, a Nazir Ashraf przybrał uprzejmie neutralny wyraz twarzy.



Biały terenowy volkswagen Martina wtoczył się powoli do wnętrza wielopoziomowego garażu, psychodeliczny bluszczok powiewał łagodnie wokół bramy. Zgodnie z instrukcją Sorensen wjechał na trzecie piętro, skręcił kilka razy w wąskiej płataninie stanowisk parkingowych, zatrzymał auto i rozejrzał się.

Pusto. Jeżeli nie liczyć mnóstwa martwych, cichych samochodów, oczekujących czasem od kilku godzin na swoich właścicieli.

W tym momencie zadzwonił telefon. Martin, cały czas spięty, wzdrygnął się.

– To ty – bardziej stwierdził niż spytał zachrypnięty głos ze słuchawki.

– Aha – odmruknął Sorensen.

– Idź się przejść.

– Że co?

– Połóż trochę, żeby widzieli, że przyjechałeś tu w jakimś konkretnym celu. A nie po mnie.

Martinowi nie spodobało się takie postawienie sprawy, wcale a wcale, jednak nie pozostało mu nic innego, jak zostawić auto i pójść do sąsiedniego budynku, zajętego przez centrum handlowe. Powoli przemaszerował przez łącznik między wieżowcami, tunel z zielonego szkła, w którym czuł się jak tarcza na strzelnicy.

Nie mając pojęcia, co powinien zrobić dalej, żeby wyglądało to naturalnie, wstąpił do apteki. Hurtownia Sorensena zapewniała im zaopatrzenie, więc dokładnie pamiętał jej lokalizację w kompleksie. Zakupy zajęły mu dłuższą chwilę, potem mógł już wrócić na parking bez wzbudzania podejrzeń.

Ledwo Martin wszedł do samochodu, w cieniu między betonowymi filarami przemknęła przygarbiona postać. Tylne drzwi volkswagena trzasnęły i Sławek zanurkował za oparcie siedzeń, między różne bambetle, które Sorensen ciągle zapominał zabrać z bagażowej części auta.

– Jedziemy – zarządził Tomala. – Przyciemnij szyby.

Duńczyk wykonał polecenie, a Sławek zdążył znaleźć stary pled w czerwono–pomarańczową kratę i zakopał się pod niego tak, że nie wystawał mu nawet czubek buta.

– Rany boskie, ale śmierdzi... – zamarudziło coś nagle spod koca.

– To legowisko psa – wyjaśnił z anielską cierpliwością Sorensen, wyjeżdżając z garażu i obserwując przy tym otoczenie, po którym spodziewał się wszelkich możliwych mafijnych zagrożeń.

– Masz psa?! – Sławka wzięło nagle na konwersację.

– Miałem – uciął Martin, nie wdając się w ponure szczegóły, bo wcale chciał ich sobie akurat w tym momencie przypominać. – Teraz nie mam ani psa, ani dziewczyny, za to mam kumpla idiotę.

Pomarańczowy koc prychnął, a Sorensen dodał gazu i na samej końcówce zielonego światła wjechał serpentyną na górną nitkę wielkiego wiaduktu biegnącego nad jedną ze starych dzielnic.

Tomala wygrzebał się z bagażnika i przelazł na przednie siedzenie.

– Pasy – zwrócił mu uwagę Martin, a Sławek wywrócił oczami, ale usłuchał.

Wyglądał jak nastroszona, bardzo zmarznięta wrona. Sięgnął w zanadrze po papierosy, ale pod ciężkim spojrzeniem kumpla cofnął rękę. W domu u Sorensena zawsze mógł usiąść blisko wyciągu wentylacji, w ciasnej kabinie samochodu wolał nie dmuchać niepalącemu kierowcy dymem prosto w nos.

– Masz. – Martin rzucił Tomali kilka związanych recepturką saszetek. – Witamina C, paracetamol, myślę, że akurat coś dla ciebie na dziś.

– Dzięki – rozpromienił się lekko dygocący Sławek i zabrał się do rozdzierania saszetki.

– Nie na sucho! To się z wodą pije, najlepiej gorącą. Właśnie, dokąd cię podrzucić?

Odpowiedziało mu pełne wahania milczenie.

– Ekhm, no tak. Sławek, nie chcę być wścibski, ale czy ty gdzieś mieszkasz? Tak konkretnie?

– Mam kawalerkę we Wrocławiu! – warknął Tomala i zdając sobie sprawę z tego, jak się prezentuje, uściślił: – Na czterdziestym drugim piętrze, w nowym budownictwie!

– Tak tylko pytałem – zarechotał Martin, nie wiedząc czemu bardzo ubawiony tym wybuchem. – Chyba rzadko tam bywasz?

– A po co mam bywać? – zdziwił się zupełnie szczerze Sławek. – Przecież tam nikt poza mną nie mieszka.

„Jasne”, uśmiechnął się w duchu Sorensen. „To wiele wyjaśnia”.

Przebijając się już przez centrum, utknęli w korku drzwi w drzwi z taksówką ze stołecznej korporacji. Na tylnym siedzeniu przysypiała ruda dziewczyna w mundurze wojskowym. Kiedy samochód hamował, ocknęła się i rozejrzała czujnie, choć lekko zdezorientowana.

– Zawieź mnie do jakiegoś hotelu – oświadczył Tomala. – Jeszcze się nie zastanawiałem którego, ale...

– A, dałbyś już spokój. – Zniecierpliwiony Martin usiłował właśnie nie staranować malutkiego miejskiego auteczka, którym podróżowała para emerytów. Pojazd był takiej wielkości, że oprócz pasażerów zmieściła się w nim tylko torba z zakupami trzymana przez dziadka na kolanach. – Jedziemy normalnie, do mnie, do Opola.

– Ale...

– Jeszcze się będzie krygował... Nie mam głowy do żadnych hoteli, siedź cicho i do cholery, zostaw w spokoju tę saszetkę, w domu dostaniesz do niej wrzątku. Nie umrzesz na grypę z powikłaniami przez ten czas! Dagny ma rację, jesteś świr i hipochondryk.

Tomala usiłował wymyślić jakąś ciętą ripostę, lecz tylko siorbnął i wytarł

nos rękawem.



– Kto to w ogóle jest ten Tomala? – zainteresował się wreszcie Nazir Ashraf, usiłując najwyraźniej złapać jakieś punkty wspólne z resztą dyskutujących.

Być może zorientował się, że jeszcze chwila, a posypią się wzajemne oskarżenia, po których miła atmosfera wieczoru nieuchronnie weźmie w łeb.

– Mój człowiek. – Dagny Olsson miała mocno rozwiniętą potrzebę posiadania dóbr na własność. Nawet jeżeli były to dobra wątpliwej jakości.

– Dmucha żonkę Iwanuszki – wyjaśnił Maksym, a klasyczny angielski Ashrafa co prawda w pierwszej chwili rozminął się chyba ze słownictwem z polsko–ukraińskiego pogranicza, jednak żądza mordy w oczach Bartka Kowalczyka musiała mu wiele dopowiedzieć.

– Zapomnij – warknął młody.

– No to już nie dmucha – pogodnie kiwnął głową Maksym.

– On pełni jakąś funkcję...? – Afgańczyk uznał, że Dagny prędzej udzieli mu precyzyjnych informacji.

– Ma dużo znajomych – powiedziała Olsson, a jarzące się złoto sztuczne oczy Nazira Ashrafa zachęcały do kontynuowania. – To taka artystyczna dusza – prychnęła. – Nedorobiony grafik i jeszcze bardziej niedorobiony arabista. Ale ma dzięki temu szerokie kontakty i świetnie mu idzie handel.

Dagny darowała Ashrafowi swoją ulubioną anegdotę na temat wykształcenia Sławka, a mianowicie informację, że poszedł na studia, bo chciał zgłębiać twórczość jakiegoś średniowiecznego poety, takiego co to

„wino, kobiety i śpiew”. A potem się, biedaczek, zdziwił, że normalni ludzie studiują arabistykę, bo chcą robić karierę w dyplomacji albo biznes z Kalifatem.

Ewentualnie pracować dla wywiadu – ale tacy niestety trzymali się od Sławka z daleka.

– Jeśli chodzi o arabistów – wyjaśniała dalej Olsson – to możemy liczyć co najwyżej na nafurane tygryski biznesu. Za to plastycy zamawiają u Tomali droższe pozycje z menu. Plus różne usługi, pośrednik zawsze się przyda.

– To nikt ważny? – upewnił się Afgańczyk.

– Nikt ważny – odpowiedziała Dagny. A potem wyciągnęła elektronicznego papierosa, bo został jej od tych słów niesmak w ustach.

Zielona końcówka żarzyła się mocniej, kiedy Szwedka się zaciągała. Coś się w tej całej historii nijak nie chciało zgodzić.

– Maksym – powiedziała w końcu Olsson. – Od kiedy Iwanuszka płaci ci za pilnowanie, żeby nikt nie włożył jego żonie pod kołdrę?

Zgodnie z tym, czego należało się spodziewać, choć nie do końca zgodnie z intencjami mówiącej, prowokacja odbiła się od niezmaconego spokoju adresata i uderzyła rykoszetem w nastroszonego Bartka–szwagra.

– Proszę zmienić ton, w jakim pani mówi o mojej siostrze!

Dagny po raz drugi w czasie tego spotkania obdarzyła Kowalczyka pełnią swojego zainteresowania.

– Dlaczego? – rozpromieniła się.

Naprawdę już więcej nie było trzeba, żeby go ostatecznie wyprowadzić z równowagi.

– Tomala to śliska menda, kapuś! Zmarnował mojej siostrze życie, zmarnował życie jej dziecku, ale co ty – nagle zapomniał, że miał być grzeczny – możesz o tym wiedzieć, nie? Nie masz zielonego pojęcia, jak się czuje rodzina po czymś takim!

Wydawało mu się pewnie, że wymyślił wyjątkowo błyskotliwy tekst, bo Dagny aż zabębniła o blat pomalowanymi na granatowo paznokciami.

– Niech dzieciak się zamknie – syknęła. – Maksym, rozmawiam z tobą, nie z nim. Wyjaśnij mi, bo chyba czegoś nie rozumiem. Właśnie się dowiedziałam, że mój diler doniósł na twojego gościa od kulturystów? Że tak spytam, póki jestem w przyjaznym nastroju: kompletnie wam odjechało?

– Mnie? – zdziwił się Ukrainiec z całą niewinnością, na jaką jeszcze dekadę temu mógł wskazywać jego wygląd. – Ja po prostu wyciągam konsekwencje.

Dagny trzasnęła w stół i aż się skrzywiła, uraziwszy niezagojony ślad po tatuażu. Cofnęła rękę, a lekko podpuchnięte wewnątrz dłoni musiało przyciągnąć uwagę Ashrafa, bo wszczepy w jego oczach błysnęły i na zaczerwienionej skórze Olsson mignął przez chwilę mocniej oświetlony napis. *MIKKEL*.

Zamknęła gwałtownie dłoń.

– Nikt od nas nie sypnął – powiedziała ostro. – Ty mi tu, Maksym, nie próbuj pogrywać takimi oskarżeniami, bo nic na tym nie utargujesz, a Kowalczyk może dużo stracić. Na przykład siostrę.

Dagny zaciągnęła się nikotyną.

„To nie ma sensu”, pomyślała. „Takich rzeczy nie załatwia się w ten sposób”.

Gdyby Maksym miał realne podejrzenia co do Tomali, nie prowadziliby na ten temat salonowej konwersacji, przynajmniej dopóki ciało kapusia nie znalazłoby się w jakimś mało fajnym miejscu, w jeszcze mniej ciekawym stanie. Ale gdyby realnych podejrzeń nie miał, tym bardziej nie bawiłby się w podchody.

Chyba że uznał to za świetny sposób, żeby rozmowy zboczyły z głównego tematu, czyli finansowych skutków aresztowania Iwanuszki. Byłaby to

wyjątkowo kretyńska taktyka – próba zastraszenia Dagny Olsson nie mogła się skończyć dobrze.

Szwedka martwiła się w tej chwili przede wszystkim o to, żeby wkurw nie zaburzył jej zdolności trzeźwej oceny sytuacji. Bo jednak sama obecność afgańskiego gościa stanowiła gwarancję profesjonalizmu Maksyma i sensowności jego posunięć, co niepokoiło Dagny ogromnie.

Ochroniarze czekali na sygnał z nadajnika w elektronicznym papierosie. Pomyślała, że jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która zapewne zdążyłaby jej w odpowiednim momencie wyrwać gadżet, jest Nazir Ashraf.



Volkswagen Sorensena sunął leśną drogą. Koła chwilami buksowały w zaspach, a w wąskich stożkach wyciętych z ciemności przez reflektory majaczyły fantastyczne kształty pokrytych śniegiem drzew. Tomala, stworzenie może i śmietnikowe, lecz zdecydowanie miejskie, czuł się niepewnie.

W samochodzie było ciepło, a z głośników płynął optymistyczny pop z playlisty Martina. Mimo to czujnik temperatury na zewnątrz w połączeniu z roztrzęsieniem Tomali nie pozwalał się dilerowi do końca odprężyć.

„Zwierzę we mnie się boi”, skonstatował w myślach Sławek, nie wiedząc tylko, czy to zdrowy instynkt, zwykła histeria po wydarzeniach pod szpitalem, czy wręcz ohydna końcówka wczorajszych psychotropowych koszmarów. Ręce mu się trzęsły i miał straszną ochotę zapalić, ale nie chciał wkurzyć właściciela samochodu. Nie w samym środku ciemnego, mroźnego lasu.

Dojeżdżali już do domu Martina, ukrytego dyskretnie przed wzrokiem ciekawskich – jednego z najważniejszych punktów, w których zbiegały się szlaki transportów pana Lundeberga. Tomala, prywatny kumpel Dagny Olsson, widział i domyślał się więcej na temat skali działalności firmy, niż wynikałoby to z jego niezbyt istotnych zadań. Czasem mówił Szwedce, że pełni zaszczytną funkcję jej osobistego błazna, a Dagny nie zaprzeczała, rzecz jasna – przez grzeczność.

Skacowany, telepiący się nieco od stanu podgorączkowego, nikotynowego głodu i pełgającego podskórnym irracjonalnego lęku nadworny błazen wpatrywał się w śnieżne zjawy omiatane światłami samochodu.

– ...czy pizza z mrożonki? – dopytywał się, podjeżdżając pod bramę Martin, teraz już całkiem wyluzowany.

– Co? – Sławek nie do końca przytomnie odwrócił się wreszcie w jego stronę.

W pierwszej chwili myślał, że znów mu się coś zwiduje, ale wtedy rzeczywiście zobaczył ruch na poboczu: – Uważaj, lis! – krzyknął.

Martin zahamował gwałtownie, widać też żał mu było zwierzaka. Poślizg zniósł samochód z toru, Sorensen próbował go wyrównać.

Wtedy właśnie w przednią szybę uderzył pocisk.

Wytresowany jak należy na poligonach Martin zareagował instynktownie – zanurkował za kierownicę. Jego pas tylko smyrgnął zwijany przez automat, odpięty, zanim zdążył złapać uchylającego się kierowcę. Sławek, nieprzyzwyczajony do przypinania się, szarpał się przez moment ze swoim i wtedy przez popękaną szybę zobaczył wkraczającą w zasięgu światła sylwetkę. A potem spojrzał w dół, do wnętrza kabiny.

– On nie strzelał – wycedził, szcękając zębami. – Tto znaczy nie normalnie...

Sorensen podążył za jego wzrokiem. W szybie pozostała część pocisku,

która ją rozbiła. Między fotelami leżał dozownik z igłą. Musiał trafić w metalową część zagłówka i stoczyć się na podłogę.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się ze szczękiem, Sławek zaskomlał. Czarne, połyskujące obsydianowo pazury zacisnęły się na kurtce diler a i wywlekły go w mróz.



Martin w błysku mobilizacji zrozumiał jedno: oczekiwano po nim, że będzie nieprzytomny. Więc był. Zwiślał bezwładnie, wsparty barkiem o drzwi, z głową na kierownicy, tak jednak, żeby nie uruchomić klaksonu.

Z odtwarzacza sączyła się łagodna ballada. Silnik volkswagena pracował i skoro napastnik nie zwrócił na to uwagi, Sorensen nie zamierzał pozwolić, żeby zgasł.

Przyczaił się, z nogą na sprzęgle, spod przymkniętych powiek patrząc między rysami w szkłe.

Stali tuż przed maską: barczysty mężczyzna w jasnej bluzie, maskującej w tych warunkach – i Tomala, właściwie bardziej unoszony w powietrzu przez makabryczną, zakończoną pazurami łapę, niż stojący na własnych nogach.

„Mutant”, przemknęło przez myśli Sorensena. Rosyjski żołnierz, silniejszy i bardziej odporny niż normalni ludzie. Martin nie mógł sobie przypomnieć dokładnie rocznika, ale te upiorne łapki, dziś już wyglądające tak archaicznie, kiedyś szczyt technologii – zwykłe protezy, podpięte pod układ nerwowy, przymaskowane elegancko sztuczną skórą, w ułamku sekundy uzbrajające się do walki... Te łapki wskazywały na jakiś strasznie dawny rocznik.

„Weteran”, Sorensen był prawie pewien. „Starszy ode mnie”.

Gdzieś w pamięci zamajaczyły mu zdjęcia z drugiej wojny chińskiej pokazywane na wojskowych szkoleniach.

Mutant weteran powiedział coś, najwyraźniej po rosyjsku, bo dygocący Tomala wykrztusił jedno z nielicznych zdań w językach słowiańskich, które Martin rozumiał: – *Ja nnie panimmaju...*

Napastnik przeszedł na angielski, ze wschodnim zaśpiewem, który w jego ustach brzmiał wyjątkowo niepokojąco: – Trzymaj się z daleka od Marii Michajłowny. Zrozumiałeś?

„Dobry Boże”, jęknął w myślach Sorensen. „Powabna carewna...”.

Tomala tylko skinął głową.

Rosjanin odepchnął go, pozornie lekko, ale znacznie dalej i mocniej niż można by się spodziewać. Diler wrzasnął i rąbnął o grunt, śnieg trochę zamortyzował uderzenie. Mutant podszedł nieśpiesznie, pochylił się nad Sławkiem i przejechał pazurami przez jego klatkę piersiową, rozcinając skórzaną kurtkę, a pod nią pewnie kraciastą koszulę i skórę Tomali. Chłopak rozdarł się jak opętany.

Weteran frontu syberyjskiego zrobił krok w tył, z powrotem na szosę, zapewne chcąc stopniować efekt psychologiczny.

„Teraz!”, pomyślał Martin i ruszył gwałtownie. Silnik volkswagena zawył, koła przez ułamek sekundy tańczyły na śniegu, ale samochód wyrwał do przodu nagłym susem. Rosjanin zdążył się tylko odwrócić. Sorensen widział jeszcze przez mgnienie oka jego twarz, bardziej zniszczoną niż wskazywałby na to wiek żołnierza. Kwadratową, z podgolonymi włosami. Potem autem zakołysało uderzenie, a przez rytmiczną muzykę przebił się koszmarny wizg metalu o metal.



Stali nad ciałem obaj. Sławek aż niebezpiecznie spokojny, obejmujący się rękami. Porwane ubranie miał przesiąknięte krwią, ale rany musiały być powierzchowne. I Martin, który nie mógł oderwać wzroku od śladu pazurów na masce samochodu.

Zdażył już cofnąć auto o parę metrów. Od razu stało się jasne, że jakakolwiek reanimacja będzie bezcelowa. Taki był przecież jego zamiar, tak kierował.

– Jezu, Matti... – powiedział wreszcie Sławek.

– Zabiłem człowieka.

– To mutant, ruski.

– Czyli człowiek, do cholery!

– Yhy... Tak jakby – zgodził się niechętnie Tomala.

Pod Martinem właśnie w tym momencie ugięły się nogi. Wylądował na oblodzonym asfalcie, z chorą fascynacją wpatrzony w zmasakrowane ciało i wsiąkającą w śnieg ciepłą, ludzką krew.

– Kumpel Iwanuszki i Bartka Kowalczyka – wyjaśnił nagle Sławek.

– Kowalczyka? – spytał Martin, choć podejrzewał, że nic mu ta wiedza nie da.

– Brata...

– Pięknej carewnej?...

– Żony Iwanuszki. – Sławek mruknął to bardzo, bardzo cicho.

– Oż kurwa... I chciał cię zabić.

– Chyba nie. Chyba nie chciał, Matti. – Tomala patrzył w zasadzie przepraszająco. – Przecież wtedy nie mówiłby, żebym się od niej trzymał z daleka i tak dalej.

Sorensen tylko się skulił, obejmując kolana rękami. Potem podniósł głowę i wstał gwałtownie.

– Zwijamy się stąd, w tej chwili.

„Teraz Sławka trzymają emocje, ale on mi tu zaraz zemdleje”. Ta myśl ustaliła Martinowi priorytety zadań, mógł zacząć działać. Skupić się na praktycznych aspektach sytuacji.



– No, nareszcie – sapnął nerwowo Sorensen, widząc migające między drzewami reflektory samochodu.

Sławek podniósł się z kanapy i gasząc światło, też podszedł do okna. Byle jak opatrzone, przebrane w bluzę kumpla i zawinięty w kraciasty koc po jego psie, prawie przestał się trząść.

Niecałą godzinę temu nagle, ku zaskoczeniu Sorensena, Tomala przejął dowodzenie i wdrożył to, co nazwał procedurą kryzysową firmy. Martin jak gorzką pigułkę przełknął uświadomienie faktu, który powinien przecież być dla niego oczywisty: takie rzeczy się zdarzały.

Samochody wyłoniły się zza ośnieżonej kępy krzewów, światła błysnęły czekającym prosto w oczy. Duńczyk uruchomił bramę, która teraz rozsuwała się powoli. Pierwsze auto wjechało na podjazd, więc fotokomórka włączyła latarnię nad drzwiami wejściowymi. Sławek nabrał gwałtownie powietrza.

– To nie jest samochód Dagny...

Tomala zrobił niepewnie krok do tyłu. Martin zamarł i patrzył tylko, jak z auta wysiada wysoki śniady mężczyzna. Nienagannie ubrany, co odnotował spięty do granic możliwości Sorensen.

Mężczyzna podniósł wzrok na ciemne okna domu. Jego oczy zaświeciły złotym blaskiem wszczepów. Wiązka światła musnęła twarze ukrytych w mroku Martina i Sławka, a potem zatrzymała się na leżącym na zewnątrz,

przykrytym brezentową płachtą kształcie.

W tym momencie drugi samochód wmanewrował na podjazd i jeszcze zanim zdążył się całkowicie zatrzymać, wyskoczyła z niego drobna kobieta w białej puchatej czapce.



Dagny sztachnęła się nikotyną, a e–papieros mało nie przymarzył jej do ust. Trzymała go przez rękawicę, a zielona końcówka urządzenia świeciła jakby słabiej niż normalnie.

– Naprawdę nie wiem, co się temu waszemu gościowi stało: poślizgnął się i nieszczęśliwie upadł? Moi chłopcy na pewno nie mają z tym nic wspólnego – wzruszyła ramionami i skrzywiła się nieznacznie. – Oni są... Wyjątkowo mało bojowi.

Pochyliła się i zrobiła to, co w jej pojęciu dawno powinien zrobić Ashraf: silnym szarpnięciem odwinęła zeszywniałą od zimna brezentową płachtę. I aż się zakrztusiła dymem.

– Rany boskie... Maksym, dlaczego wysłałeś za Sławkiem ruskiego killera? Którego oni... – teraz już nawet ona nie umiała składnie dokończyć zdania.

– Zaraz killera – Ukrainiec jak zwykle ważył słowa. – Nie miał Tomali ucinać uszek, nosa, palców ani niczego innego. Tym bardziej nie było w planie trupa.

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu, a atmosfera stężała jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to możliwe.

Przyjechali z willi Maksyma razem – załatwić wspólnie to, czego przecież

w żaden sposób nie dało się na dłuższą metę przed miejscowymi ukryć – i lepiej było rozstrzygnąć sprawę od ręki. Uwadze Olsson nie umknęło, że Bartek w posiadłości szefa został nie z własnej woli. Przeprowadzono to dyskretnie i elegancko, ale Dagny od razu wyczuła klimat daleko idącej niełaski, w którą popadł młody wilczek. Szef zamienił z nim kilka słów, kiedy pozostali siedzieli już w samochodach. Potem zawrócił go ostrym gestem w stronę domu. A krok w krok za Kowalczykiem poszedł jeden z ochroniarzy.

Szwedka miała dziwne przeczucie, że o szczegółach zlecenia mutanta Maksym dowiedział się dopiero wtedy. On sam był o wiele za sprytny na tak idiotyczną akcję.

– Ten twój cały Bartek mu chociaż zapłacił czy to tak w ramach przyjaźni znad kieliszka? – rzuciła Olsson niewinnie. Wszyscy, którzy kojarzyli Rosjanina choćby z opowieści, wiedzieli, że weteran ma niejaki problem alkoholowy.

Tymczasem Maksym się wkurzył, do tego stopnia, że po raz pierwszy tego wieczoru zaczęło to być po nim widać.

„Oho”, pomyślała Dagny. „Trafiłam w czuły punkt”. To nie Kowalczyk jest w tej rodzinie od zlecania killerom zadań. W ogóle od podejmowania jakichkolwiek decyzji. Maksymowi wydawało się, że nikt się nie zorientuje, jak dzieciak zrobił z niego idiotę, wykonując efektowną samowolkę.

„No to posprzątane... Wojna gangów, zarabista perspektywa”. Zwłaszcza, kiedy żadnej ze stron to się nie kalkuluje.

Zanim jednak którekolwiek z nich zdążyło zrobić coś nieprzemyślanego, znad powoli zamarzających zwłok odezwał się Nazir Ashraf: – Ten człowiek przyплыł do Odessy w zapieczętowanym kontenerze z jakimiś towarami, prawda?

Maksym machinalnie skinął głową. Dagny nie zdziwiłaby się, gdyby to

sam Afgańczyk organizował ten przerzut.

– Czyli w Unii formalnie go nie ma – kontynuował Ashraf. – Jak można zabić kogoś, kogo nie ma?

Olsson uśmiechnęła się nagle, podnosząc wzrok na migoczące złoto tęczęwki mówiącego, a potem odwróciła się znów do Ukraińca.

– Wejdźmy do środka – zaproponowała. – Wróćmy do rozmowy o interesach.

Maksym zawahał się tylko przez mgnienie oka.

– W takim razie to – wskazał ruchem głowy na ich owinięty w brezent problem – trzeba wliczyć w koszty.



Huragan, który ogarnął dom Martina, odszedł równie nagle, jak się pojawił. Tłum mniej lub bardziej jawnie uzbrojonych, mniej lub bardziej zcyborgizowanych facetów, znanych z widzenia lub zupełnie obcych, zdeptał Sorensenowi dywan pośniegowym blokiem, poprzestawiał krzesła, wypił piwo – i zniknął.

Po odjeździe Ukraińców Dagny wyprosiła swoich ludzi, każąc im czekać w samochodach. Ona chyba też chciała mieć spokój.

– Zbieraj się, jedziemy do Brzozowskiego – mruknęła do Sławka, a on był zbyt zszokowany całokształtem sytuacji, żeby się ucieszyć, że to akurat słodkie rączki Olsson sprawdzają jego opatrunki. – Brzozowski to prywatny chirurg, który zna się na swojej robocie, a nie zadaje pytań – wyjaśniła Dagny Martinowi. – Szpital to nie jest dobry pomysł na dziś, jutro na portalach byłby news, że jakiegoś koleśia poharatało yeti.

Martin uśmiechnął się samymi kącikami ust. Tomala o dziwo też nie był w nastroju do wygłupów.

– Dagny, skąd on wiedział? Jak on nas, do cholery, znalazł?

Szwedka wzruszyła ramionami.

– Pewnie puścił sondę, niewiele ryzykował: kto by sobie głowę zawracał wypatrywaniem nad ruchliwym miastem czegoś tak małego. A że do mnie z tego parkingu pisałeś, to miał twój sygnał jak na talerzu. Pewnie nikt poza tobą w taki ziąb w samochodzie nie przesiadywał i nie dzwonił. Facet miał sprzęt jak na poważne zlecenia, to go używał.

Sławek powoli szykował się do wyjścia, a minę miał bardziej niż niewyraźną.

– A co ze mną? – odważył się spytać Martin, widząc, że i Dagny sięga po kurtkę.

– Nic, Matti. Zapomnij o sprawie, już cię nie dotyczy.

„Dopóki nie zechcecie wykorzystać jej przeciwko mnie”, pomyślał, ale nie chciał głębiej się nad tym zastanawiać. Spytał: – Nie wynikły z tego powodu jakieś komplikacje? Wiesz, w waszych układach z...

– Jedyne, co mógł zrobić Maksym, to uciąć nam dostęp do rosyjskich laboratoriów i afgańskich pól makowych, tracąc przy tym rynek zbytu. Pan Nazir by się nie ucieszył.

Sorensen nabrał niemiłej pewności, że przez jego dom, tak jak przypuszczał, przechodziły nie tylko ekskluzywne tabletki, które weryfikował dla klienteli Sławka.

– Hej, Matti – rzuciła jeszcze Olsson z wiatrołapu. – Załatwię ci ten pistolet. Zostawiłabym już dziś jakiś od chłopaków, ale wolę, żebyś nie miał w domu nielegalnej broni. Chociaż papiery i tak nic nie pomogą, jeżeli zawsze będziesz nam fundował takie przekroczenia obrony koniecznej – prychnęła.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, za Dagny zamknęły się drzwi.



Sorensen nie mógł zasnąć. W myśl zasady, że na kaca najlepsza jest praca, posprzątał parter, a potem położył się z nadzieją, że zmęczenie i poprzednia zarwana noc zrobią swoje. Dość naiwna była to koncepcja.

Leżał teraz, patrząc na smugę księżycowego światła, sączącą się ze szczeliny między framugą okna a zasuniętą roletą. Nie chcąc wspominać ostatniego dnia, rozważał słowa Dagny.

Rosyjskie laboratoria. Do tej pory zakładał, że Lundeberg zajmuje się wyłącznie handlem substancjami, co do których Sorensen wcale nie był pewien, czy powinny być w Unii zakazane. Może wręcz były bezpieczniejsze od niektórych leków, przepisywanych w majestacie prawa i zaciszu gabinetów psychiatrycznych.

Ale jakoś teraz stanął mu nagle przed oczami rosyjski zmodyfikowany żołnierz i jego obsydianowe pazury. I to małe przesłuchanie na temat Kotów, które cztery lata temu urządził Martinowi Lundeberg.

Nanoboty, elementy większych konstrukcji czy nośniki danych z opatentowaną na wielkie kwoty technologią, cyfrową albo biologiczną... Żaden problem ukryć coś takiego w samochodzie. Ani Sorensen, ani – pozostawało mieć nadzieję – służby graniczne nie rozkręcali tych furgonetek na śrubki.

„Jezu, to wszystko może jeździć tranzytem przez mój dom... Jaki mój? Olafa Lundeberga”.

Już jakiś czas temu zaczął się zastanawiać, że skoro firma jest aż tak duża,

dużo większa niż początkowo sądził, to dlaczego w zatrudnieniu drobnego chemika brał udział szef.

Odpowiedź narzucała się sama – nie chemikowi się przyglądał. Tylko facetowi, w którego garażu będą się zatrzymywały różne furgonetki, czasem załadowane towarem, a czasem pozornie puste.

To wszystko jednak – nawet świadomość, że z takich firm się nie odchodzi, chyba że do krainy wiecznych łowów – niepokoiło Martina tylko odrobinę. Uciekał od innej myśli.

Patrzył teraz w ciemny sufit lub na zmieniające się cyfry na wyświetlaczu zegarka. Tomala i Dagny zwinęli się błyskawicznie i Sorensen im w końcu nie powiedział, że w zasadzie Sławek może tu na noc wrócić. Ale ktoś by go musiał przywieźć, więc i tak pewnie nic z tego...

Był sam. Dom mrucał ledwo słyszalnie znanym już Martinowi rytmem pracy różnych urzędów. Za oknem trwała mroźna, wygłuszona śniegiem cisza.

„Chyba nie chciał mnie zabić, Matti. Przecież wtedy nie mówiłby, żebym się od niej trzymał z daleka”, powracało natrętnie.

I ten dźwięk. Wizg pazurów o maskę samochodu.

POLOWANIE NA WRÓBLE

Wszystko zaczęło się wiosną dwa tysiące siedemdziesiątego piątego roku, chociaż nikt w Chamonix nie przypuszczał wtedy, że to dopiero początek, który będzie miał swoją upiorną kontynuację.

Nafisa Bihmidine była muzułmańską studentką ekonomii, zamieszkałą na stałe w Rotterdamie. Zdjęcia, które półtora roku później obiegły portale informacyjne, nie przykuwały uwagi niczym szczególnym. Jasna chusta zasłaniająca włosy i szyję, czarna tunika, rozpięta turystyczna kurtka, dżinsy i plecak przerzucony przez jedno ramię.

Jej drobna twarz była raczej wyrazista niż ładna. Nieśmiałe spojrzenie w połączeniu z chustą prowokowało bardziej do dyskretnego odwrócenia wzroku niż zaczepki.

Nafisa chciała spędzić w narciarskim kurorcie święta wielkanocne, które dla niej oznaczały po prostu prawie tydzień wolnego od nauki. Jednak jak napisała do siostry już pierwszego dnia pobytu w Chamonix, nie czuła się swobodnie w imprezowym towarzystwie. Wróciła do pensjonatu dużo wcześniej niż balujące koleżanki i zaczęła żałować, że przyjechała tu akurat z nimi.

Tamtego wieczora czytała przed snem artykuł, z którego miała przygotować seminarium. Następnego dnia pojechały kolejką linową na Aiguille du Midi i rozsyłały rodzinom swoje fotografie na tle Mont Blanc – Nafisa właśnie tę z plecakiem, na tle śnieżnej pokrywy otulającej miękko szczyt jak bita śmietana.

Po zmroku wszystkie poszły się bawić, nic zdożnego, zaznaczano potem – tańce, młodzi ludzie z całej Europy, głośna muzyka. Spokojna Bihmidine zapewne szybko zaczęła się nudzić. Być może wolała uczyć się do seminarium albo porozmawiać z siostrą, która pisała jej, że jakby co, to będzie miała dla niej czas po dziesiątej.

Nafisa tego dnia nie włączyła jednak komputera ani do nikogo nie dzwoniła. Koleżankom pomachała na pożegnanie. Recepcjonistka w pensjonacie zapamiętała, że przyszła sama, nawet zamieniły na ten temat parę słów. Studentce było chyba przykro, że nie pasuje do grupy, którą do tej pory uważała za swoją paczkę.

Nie piła alkoholu, z zasady – i oczywiście również tej nocy. Nie zażywała żadnych leków.

Kiedy nad ranem na trawniku pod oknami pensjonatu znaleziono jej ciało, po dokładnym śledztwie uznano to za wypadek. Drzwi balkonowe były otwarte, w pokoju zwykły dziewczynski nieład.

Wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Może za bardzo się wychyliła, może usiadła na barierce, może się poślizgnęła, skoro na nogach miała tylko skarpetki. Tragiczny zbieg okoliczności.



Profesor Mikołajczak w siedemdziesiątym siódmym roku wziął urlop w sierpniu. Większość wolnego i tak planował spędzić w pracy, bo lubił doglądać swojego poletka osobiście. Sandra Griffin, którą spotkał na korytarzu kliniki, spytała nawet uprzejmie, czy boi się, że pod jego nieobecność rozbiorą „całą tę budę” i rozbiegną się we wszystkich

kierunkach, każdy z drogocennymi obiektami badawczymi pod pachą.

Mógł jej jednak odpowiedzieć z godnością, że owszem, wybiera się na wakacje. Nie dodał, że na całe pięć dni.

Mikołajczak, w przeciwieństwie do swoich młodych współpracowników, nie cierpiał na żądę wrażeń. Nigdy nie nauczył się jeździć na nartach, a przedzieranie się przez bezdroża tolerował tylko w takiej dawce, w jakiej lata temu wymagała tego od niego armia. Leżenie na plaży traktował jako czynność samobójczą, połączenie sportu ekstremalnego z niesprzyjającymi warunkami przyrodniczymi.

Kiedy natomiast już odrywał się od pracy, lubił zwiedzać miasta. Muzea, zabytki, może w towarzystwie poznanej w stylowej kawiarni damy, oczywiście wykształconej i na pewno nie przed czterdziestką. W zasadzie mógłby nawet taką damę zaprosić do teatru. Jakby miał naprawdę dużo wolnego czasu.

Tym razem jednak – choć uważał, że bezsensownie – uległ namowom Kotów, by koniecznie, ale to koniecznie odwiedził Chamonix. Bo oni tam jeżdżą na nartach („Co ty nie powiesz, Rueckner?”), bo przecież jest też miasteczko, tętni energią, ludźmi, życiem („Zdajesz sobie chyba sprawę, ile ja mam lat, Lewicki?”), no i lodowiec, lodowiec koniecznie, sprzęt można wypożyczyć na miejscu („Maju, to Mykicioniuk ma kryzys wieku średniego i wyczynia sportowe hocki–klocki, ja zachowałem instynkt samozachowawczy”). Ale potem Popović rozmarzonym tonem rzuciła coś o najwyższym szczycie Europy i widokach z kolejki linowej.

I jakoś tak – sam nie do końca wiedział jakim cudem – Mikołajczak wysiadał właśnie ze srebrzystego autokaru, który przywiózł go z lotniska w Genewie. Ciągnąc za sobą niewielką, turkocącą kółkami walizkę, przeszedł przez most nad potokiem. Profesor zatrzymał się na chwilę, bo nawet na nim zrobił wrażenie dziki, spieniony nurt – nie pasował do miasteczka,

uporządkowanego i zadbanego aż do przesady. Powietrze też było tu inne – wyraźnie chłodniejsze, ostre.

Mikołajczak rzucił jeszcze przelotnie okiem na pokryte białą czapą najwyższe szczyty Alp i odwróciwszy się do nich plecami, ruszył na poszukiwanie swojego hotelu. Kiedy wyszedł zza kolejnego zakrętu, zatrzymał się gwałtownie, bo prawie całą uliczkę zajmowała ekipa jakiegoś portalu. Rozstawili kamery, młoda reporterka opowiadała o czymś z zawodowo zatroskaną miną, a samochód z nic niemówiącym Mikołajczakowi adresem sieciowym na drzwiach blokował ruch na chodniku.

Profesor, chcąc nie chcąc, wysłuchał prawie całej relacji z miejsca zdarzenia. Znał francuski na tyle, żeby zrozumieć, że nie jest to gorąca wiadomość z ostatniej chwili, ale też pokiwał głową, bo stało się jasne, dlaczego akurat w tym hotelu od jakiegoś czasu obowiązywały niezwykle korzystne promocje cenowe – z tej przyczyny wybrał go spośród mnóstwa innych równie przyjemnych. Mikołajczak teraz był zamożny, przez lata zdążył sobie jednak wyrobić rozsądne podejście do pieniędzy.

W efekcie tego trafił tutaj. Nie wydawało mu się, żeby miał to być jakiś ogromny problem. Zwłaszcza, że reporterzy zwinęli się błyskawicznie, a obsługa hotelu okazała się przyjaźnie profesjonalna.

Kiedy profesor został już w pokoju sam, pierwsze, co zrobił, to wszedł na krzesło i unieszkodliwił czujnik dymu metodą, której nauczyli go lepiej w tej dziedzinie wyedukowani współpracownicy. Palić zamierzał na balkonie, ale wolał nie ryzykować.

Następnie stanął przy barierce, sztachnął się kilka razy i z poczuciem dobrze spełnionego turystycznego obowiązku podziwiał przez jakiś czas widok na dolną stację kolejki oraz wagonik sunący coraz wyżej na tle skał, aż do linii śniegu. Mikołajczak uśmiechnął się na myśl, że z przyzwyczajenia uniósł głowę pod pewnym kątem, spodziewając się zobaczyć na tej

wysokości szczyty, lecz tu, w Alpach, należało przecież unieść wzrok znacznie wyżej.

Kolację planował zjeść w mieście i gdy wychodził, zdziwił się nieco, widząc jednego z pracowników hotelowej kuchni, jak w kucki majstruje przy czymś na sąsiadującej ze śmietnikiem ogrodowej alejce. Zrozumiał dopiero, kiedy z gęstych zarośli wyłonił się młodzieńki przegowany dachowiec, reagujący z entuzjazmem na imię Spirou i przemycone z restauracji przysmaki.

Mikołajczak patrzył jeszcze przez moment na kotka, a potem ruszył dziarsko przed siebie.



W spokoju upłynął prawie rok, ale kiedy w lutym siedemdziesiątego szóstego znaleziono Katarzynę Ole–Medeye, wersja z wypadkiem była trudniejsza do obronienia. Dziewczyna również wypadła z okna, w innym, większym hotelu, a mróz nie sprzyja przecież podziwianiu krajobrazu. Kiedy otworzono pokój, wiatr szarpał firanką w drzwiach balkonowych, a padający całą noc śnieg zdążył zasypać ślady dziewczyny i dużą część dywanu.

Nic w sytuacji ich obu, Nafisy i Katarzyny, nie sugerowało myśli samobójczych. Grzeczne uczennice z dobrych rodzin, bez gwałtownych życiowych zmian w ostatnim czasie. Wypytano przyjaciół, sprawdzono wpisy na portalach społecznościowych. Państwo Ole–Medeye oddali komputery i telefon córki do policyjnej analizy – również jej prywatna korespondencja nie naprowadziła na żaden ślad.

Więc wstępnie jednak wypadek. Ale śledztwo trwało.

Siedemnastoletnia Katarzyna Ole–Medeye była Polką. Szczupłą, drobnej budowy; jej skóra miała kolor mlecznej czekolady, a długie włosy dziewczyna zaplatała w mnóstwo małych warkoczyków. Do Chamonix przyjechała z rodzicami, którzy akurat tej nocy nie spędzali jednak razem z nią – wyskoczyli sami na dwudniową wycieczkę do Genewy.

Bihmidine unikała alkoholu z powodu religii, a Ole–Medeye – wieku. Była zbyt ostrożna, żeby bez kogoś pełnoletniego ryzykować kupowanie piwa czy drinków.

Matka zmarłej zaklinała się, że to niemożliwe, żeby Kasia zaprosiła do hotelu obcego mężczyznę. Wiara ojca w rozsądek córki była może mniej niezłomna, ale też nie podejrzewał jej o nic skrajnie głupiego. Zapamiętali ją jako sensowną, poukładaną dziewczynę, która mimo że wkraczała w dorosłość, nadal wydawała się mieć do nich zaufanie i nie kryła się przed rodziną ze swoimi znajomościami.

Przeszukanie rzeczy osobistych wniosło tylko tyle, że nie znaleziono środków antykoncepcyjnych ani narkotyków.

Oboje rodzice Katarzyny Ole–Medeye byli agnostykami z chrześcijańskiego kręgu kulturowego, co odnotowano na wypadek, gdyby pojawił się w śledztwie wątek zabójstwa na tle religijno–rasowym.



Profesor siedział w sali dla palących niedużej, staroświecko urządzonej restauracji. Dla zachowania atmosfery z głośników płynęły piosenki z czasów, których nawet Mikołajczak nie mógł pamiętać. Zawiesił na chwilę wzrok na ekranie. Długonoga piosenkarka o cygańskiej urodzie i wielkich

oczach śpiewała balladę o miłości. Neurolog dopił koniak.

Spędził tak dłuższy czas – starszy pan w marynarce opinającej nieco zbyt wydatny brzuch. Kiedyś był przystojniakiem, zabójczym brunetem, w którym kochały się wszystkie pielęgniarce, a i teraz – chociaż włosów pozostało mu niewiele i musiał golić je na milimetr – jego poorana zmarszczkami twarz była nadal szczupła, surowa.

Brązowe oczy pod krzaczastymi brwiami przenikliwie świdrowały otoczenie. Teraz był zadowolony i uśmiechał się pod nosem, ale w opadających kącikach powiek, w ruchu kościstych palców, kiedy podnosił do ust firkę z papierosem, było coś niepokojącego. Sanję Popović poproszono kiedyś, żeby – właśnie koniecznie ona – omówiła z nim pewną drażliwą kwestię. Powiedziała później, że czuła się, jakby głaskała po nosie starego tygrysa.

Zapadał wieczór, więc Mikołajczak przespacerował się po okolicy i powoli wracał, żeby położyć się wcześniej spać. Wtedy zadzwonił Tomek Lewicki – sprawdzić, czy profesor dotarł bezpiecznie do Chamonix.

– W moim hotelu grasuje seryjny morderca! – pochwalił się radośnie neurolog.

Rozmówca zaniemówił na chwilę, a potem, wyraźnie spanikowany zaczął wyjaśniać, że nie może przyjechać sam, ale w takim razie przyśle Louise.

– Ten morderca nie poluje na starych pryków, tylko na seksowne dziewczęta, więc przysyłanie Lou nie jest inteligentnym pomysłem – zauważył Mikołajczak.

– Taka tam Lou seksowna...

– Cieszę się, że nie nastajesz na cnotę koleżanki. Czy mógłbyś...

– Panie profesorze, to ja poproszę dowódcę o zastępstwo i może sam przyjadę. – Tomo wszedł mu w słowo.

– Lewicki! – Mikołajczak wyjątkowo nie lubił, kiedy mu ktoś przerywał.

– Przestań się wygłupiać. A teraz – wrócił do tego, co chciał powiedzieć – czy mógłbyś się już rozłączyć? Czasem się zastanawiam, czy nie pomyliłem próbowek i nie domieszałem ci genów psa pasterskiego.

Nie było najmniejszej potrzeby, żeby przysyłać tu ochroniarza, ale neurolog zadumał się chwilę, czy obecność Kotów mogłaby choć trochę pomóc w śledztwie wokół tej tak pogmatwanej sprawy. Wtedy, od razu – być może tak. Mogliby wytropić sprawcę po śladach, których nikt nie umie zatrzeć do końca. Teraz było o wiele za późno. Przez kurort przewijały się tysiące ludzi i nawet jeżeli istniał trop, to dawno ostygł, zatarł się i poszukiwania, do jakich można by użyć Kotów nie miały już teraz sensu. Brakowało punktu zaczepienia.

Gdy zamyślony profesor wszedł do swojego pokoju, po barierce balkonu chodził z gracją Spirou. Dobrze wyszkolony do zebrania kotek hotelowy spojrzał Mikołajczakowi w oczy tak wymownie, że ten poczuł się zobowiązany do wyjaśnień: – Nie mam nic dla ciebie. – Rozłożył ręce.

Spirou zeskoczył z barierki, a neurolog podziwiał, jak tyle razy wcześniej, przy innych okazjach i innych kotach, tę cudowną harmonię ruchów zwierzęcia, tę lekkość, idealną precyzję kroków. Spirou otarł się o nogawkę Mikołajczaka i wyprysnął w noc.



W hotelu, w którym później zatrzymał się profesor Mikołajczak, w listopadzie siedemdziesiątego szóstego zginęła Pavla Dvorakova. Miała metr sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i była delikatnej budowy, przy tym zdecydowanie atrakcyjna. Dużo starsza od dwóch poprzednich ofiar –

skończyła trzydzieści cztery lata.

W mieście już dawno poszła plotka o niejasnej sprawie Ole–Medeye, co przyspieszyło decyzję o zamontowaniu monitoringu w tym niewielkim hotelu, mimo że do tej pory właściciele unikali takich rozwiązań. Recepcjonista, zajęty czym innym, nie zapamiętał momentu, kiedy Czeszka wróciła wieczorem do pokoju, ale pozostał zapis z kamery.

Dvorakova weszła do windy z jakąś osobą średniego wzrostu – ubraną w grubą kurtkę i kaptur, stosownie do panującej wtedy pogody. Sylwetka i sposób poruszania się sugerowały mężczyznę, jednak mogła to być też wysoka, „męska” w sposobie bycia kobieta. Osoba w tym stroju nie wyszła już potem przez główny hall.

Zwłoki tym razem znaleziono w pokoju, na łóżku. Ze skrzyconym karkiem, bez śladów walki. Ofiara miała na sobie ubranie, pominąwszy wierzchnie, które odwiesiła do szafy zapewne zaraz po wejściu. Podobnie jak poprzednie kobiety nie została zgwałcona, a z pokoju nic nie zginęło.

Znaleziono sporo różnych śladów biologicznych, w rodzaju pojedynczych włosów na dywanie, bo jednak był to utrzymywany we względnej czystości hotel, a nie sterylna sala operacyjna. Żaden ze zdobytych śladów nie pasował ani do bazy osób notowanych, ani do tego, co udało się pozyskać z ubrań Nafisy i Katarzyny. Odciski palców na klamkach drzwi i okien należały tylko do Dvorakovej oraz pracownicy hotelu, która jako ostatnia sprzątała pokój.

Pavla była panną, ale w siedemdziesiątym pierwszym zawarła zarejestrowany związek partnerski z inną obywatelką czeską, rozwiązany po dwóch latach z podziałem wspólnego majątku za porozumieniem stron. Potem, według bliskich jej osób, była w co najmniej jednym niesformalizowanym związku heteroseksualnym.

Należała do klasy średniej, pracowała na kierowniczym stanowisku w dużej firmie działającej na terenie całej Europy Środkowej. Nosiła markowe

ubrania, a do Chamonix zabrała drogi sprzęt sportowy i fotograficzny.

Wszystkie okna w jej pokoju, w tym również drzwi balkonowe, były szczelnie zamknięte. Jednak – co znamienne – wychodziły na ruchliwą uliczkę. Lekko uchylone było okno na korytarzu. Nie zamontowano tam kamery, bo sprawdzanie, kto o której wychodzi z czyjego pokoju wydało się właścicielom hotelu skrajnym wścibstwem. Za szybą, z wysokości trzeciego piętra, śledczy zobaczyli mały placyk z kilkoma drzewami, w nocy zapewne opustoszały.

Zdawali sobie sprawę, że nie wiedzą w zasadzie nic. Nawet to, że morderca działa w pojedynkę, było wyłącznie tymczasowym założeniem. Jedyne, co zdawało się łączyć wszystkie ofiary – bo właśnie wtedy dodano do ich listy Nafisę – to drobna postura. Oraz skręcony kark, najwyraźniej wcale nie z powodu upadku.

Oficjalnie ogłoszono, że turystki mogły zostać zabite przez seryjnego mordercę. Było w tej sprawie trochę szumu, ale głównie w mediach we Francji i francuskojęzycznej części Szwajcarii.



Profesor Mikołajczak jechał zatłoczonym wagonikiem kolejki linowej na Aiguille du Midi, mając za całe śniadanie pół bagietki z sałatą. Zamówił do pokoju kanapkę z tuńczykiem i dostał ją oczywiście – pięknie udekorowaną. Ale potem przyszedł w gości Spirou, więc skończyło się na przełożeniu kawałków tuńczyka na spodek, na którym wcześniej stała filiżanka z kawą, i postawieniu spodka na dywanie. Bezczelny kociak wylizał talerzyk do czysta, wskoczył na łóżko profesora i miauczał, domagając się miziania. Tu

już jednak Mikołajczak okazał się mniej wylewny, więc Spirou się obraził i sobie poszedł.

Po wykwinnym, lecz przymusowo wegetariańskim śniadaniu, profesor wyruszył na wycieczkę. Teraz mijali brudny jezior lodowca spływający nisko pomiędzy szare piargi. Powyżej stacji przesiadkowej pofrunęli na jednej, niewiarygodnie długiej linie na sam szczyt.

Neurolog pomyślał, że to są warunki, w których może podziwiać wysokogórskie widoki. Podobnie jak kiedyś, gdy pojechał z Mykicioniukiem, jego żoną i ich znajomymi w ukraińskie Karpaty. Dowódca Kotów oraz to drugie małżeństwo zaszyli się w głuszy i tam we trójkę uprawiali marszobiegi w błocie i gradobiciu. Tymczasem Mikołajczak z pułkownikową Mykicioniuk spędzili uroczy tydzień: jadali na tarasie eleganckie dania, odzywali się do siebie z rzadka i palili – on prawdziwe papierosy, ona elektroniczne, do których przyzwyczała się ze względu na Andrieja. Neurolog przygotowywał sobie wystąpienie na konferencję, a ona, groźna chemiczka z WAT-u, masakrowała pracę swojego doktoranta. Turystyka górską w takiej formie trafiała idealnie w gusta profesora.

Teraz jednak zażył nieco emocji – akurat tyle, żeby móc powiedzieć, że zaliczył wakacyjną atrakcję. Kiedy wyszedł z wagonika kolejki i wspiął się niezbyt szybko na pierwsze piętro, musiał się zatrzymać i oprzeć o okno. Serce mu waliło, bardzo szybko oddychał.

Problem tkwił nie w wieku Mikołajczaka – widział, że niektórzy z otaczających go młodych ludzi też, często wręcz ze śmiechem, komentują podobne sensacje u siebie. To była reakcja organizmu na błyskawiczną zmianę wysokości o ponad dwa i pół kilometra.

Na platformie widokowej profesor, ubrany tym razem sportowo, zapiął kurtkę. W oczy uderzyło go oślepiające morze bieli; soczewki kontaktowe wyregulowały natychmiast zbyt silny bodziec.

Mikołajczak kilkanaście lat temu przeszedł wylew. Miał po nim upośledzony wzrok, z każdego oka odbierał tylko połowę normalnego pola widzenia. I tak wywinął się dość małym kosztem – jedyne, co pozostało mu na pamiątkę po tamtych wydarzeniach, to drżenie rąk na tyle silne, że żeby napisać coś piórkiem na dotykowym ekranie, musiał przytrzymać je drugą ręką (więc, jak łatwo się domyślić, unikał takich urządzeń), no i właśnie miniaturowa neurologiczna proteza w czaszce. Mogli mu ją podpiąć do nerwu wzrokowego, ale soczewki lepiej wyrównywały sygnał – stawał się łatwiejszy do obsługi przez wszczep symulujący ośrodek wzroku niż nieprzetworzony, płynący z czysto organicznych receptorów.

Mikołajczak, zapomniawszy o tym, że mu słabo, przespacerował się zamaszystym krokiem po oblodzonym mostku nad czeluścią, a potem wrócił na taras i spojrzał w dół na Chamonix. W dolinę, w której leżało miasteczko, można by wstawić całe Tatry, licząc od poziomu morza, i jeszcze by trochę luzu z góry zostało. A za U-kształtną doliną – od razu mur kolejnego grzbietu i szczyty po horyzont. Tutaj w każdą stronę były szczyty po horyzont.

Mont Blanc zavalony puszystym śniegiem – na wyciągnięcie ręki, a w stronę Włoch ciągnął się inny, wielki lodowiec. Stacja kolejki jakby wrosła w pomarańczowe maczugi skał przechodzących w fioletowe pod słońce, przerażająco postrzępione igły.

Mikołajczak rozglądał się zachwycony. Dobrze się stało, że dał się Sanji namówić do przyjazdu. Spojrzał na zbocza, szukając narciarzy, ale nie było nikogo w zasięgu wzroku, poza dwiema osobami idącymi białą krawędzią grani.



Czwartą dziewczynę, Karine Labiche, prawie udało się uratować. W maju siedemdziesiątego siódmego, niecałe trzy miesiące przed Mikołajczakiem, przyjechała do Chamonix z przyjaciółką, Zoe Ducroc. I to właśnie koleżanka złożyła potem obszernie zeznania.

Siedziały obie do późna w dużym pubie, w którym kłębił się tłum studentów i innych turystów przed trzydziestką. Bawili się razem, tworzyły się nowe grupy i podgrupy, zawiązywały się znajomości.

Do Karine dość nachalnie przyczepił się facet, trochę od nich starszy, w typie sportowca. Zoe uznała szybko, to jakiś straszny bufon: sugerował w rozmowie, że ma coś wspólnego ze służbami i to w niezwykły sposób. Opowiadał, jak lubi jeździć na nartach i jaki jest w tym świetny.

Ducroc tylko czekała, aż jej przyjaciółka spławi tego zenującego kolesia, ale nic takiego nie następowało. Karine słuchała, wpatrzona w niego jak ciele w malowane wrota. Może tylko udawała, żeby wyciągnąć z faceta jak najwięcej kompromitujących tekstów i móc się z niego potem ponabijać?

Zoe, mimo że zszokowana śmiercią Labiche, oglądała później bardzo uważnie wszystkie zdjęcia z bazy notowanych, które system dopasował do symulacji wygenerowanej na podstawie jej wstępnego opisu – nikogo nie poznała. Zapamiętała, że mężczyzna mówił z akcentem ze wschodniej Unii, co nasunęło śledczym myśl, że może wspólne pochodzenie ułatwiło mu nawiązanie rozmowy z odrobinę nieufną, ale nudzącą się i szukającą towarzystwa Kasią Ole–Medeye.

Ducroc poszła do toalety i kiedy wróciła – ich już nie było. Nie mogła pojąć, jak to się mogło stać. Może dodał jej coś do piwa? Erotyczne wyskoki z nieznanymi to kompletnie nie bajka Karine. Zresztą, jak przytomnie powiedziała Zoe, gdyby planowała coś, co w jej przypadku zakrawałoby na prowadzenie podwójnego życia, nie zabierałaby się do tego akurat na wakacjach z nią.

Telefon Karine nie odpowiadał. I wtedy Ducroc przypomniała sobie, że kiedyś czytała notkę o seryjnych zbrodniach, chyba właśnie w którymś z alpejskich kurortów. Wpadła w panikę i zadzwoniła na policję, a tam potraktowano jej zgłoszenie bardzo poważnie.

Powtarzał się schemat, że kobieta ginęła we własnym hotelu – choć nie zawsze była pewność, że przedtem sama wpuściła sprawcę do pokoju. Próba uratowania Karine Labiche prawie się powiodła: policja była w pensjonacie wcześniej niż Zoe.

Jednak mimo pośpiechu, spóźnili się. Nigdy się o tym nie dowiedzieli, ale morderca był wygłodniały. Choć przerwy między kolejnymi zabójstwami skracały się, dla niego i tak okazywały się zbyt długie. Zasmakował, uzależnił się. I teraz, kiedy miał Karine tak blisko, czuł w ciepłym majowym powietrzu jej zapach, nie chciał już czekać. Przecież i tak nikt go tu nie znajdzie i nie powiąże ze śmiercią tych kilku kobiet. Za głupi na to są, a on za sprytny, za sprawny i zbyt dobrze wyszkolony.

Skręcił dziewczynie kark już na półpiętrze schodów. A sekundę później usłyszał pisk hamującego pod pensjonatem samochodu, niepokojąco szybkie kroki do wejściowych drzwi, które skrzypnęły ostro, popchnięte w biegu. Lecz on już nie marnował czasu, jego już tam nie było.

Policjant zatrzymał się na moment, żeby sprawdzić, czy Karine żyje, i później wyrzucił sobie, że gdyby tego nie zrobił, może nie zginąłby mężczyzna pilnujący parkingu. Morderca wyskoczył z drugiego piętra między samochody, zabił zaskoczony stróża w sposób sugerujący wysokie kwalifikacje w dziedzinie walki wręcz – i rozpląnął się w powietrzu.



Stołki przy hotelowym barze były wysokie, lecz wyściełane i z oparciem, więc na tyle wygodne, że Mikołajczakowi nie chciało się siadać przy stoliku. Poza nim i barmanem nie było w lokalu nikogo.

Profesor dopijał drinka. Nie mogąc zapalić papierosa, miętosił go w palcach, i w coraz bardziej ponurym nastroju czytał na rozłożonym na blacie komputerze kolejne materiały dotyczące sprawy seryjnego mordercy. Zaczął z ciekawości – szukając relacji, jaką kręcono na jego oczach. Im głębiej dążył temat, tym trafiał na więcej szczegółów, których w skrótowych notkach nie podawano.

– Pavla Dvorakova, ta zabita dziewczyna, mieszkała tu u was, prawda? – zagadnął nagle barmana, wskazując równocześnie monitor gestem sugerującym, że właśnie o tym czyta.

– Nooo, tak. Ale to dawno było, wie pan...

Trudno się dziwić, że obsługa reagowała niechętnie na łączenie ich z tamtą sprawą.

– Pracował pan już tu wtedy? – Mikołajczak miał nadzieję, że chęć podzielenia się sensacją będzie silniejsza niż ochrona dobrego imienia firmy.

– Oczywiście, jestem w tym hotelu już prawie dziesięć lat. To był koszmar. Jak ją znaleźli i potem całe śledztwo. Goście masowo się wyprowadzali. Do tej pory... – zawahał się, rozglądając odruchowo, chyba przestraszony, że powiedział za dużo.

– Ludzie są przesądni, nieracjonalni – podchwycił współczująco profesor. – Przecież to nie w hotelu problem, pozostałe morderstwa popełniono gdzie indziej. Sprawca poznaje dziewczyny w mieście, potem je tropi. Za pierwszym razem może wręcz wszedł po balkonach...

– Albo one go po prostu zapraszają! Ta Pavla, przecież widać dokładnie na filmie, że przyszedł z nią. Zresztą akurat jeśli chodziło o nią, to pierwszy uznałbym, że sobie kogoś zaprosiła. Tak powiedziałem, jak mnie

przesłuchiwali. Słowo w słowo: że ona szukała okazji.

– Taaak? – zachęcił Mikołajczak z uprzejmym, lecz żywym zaciekawieniem.

Barman jednak zreflektował się poniewczasie. Rzucił okiem na komputer, potem na profesora.

– Pan jest dziennikarzem?

– Neurologiem – uśmiechnął się Mikołajczak szeroko. – I psychiatrą – dodał w końcu.

– Pisze pan książkę?

– Nie. Po prostu jestem ciekawy. Interesują mnie takie rzeczy, poniekąd zawodowo. Proszę się nie bać, że zaszkodzę hotelowi, nie będę przecież rozsiewał plotek.

Profesor z zadowoleniem zauważył, że rozmówca się rozluźnia.

– Dobrze pamiętam tę Czeszkę – zaczął barman, dość ożywiony. – Spędziła tu sporo czasu.

– W Chamonix?

– Tutaj, w barze! Nie żeby się upijała, czy zachowywała jak jakaś zdzira. Była niezbyt sympatyczna, trochę wyniosła, ale bacznie się rozglądała za przystojnymi facetami. Tak się potem zastanawiałem: wydawała mi się inteligentna, pisali na portalach, że była na wysokim stanowisku. To dlaczego okazała się taka głupia? Tylu miała fajnych chłopaków do wyboru, a poszła z psycholem?

– Psychopata wykorzystuje mimetyzm... – zaczął Mikołajczak i zaraz się poprawił: – No, udaje, że jest normalną ludzką istotą. Oni kłamią, oszukują, manipulują, to ich wrodzone zdolności. Na tym polega ich funkcjonowanie w społeczeństwie, grają, wykonują pewne zewnętrzne czynności, które my bierzemy za objaw uczuć, tego wszystkiego, co jest człowiekiem.

Profesor urwał, upominając się w myślach, że celem tej rozmowy nie jest

bynajmniej wykład. Dodał tylko: – Bo w psychopacie w środku nie ma człowieka. To pusta skorupa.

– I ta nieszczęsna Pavla nabrała się na ładną skorupę? – spytał, wzdychając, barman.

– Tak właśnie.

– Ech, co by nie mówić i jaka by nie była, żal dziewczyny. Zwłaszcza, że... Na portalach tego nie piszą, widocznie nikt akurat tego nie chlapnął do mediów...

Mikołajczak milczał najbardziej zachęcająco, jak tylko nauczyło go tego wieloletnie doświadczenie zawodowe w wyciąganiu z ludzi zwierzeń.

– Ale, no, rozumie pan – ciągnął barman. – Chamonix to nie metropolia, ludzie się znają. My byliśmy przecież wszyscy na miejscu, kiedy trwało śledztwo. Słyszało się to i owo. Nikt pewnie nie uznał, że to ważne: podobno w rzeczach Dvorakovej znaleźli wielorazowego użytku test owulacyjny, taki na ślinę. I ostatni zapisany wynik był pozytywny, czy jak to tam się mówi... I tak sobie pomyślałem... Ona miała trzydzieści cztery lata. A wyglądała na taką, co lubi mieć w życiu wszystko do linijki poukładane – między prezentację dla zarządu a lunch biznesowy. Może chciała sobie strzelić dziecko, tak podręcznikowo, przed trzydziestką piątką?

Mówiący spojrział na Mikołajczaka niepewnie, czekając na zachętę do kontynuowania. Profesor pochylił się i skinął lekko głową w bezgłośnym: „Tak, tak mów dalej”.

– Pan czytał pewnie, że ona lubiła dziewczyny? Ile tu było debatowania, czy na tym filmie z monitoringu jest facet czy wysoka, napakowana baba. Każdy głupi widzi, że facet, ale tak to jest z glinami...

– Była lesbijką, a tutaj polowała na ładnych chłopców... I ten test... Ale przecież miała jakiegoś niesformalizowanego hetero boyfrienda w Czechach?

– No właśnie! Ja myślę, że to była zasłona dymna dla rodziny! Miałem

naprawdę dużo czasu, żeby się nad tą historią zastanowić i to mi się układa w całkiem sensowną całość! Proszę popatrzeć: co by pan wolał – żeby pana wnuczek był owocem miłości, choćby i nieudanej, czy zimnej kalkulacji? A jakby pan był tym dzieckiem – nie wolałby pan jakiegoś podrasowanego love story w tle? Myślę, że ona zrobiła sobie w domu romantyczną legendę, a potem przyjechała tutaj łapać jakieś przystojne i niegłupie geny. Że też musiała tak trafić...

Barman zawiesił wzrok na Mikołajczaku, oczekując reakcji na swoją teorię, jednak profesor tylko machinalnie pokiwał głową. Uświadomił sobie coś, czego śledczy nie tylko nie podali do wiadomości publicznej, ale też na pewno nie sprawdzili. Oczywiście on też nie był w stanie tego stwierdzić – nagle nasunęło mu się bardziej przeczucie niż skojarzenie.

Cechą wspólną zamordowanych dziewcząt była drobna budowa, niewątpliwie ułatwiająca napastnikowi błyskawiczne zadanie im śmierci. Może zresztą po prostu lubił takie kobiety.

Mogło też chodzić o coś jeszcze. Nafisa Bihmidine, Kasia Ole-Medeye i Karine Labiche nie były w stałych związkach, ale też nie planowały przygód. Jest więc możliwe, co więcej – prawdopodobne, że nie stosowały hormonalnej antykoncepcji w jakiegokolwiek postaci. Pavla Dvorakova była w trakcie owulacji.

Seryjny morderca z Chamonix zabijał dziewczyny, które wydawały mu się najbardziej atrakcyjne. Bo pachniały płodnością.



Mikołajczak źle spał. Obudził się o piątej, umył, ogolił, spakował i

przełożył rezerwację lotu – na ten wieczór. Najchętniej przewinąłby ostatnich kilka dni do tyłu i spędził je zupełnie inaczej. Tego oczywiście nie dało się zrobić, podobnie, jak nie mógł się odwiedzić tego, czego się dowiedział.

Spojrzał na telefon satelitarny, przygotował bezpiecznie połączenie, ale w końcu go nie uruchomił i spakował również telefon. Na rozmowę przyjdzie czas – kiedy już sprawdzi to, co musi sprawdzić.

Do pory serwowania śniadań pozostało ponad pół godziny, więc profesor wyszedł na balkon. Zapalił papierosa i patrzył w dół na Spirou przyczajonego w kwiatkach tuż koło stadka wróbli. Spomiędzy kolorowych płatków wystawał tylko poruszający się miarowo ogon.

Nagle Spirou skoczył, przytrzymał wróbla łapami i przegryzł mu kark.

LWIE SERCE

P przed wejściem do archiwum Sanja Popović musiała zdjąć z siebie całą tę elektronikę, której stała obecność była dla niej już tak oczywista, że aż niezauważalna. Telefon, zegarek, a nawet kurtkę od munduru, jak to kiedyś ujął Lewicki – inteligentniejszą niż przeciętny poborowy. Kotka zastanowiła się przez moment, jak czuwający w drzwiach automatyczny cerber zareagowałby na soczewki Mikołajczaka, jakby stworzone do rejestrowania tego, co nie powinno wyjść poza to pomieszczenie.

Ale potem Sanja nie miała już czasu nawet na analizowanie bardziej praktycznego problemu, jakim cudem wchodził tu Mykicioniuk, ostatnio poruszający się już głównie dzięki egzoszkieletowi. Teoretyczne rozważania wywietrzały Kotce z głowy, kiedy dostała dokumenty.

Siedziała w prawie pustym pokoju, przeglądając papierowe teczki, w kolejności wskazanej przez odchodzącego dowódcę. Archiwum wypluło je z wnętrza swoich trzewi wprost do głębokiej, metalowej szuflady, która otwarła się potem z lekkim skrzypnięciem. Za pierwszym razem Popović nie miała przyjść tu z pytaniami do wirtualnego zarządcy całej tej instytucji, tylko po prostu usiąść i odrabiać lekcje, przyjmować do wiadomości kolejne fakty, jakie osoba obejmująca jej stanowisko powinna znać.

Teczki opatrzone były komentarzami. Niektóre zawierały dane dostępne bardziej powszechnie, na innych opisano, ile mają kopii – wyłącznie papierowych – i gdzie są one przechowywane. Sanja zdążyła już zmarznąć w koszulce z krótkimi rękawami, kiedy doszła do teczki, którą Mykicioniuk

zostawił dla niej jako ostatnią. Jeden egzemplarz istniejący fizycznie, ten tutaj. Kopii cyfrowych – brak. Sanja zawahała się moment, patrząc na ten opis na tekturowej okładce, nad numerem raportu. Przełknęła ślinę i uświadomiła sobie, że już nie jest jej zimno. Bardzo powoli odpięła zamykający dokumenty klips. Potem już nie miała innego wyjścia, zaczęła czytać.

Raport składał się z dwóch zestawień. Pierwsze zaczynało się jak próba rekonstrukcji akcji obcego wywiadu czy grupy przestępczej, nieudanej, bo w przeciwnym razie Popović od razu skojarzyłaby miejsce lub osoby. Jednak potem kolejne wydarzenia wskazywały raczej na czysto kryminalne tło. Nic, co miałoby cokolwiek wspólnego z bezpieczeństwem narodowym.

Jednak to Sanja czytała ten spis kolejnych okoliczności oraz nazwisk, a Sanji niewiele wystarczyło, żeby nagle, bardzo wcześnie, jeszcze nie na poziomie analizy umysłem, lecz instynktu, zaczęło tlić się w niej przecucie. Żołądek Kotki ścisnął się w fali mdlącego strachu.

Bihmidine, Ole–Medeye, Dvorakova, Labiche. Daty. I miejsce. Popović zarejestrowała je na samym początku przelotnie, czytając szybko, ale jakoś między drugim a trzecim nazwiskiem Chamonix zważyło się na nią nagle z całą powagą konsekwencji. Przewróciła kartkę w tył, upewniła się. Później dokończyła zestawienie pierwsze, same fakty; Sanja była prawie pewna, że dostępne publicznie. Pozornie bez konkluzji.

Spis drugi zawierał listę urlopów z biletami lotniczymi do Genewy.

Popović, Rueckner, Mazurek (Rueckner) Weronika, Szymczyk, Griffin, Lewicki Rueckner P., Rueckner W.

Popović, Szymczyk M., Szymczyk Radosław (brat) Zegadłowicz Lewicki, Szymczyk, Popović Rueckner P., Rueckner W., Rueckner A.

Zegadłowicz Szymczyk, Jasiński P.

Popović Zegadłowicz Zegadłowicz

Cztery pozycje zostały zakreślone kolorowym markerem, jak na jakimś świstku, a nie raporcie, sporządzonym w jednym egzemplarzu i umieszczonym tu na wieczną rzecz pamiątkę. Sanja złożyła arkusze, staranie zamknęła teczkę, metodycznie umieściła ją na samym szczycie stosu, wyrównała. Potem włożyła wszystkie raporty do szuflady, zatrzasnęła ją i odesłała zawartość z powrotem do archiwum.

Przeszła przez grodzie na korytarz, odebrała swoje rzeczy z depozytowej szafki, ubrała się. Wjechała trzy piętra windą, na poziom gruntu, i wyszła na dwór. W twarz uderzyła ją ściana lodowatego powietrza, a odbłask słońca od pokrytej śniegiem przestrzeni na chwilę oślepił. Za placem przed jednostką w łagodnym wietrze kołysały się sosny, a dalej kilometrami ciągnął się poligon w Nowej Dębie.

Popović szła przez parking lekko i bardzo szybko. Minęła kogoś, kto jej zasalutował, odpowiedziała machinalnie. Zatrzymała się dopiero przy swoim prywatnym samochodzie, dużej czarnej terenówce. Wsiadła i pozostała tak dłużej chwilę, patrząc na pomarańczowe niebo mroźnego styczniowego wieczoru.

Marek Zegadłowicz. Młodszy od niej o ponad pięć lat arogancki Kot, któremu zawsze wszystko się ostatecznie udawało, choć przy każdej okazji parę osób cieszyłoby się, gdyby choć raz powinęła mu się noga. Trafiają się tacy ludzie, po prostu. Niewzbudzający zbyt sympatii. Popović w sumie też pewnie czasem wywoływała podobne reakcje. W każdym razie liczyła się z faktem, że może tak być.

Ktokolwiek źle życzył Markowi, pewnie choć przez chwilę poczuł się głupio, kiedy w czasie rutynowych ćwiczeń zapasowy spadochron Zegadłowicza otworzył się niespodziewanie na wysokości kilku kilometrów, łamiąc Kotu kręgosłup. Niecałe dwa miesiące temu, w samej końcówce listopada.

Sanja zamknęła oczy. Docierały do niej wszystkie, splecione i zagmatwane konsekwencje. A dokładniej usiłowała złapać nić przewodnią w wydarzeniach ostatnich miesięcy, jednoznaczną wskazówkę. Mało brakowałoby, a po prostu odpaliłaby silnik i pojechała do Mykicioniuka. Do tej kliniki – na wyjazd z Unii, lecz tylko do Szwajcarii, Kotka nie musiała uzyskać zezwolenia – kliniki, w której Mykicioniuk miał bardzo poważną ortopedyczną operację. Kiedy?... Chyba wczoraj. Co jednak nie wyglądało na zbieg okoliczności, zważywszy od jak dawna była planowana.

Sanja mogłaby zadzwonić, ale nie była pewna, czy nawet rozmowa przez video cokolwiek by jej dała. Chciała mieć pewność, wiedzieć, kiedy Mykicioniuk kłamie. Jeżeli ta rozmowa miałaby się odbyć, to na pewno tylko twarzą w twarz.

Popović pomyślała, że Lewicki pojechałby na pewno. Nawet licząc się z tym, że zastanie byłego dowódcę otumanionego lekami przeciwbólowymi. Po prostu usiadłby tam i czekał, aż Mykicioniuk oprzytomnieje.

Tylko że może właśnie to jest jeden z powodów, dla których to Sanja tu teraz jest, a nie Tomek. Sanja przeczytała, przyjęła do wiadomości. I teraz musi z tym trochę pochodzić. Pomyśleć. Poobserwować. Zanim będzie z kimkolwiek o czymkolwiek rozmawiać.

Cokolwiek tak naprawdę wynikało z tego raportu, Mykicioniuk uznał, że Popović musi to wiedzieć. Było zbyt ważne, żeby zamazać, zatrzeć ślady. Był cholerny, pieprzony precedens.

Sanja włączyła silnik, grzała go przez chwilę i w końcu ruszyła w kierunku Warszawy.



Na pokryty śniegiem ogród Tomka Lewickiego wylewały się przez szyby prostokąty świateł. Dom dudnił wibracjami jak ul tuż przed wylotem roju. Tylko mróz i szczelnie zamknięte okna ratowały sąsiadów przed łomotem muzyki. Najmłodszy z pierwszej partii Kotów obchodził hucznie swoje dwudzieste ósme urodziny.

Sanja powiodła wzrokiem po balującym wokół tłumie i uznała, że co jak co, ale imprezy, to Lewicki zawsze organizuje świetne. Firma cateringowa sprawiła się nawet lepiej niż w zeszłym roku, alkoholu mnóstwo, potańczyć można – Kotka w klubach bywała od wielkiego dzwonu, a na przyjęciach zjawiała się głównie z obowiązku: oficjalnych lub rodzinnych, ale na urodziny Tomo zawsze starała się wygospodarować wolną noc. Było warto.

Dopiła kolejnego drinka i przemknęła między wijącymi się do orientalnych rytmów wystrzałowymi odstawionymi dziewczynami. Sama nadal miała na sobie mundur.

Widząc kilku kumpli ze studiów udała, że próbuje naśladować kołyszące zmysłowo ramionami dziewczyny, ale tak, żeby było jasne, że to wygłup. Znajomi roześmiali się, a tancerki – ku jej lekkiemu zaskoczeniu – również. Utwierdziła się w opinii, że z towarzystwem Lewickiego zawsze można się dobrze bawić. Nawet jeżeli w innych kwestiach miewała do nich spore zastrzeżenia.

Na korytarzu natknęła się na Ruecknerów, którzy pracowicie zawijali się w płaszcz, szaliki, czapki, rękawiczki i co tam jeszcze trzeba założyć, kiedy na dworze minus dwadzieścia trzy (jak z uporem twierdził wyświetlacz termometru na drzwiach).

– Idziecie już? Szkoda! – zawołała Sanja.

Od czasu kiedy Weronika Rueckner zaczęła pracować kilka razy w tygodniu jako trenerka dziecięcych grup karate, już kompletnie nie mieli się kiedy spotykać, bo jak Koty miały jakimś cudem wolne, to akurat ona była

zajęta. Poza tym Popović nie chciała się Ruecknerom narzucać, w końcu oni też mieli prawo do życia prywatnego. Kiedy czasem zapraszali ją na weekend do swojego letniego domu na Mazurach, zazwyczaj się wykręcała, myśląc, że to tylko kurtuazja. „Cała Sanja”, marudziła wtedy Weronika. „Czy ona spędza życie wyłącznie w Nowej Dębie?”.

– Myślałam, że zostaniecie dłużej – zagadnęła ze szczerym żalem Popović. Zwłaszcza dziś towarzystwo Petera dobrze by jej zrobiło, nawet jeżeli nie miała najmniejszego zamiaru mówić mu o zgniłym jajeczku, które Mykicioniuk w ramach noworocznego prezentu podrzucił dla niej do archiwum.

– U Adasia w szkole są od poniedziałku ferie – tłumaczyła się Weronika.
– Jedziemy w góry, jutro z samego rana. Peter ma kilka dni urlopu.

– Wiem, sama mu go dałam.

– A, no tak...

Parsknęły obie. Takie sytuacje i w ogóle awans Sanji nadal wydawały im się nieco absurdalne.

– A Adaś? Będzie mógł jeździć na sankach? – Popović zadała pytanie jak najdelikatniej umiała, ale zaraz pożałowała i skłęła się w myślach.

„Piłaś – nie miel jęzorem”.

Nie chciała zrobić przyjaciołom przykrości. O postępach rehabilitacji ich syna dowiadywała się z przypadkowych uwag, bo nie bardzo wiedziała, jak pytać. Przy tym nawet po tylu latach nie mogła się nadziwić, że im się udało – że Kot w ogóle przeszedł przez sito wymogów ośrodka adopcyjnego.

– Adaś jeździ na sankach, jasne! – roześmiała się Weronika, ku olbrzymiej uldze Sanji. – Z takim ojcem, maniakiem nart, każdy by się nauczył na czymś ślizgać.

Z kuchni buchnął nagle entuzjastyczny wrzask, ktoś gwizdał na palcach.

– Jest, jest, jest! – W drzwiach pojawiła się Majka Szymczyk z

natchnieniem w oczach. – Nasi prowadzą! Jeszcze dziesięć minut! – I zniknęła z powrotem w kuchni.

– Hokej, powtórka. – Sanja była dobrze poinformowana, bo przed chwilą myszkowała po kuchni w poszukiwaniu takich małych, okrągłych ciasteczek z pomarańczowym nadzieniem, które poznikały już ze wszystkich półmisek. – Mimo najszczerzej chęci nie udało mi się dopasować obowiązków Mai do grafiku transmisji. Może mi wybaczy, kiedyś. Na szczęście znalazła sobie towarzystwo do wspólnego oglądania.

– Ale przecież znają wynik? – odezwał się nagle Rueckner, do tej pory uważający widocznie, że dziewczyny świetnie radzą sobie z rozmową same.

– No coś ty? – Popović spojrzała na niego, jakby się z choinki urwał. – Znasz kogoś, kto zdradziłby Majce wynik, kiedy ona sobie tego nie życzy? Wskaźnik myśli samobójczych w tym kraju nie jest aż tak wysoki.

Peter błysnął zębami, lecz po chwili wahania spytał: – Jasiński przyszedł?

Sanja pokręciła przecząco głową.

– Pokłócili się.

– Znowu...

– I tym razem niestety skutecznie.

Popović była zdania, że żartowniś od rysich pędzelków na uszach i tak oszałamiająco długo wytrwał ze swoją zmutowaną zdobyczą. Jakoś kompletnie nie przyszło Sanji do głowy, że z Mają trudno wytrzymać zupełnie niezależnie od jej zmodyfikowanych genów.

– Znikamy! – rzuciła Weronika przepraszająco. – Zadzwoń do ciebie, jak wrócimy.

Nie wypadało znów opóźniać ich wyjścia i tak stali już od dłuższego czasu w ciepłym korytarzu okutani tak, że ledwo im twarze było widać.

Kiedy za Ruecknerami zamknęły się drzwi, Kotka posnuła się chwilę po domu, zaliczając po drodze kanapczkę z wędzonym łososiem i dwa drinki.

Odrobinę kręciło jej się w głowie, kiedy zjeżdżała po poręczy schodów z powrotem na parter. Zazwyczaj piła mniej albo przynajmniej wolniej, ale tym razem jeżeli w ogóle miała się na imprezie bawić, to najpierw musiała się narąbać.

– Gratulujemy awansu, pani kapitan! – huknął jej nagle nad uchem męski głos. Nie musiała się odwracać, żeby odgadnąć, do kogo należy. Facet miał na imię bodajże Łukasz, był cywilem i znajomym znajomych Tomka. Należał do żelaznej gwardii obecnej na absolutnie każdej popijawie u Lewickiego. Popović pamiętała go doskonale. Nie używał perfumowanych dezodorantów i fantastycznie pachniał... W zasadzie był też przystojny, ale to już nie grało aż takiej roli.

– Czytałem o tobie w wiadomościach, wygryzłaś starego z dowodzenia?

– Mykicioniuk poszedł w generały. A ja tylko robię, co mi każą. – Wyszło to jej dość nieprzyjemnie, choć czuła, że facet jedynie się z nią drażni.

– Tak czy owak, trzeba to uczcić! – stwierdził kategorycznie i zaprowadził Sanję na kanapę w salonie.

Strzelili sobie czystej, potem poprawili i Łukasz zajął się rozmową z kumplami. Od czasu do czasu zerkał też na tańczące dziewczyny, śliczne i kuso ubrane.

Popović wypijała jeszcze jedną kolejkę. Zwinęła się na kanapie w kłębek, pótleżąc z zamkniętymi oczami. Tylko udawała, że przysypia. Było przyjemnie i ciepło, muzyka jej się podobała, a towarzystwo, no cóż – jeszcze bardziej.

Przysunęła się lekko do Łukasza, pilnując, żeby tego nie zauważył. Zapach. To było naprawdę miłe. Trochę masochistyczne, jak lizanie cukierka przez szybkę. Ale nadal cholernie fajne.

Węszyła, bardzo dyskretnie, nie otwierając oczu i z wyobraźnią pracującą na pełnych obrotach. Była na tyle pijana, by nie włączył jej się wewnętrzny

głos, psujący zazwyczaj taką zabawę ponurymi stwierdzeniami, że jej życie erotyczne w dziewięćdziesięciu procentach sprowadza się do podglądactwa: podsłuchiwania migdałących się na imprezach par, obserwowania nieświadomych tego facetów.

Ukołyszana w słodkim kokonie wódki czystej wyborowej, cieszyła się chwilą. Trochę się rozpędziła w marzeniach i poczuła, jak przechodzi ją rozkoszny, stęskniony dreszcz.

„Szlag, a może jednak zagadać do niego...”.

Miała na to ogromną ochotę. Lecz blokada była silniejsza. Bo gdyby odmówił...

Tak było bezpieczniej. Odrobina materiału do fantazji, bez stresu i ryzyka.

Nagle zorientowała się, że od dłuższej chwili czuje na sobie czyjś wzrok. Otworzyła oczy i to było, jakby ktoś wylał na nią wiadro zimnej wody.

Z przeciwnej strony salonu patrzył na Sanję Tomek Lewicki. Obok stała jego żona, niesamowicie atrakcyjna, czarnowłosa Iwona, zwana przez Tomo Iwonką. Mówiła coś, ale nie zwracał na nią uwagi. Dopiero, kiedy jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Popović, odwrócił się, złapany na gorącym uczynku, i czym prędzej zajął czym innym.

„Jezu, ale się wygłupiłam”, jęknęła Sanja w myślach.

Powinna była pomyśleć. Podkrecona, zadowolona Kotka siała feromonami na pół domu i to oczywiste, że Lewicki się zorientował.

Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Zwinęła się bez słowa i zanim ktokolwiek zdążył do niej zagadać – bo jednak miała tu na tyle dużo kumpli, że chcąc wyjść bez pożegnania, musiała zrobić to szybko – była już w wiatrołapie. Po drodze wygrzebała swoją kurtkę ze stosu okryć, które nie zmieściły się na wieszaku; wzór w panterkę rzucał się w oczy wśród cywilnych ubrań.

Wezwała taksówkę, a potem zapięła czapkę pod brodą, osłaniając uszy.

Mróz stęzał jeszcze bardziej, aż utrudniał oddychanie. Ale miał tę zaletę, że Sanję trochę obudził.

– Jedziemy do Lublina – poleciała kierowcy, kiedy wreszcie się zjawił. – Krakowskie Przedmieście osiemdziesiąt cztery, ten nowy budynek na rogu z Lipową, przy estakadzie.

Widziała przez kuloodporną szybę, jak taksówkarz wprowadza trasę na panelu nawigacji. Jazda trwała długo i Kotka zdążyła usnąć jak dziecko.

– Jesteśmy – usłyszała z głośnika i zobaczyła, że kierowca zerka w lusterko.

– Wiem – odpowiedziała, raźnie aż do przesady, przesuając kartę przez czytnik.

Bardzo starała się wyglądać trzeźwo. Miała na sobie mundur, była oficerem, obowiązywały ją pewne normy zachowania. No cóż, przynajmniej nie wraca po osiedlowej skarpie na czworakach, jak kiedyś Tomo z kolegą, niosąc żonie na przeprosiny róże zerwane na skwerku.

Ale kiedy wjechała na swoje trzydzieste szóste piętro i zamknęła drzwi mieszkania, mogła już z czystym sumieniem rozebrać się do koszulki i bielizny, zwinąć na szerokim łóżku i doprawić czystą wyborową z własnego barku.

Zanim zasnęła, udało jej się doprowadzić się do takiego stanu, że ze wszystkich spraw minionego dnia najbardziej obchodziło ją, że jednak nie porczyła się ze wstydu po historii z Lewickim. Zawsze to coś.



Następny dzień przechorowała. Zazwyczaj miała mocną głowę i żołądek

ze stali, lecz tym razem przekroczyła swoje limity. Pod wieczór mogła już w miarę przytomnie obejrzeć w łóżku film. Trochę ją mdliło, kiedy statki kosmitów, wielkie na całą zamienioną w ekran ścianę sypialni, wywijały zbyt odważne akrobacje w ziemskiej atmosferze. Poza tym było super – Sanja uwielbiała science fiction.

Akcja zmierzała właśnie ku wielkiemu finałowi, kiedy z kieszeni leżącego na fotelu munduru rozległ się dźwięk telefonu. Popović rzuciła się odebrać. Słuchała długo, uważnie, a potem powiedziała tylko: – Tak, oczywiście – i przerwała połączenie.

Ubierając się, wybrała numer.

– Peter? Przepraszam, że ci psuję wakacje. Zmiana planów. Nie ma wyjścia, melduj się w jednostce, zaraz ściągnę resztę. Ile potrzebujesz czasu? Nie, to za długo, wyślę po ciebie helikopter. Tak, wiem, Weronika mnie zabije.



Wreszcie zmontowano, śrubka po śrubce, całą skomplikowaną, angażującą dziesiątki ludzi machinę operacji – Koty były tylko samym jej ostrzem, precyzyjną igłą. Nie mieli już na co czekać, każdy kolejny zmarnowany dzień mógł oznaczać nieprzewidziane komplikacje.

Siedzieli na ławeczkach z parcianych pasów po dwóch stronach ładowni samolotu transportowego, dziesięć tysięcy metrów nad południową Turcją. Instynktownie podminowani przez sam pomruk silników, drgania kadłuba. Jednak poza tym spokojni, oceniała Sanja, skoncentrowani. W półmroku widziała pozostałe Koty, tak jak ona prawie gotowe do skoku w lodowatą

otchłań – w ochronnych kombinezonach, hełmach, z odpiętymi jeszcze maskami tlenowymi. Na plecach mieli spadochrony, a z przodu wielkie plecaki: cywilne, turystyczne, każdy nieco inny, kolorowe i podniszczone. Tam, gdzie wylądują, zdecydowanie nie należało obnosić się ze sprzętem wojskowym.

20 MIN, błysnęło na wyświetlaczu nad ich głowami. Sanja zakropiła do oczu lekarstwo. Zapieкло, a potem długą paskudną chwilę nie widziała dosłownie nic poprzez zażawioną i bolesną mgłę. Po omacku założyła nocne soczewki. W połączeniu z podaną w kroplach substancją, sprawiły, że ładownia stała się teraz dla Kotów zupełnie jasna, czarno-biała, rejestrowana przez działające na turbodoładowaniu pręciki oczu.

CHECK OXY, znów zapalił się napis, dość jasny, lecz nie oślepiający, ciemniejszy od wyświetlaczy na ich zegarkach, bo – choć tego nie widzieli – czerwony. Monochromatyczny obraz przekłamywał jasność poszczególnych barw. Poza tym soczewki działały bez zarzutu, dopóki nanoboty w kroplach nie wyżarły komuś siatkówki od zbyt częstego stosowania.

Sanja sprawdziła maskę tlenową, sprawdziła wszystko, co należało, wytresowana od zawsze w graniczącej z nerwicą natręctw powtarzalności procedur. Ale gdzieś w tyle głowy cały czas szeptał jej podły głos, że Zegadłowicz też sprawdzał.

Rampa z tyłu samolotu zaczęła się uchylać. Koty wstały, niezgrabnie kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, taszcząc przed sobą plecaki. Popović spojrzała w dół. Tam, gdzie ktoś bez soczewek widziałby głęboką ciemność, tylko gdzieś przetykaną kilkoma błyskami, ona rozpoznawała wyraźną linię oświetlonych zabudowań wzdłuż szosy na wschodzie i pojedyncze, bliżej pod nimi. No i odległą łunę na południu, od horyzontu po horyzont – zapewne zauważalną i dla zwykłego obserwatora.

Sanja skoczyła.



Prawie natychmiast otworzyła spadochron. Spojrzała na jaskrawe wskazania zegarka, ale tak naprawdę i bez tego wiedziała, gdzie ma lecieć. Światła granicy z Kalifatem przyciągały jak wielki drogowskaz.

Szeroki pas ziemi niczyjej, z obu stron patrolowany przez samobieżne automaty bojowe, małe roboty obserwacyjne i ludzkich żołnierzy. W dzień ssał energię słoneczną, by nocą stanowić propagandowy dowód na to, że jest przeszkodą nie do pokonania. Okalał ziemie dawnych Syrii i Iraku, na styku z neutralnymi Turcją i Iranem. Afrykańskie granice Arabii przez ostatnie dekady były bardziej płynne, mniej strzeżone i łatwiejsze do przeniknięcia.

Koty szybowały pod ciemnym niebem, bezszelestne i niewykrywalne dla systemów obronnych. Nad pasem bijącej w oczy bieli i dalej – bardziej przeczuwając niż widząc pod sobą puste obszary winnic i gajów oliwnych.

Teraz Sanja już pilnowała wskazań GPS. Wylądowali precyzyjnie. Dotknęli ziemi Kalifatu Rijadzkiego prawie we wskazanym punkcie, oddalając się od niego tylko na tyle, żeby ominąć drzewa.

Błyskawicznie zwinęli spadochrony, schowali do plecaków hełmy i chroniące ich w powietrzu przed zimnem kombinezony.

Powietrze pachniało wiosną, mimo nocy było chyba prawie dziesięć stopni. Wokół panowała absolutna cisza. Maja spakowała się pierwsza i dopiero wtedy odwróciła się twarzą na południe, w stronę odległej o kilkaset kilometrów radioaktywnej zony otaczającej ruiny Świętego Miasta.

Lwie Serce przeżegnała się szybko.

– Bóg jest z nami – szepnęła prawie bezgłośnie.

– Nie wydaje mi się, że Niemiec powinien iść z takim hasłem na wojnę – zgasił ją cierpko Rueckner.

Zarzucił plecak i pomknął za Sanją – w cieniach między rzędami winorośli, jak zjawa.



Samochód zaparkowano na odludziu, na tyle daleko, żeby jego obecność na plantacji oliwek w środku nocy nie zainteresowała krążących nad terenem przygranicznym maszyn bezzałogowych. Należał do dużej sieci wypożyczalni działającej w tym regionie Kalifatu. Wynajęto go pół roku temu, długoterminowo.

Każde z Kotów miało otwierającego go pilota – wzór przyleciał do Unii wraz z pocztą dyplomatyczną konsulatu w Ammanie. Peter tylko wrzucił swoje rzeczy za plecy dziewczyn, do części bagażowej, i siadł za kierownicą. Wyjął soczewki, starannie przepłukując oczy – im szybciej, tym lepiej. Zaraz potem ruszyli.

Popović też wreszcie, po dłuższym mruganiu, przyzwyczała się do barwnego widzenia. Wytarła rękawem mokre od łez i soli fizjologicznej policzki.

– Lwie Serce, szlafrok, do cholery! – syknęła ponagląco.

Sama już wyciągała czarną abaję. Jeszcze chwila, a obie przeistoczą się w żony europejskich lekarzy, pracujących na kontraktach w szpitalu przy wielkiej rafinerii w Mosulu. Majka, soczyście klnąc pod nosem, ubierała się w czarny płaszcz, a Sanja zakładała hidżab.

Niuanse stroju, zresztą nie tylko kobiecego, zawsze niosą ze sobą wiele drobnych informacji na temat właściciela. Kotki śledziły mody obowiązujące w różnych regionach Kalifatu, zawsze można też było odpowiednimi

kanalami dopytać o szczegóły. Teraz Popović wiązała chustę tak, jak miały to w zwyczaju cudzoziemki, jednocześnie starając się jednak nie pokazać zbyt dużo twarzy. Zakryta aż po same oczy Europejka mogłaby zwrócić uwagę, ale też fantazyjnie zarzucony szal sprawiał, że rysy twarzy Kotki nie zapadną nikomu w pamięć. Poza tym nie wypada gapić się na kobietę.

Lewicki przetrząsał zawartość schowków.

– Ale bajzel – podsumował z satysfakcją.

Na razie udało mu się znaleźć starą ulotkę mosulskiego hipermarketu, potwierdzenie zapłaty za miejsce parkingowe sprzed kilku tygodni, a nawet wydruk mandatu, który ściągnięto we wrześniu z konta samochodu za wykroczenie hinduskiego kierowcy pani Rogowskiej. Czyli „żony” Petera. Czyli Sanji.

Z dokumentów, które mieli przy sobie już w momencie skoku, wynikało ponadto, że Peter i Maja są rodzeństwem – dzięki temu liczba potencjalnych dwuosobowych zespołów, w których nie budziłoby publicznego zgorszenia, zwiększała się do trzech.

Dziewczyny nie mogły prowadzić samochodu. Nie wolno im też było podróżować samotnie w inny sposób. Za łaskawą zgodą małżonków, wgraną na dołączone do paszportów karty, poruszały się w miarę swobodnie po mieście, w którym rzekomo spędzili ostatnie miesiące. No, ale teraz byli w drodze – na koniec swojej wielkiej egzotycznej przygody zwiedzali ten pełen śladów przeszłości region, potem Turcję, a stamtąd mieli lecieć do kraju.

Z bocznych dróg wydostali się już na prowadzącą do miasta kilkupasmową szosę. Po rewolucji i późniejszej wojnie Aleppo wstało ze zgliszczy, odrodzone jak feniks, za naftową fortunę nowego mocarstwa, w którym nagle się znalazło. Jedno z najstarszych miast Bliskiego Wschodu teraz pięło się ku niebu szklanymi drapaczami chmur – jak wizytówka Kalifatu witająca przybyszy u jego bram.



Zaparkowali pod domem, który przygotowali dla nich Imad Maluf i jego żona Leila. Doktor Leila Maluf – Libanka, pracująca przy badaniach DNA koni arabskich. Obie Kotki znały ją ze zdjęć i filmów, dostały ślad zapachowy i starały się odtwarzać charakterystyczne tiki, elementy akcentu czy sposób chodzenia. Ale i tak jedyne, co im naprawdę mogło pomóc, to hidżab, abaja oraz nowoczesna technologia.

Teraz jednak próbowali chwilę odpocząć, w salonie pustego domu, na miękkich siedziskach przy niskim stole. Nie zastanawiając się nawet, czy to pora kolacji, czy śniadania, podgrzali znalezione w lodówce jedzenie. Potem siedzieli przez chwilę; Sanji wydawało się nawet, że słucha uważnie, jak Koty przerzucają się strzępkami żartów czy plotek, żeby zabić napięcie. Jednak okazało się, że kompletnie odpłynęła, bo dopiero Lewicki wytrącił ją z rozmyślań, mających zresztą niewiele wspólnego z jutrzejszym zadaniem.

– Sanjeczka, przestań! – fuknął nagle, a Popović prawie podskoczyła. – Nie obgryzaj skórek! Przecież już się oduczyłaś.

Jeden z tych irytujących momentów, kiedy wydawało się, że Tomo wie o niej po prostu wszystko.

– Patrz na taką Louise – perorował dalej. – Ona ma pazurki zrobione, kiecki nosi, no zupełnie jak nie Kotka.

Szymczyk prychnęła wściekle, pokazując ostre białe ząbki, lecz Sanja czym prędzej podchwyciła temat. Louise. Młode Koty. Dwoje – dwoje młodych.

– No właśnie – odezwała się zupełnie poważnie; Maja i Lewicki przestali udawać, że się kłócą.

Dopiero teraz Sanja uświadomiła sobie, że dla obserwatora z zewnątrz

takie rozkoszne werbalne tarmoszenie się podpadałoby pod flirt. Między innymi dlatego byli tu teraz we czwórkę. Kierowcy nie musieli być Kotami, ale choć nikt nie powiedział tego głośno, było oczywiste – na dłuższą metę funkcjonowanie w ścisłym zespole ze zwykłymi ludźmi byłoby podprogowo stresujące.

Wewnętrzne żarty to oczywiście drobiazg. Po prostu w ogóle trzeba by inaczej mówić, pilnować gestów, sposobu zachowania, człowiek w zespole stanowiłby problem. Może poza Mykicioniukiem – Mykicioniuk był prawie swój. On ich nie wyczuwał, nie czytał intuicyjnie, jednak tak długo obserwował i był tak bardzo inteligentny, że po prostu się Kotów nauczył. No i to on ich wychował.

– Pobudka! – Lewicki zamachał Sanji przed nosem, a potem bezceremonialnie powstrzymał przed odruchowym obgryzieniem kolejnej skórki.

– Próbuje się skupić – mruknęła. – Chodzi mi o Louise. Co z nią zrobimy?

– Jak to co? – zdziwiła się Lwie Serce. – Siedzi w Londynie aż do odwołania, coś się zmieniło?

– No, siedzi, zastanawiam się po prostu, co dalej. Podobno się tam nawet sprawdza.

Zielonooka Lou w garsonce koloru grafitu, podążająca jak cień za szefową MI6, *dame* Rachel. Cicha i niewidzialna asystentka, chodzący wykrywacz kłamstw i zagrożeń. Musiały stanowić dla wtajemniczonych ciekawy widok – lwica i Kocię.

– To rzeczywiście może być coś dla niej – odezwał się wreszcie Rueckner.

– Takie spokojniejsze, bardziej subtelne. Lou jest dobra w łapaniu niuansów, nie w brawurowych wyczynach.

Popović potwierdziła skinieniem głowy.

– A jak myślicie, jak ona... – zacięła się i tylko machnęła ręką w

nieokreślony sposób. – Została teraz sama, prawda?

Kotom Sanja nie musiała tłumaczyć, o który rodzaj „zostania samemu” jej chodzi. Zegadłowicz nie żył. Schizofreniczka Ewa tkwiła w szpitalu i jej stan w żaden sposób nie rokował dobrze. Dwóch autystycznych chłopaków prowadziło gdzieś na uboczu swoje cywilne życie. Louise była – sama. Dla Kotów w bardzo konkretny sposób.

– Całkiem dobrze sobie radzi, no nie? – zauważył ostrożnie Lewicki.

Popović cały ten czas odtwarzała w pamięci szczegół po szczególe moment, kiedy widziała Lou ostatni raz. Stały w warcie honorowej przy urnie z prochami Marka Zegadłowicza.

Było zimno – początki lekkiego mrozu i przenikliwy wiatr. Na świeckiej ceremonii w ekumenicznej kaplicy artystka o urodzie gotyckiej diwy odśpiewała *Ave Maria* i teraz Sanja nie mogła się od tej pieśni uwolnić, od jej hipnotyzującej melodii, budzącej niepotrzebne skojarzenia wtedy, gdy trzeba było zachować absolutny, beznamiętny spokój, jak na akcji.

Wszyscy byli wzburzeni. Koty to wyczuwały, ten rodzaj maskowanego spokojem głębokiego poruszenia. Rozpaczali rodzice – zmrożeni szokiem, półprzytomni, starsi nagle o pół życia.

Ale poza nimi – a Sanja miała doskonały widok na tłum – wszyscy byli raczej przejęci samą sprawą niż osobą zmarłego. Wypadek na poligonie, taki wypadek, a jeżeli ktoś wiedział więcej – wypadek dotyczący takiego żołnierza.

Przemawiał Mykicioniuk, bez drgnienia powieki, dowódca w każdym calu. Popović wiedziała, że środkiem się w nim gotowało. Trudno się dziwić, jego podwładny, jego odpowiedzialność, na nim wszystkie konsekwencje formalne, służbowe, może nawet i polityczne.

Bo przecież tam, w czwartym rzędzie jest Zwierzchowski, również ukrywający silne emocje. Sanja pomyślała, że pewnie przelicza wszystkie

euro włożone w urodzenie i edukację Kota, który na pół roku przed ukończeniem WAT zginął na ćwiczeniach. Długo patrzyła na niewiele od niej starszego mężczyznę w eleganckim płaszczu, z włosami związanymi w kucyk na karku. Dopiero kiedy wiatr przyniósł smugę jego zapachu, zatuszowanego częściowo drogą wodą kolońską, Popović przypomniała sobie, gdzie widziała go po raz pierwszy. Nie, wcale nie na zdjęciach pokazywanych przez Mykicioniuka, tylko w sanatorium w Baile Tusnad. Grała z kumplami w koszykówkę i w pewnym momencie spojrzała w okna budynku. Jedno było otwarte i wyglądał przez nie cywil z długimi włosami, dość charakterystyczny widok w wojskowym ośrodku.

Ave Maria dźwięczało natrętnie w pamięci Sanji, myśli Kotki dryfowały. Baile Tusnad – i tamten pogrzeb, na którym nie byli w stanie się zjawić, naćpani, wstydliwie zamknięci przed światem.

Na takich ceremoniach zazwyczaj płaczą dalekie kuzynki i ciotki, rozstrajając ostatecznie najbliższą rodzinę, która resztkami woli próbuje wykonać to, czego się od niej oczekuje.

Popović zawsze to drażniło, a teraz zrozumiała. Kuzynki i ciotki nie płaczą na pokaz. One wypłakują jakieś dawne żałoby, kiedyś też ukryte pod konwenansem.

W chłodnym powietrzu zawirowały płatki śniegu, zapachniało odległymi górami. Kotce zakręciło się w głowie od flashbacku. Steve.

Huknął strzał.

To była salwa honorowa. Ale nie tylko Sanji PTSD po raz kolejny wyciął brzydki numer. Daleko w tłumie ubrana po cywilnemu Majka Szymczyk wyrwała się nagle chłopakowi, przepychając się w stronę wyjścia z wojskowej części cmentarza. Z przeciwnych stron, pomiędzy tablic pamiątkowych i ludzi, pobiegli za nią Peter i Tomek. Weronika Rueckner zatrzymała Jasińskiego. „Zostaw”, wyczytała Popović bardziej z jej postawy

niż z ruchu warg. „Nic tam po tobie”, dodała w myślach sama.

Tymczasem Louise stała na warcie jak posąg. Pachniała wzburzeniem, niepokojem, współczuciem – jak wszyscy. Ani śladu alkoholu, uspokajaczy, żadnego znaku, że coś może być nie tak, tej sztuczności gestów, jak u rodziców Marka.

– Radzi sobie zaskakująco dobrze – odpowiedziała Sanja Lewickiemu w salonie pustego domu Malufów w Aleppo. – Aż się zdziwiłam.

Podpuszczała Koty, bardzo była ciekawa pierwszych reakcji.

– A ja się nie dziwię – wzruszył ramionami Peter. – Nigdy się nie przyjaźnili.

– Zegadłowicz to był buc – skrzywiła się Majka.

– No i jej nie było przy... Na miejscu wypadku – dokończył bezpieczniejsz Tomek. – Jakoś akurat wtedy wysłali ją przecież do Londynu, wróciła tylko na kilka godzin na pogrzeb.

„Ano właśnie. Akurat wtedy”, pomyślała Popović i przygryzła paznokiec. Lewicki nawet tego nie zauważył.

A w głowie Sanji czarnowłosa gotycka diwa o wyrazistych kościach policzkowych znów śpiewała maryjną pieśń.



Popović zwinęła się na wzorzystym siedzisku. Przez uchylone żaluzje wpadało światło południa. Kino domowe Malufów kolejną godzinę wyświetlało lokalny kanał informacyjny, wiadomości, reklamy, gadające głowy, jak leci. Non stop w tle sączył się język – dla Kotów praktycznie w pełni rozumiały, chociaż żadne z nich nie byłoby w stanie mówić z

lokalnym akcentem.

W Aleppo zasadniczo nie działo się nic niezwykłego i wiadomości były po prostu nudne. Tak trzymać.

Teraz na ekranie, w spocie społecznym, piękna Arabka w chuście szła wśród różowego kwiecia, skubiąc watę cukrową, pocałowała niemowlę i uklękła na piasku nad zachwycającym morzem. „Pora na modlitwę”, przeczytała Sanja kątem oka.

– A ty, Lwie Serce, co? – huknął Lewicki. – Paciorek rano zmówiony?!

– Cha, cha, cha. – Maja zareagowała w bardzo jak na siebie wyważony sposób. Pewnie dlatego, że była zajęta.

Siedziała na podłodze, rozkładając przed sobą na stoliku i dywanie kolejne przedmioty. Na pierwszy ogień poszedł zestaw do charakteryzacji.

– Ja nie muszę, prawda? – upewnił się Tomo, zawieszając na Sanji proszące spojrzenie.

Zastrzyk zmieniający pigmentację skóry był bolesny, zostawiał na długo brzydką ciemną plamę w miejscu wkłucia, a przy odrobinie pecha organizm po kilku godzinach odwdzięczał się za takie traktowanie swędzącą egzemą.

– Darujemy sobie. Tylko Maja – zdecydowała Popović. – Jak nas wszystkich zsyple alergicznie w widocznych miejscach, możemy mieć problemy na granicy.

Tomek był opalony, czarnowłosa. W okularach przeciwsłonecznych, zza przyciemnianej szyby samochodu bez problemu mógł uchodzić za kierowcę Leili Maluf. Zespół dublerów, czyli Sanja i Peter, nie wchodził do akcji – jeżeli coś miałyby się nie udać już na tak zaawansowanym etapie, wycofali się wszyscy.

Szymczyk wolała chyba zrezygnować w najbliższym czasie z basenu niż z siłowni, bo wstrzeliła sobie boty nie w ramię, lecz w zewnętrzną stronę uda. Robiła dobrą minę do złej gry, ale Popović czuła w zapachu Majki

narastający dyskomfort. Znała to z testowania takich metod charakteryzacji – fala gorąca rozchodząca się z uderzeniami tętna wyżej i wyżej, a potem nagle po całym ciele, mocniej w miejscach najbardziej ukrwionych. Trochę przerażająca w swojej niecodzienności, a potem nasilająca się w ból na kilka chwil.

Kiedy wybierano rodziców dla Kotów, kolor ich skóry miał jeszcze znaczenie, dlatego do projektu dostała się Sandra Griffin ze swoim półperskim mężem. Jednak przez lata nauka szła do przodu.

Lwie Serce ochłonęła wreszcie, schowała strzykawkę i założyła brązowe soczewki. Potem w skupieniu otworzyła duży, płaski pojemnik – tam w specjalnym płynie unosiły się trójwymiarowe wydruki odcisków obu dłoni doktor Maluf, zeskanowanych na potrzeby unijnego wywiadu w Bejrucie w czasie jej ostatniego urlopu. Przezroczyste błonki, cieńsze niż szkła kontaktowe, założone na ręce Majki i wyjęte z płynu zasychały błyskawicznie. Okleiły żywą skórę, przylgnęły do niej tak, że nie uszkodzi ich woda, spirytus czy detergenty. Nie zaburzały obsługiwanie ekranów dotykowych, a dla innego człowieka dałyby tylko wrażenie, jakby dziewczyna miała wyjątkowo wysuszone wnętrza dłoni.

W pokoju było zimno; kiedy Kotka ściągnęła bluzę przez głowę i uklękła przy stoliku w samej sportowej bieliźnie, jej ciemniejące powoli ciało pokryte było gęsią skórką. Szymczyk zaczynała pachnieć trochę nie sobą, minimalnie, na progu percepcji, w miarę, jak jej organizm pozbywał się barwnika wraz z potem. Popović uświadomiła sobie, że faceci – Peter, jak to Peter, ale nawet Tomo, który normalnie nie przepuściłby takiej okazji do świńskich dowcipów – patrzą na półnagą Majkę jak na siostrę. Czyli teoretycznie tak, jak powinni – lecz dla Sanji było to miarą bojowej koncentracji Tomka Lewickiego.

– Co ty robisz? – spytała nagle ostro Popović, mimo że odpowiedź była

oczywista. – Co to jest do cholery?!

Szymczyk bardzo powoli, metodycznie przyklejała sobie do skóry brzucha i klatki piersiowej wąskie paski niewinnie wyglądającej substancji.

– Pas szahidki przecież – uśmiechnęła się do kumpeli promiennie nieswoimi brązowymi oczami.

– Widzę, kurwa. Zdejmuj go, w tej chwili!

Popović poszukała spojrzeniem wsparcia u Ruecknera i bardzo się rozczarowała.

– Daj spokój, Sanja – powiedział Peter cicho, lecz dobitnie. – To rozsądne. Jeżeli Maja woli...

Kotce ręce opadły. Owszem, zimna logika takiego rozwiązania w sytuacji ostatecznej nie podlegała dyskusji. Mimo to Popović miała silne wrażenie, że ktoś się tu o jeden raz za dużo bawił zapałkami i mu się na rozum rzuciło.

Tomek też wyglądał na przestraszonego, jednak na wszelki wypadek się nie odzywał. Nie pierwszy raz konflikt między Sanją a Ruecknerem odbierał jako wojnę na szczycie, o co znów ktoś spoza czwórki Kotów na pewno by go nie podejrzewał – kto jak kto, ale Tomo bardziej na co dzień wyglądał na szefa niż cichy Peter.

Tymczasem Maja włożyła czarne spodnie, koszulkę i bluzę. Miała teraz śniadą cerę i zupełnie nowe, długie, piękne rzęsy, pociągnięte przed chwilą tuszem używanym przez filmowych charakteryzatorów – dla laika kompletnie nieprzypominającym makijażu, tylko naturalnie ciemną oprawę oczu. Pszeniczne włosy wyglądały przy tym co najmniej dziwnie, jednak zostały zaraz ukryte pod ciasno związaną chustą, na którą Lwie Serce zarzuciła kaptur sportowej bluzy. Do tego przepisowa czarna abaja, z niekoniernie przepisową szeroką jaskrawą lamówką. Tak właśnie chadzała po ulicy zbuntowana Leila Maluf.

O ile jednak Leila nigdy nie zasłaniała twarzy, o tyle dziś najwyraźniej

miała kiepski dzień, bo założyła duże okulary przeciwsłoneczne – pogoda litościwie dopisała – a bluzę zapięła wysoko, prawie po nos.

– Nie możesz się aż tak garbić – pokręciła głową Sanja, sama zawijając się już w wyjściowe ubranie. – To znaczy, OK, schyl się, ale nie aż tak. Pamiętaj, jesteś od niej niższa, buty wszystkiego nie wyrównają.

Lwie Serce wzięła na ramię torbę, tak złudnie, dziewczynsko i niegroźnie lekką – a potem zeszli do garażu.



Imad Maluf był menadżerem średniego szczebla w korporacji zajmującej się telefonią bezprzewodową. Współpracę z unijnym wywiadem zaczął z pobudek zdecydowanie ideowych. Bał się scenariusza, w którym drastyczne działania terrorystów doprowadzają do otwartego konfliktu między Europą a Kalifatem – a taką wizję właśnie starano się roztoczyć możliwie jak najpowszechniej: przekonanie, że ekstremiści są wspólnym wrogiem, z którym należy walczyć dla dobra kruchego pokoju między mocarstwami. Maluf był jednym z tych, którzy uznali ten pogląd za własny.

Udało mu się już kilka razy pomóc w wyszukiwaniu drobnych, lecz istotnych informacji. Część z nich rzeczywiście dotyczyła terrorystów, inne niekoniecznie. Raz tropy prowadziły od radykalnych ugrupowań prosto do służb specjalnych z Rijadu, ale Maluf nigdy się o tym nie dowiedział. Jego nowi mocodawcy woleli nie prowokować konfliktu lojalności.

Kiedy Leila obroniła doktorat, zasugerowano małżonkom przeprowadzkę do Aleppo, gdzie mogła zatrudnić się w tej konkretnej, z wielu przyczyn interesującej placówce badawczej. Imad sprawnie załatwił sobie przy okazji

przeniesienia korporacyjny awans, więc nikogo ich decyzja nie zdziwiła. Dzieci nie mieli, kontakty z rodziną utrzymywali jak na tutejsze obyczaje bardzo ograniczone i formalne, więc żyli lekko na uboczu, choć w pełni szanowani i zawodowo wtopieni w swoje instytucje.

Zapatrywania polityczne Leili Maluf były radykalne. Wiedziała, co ryzykuje, ale też wiedziała po co – nawet jeżeli liczyła się z tym, że za jej sprawą, ba, nawet za jej życia, nic się tak naprawdę nie zmieni.

No i to Leila wywęszyła rewelację. To wyłącznie z jej przyczyny czekali teraz w Bejrucie z fałszywymi paszportami, wizami wyjazdowymi z Kalifatu i wjazdowymi do Unii oraz biletami na samolot do Frankfurtu. Imad żałował tylko przez chwilę, potem uznał, że tak naprawdę od samego początku oboje brali to pod uwagę.



Tomek Lewicki wysadził swój ładunek, już mniej zmarznięty, ale nadal dość fanatyczny, na podjeździe pod bocznym wejściem do instytutu. Leila ostatnio często kazała się podwozić z tej mniej uczęszczanej strony, więc analizując jej relacje, wszyscy doszli po wielu debatach do wniosku, że kierowca ma czekać w samochodzie na parkingu – ryzyko, że ktoś go zagadnie i wynikną z tego kłopoty, było mniejsze niż gdyby spóźnił się, kiedy Kotka udająca doktor Maluf będzie chciała wyjść z budynku. Zresztą kierowca, jako również Kot, miał dodatkową przewagę w razie potrzeby spławienia ciekawskich natrętów. Sanja i Peter, pod starymi tożsamościami polskiej pary z Mosulu, krążyli po dzielnicy w wypożyczonym aucie.

Oficjalnie Leila Maluf była od wczoraj na zwolnieniu lekarskim z powodu

drobnej infekcji, ale chciała coś pilnie załatwić w administracji instytutu. Wpadła więc do pracy tylko na moment, dlatego samochód na nią czekał.

– No, Lwie Serce, idź, wykończ to cudowne dziecko – pożegnał się z Mają Lewicki.

– Że jak? – Poczucie humoru czasem im się boleśnie mijało.

– On jest jak dzieciak, nie? Błyskotliwy i genialny, ale gówniarz, do woja go jeszcze nie wzięli – rozkręcał się Tomo, szczerze ubawiony, przynajmniej sam miał z takiej koncepcji trochę radości, nawet jeżeli Szymczyk nie załapała.

Maja wzruszyła ramionami, zirytowana. Potem wysiadła i przeistoczyła się w Leilę.



Libanka chodziła – choć tylko z punktu widzenia Kotów – odrobinę niezgrabnie, nierówno, najprawdopodobniej po urazie nogi. Zrobiła sobie coś we wczesnym dzieciństwie albo miała wypadek, bo uprawianie sportów, które powodują kontuzje, raczej nie wchodziło w grę z powodów obyczajowych.

Teraz więc Majka szła przez parking i hall instytutu, z trudem maskując swoją naturalną zwinność. Krążyła po piętrach, tam, gdzie wpuszczał ją system uprawnień, nasłuchiwała, węszyła. Kiedy akurat nikt nie patrzył, opierała się czasem lekko o ścianę korytarza, pod pretekstem szukania czegoś w torbie – i rejestrowała wibracje. Starła się wczuć w rytm budynku, zlokalizować odstępstwo od laboratoryjno-administracyjnej otoczki.

I rzeczywiście. Tam, gdzie spodziewała się Leila Maluf, między

jedenastym a piętnastym piętrem – Majce wydawało się, że chyba na dwunastym – łagodnym, prawie nieuchwytnym basem rezonowała na cały budynek maszyna chłodząca. Potwierdzał to też układ i wygląd drzwi oraz ścian działowych przegradzających szlaki komunikacyjne instytutu. Nawet jeżeli genetyk od książęcych koni wyścigowych nie może chodzić po całym budynku zupełnie swobodnie, to akurat okolice dwunastego piętra zdawały się być szczególnie obwarowane.

Szymczyk była właśnie w damskiej łazience na dziesiątym – najbliżej jak tylko uprawnienia pozwalały jej wejść. Zablokowała drzwi i stała teraz na blacie umywalki, a w zasadzie balansowała jak prawdziwy skaczący po ścianie kot – częściowo wsparta o kafelki, a częściowo o armaturę, sięgając wyciągniętą dłonią do kratki wentylacyjnej. Na szczęście była dość lekka, a nowe budownictwo solidne.

Po ręce Mai maszerowały w zwartym szyku pająki. Te mechaniczne, główni wykonawcy zadania, obładowane lepką substancją, ale na przedzie też kilka pozornie żywych. W rzeczywistości były to skonfiskowane podobno z jakiejś cywilnej nielegalnej hodowli nafaszerowane elektroniką i zdalnie sterowane automaty szpiegowskie, obleczone dla niepoznaki w żywe ciała.

Lwie Serce kilka razy zeskakiwała na podłogę w ostatniej chwili przed utratą równowagi, ale wreszcie udało jej się wyekspediować do przewodów wentylacyjnych całą schowaną w torbie menażerę, z ilością materiału wybuchowego pozwalającą rozwalić w drobny mak co najmniej trzy moduły pomieszczeń.

Kotka założyła teraz z powrotem okulary przeciwsłoneczne, według aktualnej mody duże, w kształcie oczu owadów. Jednak ten model, wbrew pozorom, wcale nie służył do nawigacji po mieście. Sprzężony z kamerami pająków pozwalał nimi sterować.

Na szczęście Maja się nie pomyliła. Dwie kondygnacje nad nią, z

przesunięciem o kilka okien na wschód, znajdowały się pomieszczenia, które pozornie mogły kojarzyć się z pilnie strzeżoną serwerownią. Tyle że nie zawierały serwerów, a eksperymentalną sztuczną inteligencję. Od strony materialnej – połączenie laboratoryjnie wyhodowanych neuronów z elektroniką, od funkcjonalnej – niepowtarzalny egzemplarz, powstały na skutek długotrwałego procesu samouczenia i zmian własnej struktury.

Jak to określił Lewicki, cudowne dziecko. Jeżeli wychwycona przez Leilę plotka nie była tylko czyjąś nadzieją lub przechwałką, zbliżała się chwila, której już wcześniej obawiał się unijny wywiad – wiadano, że instytut zaczyna zwracać uwagę wojska. Dzięki doktor Maluf udało się prawie na pewno ustalić, że chodzi o błyskotliwie rozwijającą się SI. Jeszcze nie ewakuowano jej z cywilnego, przygranicznego ośrodka, ale taka decyzja mogła zapaść w każdej chwili.

Dlatego należało nadmiernie rozwiniętego potencjalnego wojaka wyeliminować, póki pozostawał w zasięgu.

Lwie Serce i jej pajęcza armia już kończyli. Szymczyk zdjęła okulary, ale na wszelki wypadek nadal trzymała je w dłoni, otwierając drzwi łazienki. Drugą ręką poprawiła kołnierz bluzy. Na szczęście na korytarzu nikogo nie było.

Maja szła wyjątkowo czujnie. Najbardziej niebezpieczny jest zawsze koniec misji, kiedy zadanie pozornie wydaje się już wykonane i mobilizacja zaczyna zdradliwie opadać.

Kotka zjechała pustą windą na parter, wychodziła do głównego hallu, w którym o tej porze kręcili się tylko pojedynczy ludzie. Wtedy nagle z daleka zamachał do niej mężczyzna.

– Leila! – Starał się wołać cicho, ale Majkę prawie skręciło w środku.

Nie miała pojęcia, kim on jest. Na pewno nie należał do zespołu doktor Maluf, bo wszystkich jej współpracowników Kotki widziały na zdjęciach.

Zapewne rozpoznał koleżankę po nieszczęsnej barwnej lamówce abai, czy też po zwyczaju noszenia sportowego kaptura, albo po młodzieżowej torbie. Jak na kraj, w którym kobieta nie powinna zwracać na siebie uwagi, Leila miała sporo znaków szczególnych.

Majka błyskawicznie wcisnęła na nos owadzie okulary i skręciła gwałtownie w boczny korytarz. A tam – mało oryginalnie, ale skutecznie – zamknęła się znów w łazience. Miała nadzieję, że czyhanie tu na dziewczynę wyda się facetowi na tyle żenujące, żeby odpuścił i wyniósł się czym prędzej.

Więc czekała. Ku swojej dużej uldze, nie słyszała kroków pod drzwiami, ale wołała dać sobie większy margines bezpieczeństwa, więc nadal nie wychodziła.

I tak, wsłuchując się w każdy szelest, pochwyciła rozmowę, toczoną gdzieś wyżej, niesioną przez kilka cienkich ścian. Najpierw rejestrowała ją tylko skrajem umysłu, spięta i przestraszona nieprzewidzianą komplikacją. Jednak w pewnej chwili treść rozmowy zjeżyła Mai włosy na karku, pod chustą i kapturem bluzy. Była tak niepokojąca, że aż nierealna.



Szymczyk nie znała oczywiście na pamięć rozkładu pomieszczeń w całym budynku, zwłaszcza tych, które na pewno nie dotyczyły jej zadania. Jednak mogła w każdej chwili sprawdzić w sieci – i według wszelkiego prawdopodobieństwa ze sposobu, w jaki rozchodziły się dźwięki, wynikało, że dyskusja toczy się w jednym z profesorskich gabinetów Zakładu Immunopatologii Chorób Zakaźnych. Co oczywiście Majkę przeraziło ostatecznie.

Jeszcze przez moment wahała się, powtarzając w myślach, że na pewno uroiła sobie jakąś niestworzoną historię, a teraz musi bezwzględnie doprowadzić się do porządku i bezpiecznie zakończyć misję. Coś pokręciła, przecież wcale nie mówi po arabsku tak dobrze. Szacowni akademicy robili sobie niewybredne żarty, a ona, idiotka, bierze to serio.

– Kiedy lecisz? – padło pytanie; gdzieś tam, poza zasięgiem wzroku.

– Dziś w nocy.

Chwila wahania i ostatnia wymiana zdań przed pożegnaniem. Słowa, po których Lwie Serce ze zgrozą uwierzyła wreszcie, że poprawnie zrozumiała wcześniejszy przebieg rozmowy.

– Ale ty sobie zdajesz sprawę, że w Europie żelatynę wieprzową dodaje się do różnych niewinnych produktów? Jakichś deserów, lodów. Ktoś może ją zjeść, nie wiedząc o tym.

– Sama żelatyna nie wystarczy, kluczowe są inne białka z mięsa. W sumie szkoda.

Kilka frazesów przed rozstaniem i szczęknięcie zamka w drzwiach.

Majka, na adrenalinowym haju, wymknęła się z powrotem do głównego hallu. Zaczekała parę minut, ukryta w kolumnadzie. Być może nic to nie da, ale nie miała dużego pola manewru.

Dopisało jej szczęście – drzwi windy otworzyły się. Jednak wyszli z niej aż dwaj mężczyźni. Jeden w garniturze, z elegancko przystrzyżoną brodą, drugi ubrany na sportowo, niezbyt porządny. Uczony, dla którego ważny był prestiż stanowiska, i taki skoncentrowany na sprawach czysto merytorycznych. Jedyne, co Szymczyk mogła powiedzieć o człowieku, który odwiedził profesora od chorób zakaźnych, to że był w średnim wieku i miał lekkie naleciałości francuskie w akcencie.

Tyle że tutaj obaj mieli około pięćdziesięciu lat – i rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Majka zaczęła panikować.

Nagle, jak spod ziemi, wyrósł na środku hallu znajomy doktor Maluf. Skupiona na nowym problemie Kotka przeoczyła go wcześniej. Może siedział na którejś z ławeczek, czekając na Leilę? Może załatwiał zupełnie inne sprawy i teraz znów tędy przechodził?

Lwie Serce przylgnęła do kolumny, ale wtedy tamten zaczął wylewnie witać się z lekko potarganym, nonszalancko niedbałym uczonym. Echo odbijało od posadzki i błyszczących ścian strzępki rozmowy. Maja rozpoznała głos, z całkowitą pewnością.

Radosna pogawędka z dawno niewidzianym znajomym. Na ile przyjechałeś, szkoda, że tak krótko, następnym razem musimy się spotkać. Był u matki, musi wracać, obowiązki, konferencja, potem zaczyna się kolejny semestr. Nie, nie planuje zostawać tam na stałe, zresztą w obecnych czasach dziś jesteś tu, jutro tam, pojutrze jeszcze gdzie indziej. Jeżeli Bóg pozwoli.

Rozstali się pogodnie, nawet odrobiny napięcia, żadnego niepokoju ze strony wyjeżdżającego, pewność siebie, zdecydowanie, sprężyste ruchy. Maja przez ułamek sekundy zwątpiła w słuszność swoich podejrzeń. Ale to nie była pora na rozważania.

Kiedy uczony znalazł się na parkingu, Lwie Serce pobiegła za nim, dbając już tylko o to, żeby w jej ruchach nie było nic nieludzkiego.

– Leila! Hej, no, Leila, czekaj! – usłyszała jeszcze, kiedy zasuwwały się za nią przeszklone drzwi.



Lewicki był w swoim żywiole. Kiedy prowadził samochód w Polsce,

grożono mu żandarmerią, odpowiedzialnością karną, mandatami oraz zawałem serca (to matka). Tutaj nareszcie czuł się jak u siebie w domu, po prostu wszyscy jeździli w ten sposób.

Z piskiem opon zatrzymał się na moment przy aucie Ruecknera, żeby Sanja mogła przeskoczyć na tylne siedzenie obok Majki. Nie było w tym nic niestosownego – dwie koleżanki, wiezione przez kierowcę, który dopóki pozostawał z przodu samochodu, a one z tyłu, nie był niczym więcej niż tylko wyposażeniem pojazdu.

Pomknęli dalej, slalomem poprzez kompletnie chaotyczny miejski ruch. Przed nimi, w bezpiecznej odległości, sunęła toyota uczonego. Rueckner miał już wyświetlone w dolnym rogu przedniej szyby jej zdjęcie z kamery Tomka.

Popović była potrzebna, bo nie sposób omawiać takich rzeczy przed telefon. Przyjmowała nerwową opowieść Majki, kiwając tylko głową w kluczowych momentach.

– Bicz Boży, rozumiesz? – zatchnęła się Szymczyk. – Ten facet nie będzie niczego zatruwać, żadnego jedzenia. Wypuści coś zakaźnego z laboratorium. Pewnie jak w końcu wybuchnie afera, to jeszcze będzie na europejskich badaczy, że im się wymknęło. Nosiciele pozostają bezpieczni, ale tylko dopóki przestrzegają zakazu jedzenia wieprzowiny – jeżeli go złamią, bakteria się uaktywnia!

– Ale jeszcze raz, jak on powiedział? To przed „bicz Boży”. Pamiętasz słowo?

– Genetycznie zmodyfikowany... – Lwie Serce usiłowała sobie przypomnieć. – Cholera, nie jestem pewna...

Wyciągnęła telefon i próbowała kilku kombinacji dźwięków. Translator za każdym razem wypluwał pustą lub bezsensowną listę pasujących słów, dopóki nie pojawił się arabski napis, a obok niego angielskie tłumaczenie.

– O kurwa... – szepnęła Popović, kiedy Szymczyk tylko podetknęła jej

ekran przed oczy.

– Co „kurwa”? – dopytywał Tomek, oglądając się przez ramię i równocześnie jadąc w poprzek pasów na rondzie, żeby skręcić w tę samą ulicę, co toyota. Nikt nie uznał jego manewrów za karygodne, trąbiono oczywiście, ale nie na jego jednego.

– Sanjeczka, no mów, do cholery!

– Kara Boża – powiedziała bardzo cicho Popović, machinalnie poprawiając chustę. – Genetycznie zmodyfikowany trąd.



Uczony wcale nie zatrzymał się u matki. Logiczne – to, po co przyjechał, wzbudziłoby w rodzinie dziesiątki zupełnie niepotrzebnych pytań. A może zadziałał jednak zabobonny lęk, podświadomy brak zaufania do zabezpieczeń, mimo że przyszły zamachowiec sam je opracowywał, z pomocą najbardziej zaufanych, wysoce kompetentnych przyjaciół?

Tomek Lewicki zaparkował auto Leili Maluf na prawie pustym placu pod niedrogim hostelem na przedmieściach. Peter zjawił się dopiero po chwili, bo samochód zatrzymał przecznicę wcześniej. Naukowiec mógł być w uzasadniony sposób paranoiczny i zaniepokoić się nagłym ruchem w tym tak sennym miejscu.

Poszli po tropie – bez słów, porozumiewając się półgestami i spojrzeniami. Sanja znów pomyślała, że właśnie dlatego przylecieli tu wszyscy czworo. Dlatego nie wzięła żadnego nie-Kota.

Tomo z Ruecknerem załatwili sprawę czysto i sprawnie. Facet jednak nie był zbyt ostrożny i nie spodziewał się niczego złego po stukającym do drzwi

domniemanym pracowniku hotelu. Kiedy Popović weszła do pokoju uczzonego, ten leżał już na dywanie, unieruchomiony i zakneblowany.

Peter przetrząsnął leżącą na łóżku walizkę, przygotowaną do ostatecznego spakowania. Uważnie obserwował przy tym właściciela, jak przy zabawie w ciepło–zimno czytając z jego odruchowych reakcji, o który przedmiot chodzi.

Klasycznie stanęło na butach. Solidne nieprzemakalne trzewiki z grubą podeszwą, pasujące do lądowania w styczniu w zachodniej Europie. Rueckner szybko znalazł skrytki w podeszwach, jednak były puste i w końcu to Lewicki odkrył próbówki z zarazą w aneksie kuchennym w lodówce, zamknięte w hermetycznym pudełku.

Szymczyk siedziała tylko w kącie, przyglądając się w niemym przerażeniu plastikowym pojemniczkom wielkości połowy jej małego palca.

– I co z tym teraz zrobimy? – spytała po polsku Sanja. Równocześnie wpatrywała się w naukowca, oceniając, czy rozpoznaje język. Nie rozpoznawał, nic nie rozumiał.

– Ugotujemy! – oświadczył Peter, bardzo z siebie zadowolony. – W kuchni jest szybkar.

– I to wystarczy?

– Spoko, Lwie Serce, nie panikuj – włączył się Lewicki, Maja prychnęła.

– Pół godziny gotowania nie może nie wystarczyć – uspokoił ją Rueckner.

Ostatecznie potraktowane tak paskudztwo zostało przez Petera troskliwie zapakowane do skrytek, a buty założył sam. Od biedy pasowały, nie planował w nich daleko chodzić.

– Niech nasi zrobią analizę DNA.

Popović skinęła głową. Zrobiła telefonem kilka zdjęć przerażonemu jeńcowi, wyszukiwarka rozpoznała go jako profesora goszczącego na jednej z paryskich uczelni. Na znalezionym w walizce kawałku folii do owijania żywności odbili pełne odciski obu jego dłoni, również ręce przedtem

szczegółowo fotografując. Zapakowali sobie też próbkę włosów, na wszelki wypadek.

– Oczywiście to sprawa na miesiące śledztwa – zaczęła Sanja – ale mam przeczucie, że on nie jest z rijadzkiego wywiadu. Nawet najbardziej porąbana służba państwowa nie wypuści w świat epidemii, której bezpiecznik może zniknąć po jednej pieprzonej mutacji!

– Też myślę, że to hobbysta – zgodził się Lewicki. – Znajdziemy twoich przyjaciół – powiedział po arabsku.

A potem naukowiec udusił.



Zostawili martwego profesora ułożonego na łóżku pod skłębionym prześcieradłem, a jego pokój w starannie zainscenizowanym przedwyjazdowym bałaganie. W tym momencie zaczął tykać niewidzialny zegar – gdy obsługa zorientuje się, że gościa nie sposób obudzić, sytuacja Kotów stanie się jeszcze bardziej ryzykowna niż do tej pory.

– Lwie Serce, masz góra kwadrans – zakomenderowała Sanja, kiedy znaleźli się w domu Malufów.

Według planu powinni tam spędzić noc i wyjechać z Aleppo autobusem rejsowym do tureckiego Gaziantep, łącznie około sto pięćdziesiąt kilometrów szosą, z przejściem granicznym nieco przed połową trasy. Samochód z wypożyczalni musiał zostać w Kalifacie. Miało to tylko tę dobrą stronę, że auto posłuży za miejsce przechowywania wszystkich rzeczy, których Koty nie mogły mieć przy sobie podczas kontroli celnej. Więcej – rzeczy, które w ogóle nie powinny nigdy zostać znalezione na terenie wroga: sprzętu

skoczków, pozostałych zestawów do charakteryzacji, dokumentów Leili i jej kierowcy.

Wszystko, co nie pasuje do legendy czwórki polskich ekspatów na medycznych kontraktach, ukryją w samochodzie i wraz z nim porzucą w jednym z płatnych wielopiętrowych parkingów przy biurowcach w okolicy dworca dalekobieżnych autobusów. Stamtąd auto odbierze ten sam unijny rezydent, który podstawił je poprzedniego wieczora za miastem. Popović wiedziała, że cokolwiek zostawią, będzie zniszczone – żadna z tych rzeczy nie była warta ryzyka, z jakim wiązało się przewożenie ich do Ammanu i stamtąd, już pod ochroną pieczęci poczty dyplomatycznej, do Unii.

Szymczyk wyjęła soczewki, specjalnym płynem zmyła rzęsy, innym – linie papilarne, a przede wszystkim pozbyła się wreszcie subtelного mechanizmu zapalników pasa szahidki, co Sanja przyjęła z irracjonalnym poczuciem wielkiej ulgi. Te czynności zajęły Majce dziewięć minut. Reszta Kotów czekała tylko na nią, gotowa do wyjścia.

– Popatrz na mnie – zaprotestowała nagle Szymczyk, wskazując lusterko i potem swoją twarz. – Jesteś pewna? Wyglądam... No, dziwnie.

Zasadniczo miała rację. Planowali przespać tę noc w domu Malufów właśnie dlatego, żeby skóra Kotów biorących udział w akcji zdążyła zblaknąć. Ale teraz Sanja uważała, że nie można sobie pozwolić na nadmierną ostrożność, kiedy priorytetem stała się jak najszybsza ucieczka z Kalifatu.

– Opaliłaś się – stwierdziła dobitnie. Widząc pełne powątpiewania spojrzenia reszty, dodała: – Bardzo się opaliłaś. Nikt nie będzie ci się tak dokładnie przyglądał, Europejczyków mniej sprawdzają. Przechlapane to miałabyś, gdyby cię wzięli za miejscową uciekającą od męża. My stanowimy dla ciebie alibi, poza tym z bliska widać, że masz naturalnie jasne oczy.

– Bez ryzyka nie ma zabawy – rzucił Tomo.

Lwie Serce wzruszyła ramionami w geście: „Jak tam chcecie”. Była zmęczona, poza tym wszyscy uznawali pośpiech Sanji za uzasadniony – trup w hostelu mógł wcześniej zamówić budzenie, chcąc zdążyć na nocny samolot.



Udało im się załapać na wieczorny autobus, Sanja zaczęła załatwiać bilety jeszcze pod hostelem. Jedyne, nad czym się wtedy zastanawiała, to czy muszą jechać do domu Leili, ale uznała, że trzeba dać Majce cywilizowane warunki do doprowadzenia się do odpowiedniego wyglądu – w Europie może wystarczyłoby zaciemnić całkowicie szyby na jakimś odludnym parkingu, tu lepiej nie ryzykować.

Teraz więc siedzieli w tylnej części eleganckiego transgranicznego autokaru, otoczeni gwarnym tłumem przejętych turystów i drobnych biznesmenów. Jakaś zawinięta aż po oczy w czerń pani wycierała łapki i nosy swoich czworga małych dzieci chusteczkami, które dla Sanji tak straszliwie śmierdziały miętowymi perfumami, jak dla zwykłego człowieka lizol. Poza tym obecność ludzi Kotom nie przeszkadzała, zwłaszcza, że jedyni pasażerowie z Europy tkwili godnie gdzieś hen tuż za szoferką, zapatrzeni monitory zamontowane w oparciach foteli. Nie czuli na szczęście potrzeby zawierania znajomości z rodakami.

Autobus miał lekkie opóźnienie ze względu na porę modlitwy, ale teraz mknęli autostradą. Mijali łagodne wzgórza porośnięte oliwkami, a po zachodzie słońca pozostała już tylko ciemniejąca luna na niebie.

Nie upłynęła nawet godzina, kiedy zaczęli hamować przed ciągnącą się od

granicy kolejką wielkich ciężarówek i mniej licznych samochodów osobowych. Czas spędzony na oczekiwaniu miał stanowić większość tej podróży.

Wzgórza pozostały za nimi, a przejście wybudowano na płaskim jak stół polu. Szosa zakręcała szerokim łukiem tak, że jeszcze z daleka Sanja widziała budynki graniczne i zasieki ziemi niczyjej. Nad kolejką powiewały flagi – czerwona z białym półksiężycem i gwiazdą oraz zielona, z wyznaniem wiary i szablą.

Zachód słońca zgasł już całkiem i teren przejścia oraz ciągnącą się w obie strony strefę zasieków oświetlał sztuczny blask lamp, tak biały, że w oczach Popović aż chłodny, zielonkawy. Przez chwilę zastanowiła się, czy tylko ona widzi go w tej barwie. Może dla ludzi to zwykła biel? Jak dużo jest drobnych zmysłowych niuansów, o których nawet nie wie, że odróżniają Koty od innych.

Daleko, na ziemi niczyjej, trwał nieustanny ruch. Tam już całkowicie nieludzkie oczy biegających po kamienistym gruncie na metalowych łapach automatów przeczesywały pas buforowy, zapatrzone w podczerwień, niepotrzebujące nawet mrugać. Sanji wydawało się, że w pewnej chwili mignął jej jeden z takich kształtów, dla niej charakterystyczny, bo sporo o tych maszynach czytała.

Oderwała wzrok od szyby i machinalnie wyjęła telefon. Zawsze sprawdzała wiadomości, nawet kiedy była w kraju i na urlopie, kompulsywnie, za często. Tutaj miała przynajmniej rzeczywisty powód – dopóki pozostawali po tej stronie pasa białego światła, lepiej było wiedzieć, co się dzieje na świecie. Na przykład czy trup w hostelu nie wywołał skandalu albo czy nie wybuchła wojna atomowa.

Popović, nastawiona raczej na lokalne kłopoty, włączyła najpierw tutejszy serwis – i zamarła. „Doszło do eksplozji” – pierwsze słowa, które Sanja

przeczytała z nagłówka. Dalej było dokładnie to, czego się bała: chodziło o instytut. Wybuch zniszczył tylko kilka pomieszczeń – dziennikarzom ogólnikowo i kłamliwie wyjaśniano, co mieściły. Rzekomo wypadek, choć Kotka wiedziała przecież, że to absolutnie nie jest prawda.

Najwięcej miejsca poświęcono uspokajaniu mieszkańców, że nie ma żadnego zagrożenia biologicznego, ponieważ niebezpieczne pod tym względem laboratoria znajdowały się w innych budynkach. Oczywiście Koty doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

Ale ta eksplozja nie miała prawa się zdarzyć. Nie teraz. Mieli przejechać granicę, więcej – mieli znaleźć się w Unii i dopiero wtedy sygnał z satelity powinien spowodować wybuch.

Według planu Koty były w tej chwili w Aleppo. Nikt nie wiedział o ich wyjeździe, bo Sanja uznała, że nie jest to warte ryzyka komunikacji. Oficjalnie byli więc w Aleppo. W chwili zamachu.

Nawet nie zakłęła. Bardzo powoli przesunęła telefon tak, żeby zobaczyć go siedzący obok, rzekomo poślubiony jej Rueckner. Czuła, jak Peter się spina, twarz mu stężała. Pod jakimś drobnym pretekstem zagadał do Tomka, który miał miejsce za nimi. Przekazał telefon Sanji dalej. Potem Tomek Majce.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Ludzie przysypiali, grali na tabletach, mało komu chciało się o tej porze rozmawiać. Pani od mentolowych chusteczek karmiła piersią niemowlę, ukryte pod abają.

Od przejścia dzieliły ich jeszcze tylko dwie ciężarówki.



Kontrola zawsze trwała długo. Wszyscy wysiedli, a autokar podjechał po betonowej rampie na zadaszony przejazd – pod skanery. Pasażerowie tłoczyli się w poczekalni. Jeżeli z autobusem będzie coś nie tak, utkną tu, aż przyjedzie kolejny. W tym miejscu nie można było przejść granicy na piechotę. Gdyby komuś się śpieszyło, jego problem.

Kiedy autobus wyjechał po drugiej stronie pomieszczenia do prześwietleń, Sanja z trudem zachowała obojętny wyraz twarzy. Podróżni okazywali jawną radość, dopóki i oni nie spowaźnieli, ustawiając się w kolejkę. Bagaże podręczne szły na ruchomą taśmę. Jakaś niesiona przez ojca na rękach dwulatka, ubrana od stóp do głów na różowo, dostała ataku hysterii, kiedy próbowano przeprowadzić ją samą przez skaner. Miła Turczynka w mundurze usiłowała dziecko oswoić, ale w końcu jej zniecierpliwiony kolega zabrał samotnego ojca z wklejoną w ramiona córeczką na rewizję osobistą.

Czas płynął jak lepka maź.

W kolejce tuż przed Mają stała nieco starsza od niej kobieta podróżująca pod opieką *mahrama* – tak blisko spokrewnionego mężczyzny, że małżeństwo z nim byłoby niemożliwe, a więc i nie stanowił on zagrożenia dla jej reputacji. Jednak pojawił się nieprzewidziany problem z zezwoleniem na wyjazd, który musiał zatwierdzić mąż kobiety. Opiekun i sama zainteresowana zaklinali się, że zostało ono wydane, ale karta magnetyczna nijak nie chciała dać się odczytać.

Szymczyk zacisnęła palce na barierce, wzdłuż której uformowano kolejkę. Sanja przygryzła wargi. Tomek gapił się na przejeżdżające za przeszkloną ścianą samochodu, bardzo starając się nie robić żadnych nerwowych gestów.

Za trzecim razem cholerny system ewidencji pobożnych żon się odblokował. Mężowskie pozwolenie było aktualne. Teraz jeszcze tylko wizy wyjazdowe z kraju, uważnie sprawdzane. I tureckie. I paszport.

Kiedy Lwie Serce położyła na blacie swój paszport i karty, nikt na nią

nawet nie spojrzął.

– Gdzie mąż?

Obaj mężowie błyskawicznie odgradzili swoje Kocie rzekome żony od biurokratycznej maszyny. Pieczęć, skan, wiza do czytnika. Następny proszę.

Trwało to może po dwie minuty na parę. I znaleźli się w Turcji.

Tak po prostu.



Autokar zabrał pasażerów i odjechał około kilometra od głównego budynku przejścia. Kotki, podobnie jak kilka innych kobiet, jeszcze w tureckiej części poczekalni pozbyły się chust i abai, wpychając je byle jak do torebek i plecaków. Pani z czwórką dzieci pozostała zakryta czernią aż po oczy.

Szymczyk pólleżała z przymkniętymi powiekami, oparta o okno. Sanja odwróciła się do niej, zerkając między oparcie fotela a szybę. Majka była skrajnie zmęczona, z nerwów od rana nic nie jadła, pewnie bolała ją głowa i brzuch. Popović o nic nie spytała, wiedząc, że w im gorszej kumpelka jest formie, tym mniej należy ją zaczepiać. Zwłaszcza, jeżeli wychodzi z niej cały strach i napięcie dzisiejszego dnia.

Kierowca zarządził przerwę, chyba stały punkt na tej trasie – zatrzymał autobus na wielkim parkingu na obrzeżach kompleksu granicznego, koło baru szybkiej obsługi. Większość pasażerów modliła się, niektórzy weszli do budynku.

Koty stanęły z dala od grupy. Tu mogli rozmawiać po polsku, w zasadzie nic im już nie groziło.

– Odpalili ładunki. – To było pierwsze, co powiedział Peter.

– Może dostali jakieś nowe informacje? Że to już ostatni moment? –
zawahała się Sanja.

– Może – mruknął Lewicki. – Ale nas nie ostrzegli. Sanjeczka,
powiedzmy sobie otwarcie: ktoś nas tam ślicznie wystawił. Pytanie: czy
celowo, czy z głupoty.

– Głupich nie sieją... – Teraz to Rueckner starał się uspokajać.

– Coś się mogło sypnąć w systemie, błąd w oprogramowaniu. – Popović
szukała przyczyn.

Od lat pielęgnowała swoje prywatne fobie, ale w realnym życiu starała się
nie ulegać pokusie teorii spiskowych. Za wiele już widziała idiotycznych
błędów ludzkich, w tym swoich własnych.

Jednak fakt pozostawał faktem: mieli ogromne szczęście, że Kalifat nie
zamknął granicy, albo że stało się to dopiero przed chwilą, tuż po ich
odjeździe. Nikt nie powiedział tego głośno, rzecz była oczywista.

Sanja nagle straciła wątek. Odwróciła się do Majki, która stała kilka
kroków dalej, nie biorąc udziału w rozmowie.

– Hej, czy ty nie powinnaś czegoś zjeść? Nie padniesz nam tu zaraz?

Machnęła ręką w stronę baru, Szymczyk odruchowo podążyła wzrokiem
w tamtym kierunku, a potem zwinęła się w skurczu odruchu wymiotnego,
bolesnego i nieskutecznego przy pustym żołądku.

– Cholera jasna! – Sanja i Peter byli już przy niej jednym skokiem,
odruchowo podtrzymując, kiedy się zatoczyła.

W bardzo jasnym świetle latarni Popović uświadomiła sobie, że Maja jest
nie tylko woskowo blada pod powoli zanikającą charakterystyczną, ale też jest
coś dziwnego w białkach jej oczu.

– Rany boskie, Lwie Serce, co ci? – palnął niezbyt mądrze Tomo.

– Patrzcie na jej oczy! To od tych nocnych soczewek do skoku? – spytała

Sanja, w ogólnym stresie już zupełnie głupio. – Bolał cię oczy? Te cholerne krople ci zaszkodziły?

– Jakie, kurwa, oczy?! – warknęła Szymczyk, wyrwała się jej i odeszła dość daleko w stronę niskiego murku, na którym siadła, przyciskając łokieć do prawego boku.

– Sanja, ją boli wątroba – szepnął Peter. – Białka oczu ma chyba żółtawe. Czujesz ten... no ten zapach?

Paskudny, wyjątkowo okropny, choć Rueckner nie powiedział tego na głos. Tak, teraz czuła. Obrzydliwy smrodek z ust Majki.

– Ona ma coś bardzo nie tak z wątrobą. Bardzo. – Podkreślił jeszcze raz, nadal prawie bezgłośnie.

Sanja, oderwana od zajmującej ją do tej pory całkowicie sprawy eksplozji, dopiero teraz uświadomiła sobie, jak dużo przegapiła.

– Jezu, ale dlaczego?

– Co mi się kojarzy z wątrobą, to zatrucie – odpowiedział Tomek. Też był blady, niewyraźny. Ale chyba tylko przestraszony.

– Mnie nic nie jest – zastrzegła Sanja. Nawet głowa jej nie bolała. – Wam chyba też?...

– Wszystko OK.

– Zatrucie?... Jezu... Czym?

Peter i Tomo nie odpowiedzieli.

Patrzyli wszyscy troje w stronę siedzącej na murku Szymczyk. Sanja czuła narastające w gardle dławienie paniki. Eksplozja. Trucizna. Boże drogi.

Potem błysnęła jej kolejna, jeszcze bardziej przerażająca myśl.

– To nie jest zakaźne, prawda? Ja nie czuję, żeby było.

Poznałaby przecież, instynktownie zarejestrowałaby zakaźne zagrożenie. A TO przecież miało się roznosić jak epidemia. Bicz Boży.

– Nie. Na pewno nie – pokręcił głową Lewicki. – Zorientowalibyśmy się.

– Brzmiało to, jakby bał się ufać własnym zmysłom.

– To nie jest żaden trąd – Rueckner uciął historię w zarodku, nazywając rzecz po imieniu. – Moim zdaniem to bardzo poważne zatrucie, niewydolność wątroby.

– Teraz trzeba przede wszystkim zająć się Mają. – Popović usiłowała zapanować nad własnym wewnętrznym roztrzęsieniem. O tyle skutecznie, że zupełnie nie było go po niej widać. – Co robimy?

Powiedziała to o pół tonu za głośno jak na Kocie uszy.

– Jak to co, kurwa?! – odkrzyknęła Maja, wstając i idąc powoli w stronę autokaru. – Jedziemy dalej!

„Niecała godzina do Gaziantep”, pomyślała Sanja.



Nie chodzi o to, że Maja ich brzydziła. Zapach, który dla ludzi pewnie byłby odrażający, oni zniesliby w przypadku innej osoby z niechęcią – bo jednak oznaczał chorobę – ale bez problemu. Jednak w przypadku Kotki smród choroby ich przerażał, był jak wyjąca syrena alarmowa, popychał w panikę.

„Nie mogę drugi raz popełnić tego samego błędu”, powtarzała w myślach Popović jak mantrę. Musi tym razem zachować siebie i resztę zespołu w całkowitej, przytomnej sprawności bojowej. Bo tym razem nikt ich nie pozbiera z ziemi i nie zawiezie do bezpiecznego psychiatryka.

Szymczyk jechała, prawie leżąc na kolanach Tomka, z zamkniętymi oczami, zielona od mdłości. Lewicki podtrzymywał Maję bardzo delikatnie, nie chcąc dotykiem zwiększać jej dyskomfortu.

Sam był prawie równie blady, oddychał płytko i szybko; Sanja zerkała co jakiś czas nerwowo w przerwę między fotelami i wtedy widziała, że Tomo ma coraz bardziej mętne spojrzenie. Chodziło o zapach. Dla innych pasażerów jeszcze zupełnie niewyczuwalny, dla Kotów podstępnie pełznący, oblepiający. Jak wtedy – sygnalizujący zagrożenie. Choroba, ciężka choroba jednej z nich.

„Nie mogę drugi raz popełnić tego samego błędu”. Sanja czuła, że sama osuwa się w bezradne przerażenie.

Więc wzięła się w garść. I przypomniała sobie, co jej pomogło w śmigłowcu nad jeziorem Thun – upośledzony węch.

Wstała i podeszła dwa rzędy foteli do przodu.

– Przepraszam – szepnęła do ukrytej za czarnym nikabem Arabki, która nie spała, próbując uciszać rozbudzone na postoju dzieci.

Sanja mówiła powoli i wyraźnie, ale celowo po angielsku. Nie chciała wypaść z roli, na wszelki wypadek. Dopiero kiedy okazało się, że kobieta zupełnie nie rozumie, o co jej chodzi, powiedziała jedno słowo po arabsku.

– Ach, chusteczki! – oczy nad nikabem zabłysły radośnie. – Oczywiście, proszę, całe opakowanie.

– *Thank you* – Sanja uśmiechnęła się uprzejmie samymi ustami. Wyszło sztywno, niewiarygodnie, zupełnie jakby nie była Kotką. Jednak w autokarze przygaszono światła, a pani w czerni była zbyt zajęta dziećmi, żeby zwracać na nią uwagę.

Popović wróciła do Kotów. Kazała Tomkowi przesiąść się do Petera, dała im po zapachowej chusteczce, a sama objęła Majkę.

Przez gryzącą ścianę mentolu nie czuła nic. Przycisnęła kawałek ligniny do nosa jak sole trzeźwiące.



Mijali puste w nocy place budowy, dźwigi, zaparkowane wzdłuż szosy ciężarówki z materiałami. Trzęsienie ziemi, które tak zniszczyło nieodległą Adanę, tu też zostawiło ślady. Przez prawie dziewięć lat wszystko zostało już uprzątnięte, lecz nadal trwała odbudowa zrujnowanych dzielnic.

Kiedy wreszcie dotarli na dworzec autobusowy, Peter pomógł słaniającej się Szymczyk wysiąść. Pojechali taksówką na lotnisko. Jedyne, co mogli tam teraz zrobić, to zatrzymać się w hotelu, w dwupokojowym module z łazienką.

Bilety mieli dopiero na jutro, zresztą właśnie stały się całkowicie bezużyteczne – nikt nie wpuści Mai w takim stanie na pokład rejsowego samolotu.

– Weźmy ją do szpitala – szeptała Sanja.

– Nie tutaj – rzucił szybko Peter, jak nie on lodowaty i twardy. – W domu. Musimy ją zabrać do Unii.

Popović wcisnęła mu tylko w rękę kolejną porcję mentolowych chusteczek. Potem zamknęła drzwi i zadzwoniła do kraju. Stąd już mogła.

W Warszawie trwało piekło. Wszystkie syryjskie serwisy wałkowały temat eksplozji w instytucie, pojawiły się też wzmianki w międzynarodowych środkach przekazu. Ludzie odpowiedzialni za sygnał z satelity odchodzili od zmysłów, próbując znaleźć winnego.

Doszło do cyberterrorystycznego ataku – jednak zanim zaczęto szukać jego sprawców, już poleciały głowy tych, którzy powinni byli mu zapobiec.

Ktokolwiek wiedział o akcji w Aleppo, myślał teraz o jednym – mamy kreta. Kogoś, kto wykorzystuje dostęp do bardzo utajnionych informacji do sobie tylko znanych celów.

A Koty zniknęły. Niestety, kiedy się znalazły, okazało się, że jest w sumie

jeszcze gorzej.

– Skoro nie umiecie wdrożyć podstawowych procedur, to po prostu sama zapłacę za ten pierdolony czarter! – syczała Popović w słuchawkę. – Potrzebny jest medyczny odrzutowiec, natychmiast, już. Oczywiście, że może przesadzam! Modłę się, żebym przesadzała. Nie, nie wiem, ile kosztuje. Najwyżej sprzedam mieszkanie i będę, kurwa, spać pod mostem!

– Dołożymy się – mruknął Tomek.

Sanja skończyła połączenie.

– Będą robić, co się da.

Ściszyła gwałtownie głos, widząc, że Peter prowadzi, prawie niesie, Maję do łazienki. Kiedy przeszli, Sanja pozwoliła, żeby dosłownie na moment ponura determinacja przestała ukrywać strach, który Kot i tak cały czas wyczuwał.

– Chcę już być w kraju, bardzo.

– Ja też. – Lewicki wstał, przygarnął ją do siebie ramieniem i pocałował we włosy, niewinnie, Kocio. Bał się jeszcze bardziej niż ona.



Doczekali się wreszcie. Jet przyleciał po Maję z Europy, z jakiegoś powodu nie udało się zorganizować żadnego bliżej. A może procedury nie pozwalały na transport medyczny Kota maszyną spoza Unii, Popović była w stanie uwierzyć w absolutnie każdą paranoję ram prawnych projektu.

W samolocie Lewicki natarczywie wchodził personelowi w kompetencje.

– Dacie jej mannitol? – dopytywał.

– Ja naprawdę wiem, co robię – odpalił lekarz tonem agresywnie

grzecznym, który należałoby tłumaczyć jako elegancką formę powiedzenia: „Odpieprz się pan wreszcie ode mnie i daj pracować”.

Jednak Tomo, cały czas patrząc mu na ręce, wyraźnie się uspokoił, co zmniejszyło też stres Sanji. Pamiętała cały czas tamtą kłótnię sprzed ośmiu lat o tamowanie krwotoku wewnętrznego – wtedy Koci ratownicy widzieli błąd w postępowaniu. Teraz było w porządku.

Teraz wszystko będzie w porządku. Lecą do domu. Sanja nie zwróciła uwagi, że ma palce pogryzione do krwi.

Szymczyk kontaktowała, ale bardzo, bardzo słabo, w malignie, choć bez gorączki. Peter szeptał jej: – Podpinają cię do urządzenia oczyszczającego krew. Jeszcze tylko trochę i lądujemy, w szpitalu będziesz już spokojnie dochodzić do siebie.

Sanji wytłumaczono – zadbała, żeby poza zasięgiem słuchu drugiej Kotki – że to, czego Maja teraz potrzebuje najbardziej, to przeszczep wątroby w wojskowej klinice w Warszawie.

Kiedy przelatywali nad granicą Unii, autobus z czterema niezrealizowanymi rezerwacjami zatrzymywał się właśnie na końcu kolejki TIR-ów.



Sanja siedziała na podłodze szpitalnego korytarza, oparta o ścianę. Gdzieś tam, nieco dalej, było chyba kilka plastikowych krzesełek połączonych w ławkę jak w poczekalni, ale Popović nawet tego nie zarejestrowała; funkcjonowała w trybie skrajnie awaryjnym. Nadal miała na sobie dżinsy, bluzę i lekkie sportowe buty, które trzy dni temu założyła, wyjeżdżając z

domu Malufów na akcję.

Od momentu kiedy z Tomkiem i Peterem przebiegli przez zaśnieżone lądowisko, przy noszach, do helikoptera i potem, też nie odstępując Mai na krok – przez dach kliniki, do windy, warowali tu, nie śpiąc więcej niż wtedy, kiedy po prostu odpływali, czasem na krześle, oparci o brzeg łóżka na OIOM–ie, czasem tutaj. Pielęgniarki przestały na nich zwracać uwagę. Nikt nie miał prawa Kotów z oddziału wyrzucić, pomóc sobie nie pozwalali.

Dosłownie w kwadrans po lądowaniu śmigłowca, ku wielkiej uldze Popović, zjawiał się w klinice oficer wywiadu, ubrany po cywilnemu, z kilkoma żołnierzami eskorty. Odebrał od Ruecknera próbówki i dane biometryczne terrorysty.

Szymczyk, w stanie stabilnym, cały czas odtruwana przez potężną szpitalną sztuczną wątrobę, czekała na przeszczep. Potrzeba było kilku dni, żeby spersonalizować sztucznie wyhodowany bioinżynieryjny narząd.

Sanja siedziała najczęściej przy Majce. Tu żadne mentolowe chusteczki już nie pomagały, ale otumaniona napięciem i brakiem snu, nawet nie wpadła na to, że pewnie powinna dostać jakieś leki, psychiatryczne protezy, żeby móc normalnie funkcjonować. Jeśli chodzi o Mikołajczaka, to Lewicki chyba przepłoszył go z oddziału. Popović nie dowiedziała się, co dokładnie zaszło, jednak Mikołajczak już nie przychodził; zapewne, żeby ich nie drażnić. Tomkowi lepiej było teraz schodzić z drogi.

Sanja nie sprawiała kłopotów. Po prostu siedziała na OIOM–ie, zazwyczaj na sali. Cicho, spokojnie, na krześle przy łóżku i otaczającej je maszynerii. I tylko jeździła sobie ostrym kluczem po grzbiecie dłoni, w górę i w dół, w górę i w dół. Godzina po godzinie.



Operacja miała być jutro, narząd nadawał się już prawie do umieszczenia w ciele pacjentki.

Tylko, że Szymczyk była Kotką. Mózg Kota okazał się bardziej wrażliwy od ludzkiego i mimo intensywnego leczenia, zaczęła się kaskada obumierania neuronów – dużo szybciej niż u normalnego człowieka.

Kiedy kapelan udzielał Mai namaszczenia chorych, była już nieprzytomna. Zmarła niedługo później. Twarz udręczonej Kotki, taka, jaką zapamiętali, nie miała w sobie nic ze szlachetnej, uduchowionej Madonny – zażółcona, opuchnięta, z pajęczkami wybroczyn.

– To było wiadomo z badań na małpach – zaczął nagle Peter, siadając obok Sanji. – Zanim zaczęli projekt Koci na ludziach. Wyższe stężenie toksyn kasuje nas szybciej. Te nanoboty...

– Zniszczyły Mai wątrobę w ciągu dwóch godzin. – Popović próbowała się skupić, za wszelką cenę myśleć i to myśleć racjonalnie. – Czyli Maja już na akcji w instytucie była chora.

– Ale o tym nie wiedziała. Oczywiście, jeżeli rzeczywiście wstrzyknęła je sobie razem z charakteryzacją. Lekarze też tak uważają.

Sprawdzić nie było jak, cały sprzęt już przecież nie istniał, zgodnie z rozkazem zniszczony przez rezydenta. W tym wszystkie pozostałe, niewykorzystane zastrzyki.

– No, a ja już nareszcie wiem – powiedziała powoli Sanja – dlaczego nam spadochrony otworzyły się prawidłowo.

Rueckner zawiesił na niej wzrok.

– Śmierć Zegadłowicza, za wcześniej wywołany wybuch i...

– I Maja.

A potem Popović coś sobie uświadomiła.

– Peter, idź, zajmij się Lewickim.

Tomek, razem z kapelanem, został z rodzicami Mai. Sanja nie uważała,

żeby to było zadanie odpowiednie dla półprzytomnego, balansującego na granicy halucynacji Kota. Rueckner zerwał się natychmiast, też przestraszony.

Sanja podwinęła nogi, oparła czoło na kolanach i zapadła się w siebie, jakby cała klinika, brzęcząca alarmującymi odgłosami, w ogóle nie istniała. Popović miała suche oczy, strupy na dłoniach i pustkę, zupełną pustkę w głowie.

– Pani kapitan?

Podniosła głowę. Przed nią siedział w kucki kapelan, spowiednik Majki. Na twarzy miał stare blizny po oparzeniach, ślady po misji stabilizacyjnej w Sudanie Południowym, kilkanaście lat temu.

– Pani kapitan, Maja prosiła mnie kiedyś, dawno, żebym w takiej sytuacji oddał pani jej srebrny krzyżyk. Krzyżyka nie ma, ale chciałbym, żeby pani wiedziała.

– Te rzeczy są w Nowej Dębie. – Sanja odkaszlnęła, żeby mówić wyraźniej.

Krzyżyk, pierścionek różańcowy, portfel, dokumenty, kluczyki do prywatnego samochodu. Wszystko to leżało w szufladzie biurka. Trzeba będzie pojechać, przywieźć tutaj i poza krzyżykiem oddać rodzinie. Kiedyś, później. Później.

– Dziękuję – dodała, widząc, że ksiądz nie odchodzi.

Nie był Kotem, mimo to wyczuł, czekał; zrozumiał, że Popović powie zaraz coś jeszcze.

– Proszę księdza, czy my jesteśmy grzechem?

– Nikt nie jest grzechem tylko dlatego, że się urodził.

Został z nią przez chwilę, a kiedy oparła znów głowę na kolanach, odszedł powoli, mijając pielęgniarki. Obejrzał się jeszcze raz. Sanja siedziała skulona pod ścianą, daleko w perspektywie korytarza.

Anna Nieznaj



Anna Nieznaj Rocznic 1979. Absolwentka matematyki, programistka. Mężatka, ma dwoje dzieci, mieszka w Lublinie. Debiutowała w druku w 1996 r. pod panińskim nazwiskiem Borówko. Publikowała opowiadania w „Filipince”, „Science Fiction”, „Science Fiction, Fantasy i Horror”, antologii pokonkursowej *Science Fiction po polsku 2* wydawnictwa Paperback oraz w internecie na portalach Esensja, Fahrenheit i Szortal. Laureatka konkursu Pigmalion Fantastyki 2010, finalistka Horyzontów Wyobraźni 2011. Zajmuje się też selekcjonowaniem tekstów dla działu literackiego Esensji. W fandomie znana pod nickiem Cranberry.